

EDITH WHARTON

WIEK NIEWINNOŚCI

IPWZN Print Lublin

Przełożyła: Urszula Łada - Zabłocka

KSIĘGA I

I

Pewnego styczniowego wieczoru w początkach lat siedemdziesiątych w Akademii Muzycznej Nowego Jorku miała wystąpić w „Fauście” Christine Nilsson.

Mówiło się, co prawda, o wystawieniu gmachu nowej Opery, która współzawodniczyłaby z Operami wielkich stolic europejskich pod względem kosztowności i przepychu, jednakże elegancki świat rad był spotykać się zimą w lożach pocziwej starej Akademii, wybitych wyblakłą purpurą i złotem. Konserwatyści lubili ją za to, że jest mała i niewygodna, dzięki czemu nie ściąga „nowych ludzi”, których Nowy Jork zaczynał się lękać, choć w gruncie rzeczy ku nim lgnął. Sentymentalisci przywiązani byli do niej ze względu na związki historyczne i muzyczne oraz świetną akustykę, tak bardzo problematyczną w salach budowanych dla słuchania muzyki.

Był to pierwszy występ Madame Nilsson tej zimy, a tych, którzy zebrali się, by jej posłuchać, codzienna prasa określiła jako „wyjątkowo świetną publiczność”: przybyli śliskimi, zaśnieżonymi ulicami w prywatnych karetach, w rodzinnych przestronnych landach czy skromniejszych, lecz bardziej dogodnych „karetach Browna”. Przybycie do opery „karetą Browna” uchodziło za równie szykowne, jak przybycie własnym powozem, a odjazd tym samym środkiem lokomocji miał tę ogromną zaletę, że można się było (wywołując przy okazji żartobliwą aluzję do demokratycznych zasad) wśliznąć do pierwszej z brzegu karety, miast wyczekiwać, aż zaczerwieniony od dżinu i zimna nos woźnicy własnego pojazdu błysnie pod portykiem Akademii.

Właściciele wypożyczalni powozów, wiedzeni genialną intuicją, dokonali odkrycia, że Amerykanie szybciej uciekają od rozrywki, niż do niej śpieszą.

W momencie gdy Newland Archer otworzył drzwi łoża klubowej, kurtyna podniosła się ukazując scenę ogrodową. Nie było powodu, dla którego młody człowiek nie mógłby przyjść wcześniej, jako że jadł obiad o siódmej tylko z matką i siostrą, a potem palił sobie wolniutko cygaro w gotyckiej bibliotece o oszklonych szafach na książki z czarnego orzecha i krzesłach z wysokimi oparciami. Był to jedyny pokój w domu, w którym pani Archer pozwalała palić. Chodziło jednak głównie o to, że Nowy Jork stanowił metropolię,

a Newland doskonale świadom był tego, że we wszystkich metropoliach „rzeczą niewłaściwą” jest zjawiać się wcześniej w Operze; a to, czy było coś „właściwe” , czy nie, odgrywało równie ważną rolę w Nowym Jorku Archera Newlanda, jak niezbadana siła totemów, które przed tysiącami lat kierowały losami jego praojców.

Drugi powód jego spóźnienia podyktowały względy osobiste. Mitrężył czas nad cygarem, jako że był urodzonym dyletantem i bardziej wyrafinowane zadowolenie dawało mu oczekiwanie przyjemności niż jej urzeczywistnienie.

Tym razem chodziło o przyjemność szczególnie delikatnej natury, jak zresztą większość jego przyjemności; a w tym przypadku chwila, której wyczekiwał, była tak rzadka i tak radosna... że gdyby zsynchronizował swoje przybycie z kierownikiem scenicznym primadonny, nie mógłby się zjawić w Akademii w bardziej znaczącym momencie, jak właśnie kiedy śpiewała: „Kocha... nie kocha... kocha” , głosem brzmiącym czysto jak poranna rosa, rozsypując płatki stokrotek.

Oczywiście śpiewała „M'ama” , a nie „Kocha” , odkąd niepodważalne i niekwestionowane prawo muzycznego świata wymagało, żeby niemiecki tekst francuskich oper, wykonywanych przez szwedzkich artystów, był tłumaczony na włoski, a to dla lepszego zrozumienia przez mówiącą po angielsku publiczność. Newlandowi zdawało się to równie naturalne, jak wszystkie inne utarte zwyczaje, na których opierało się całe jego życie; podobnie jak obowiązek używania do włosów dwóch szczotek w srebrnej oprawie z jego monogramem w błękitnej emalii i pokazywania się w towarzystwie z kwiatkiem (najlepiej z gardenią) w butonierce.

„M'ama... non m'ama...” - śpiewała primadonna, a końcowe „m'ama” wyrzuciła z siebie z wybuchem triumfującej miłości, i przycisnąwszy do ust zmięte stokrotki uniosła swe ogromne oczy ku chytremu obliczu małego ciemnego Fausta - Capoula, który w fioletowym, aksamitnym, przyciasnym kubraczku i czapeczce koloru śliwki usiłował wyglądać równie zwyczajnie i naturalnie, jak jego niewinna ofiara.

Archer Newland, opierając się o ścianę łoża, odwrócił oczy od sceny i badał pilnie wzrokiem miejsca po drugiej stronie sali. Akurat vis a vis miała swoją łożę starsza pani Mansonowa Mingott, której monstrialna wprost otyłość nie pozwalała już od dawna

bywać w Operze, ale którą zawsze w uroczyste wieczory reprezentowali młodszy członkowie rodziny. Dzisiejszego wieczoru pierwszy rząd w łoży zajmowały: jej synowa, żona Lovella, i córka, pani Welland. Spoza tych przystrojonych w brokaty matron skromnie wychylała się młodzieńca dziewczyna w bieli, utkwivszy pałający wzrok w scenicznych kochankach. Kiedy śpiewane przez panią Nilsson „M'ama” rozbrzmiewało w milczącej sali (podczas arii „Kwiatki, powiedzcie jej” zawsze cichły rozmowy w łożach), policzki dziewczyny okryły się rumieńcem, który przesunął się ku brwiom, aż po piękne sploty włosów i spłynął ku jej młodym piersiom, tam gdzie najmodniejszą tiulową chustę spinał kwiat gardenii.

Spuściła wzrok na leżący na jej kolanach wspaniały bukiet konwalii i Newland spostrzegł, jak koniuszkami palców w białej rękawiczce dotknęła delikatnie kwiatów. Powstrzymał westchnienie zaspokojonej męskiej próżności i wzrok jego znów powrócił ku scenie.

Nie żałowano kosztów na scenografię, która została uznana za piękną nawet przez wytrawnych bywalców sal operowych Paryża i Wiednia. Całe proscenium aż po scenę było przybrane turkusową materią. Pośrodku, w symetrycznych kopczykach, puszysty zielony mech przegradzały kołki od krokietu, tworząc podszycie krzewów uformowanych na kształt drzew pomarańczowych, lecz przystrojonych wielkimi różowymi i czerwonymi różami. Olbrzymie bratki, znacznie większe od róż i przypominające kwieciste stuły, jakie parafianki haftują dla eleganckich duchownych, wyłaniały się z mchu pod różanymi krzewami; tu i ówdzie stokrotka zaszczerpiona na gałązce róży rozkwitała bujnie jak jej przodkowie wyhodowani przez Luthera Burbanka.

Pośród tego zachwycającego ogrodu stała Madame Nilsson w białej kaszmirowej szacie obramowanej błękitnym atłasem, w siatce na włosach utkanej z niebieskich nici, a jej starannie zaplecione grube warkocze spływały na muślinowy staniczek. Spuściwszy wzrok słuchała namiętnych błagań Capoula i udawała szczery brak zrozumienia dla jego zamiarów, ilekroć, słowem lub spojrzeniem, przekonywająco wskazywał na okno parteru zgrabnej willi wyłaniającej się po prawej stronie sceny.

Kochanek! - rozmyślał Newland; jego spojrzenie powędrowało znów ku

dziewczynie z konwaliami. - Ona nawet nie ma pojęcia, o co tu chodzi. - Obserwował jej zafascynowaną młodą twarzyczkę z dreszczykiem posiadacza, u którego duma z własnego męskiego wtajemniczenia mieszała się z pełnym czci szacunkiem dla jej bezbrzeżnej niewinności.

Będziemy czytali razem „Fausta” nad włoskimi jeziorami - myślał, niejasno łącząc scenę projektowanego miesiąca miodowego z arcydziełami literatury, jako że przedstawienie tego planu narzeczonej stanowiło jego męski przywilej. Właśnie owego popołudnia May Welland dała mu do zrozumienia, że jest „przychylna” (uświęcony w Nowym Jorku zwrot w dziewczęcych wyznaniach), i natychmiast w wyobraźni zobaczył ją u swego boku w jakiejś scenie ze starej europejskiej czarownej sztuki, przeskakując nad sprawą pierścionka zaręczynowego, narzeczeńskiego pocałunku i marsza z „Lohengrina”.

Nie życzył sobie, by przyszła pani Newlandowa była głuptaskiem. Pragnął, żeby (przy jego świątym wpływie) rozwijała swój towarzyski takt i zalety, umożliwiające jej przestawanie z najpopularniejszymi mężatkami „młodego pokolenia”, wśród których panował powszechny zwyczaj przyciągania hołdów mężczyzn, a jednocześnie żartobliwego ich odrzucania. Gdyby tak sięgnął do głębi swej próżności (co czasem zdarzało mu się robić), znalazłby tam życzenie, by żona była tak obyta i tak skora do podobania się, jak owa zamężna dama, której uroki usidliły jego wyobraźnię na przeciąg dwóch wolno płynących fascynujących lat. Oczywiście nie biorąc pod uwagę owej lekkiej słabości, która omal nie przekreśliła życia tej biedaczki i nie popsowała jego własnych planów na całą zimę.

Jak mogło się narodzić to cudo z połączenia ognia i lodu i ostać się na tym surowym świecie - nigdy nie poświęcił czasu, by się nad tym zastanowić.

Jednakże cieszył się, że podtrzymuje taki pogląd bez analizowania go, ponieważ wiedział, że tak samo uważają ci wszyscy starannie uczesani, w śnieżnobiałych kamizelkach z kwiatkami w butonierkach dżentelmeni, którzy jeden za drugim wchodzili do klubowej łoży, wymieniali z nim przyjacielskie pozdrowienia i zwracali swe krytyczne lornetki na krąg pań, stanowiących wytwór tego systemu. Newland uważał, że w

sprawach intelektualnych i artystycznych stoi niewątpliwie o wiele wyżej niż te wybrane okazy nowojorskiej śmietanki towarzyskiej; prawdopodobnie czytał więcej, rozmyślał więcej, a nawet widział więcej świata niż którykolwiek spośród tych mężczyzn. Każdy z osobna przyznawał się do swojej niższości, lecz w gromadzie reprezentowali „Nowy Jork”, i przez zwykłą męską solidarność akceptowali ich doktrynę zwaną moralnością we wszystkich jej przejawach.

Czuł instynktownie, że w tym względzie mogłoby być kłopotliwe - a także w złym tonie - występowanie z własnym zdaniem.

- Na honor! - wykrzyknął Lawrence Lefferts odwracając gwałtownie lornetkę od sceny. Lawrence Lefferts był najwyższym autorytetem odnośnie „form” w Nowym Jorku. Z pewnością poświęcił więcej czasu niż ktokolwiek inny na studiowanie tego intrygującego i fascynującego zagadnienia, ale same studia nie mogły stanowić o jego całkowitej i wszechstronnej kompetencji w tej dziedzinie. Wystarczyło tylko spojrzeć na niego, poczawszy od wydatnego czoła i zakręconych pięknie, bujnych wąsów, a skończywszy na długich, wąskich stopach w lakierkach, które uzupełniały jego smukłą i elegancką sylwetkę, by nabrać przeświadczenia, że znajomość „form” musi być wrodzona u człowieka, który potrafi tak wytworny ubiór nosić z taką niedbałością i zachowywać się tak wyniośle z równie ujmującą gracją. Kiedyś powiedział o nim jeden z jego wielbicieli: „Jeśli ktokolwiek mógłby decydować, kiedy się nosi czarny krawat do wieczorowego ubrania, a kiedy nie, to tylko Lawry Lefferts”. A co do wyższości lakierków nad pantoflami z lakierowanej skóry, zwanych „oxfordami”, to jego autorytatywne zdanie nie podlegało dyskusji.

- Mój Boże! - wykrzyknął Lefferts i w milczeniu podał swoją lornetkę staremu Sillertonowi Jacksonowi.

Newland, idąc za wzrokiem Leffertsza, spostrzegł ze zdumieniem, iż okrzyk ten spowodował pojawienie się w łoży pana Mingott nowej osoby. Była to smukła kobieta, trochę niższa od May Welland; brązowe gęste pukle włosów okalające jej skronie przytrzymał diadem. To przybranie głowy, które przydawało jej podobieństwa do cesarzowej Józefiny, odcinało się wyraźnie od granatowej welurowej sukni artystycznie

ściągniętej pod biustem sznurem i spiętej staroświecką broszą. Właścicielka owego niezwykłego stroju, która zdawała się być całkowicie nieświadoma zainteresowania, jakie budzi, przez chwilę stała pośrodku łoża dyskutując z panią Welland, czy powinna zająć miejsce tej ostatniej w pierwszym rzędzie, w prawym rogu; wreszcie, z lekkim uśmiechem, usiadła w jednym rzędzie ze szwagierką pani Welland, panią Lovellową Mingott, która siedziała w drugim rogu łoża.

Pan Sillerton podał na powrót lornetkę Leffertsowi. Cały klub odwrócił się instynktownie, czekając, co starszy pan powie, jako że stary pan Jackson był równie wielkim autorytetem w sprawach rodzinnych, jak Lawrence Lefferts w sprawach „form”. Znał wszystkie genealogie rodzinne w Nowym Jorku i nie tylko potrafił wyświeślać tak skomplikowane zagadnienia, jak powiązania między Mingottami (przez Thorleyów) z Dallasami z Południowej Karoliny i pokrewieństwo starszej gałęzi Tharleyów filadelfijskich z Chiversami z Albany (pod żadnym pozorem nie mieszać z Mansonem Chiversem University Place), lecz potrafił również wyliczyć główne cechy każdej z tych rodzin; tak na przykład, legendarne skąpstwo młodszej gałęzi Leffertsów (tych z Long Island); czy fatalną skłonność Rushworthów do produkcji tych głupich zapalek; czy chorobę psychiczną pojawiającą się w każdym następnym pokoleniu Chiversów z Albany, z którymi ich nowojorscy kuzyni nie chcieli zawierać małżeństw, poza nieszczęsnym wyjątkiem biednej Medory Manson, która jak wszystkim było wiadomo... ale przecież jej matka pochodziła z Rushwarthów.

Poza tym gąszczem familijnych drzew pan Sillerton nosił pomiędzy swoimi wąskimi zapadniętymi skroniami, pod puszystą strzechą srebrzystych włosów, cały rejestr skandalów i tajemnic, jakie tylko mąciły spokojne wody nowojorskiego towarzystwa w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

Rzeczywiście tak daleko sięgały jego wiadomości i tak doskonałą miał pamięć, że uznawano go za jedyne go człowieka, który mógł powiedzieć, kim naprawdę był ten bankier Juliusz Beaufort i co się stało z przystojnym Bobem Spicerem, ojcem starej pani Mansonowej Mingott, który zniknął w tak tajemniczy sposób (z dużą sumą pieniędzy należących do trustu) w niespełna rok po ślubie, tego samego dnia, kiedy piękna

tancerka hiszpańska, święcąca triumfy w starej Operze na Battery, odpłynęła statkiem na Kubę. Jednakże te tajemnice, jak i wiele innych, były szczelnie zamknięte w szufladkach pamięci pana Jacksona, bowiem żywe poczucie honoru nie pozwalało mu powtarzać niczego, co było ściśle prywatną tajemnicą, a poza tym w pełni zdawał sobie sprawę, że jego reputacja człowieka dyskretnego stwarza mu możliwości do wykrywania tego, co chciał wiedzieć.

Z tej to przyczyny łoża klubowa zastygła najwyraźniej w niepewności, gdy pan Sillerton Jackson oddawał lornetkę Leffertsowi. Przez chwilę w milczeniu spoglądał na pełną uwagi grupę zamglonymi niebieskimi oczyma, osłoniętymi przez starcze pożyczkowane powieki, po czym z namaszczeniem musnął wąsa i powiedział po prostu:

- Nie przypuszczałem, żeby Mingattowie chcieli się w to mieszać...

II

Podczas tego krótkiego epizodu Newland popadł w stan jakiegoś dziwnego zakłopotania.

Było to irytujące, że akurat w tej łoży, która skupiała na sobie niepodzielną uwagę całej płci brzydkiej Nowego Jorku, siedziała jego narzeczona pomiędzy swoją matką i ciotką. Początkowo nie mógł rozpoznać damy w stroju z okresu Cesarstwa ani też pojąć, dlaczego jej obecność wywołuje takie podniecenie. Lecz raptem przyszło olśnienie, a wraz z nim przebiegł go nagły dreszcz oburzenia. Doprawdy, któż mógłby przypuszczać, że Mingottowie chcieliby się w to mieszać!

A jednak chcieli. Bez wątpienia. Ciche komentarze za jego plecami nie pozostawiały żadnych wątpiwości, iż owa młoda kobieta jest kuzynką May Welland, kuzynką, którą zawsze nazywano w rodzinie „tą biedną Ellen Olenską”. Archer wiedział, że powróciła z Europy zaledwie przed dwoma dniami; słyszał również od panny Welland, że odwiedziła (nawet chętnie) biedną Ellen, która zatrzymała się u starej pani Mingott. Archer całkowicie aprobował solidarność rodzinną, a najbardziej godną podziwu cechą Mingottów była zdecydowana obrona kilku czarnych owiec, które wydał ich nieskazitelny ród. Serce mężczyzny nie było małostkowe ani pozbawione szlachetności i cieszył się, że jego przyszła żona nie powoduje się fałszywą pruderią okazując uprzejmość (prywatnie) swej nieszczęśliwej kuzynce; jednakże co innego przyjmować hrabinę Olenską w rodzinnym gronie, a co innego pokazywać ją publicznie, i to jeszcze w Operze, w jednej łoży z młodą dziewczyną, której zaręczyny z nim, Newlandem Archerem, miały być ogłoszone w najbliższych tygodniach! Nie, czuł to samo, co stary Sillerton Jackson - uważał, że Mingottowie nie powinni się w to mieszać.

Naturalnie wiedział, że cokolwiek człowiek ośmieliłby się powiedzieć (poza granicami Piątej Alei) o starej pani Mansonowej Mingott, matriarchini rodu, byłoby ryzykowne. Zawsze podziwiał tę wysoką, majestatyczną starszą damę, która, chociaż była tylko Katarzyną Spicer ze Staten Island i jej ojciec w tajemniczych okolicznościach okrył się niesławą, pozbawiona zarówno pieniędzy, jak i odpowiedniej pozycji, by ludzie zdolali jej to zapomnieć, skoligaciła się z głową bogatszej linii rodu Mingottów, wydała

swoje dwie córki za mąż za cudzoziemców (włoskiego markiza i angielskiego bankiera). Ukoronowaniem jednak jej odwagi stało się wybudowanie obszernego domu z jasnokremowego kamienia (wtedy gdy uznawano tylko piaskowiec, podobnie jak noszenie fraka wyłącznie po południu) w nieprzystępnym dzikim zakątku, niedaleko Central Park.

Zagraniczne córki starszej pani Mingott stały się legendą. Nigdy nie przyjechały, by odwiedzić matkę, która, jak wiele osób o czynnym umyśle i silnej woli, będąc osobą otyłą i prowadzącą osiadły tryb życia, filozoficznie pozostawała w domu. A dom koloru bitej śmietanki (najprawdopodobniej wzorowany na prywatnych hotelach paryskiej arystokracji) stał tutaj jako widomy dowód jej moralnej odwagi, ona zaś królowała w nim wśród stylowych mebli sprzed Rewolucji i pamiątek z Tuileries z okresu panowania Ludwika Napoleona (gdzie błyszczała w swych latach średnich) tak spokojnie, jak gdyby nie było w tym nic szczególnego, że mieszkała na Trzydziestej Czwartej ulicy albo że miała okna francuskie, które otwierały się jak drzwi, a nie przez podnoszenie.

Wszyscy (włącznie z panem Sillertanem Jacksonem) byli zgodni, że stara Katarzyna nigdy nie posiadała urody - daru, który w oczach Nowego Jorku usprawiedliwiał każdy sukces i wybaczał wiele słabostek. Nieżyczliwi powiadali, że tak jak jej imienniczka, caryca, drogę do sukcesu zdobyła siłą woli i oschłością serca, a także czymś w rodzaju wyniosłej bezwzględności, którą w pewnym stopniu usprawiedliwiały obyczajność i dostojność, jakie cechowały ją w życiu prywatnym. Pan Manson Mingott umarł, gdy miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, a pieniądze „obwarował zastrzeżeniami” powodowany ostrożnością, jakie zrodziła jego głęboka nieufność wobec Spicerów. Lecz śmiała młoda wdowa szła nieustraszenie swoją drogą, obracając się ze swobodą w obcym towarzystwie, wydając córki za mąż w Bóg wie jak zepsutych i modnych kołach, blisko przestawała z książętami i ambasadorami, utrzymywała rodzinne stosunki z papistami, przyjmowała śpiewaczki operowe i była zaufaną przyjaciółką Madame Taglioni; a przez cały ten czas (jak to pierwszy obwieścił Sillertan Jackson) na jej reputacji nie było nawet cienia i zawsze dodawał, iż przynajmniej w tym względzie różniła się od tej wcześniejszej Katarzyny.

Pani Mingott od dawna szczęśliwie udało się odziedziczyć fortunę męża i od pół wieku żyła w dostatku. Lecz wspomnienia o początkowych tarapatkach sprawiły, że stała się nadmiernie oszczędna i dlatego, kiedy kupowała suknię czy jakiś mebel, dbała zawsze, żeby to było najprzedniejszego gatunku, i nie oddawała się chwilowym przyjemnościom stołu. Dlatego też, aczkolwiek ze skrajnie różnych powodów, jej jedzenie było równie skromne jak u pani Archer, a wina wiernie mu sekundowały. Kuzyni uznali, że niedostatek jej stołu dyskredytuje dobre imię Mingottów, które zawsze łączyło się z wystawnym życiem. Niemniej nie przestano zachodzić do niej na „gotowe dania” i kiepski szampan, a w odpowiedzi na protesty syna Lovella (który usiłował ratować rodzinną reputację zatrudniając najlepszego chef w Nowym Jorku) zwykle odpowiadała ze śmiechem:

- Po cóż zatrudniać aż dwóch dobrych kucharzy w jednej rodzinie, teraz kiedy wydałam za mąż dziewczęta i nie mogę jadać sosów?

Newland, zatopiony w takich myślach, raz jeszcze skierował spojrzenie na łożę Mingottów. Spostrzegł, że pani Welland i jej bratowa są zwrócone w stronę półkola swoich krytyków z tą mingottowską aplomb, którą stara Katarzyna wpajała w całe swoje plemię i której tylko May Welland się sprzeniewierzyła, lekko się rumieniąc (może dlatego, że zdawała sobie sprawę, że on ją obserwuje) wobec powagi sytuacji. Przyczyna tego zamieszania siedziała pełna gracji w rogu łoży, oczy miała utkwione w scenie i odsłaniała przy lekkim pochyleniu do przodu ramiona i piersi odrobinę więcej, niż Nowy Jork był przyzwyczajony oglądać, w każdym razie u dam, które miały powody życzyć sobie, by raczej ich nie zauważano.

Dla Newlanda Archera jedną z najokropniejszych rzeczy był występki przeciwko Dobremu Smakowi, temu dalekiemu bóstwu, którego zwyczajnym i widomym zastępcą i przedstawicielem była Forma. Błada i poważna twarz Madame Olenskiej przemawiała do jego wyobraźni, wyglądała odpowiednio do tej okazji i do jej nieszczęśliwej sytuacji, lecz to, że suknia (bez chusty) zsunęła się z jej szczupłych ramion, najwyraźniej go szokowało i martwiło. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że May jest narażona na wpływ tej młodej kobiety, która jest tak beztroska wobec wymogów Dobrego Smaku.

- Ostatecznie - usłyszał któregoś z młodych mężczyzn siedzących za nim (każdy rozmawiał podczas sceny Mefistofelesa z Martą) - ostatecznie, co się właściwie takiego zdarzyło?

- No cóż, porzuciła go. Nikt nie usiłuje temu zaprzeczać.

- To podobno straszny brutal? - ciągnął dalej ów młody rozmówca, szczery i otwarty Thorley, który najwidoczniej przygotowywał się do wpisania na listę obrońców dam.

- Straszliwy. Poznałem go w Nicei - powiedział Lawrence Lefferts autorytatywnie. - Na wpół sparaliżowany siwowłosy cynik... raczej ładna głowa, lecz rozbiegane oczy. Powiem wam jedno, że jak nie ma kobiety, to kolekcjonuje porcelanę. Podobno płaci każdą cenę za jedną i za drugą.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, po czym młody obrońca zapytał:

- No, a co potem?

- Cóż, potem ona związała się z jego sekretarzem.

- Ach tak! - obrońcy zrzędlą mina.

- Jednakże to nie trwało długo. W kilka miesięcy później usłyszałem od niej, że mieszka samotnie w Wenecji. Wiadomo mi, że Lovell Mingott pojechał, żeby ją zabrać. Mówił, że jest okropnie nieszczęśliwa. To w porządku... ale takie paradowanie po Operze, to całkiem inna sprawa.

- Może - zaryzykował młody Thorley - czuje się zbyt nieszczęśliwa, żeby pozostawała sama w domu?

Wypowiedź powitano pozbawionym szacunku śmiechem, młodzieniec splonął krwistym rumieńcem i usiłował przybrać wygląd, jaki eleganccy ludzie nazywają double entendre.

- W każdym razie to dziwne, żeby przyprowadzać pannę Welland - powiedział ktoś cicho, zerkając na Archera.

- Och, to jeden z punktów kampanii. Bez wątplenia rozkaz babki - zaśmiał się Lefferts. - Kiedy stara dama coś robi, robi to sumiennie.

Akt się kończył i w loży zapanowało ogólne poruszenie. Nagle Newland poczuł, że

musi zdecydowanie przystąpić do akcji. Zapragnął być pierwszym mężczyzną wchodzącym do łóżki pani Mingott, ogłosić oczekującemu światu o swoich zaręczynach z May Welland, zobaczyć ją mimo wszelkich niedogodności, w jakie mogła ją wciągnąć nienormalna sytuacja kuzynki; ten nagły impuls kazał mu odrzucić wszelkie skrupuły i wątpliwości i popędzić przez czerwone korytarze na drugi koniec budynku.

Gdy wszedł do łóżki, oczy jego napotkały wzrok panny Welland; dostrzegł, że zrozumiała jego pobudki, jakkolwiek godność rodziny, którą oboje uważali za najcenniejszą cnotę, nie pozwoliła jej powiedzieć mu tego. Członkowie ich świata żyli w atmosferze niewyraźnych implikacji i efemerycznych subtelności, a fakt, że on i ona rozumieli się nawzajem bez słów, zdaniem młodego człowieka przybliżał ich bardziej niż jakiegokolwiek wyjaśnienia. Jej oczy mówiły: „Rozumiesz, czemu mama mnie przyprowadziła”. A jego odpowiadały: „Za nic w świecie bym nie chciał, żebyś została w domu”.

- Znasz moją siostrzenicę, hrabinę Olenską? - spytała pani Welland, gdy wymieniała uścisk dłoni ze swym przyszłym zięciem. Archer skłonił się, nie wyciągając ręki, zgodnie ze zwyczajem, gdy się było przedstawianym damom.

Ellen Olenska również z lekka skinęła głową, złożonywszy dłonie w jasnych rękawiczkach na wachlarzu z orlich piór. Powitawszy panią Lovellową Mingott, postawną blondynę w szeleszczących atlasach, usiadł przy swej narzeczonej i spytał ścisłym głosem: - Mam nadzieję, że powiedziałaś Madame Olenskiej o naszych zaręczynach? Chcę, żeby każdy to wiedział, i pozwól mi ogłosić je dzisiaj wieczorem na balu.

Twarzyczka panny Welland poróżowiała niczym jutrzienka i dziewczyna spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem. - Jeśli potrafisz nakłonić mamę - powiedziała. - Ale dlaczego by zmieniać to, co już zostało ustalone?

- Milczał, lecz oczy jego wyrażały odpowiedź, a ona mówiła w dalszym ciągu uśmiechając się coraz śmielej: - Sam powiedz mojej kuzynce. Udzielam ci pozwolenia. Mówiła, że bawiła się z tobą, gdy byliście jeszcze dziećmi.

Odsunęła się z krzesłem, by zrobić mu przejście, a on szybko, trochę ostentacyjnie, pragnąc, by cała sala mogła to widzieć, usadowił się u boku hrabiny

Olenskiej.

- Kiedyś bawiliśmy się razem, nieprawdaż? - zagadnęła zwracając ku niemu poważne spojrzenie. - Był pan nieznośnym chłopcem. A raz to pocałował mnie pan za drzwiami. Ale ja kochałam się w pańskim kuzynie, Vandie Newlandzie, który nigdy na mnie nawet nie spojrzał. - Wzrok jej błędził po łóżach w kształcie podkowy. - Jakże mi to wszystko tutaj przypomina... widzę ich w pumpach i długich pantalonach - powiedziała z nieznacznym obcym akcentem, a oczy jej znów spoczęły na jego twarzy.

Miały przyjemny wyraz i młody człowiek był zaskoczony, że mogły w tak gorszący sposób przedstawiać obraz dostojnego trybunału, wobec którego, w tym właśnie momencie, toczyła się jej sprawa. Nic nie mogło być bardziej w złym guście niż impertynencja nie w porę. Odpowiedział więc trochę sztywno:

- Tak, bardzo długo pani nie było.

- Och, całe wieki, aż tak długo - powiedziała - że wydaje mi się, jakbym umarła i została pogrzebana, a to stare drogie miejsce jest niebem. - Archer z niewiadomych powodów uznał to jako jeszcze bardziej pozbawiona - szacunku sposób przedstawiania nowojorskiego towarzystwa.

III

Odbywało się to niezmiennie i zawsze tak samo.

Pani Juliuszowa Beaufort w wieczór swego dorocznego balu nigdy nie omieszkła zjawić się w Operze; rzeczywiście wydawała zawsze bal w ten wieczór, aby zadokumentować swoją całkowitą niezależność od obowiązków domowych oraz to, że posiada sztab służby, która podczas jej nieobecności potrafi zorganizować całe przyjęcie z najdrobniejszymi szczegółami.

Dom Beaufortów należał do nielicznych w Nowym Jorku, który posiadał salę balową (jeszcze wcześniej nawet niż pani Mansonowa Mingott i Headly Chiversowie). Zaczynano właśnie uważać za „prowincjonalizm” woskowanie podłóg w salonie i usuwanie mebli na piętro, w związku z czym posiadanie sali balowej, która była używana w jednym tylko celu i przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku była zamknięta na głucho, a połączane krzesła składano w kącie i żyrandole chowano w skrzyni, stanowiło niezaprzeczalną wyższość i zdawało się rekompensować wszystko, co było godne ubolewania w przeszłości Beaufortów.

Pani Archer, która z zapałem przeistaczała swoją towarzyską filozofię na maksymy, powiedziała kiedyś:

- Wszyscy mamy swoich ulubionych prostaczków...

- I chociaż powiedzenie było bardzo śmiałe, przyznawano mu w cichości słuszność w wielu ekskluzywnych kołach. Ale Beaufortowie, ściśle mówiąc, nie byli prości; niektórzy powiadali, że byli czymś gorszym. Pani Beaufort rzeczywiście należała do jednej z najbardziej godnych szacunku rodzin w Ameryce. Była uroczą Reginą Dallas (z tych z Południowej Karoliny), piękną bez posagu przedstawioną nowojorskiemu towarzystwu przez jej kuzynkę, nierozważną Medorę Manson, która mając najlepsze chęci zawsze popełniała nietakty. Gdy było się spokrewnionym z Mansonami i Rushworthami, miało się droit de cite (jak to nazwał pan Sillerton Jackson, który bywał w Tuileries) w nowojorskim towarzystwie; ale czyż nie straciło się tego poślubiając Juliusza Beauforta?

Pytanie, kim był Beaufort? Uchodził za Anglika, był miły, przystojny, opanowany,

gościnny i rozważny. Przybył do Ameryki zaopatrzony w listy polecające od angielskiego zięcia starej pani Mingott, bankiera, i szybko ugruntował sobie pozycję w świecie interesów, jednakże miał rozwiązłe obyczaje, ostry język i tajemniczych przodków. Ale kiedy Medora oznajmiła o zaręczynach swojej kuzynki z Beaufortem, uznano to za jeszcze jeden szaleńczy czyn w długim rejestrze nierozważnych poczynań biednej Medory.

Lecz szaleństwo równie często bywa usprawiedliwione jak mądrość i w dwa lata po zamążpójściu uznano dom młodej pani Beaufort za najbardziej wytworny dom w Nowym Jorku. Nikt dokładnie nie wiedział, jaki cud to sprawił. Była leniwa, bierna, kostyczna, nawet uchodziła za nudną; jednakże ubrana jak modelka, obwieszona perłami, stawała się z każdym rokiem młodsza, coraz bardziej jasnowłosa i piękna, królowała w mężowskim pałacu z ciężkiego, ciemnego kamienia i ściągala doń cały świat nie kiwnąwszy nawet swym upierścienionym paluszkim. Wtajemniczeni powiadali, że to Beaufort sam musztrował służbę, uczył szefa kuchni, jak przyrządzać nowe potrawy, mówił ogrodnikowi, jakie ma hodować kwiaty do przystrajania stołu w jadalni i salonach, selekcionował gości, przyrządzał poobiedni poncz i dyktował żonie krótkie liściki do jej przyjaciół. Jeżeli nawet tak było, to te domowe czynności stanowiły prywatną domenę, a wobec świata ukazywał się jako beztroski i gościnny milioner wkraczający do swego własnego salonu z miną zaproszonego gościa i mówił:

- Czyż gloksynie mojej żony nie są cudowne? Zdaje się, że je dostała z Kew Gardens.

Wszyscy byli zgodni, że sekret pana Beauforta polegał na umiejętności przechodzenia do porządku dziennego nad niektórymi sprawami. Można było sobie szeptać, że „dopomógł” mu w opuszczeniu Anglii międzynarodowy bank, w którym był zatrudniony. Zniósł te pogłoski równie łatwo, jak i całą resztę - chociaż sumiennie amerykańskiego biznesu było nie mniej wrażliwe niż jego moralny wzorzec - przewyciężył wszystko, miał cały Nowy Jork w swoich salonach i od przeszło dwudziestu lat ludzie mówili „idę do Beaufortów” takim samym zdecydowanym tonem, jak wtedy, gdy szli do pani Mansonowej Mingott, mając jeszcze tę pewność, że dostaną

dziką kaczkę na gorąco i wyborne wina, zamiast letniego, nie mającego nawet roku Veuve Clicquot i odgrzewanych filadelfijskich krokietów.

A więc pani Beaufort jak zwykle ukazała się w swojej łoży tuż przed arią z klejnotami, a kiedy i tym razem, jak zazwyczaj, podniosła się pod koniec trzeciego aktu, narzuciła etolę na swe piękne ramiona i wyszła, Nowy Jork wiedział, iż jest to sygnał, że za pół godziny rozpocznie się bal.

Taki dom, jaki mieli Beaufortowie, nowojorczyki z dumą pokazują cudzoziemcom, zwłaszcza w wieczór dorocznego balu. Beaufortowie jako nieliczni w Nowym Jorku posiadali własny czerwony dywan, który rozpościerali na stopniach ich własni lokaje, pod ich własną markizą, zamiast, wynajmować to wszystko wraz z krzesłami do sali balowej i zamawiać kolację. Zapoczątkowali również zwyczaj, by damy zdejmowały okrycia w hallu, a nie składały w sypialni gospodyni, i mogły poprawić fryzurę przy pomocy rurek ogrzewanych na palniku gazowym. Beaufort dawał do zrozumienia, iż zakłada, że wszystkie przyjaciółki jego żony posiadają pokojówki, które dbają o to, by ich panie były coiffees, kiedy wyjeżdżają z domu.

Poza tym dom był zaplanowany z takim rozmachem, że do sali balowej, zamiast przeciskać się wąskim korytarzem (tak jak u Chiversów), kroczyło się uroczyście przez usytuowane w amfiladzie salony (koloru morskiej wody, karmazynu i bouton d'or) widząc już z daleka wieloramienne żyrandole, których blask odbijał się w lśniących parkietach, a w głębi oranżerii, gdzie kamelie i ogromne paprocie rozpościerały swe bogate listowie ponad krzesłami z czarno - złotego bambusa.

Newland Archer, jak przystało młodemu człowiekowi jego pozycji, przybył z niewielkim opóźnieniem. Zostawił okrycie lokajom w jedwabnych pończochach (pończochy były jedną z kilku śmieszności Beaufortów), zmitrężył chwilę w bibliotece obwieszanej kurdybanami, zastawionej meblami inkrustowanymi mosiądzem, szylkretem i z malachitu, gdzie gawędziło kilku panów, nakładając rękawiczki balowe, aż w końcu dołączył do gości, których witała pani Beaufort w progu karmazynowego salonu.

Archer był najwyraźniej podenerwowany. Nie poszedł do swego klubu po Operze (jak zwykli czynić młodzi eleganci), a że wieczór był piękny, udał się na spacer Piątą

Aleją, nim skierował swe kroki w stronę domu Beaufortów. Naprawdę obawiał się, że Mingottowie mogą posunąć się trochę za daleko; że rzeczywiście babka każe im przyprować hrabinę Olenską na bal.

Z tonu, w jakim rozmawiano w klubowej loży, pojął, jak poważnym byłoby to błędem; i chociaż był teraz bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany „wyjaśnić sprawę do końca”, nie odczuwał już takiej rycerskiej gotowości, by bronić kuzynki swej narzeczonej, jak przed krótką z nią rozmową w Operze.

Błądząc po salonie koloru bouton d'or (gdzie Beaufort miał śmiałość powiesić „Zwycięską miłość”, bardzo dyskusyjny akt kobiecy Bouguereau)

Archer natknął się na panią Welland i jej córkę, które stały w pobliżu drzwi sali balowej. Tam już pojedyncze pary ślizgały się po lśniącej posadzce - światło woskowych świec padało na wirujące tiulowe suknie, na dziewczęce główki przystrojone w najmodniejsze kwiaty, na oszłamiające egrety z piór lub drogich kamieni i kunsztowne coiffures młodych mężatek, na błyszczące gorsy koszul i rękawiczki ze skórki glace.

Panna Welland, która najwyraźniej zamierzała przyłączyć się do tańczących, zatrzymała się w progu z bukietem konwalii w ręce (nie miała żadnych innych kwiatów); jej twarz była trochę blada, oczy płonęły szczerym podnieceniem. Wokół niej zebrała się już grupka młodych mężczyzn i dziewcząt, śmiano się i żartowano, a stojąca trochę na uboczu pani Welland uśmiechała się pełna umiarkowanej aprobaty. Najwyraźniej panna Welland oznajmiła właśnie o swoich zaręczynach, podczas gdy jej matka emanowała rodzicielską niechęcią, jak najbardziej stosowna na taką okoliczność.

Archer przystanął na chwilę. To przecież na jego wyraźne życzenie doszło do ich ogłoszenia, a jednak nie tak by sobie życzył, żeby dowiadywano się o jego szczęściu. Ogłaszanie zaręczyn w dusznej i gwarnej sali balowej, do tego jeszcze tak zatłoczonej, było odarciem ich z pięknych kwiatów intymności, która winna towarzyszyć sprawom najbliższemu sercu. Jego radość była tak głęboka, że to lekkie jej zmaczenie nie pozostawiło nawet śladu niezadowolenia. Ale pragnąłby, żeby w ogóle nie była maćconą. Pełną satysfakcję znajdował w tym, że May podzielała jego uczucia. Jej oczy spoczęły na nim błagalnie i mówiły: „Pamiętaj, tak postępujemy, jak trzeba”.

Żaden apel nie znalazłby szybszej odpowiedzi w sercu Archera. Niemniej pragnął, by ich działanie wy pływało z jakichś wznioślejszych pobudek, a nie ze względu na biedną Ellen Olenską. Grupka zebrana wokół panny Welland rozstała się ze znaczącymi uśmiechami, robiąc mu przejście; przyjąwszy gratulacje poprowadził narzeczoną na środek sali balowej i objął jej kibić.

- A teraz już nie musimy rozmawiać - powiedział uśmiechając się do jej ufnych oczu, gdy płynęli na spokojnych „Falach Dunaju”.

Nie odpowiedziała. Jej wargi drżały w uśmiechu lecz oczy pozostały dalekie i poważne, jakby zapatrzone w jakąś nieuchwytną wizję.

- Najdroższa - szepnął Archer przytulając ją mocniej. Wpojono w niego od dzieciństwa, że pierwsze godziny narzeczeństwa, nawet spędzone na sali balowej, mają w sobie jakąś powagę i świętość. Jakież inne życie będzie wiódł przy boku tej niewinnej, promiennej i dobrej dziewczyny!

Po tańcu para narzeczonych powędrowała do oranżerii. Usiedli za wysoką ażurową ścianą paproci i kamelii, Newland przycisnął do ust jej dłoń w rękawiczce.

- Widzisz, zrobiłam tak, jak prosiłeś - powiedziała:

- Och tak, nie mogłem się doczekać - odparł z uśmiechem. Po chwili dodał:

- Wolałbym tylko, żeby to nie było na balu.

- Tak, wiem. - Spojrzała mu w oczy ze zrozumieniem. - Ale mimo wszystko... nawet tu jesteśmy wyłącznie sami, prawda?

- Och, najdroższa... zawsze! - wykrzyknął Archer.

Niewątpliwie zawsze go będzie rozumieć i zawsze mówić to, co trzeba.

Odkrycie to przepełniło kielich jego szczęścia i powiedział wesoło:

- Pragnę cię pocałować, a nie mogę, i to jest najgorsze.

Mówiąc to rozejrzał się szybko po oranżerii, a upewniwszy się, że jest chwilowo pusta, pochwycił ją w ramiona i złożył przelotny pocałunek na jej ustach. Chcąc złagodzić zuchwalstwo, poprowadził ją ku bambusowej kanapce w mniej odosobnionej części oranżerii i usiadłszy przy niej zrywał konwalie z jej bukietu. Siedziała w milczeniu, a u stóp ich leżał cały świat niczym dolina pełna słońca.

- Czy powiedziałaś mojej kuzynce Ellen? - spytała wreszcie, jakby zbudzona z głębokiego snu.

Ocknął się i przypomniał sobie, że nie zrobił tego. Jakaś nieprzewidywana niechęć powstrzymywała go od mówienia o tych sprawach z tą dziwną obcą kobietą.

- Nie, nie miałem sposobności - uknuł kłamstwo na poczekaniu.

- Aha! - Wyglądała na zawiedzioną, lecz łagodnie skłaniała go, by przyjął jej punkt widzenia. - Jednakże musisz to zrobić, ponieważ ja nie mogę. A nie chciałabym, żeby myślała...

- Oczywiście, że nie. Ale czy nie ty właśnie powinnaś to zrobić?

Zastanowiła się.

- Tak, gdybym zrobiła to w odpowiednim czasie. Ale teraz, kiedy nastąpiła pewna zwłoka, sądzę, że ty musisz jej wytłumaczyć, że na moją prośbę miałeś jej powiedzieć w Operze, jeszcze zanim ogłosimy to wszystko oficjalnie.

Inaczej może pomyśleć, że zapomniałam o niej. Widzisz, należy do rodziny, i tak dawno jej nie było, że stała się trochę... drażliwa.

Archer spojrzał na narzeczoną rozpromienionym wzrokiem.

- Mój drogi aniele! Oczywiście, że jej powiem! - Popatrzył z lekką obawą w stronę zatłoczonej sali balowej. - Ale jeszcze jej nie udziałem. Czy przyszła?

- Nie, w ostatniej chwili postanowiła nie przychodzić.

- W ostatniej chwili? - powtórzył zdumiony, że - ogóle mogła brać pod uwagę taką możliwość.

- Tak. Ona wprost uwielbia taniec - młoda dziewczyna odparła po prostu. - Jednakże doszła nagle do wniosku, że jej suknia jest nie dość wytworna na bal, chociaż wszystkie uważaliśmy, że jest prześliczna. Wobec tego ciotka musiała ją zabrać do domu.

- Ach, tak - mruknął Archer obojętnie, lecz uszczęśliwiony. Nic go bardziej nie radowało w narzeczonej, jak jej odwaga i zdecydowanie, by za wszelką cenę ignorować tę „nieprzyjemną sprawę”, w którą oboje zostali wciągnięci.

Równie dobrze jak ja - rozmyślał - zna prawdziwą przyczynę nieobecności swej

kuzynki. Jednakże nawet najmniejszym gestem nie dam jej nigdy odczuć, iż wiem, że na reputacji biednej Ellen Olenskiej rysuje się skaza.

IV

W ciągu następnego dnia składano pierwsze narzeczeńskie wizyty, jak było w zwyczaju. W tych sprawach nowojorski rytuał był dokładny i niezmienny.

Zgodnie z nim Newland Archer pierwszy przybył z matką i siostrą na zaproszenie pani Welland, potem on, pani Welland i May udali się do starszej pani Mansonowej Mingott, by otrzymać błogosławieństwo czcigodnej antenatki.

Wizyta u pani Mingott była dla młodego człowieka zawsze zabawnym wydarzeniem. Sam dom stanowił już historyczny dokument, chociaż oczywiście nie tak czcigodny, jak niektóre stare rodzinne domostwa na University Place czy na początku Piątej Alei. Tamte były autentycznie z 1830 roku; z ponuro zharmonizowanymi dywanami w girlandy stulistnych róż, z konsolami z różanego drzewa, łukowato sklepionymi kominkami o gzymsach z czarnego marmuru i szafami bibliotecznymi z mahoniem na wysoki połysk, tymczasem starsza pani Mingott, która budowała swój dom później, wyrzuciła wszystkie posagowe masywne meble i pomieszała frywolne wyścielane mebelki z okresu II Cesarstwa ze schedą po Mingottach. Miała zwyczaj siadywania w oknie salonu na parterze, jak gdyby wyczekiwała spokojnie, co jej przyniesie życie i moda nadciągająca z północy ku jej samotnym drzwiom. Chyba jednak w tym oczekiwaniu nie przejawiała pośpiechu, była bowiem równie cierpliwa, co ufna. Miała absolutną pewność, że obecne płoty, zwierzyzna, parterowe bary, drewniane altanki w zachwaszczonych ogrodach i skały, z których kozy obserwują tę scenerię, znikną pod naporem rezydencji tak wspaniałych jak jej dom - a może (należała do kobiet bezstronnych) nawet wspanialszych; że kocie łby, po których toczą się stare rozklekotane omnibusy, zostaną zastąpione gładkim asfaltem, tak jak to ludzie powiadają, że widzieli w Paryżu. Tymczasem, jak każdy, tak i ona zabiegała, by u niej bywano (mogła równie łatwo jak Beaufortowie zapełniać gośćmi swoje pokoje, bez potrzeby dodawania choćby jednej pozycji do kolacyjnego menu), i wcale nie cierpiała z powodu swojego geograficznego odosobnienia.

Ogromny przybytek na wadze - który zaczął postępować u niej w wieku średnim, a przywodził na myśl strumienie lawy zalewającej skazane na zagładę miasto - zmienił ją

z pulchnej, energicznej małej kobietki o kształtnych stopach i cienkich kostkach w coś tak ogromnego i dostojnego jak stworzony przez naturę fenomen. Przyjęła ten zalew otyłości równie filozoficznie jak wszystkie swoje dopusty życiowe i teraz, w podeszłym już wieku, była nagrodzona oglądając w lustrze prawie pozbawianą zmarszczek gładką powierzchnię jędrnego, różowobiałego ciała, pośrodku którego przetrwały ślady małej twarzyczki, jakby czekającej odkopania przez odkrywcę. Kilka kondygnacji gładkich podbródków opadało ku oszalamiającym głębiom wciąż jeszcze śnieżnobiałego łona otulonego bielą muślinów spiętych broszą z miniaturką ostatniego pana Mingotta. A wokół i poniżej wzbierały fale za falą czarnego jedwabiu na oparciach przestronnego fotela, na którym dwie małe białe dłonie unosiły się niczym mewy na grzbiecie wzburzonych bałwanów.

Z powodu ciężaru ciała pani Mingott od dawna już nie mogła wchodzić ani schodzić po schodach i z właściwą sobie niezależnością urządziła swoje pokoje recepcyjne na piętrze, a sama (z jaskrawym pogwałceniem wszystkich nowojorskich zasad przyzwoitości) przeniosła się na parter; tak więc, kiedy się usiadło w jej saloniku, ukazywał się niespodziewanie (przez drzwi zawsze otwarte i z odchylonymi żółtymi portierami z adamaszku) widok sypialni z wielkim niskim łóżem przybranym podobnie jak kanapa i toaletka frywolnymi koronkowymi falbankami i lustrem w złożonych ramach.

Jej goście byli zdumieni i zafascynowani innością tego urządzenia, które przywodziło na myśl sceny z francuskich powieści, z architektonicznymi szczegółikami stanowiącymi podniecie do takich frywolności, o jakich przeciętnemu Amerykaninowi nawet się nie śniło. Tak właśnie kobiety żyły z kochankami w dawnych niemoralnych sferach, w apartamentach, gdzie wszystkie pokoje znajdowały się na jednym piętrze, i tak samo żyli ich nieprzyzwoici krewni opisywani w książkach. Bawiło Newlanda (który w tajemnicy umieścił w sypialni pani Mingott miłosne sceny z „Monsieur de Carnors”) ukazywanie jej nieposzlakowanego życia w takiej scenerii cudzołóstwa. Lecz mówił sobie ze szczerym podziwem, że gdyby zechciała mieć kochanka, ta nieustraszona kobieta nie zawahałaby się nawet przez chwilę.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, że podczas wizyty narzeczonych nie było hrabiny

Oleńskiej w salonie jej babki. Pani Mingott wyjaśniła, że wyszła.

Co, zważywszy, że była piękna słoneczna pogoda i godzina odpowiednia na robienie zakupów, można było uznać za nietakt ze strony skompromitowanej kobiety. Niemniej zaoszczędziło im to zakłopotania, jakie spowodowałyby jej obecność, oraz tego, że wspomnienie nieszczęśliwej przeszłości hrabiny mogłoby rzucić cień na ich promienną przyszłość. Wizyta przebiegała więc pomyślnie, tak jak należało się spodziewać. Stara pani Mingott cieszyła się z zaręczyn, które, od dawna przewidywane przez czujnych krewnych, zostały starannie rozpatrzone na radzie rodzinnej. Pierścionek zaręczynowy, duży okazały szafir osadzony w delikatnych pazurkach, spotkał się z jej nieklamany zachwytem.

- To nowoczesna oprawa. Naturalnie pięknie uwypukla kamień, ale wygląda trochę zbyt goło dla moich starych oczu - powiedziała pani Welland rzucając swemu przyszłemu zięciowi pojednawcze spojrzenie.

- Starych oczu? Ufam, że nie masz na myśli moich oczu, moja droga? Lubię wszelkie nowości! - wykrzyknęła matriarchini rodu unosząc kamień do swych małych błyszczących oczu, których dotychczas nie oszpeciły okulary. - Bardzo udany - dodała zwracając klejnot - bardzo odpowiedni. Za moich czasów uważano, że wystarczy kamea otoczona perełkami. Lecz czyż jest to ręka odpowiednia do noszenia pierścionka, co, drogi panie? - pomachała swą drobną rączką o małych ostrych paznokciach i zwałach starczego tłuszczu okalających jej przegub niczym bransolety z kości słoniowej. - Mój był wykonany w Rzymie przez wielkiego Ferrigianiego. Powinieneś być zrobić tam dla May. Niewątpliwie by ci zrobił, moje dziecko. Ona ma szeroką dłoń, to skutek tych nowoczesnych sportów, które rozciągają wiązadła, ale skórę ma białą. A kiedy odbędzie się wesele? - przerwała utkwivszy oczy w twarzy Archera.

- Och - mruknęła pani Welland, a tymczasem młody człowiek, uśmiechając się do swej narzeczonej, odpowiedział:

- Tak szybko, jak tylko możliwe. A jeśli jeszcze pani zechce mnie poprzeć, proszę pani...

- Musimy im dać czas, żeby się trochę lepiej poznali, mamó - wtrąciła pani

Welland ze zrozumiałym uczuciem niechęci, na które babka zareplikowała:

- Poznać? Bzdury! W Nowym Jorku zawsze wszyscy znają się nawzajem.

Pozwól, moja droga, młodemu człowiekowi postawić na swoim, nie czekaj, aż wino skwaśnieje. Niech się pobiorą przed wielkim postem. Mogę teraz zimą dostać zapalenia płuc, a chcę wydać weselne śniadanie!

Te następujące po sobie deklaracje były przyjmowane z odpowiednimi objawami zdziwienia, niedowierzania i wdzięczności. Wizyta upływała w nastroju umiarkowanej wesołości, gdy drzwi się otworzyły i weszła hrabina Olenska, ubrana w kapturek i płaszcz, a za nią nieoczekiwanie ukazał się Juliusz Beaufort.

Wśród pań nastąpiły miłe kuzynowskie pomruki powitalne, a pani Mingott wyciągnęła ku bankierowi model Ferrigianiego. - O, Beaufort, cóż za niezwykle zaszczyt! (Posiadała dziwaczny cudzoziemski zwyczaj zwracania się do mężczyzn po nazwisku).

- Kłaniam się. Pragnąłbym, żeby się to mogło zdarzać częściej - powiedział dość swobodnie i nonszalancko. - Jestem ciągle zajęty. Ale spotkałem hrabinę Ellen na Madison Square i była tak uprzejma, że pozwoliła mi sobie towarzyszyć aż do samego domu.

- Och, mam nadzieję, że ten dom stanie się weselszy teraz, kiedy jest Ellen! - wykrzyknęła pani Mingott z godną podziwu bezczelnością. - Niech pan siada, niech pan siada, Beaufort. Przysuń ten żółty fotel. A teraz, skoro już pana tu mam, chce posłuchać najnowszych ploteczek. Słyszałam, że pański bal był wspaniały. Podobno zaprosił pan panią Struthers? Cóż, sama jestem ciekawa i chętnie zobaczę tę kobietę.

Zapomniała o swoich członkach rodziny, którzy wychodzili teraz do hallu poprzedzani przez Ellen Olenską. Stara pani Mingott zawsze darzyła Juliusza Beauforta wielkim podziwem, a w ich chłodnym, dominującym sposobie bycia i omijaniu pewnych konwenansów był pewien rodzaj pokrewieństwa. Teraz gorąco pragnęła się dowiedzieć, co też skłoniło Beaufortów do zaproszenia po raz pierwszy pani Lemuelowej Struthers, wdowy po fabrykancie pasty do butów, która zeszłego roku powróciła z długiego pobytu w Europie, by przystąpić do oblężenia hermetycznej, małej nowojorskiej fortecy.

- Oczywiście, jeśli pan i Regina ją zapraszacie, to sprawa załatwiona. No cóż,

potrzebujemy świeżej krwi i nowych pieniędzy... Podobno ciągle jest bardzo ponętna - oświadczyła krwiożercza starsza pani.

Podczas gdy w hallu pani Welland i May nakładały futra, Archer zauważył, że hrabina Olenska spogląda na niego z lekkim, pytającym uśmiechem w oczach.

- Naturalnie już pani wie... o May i o mnie odezwał się, odpowiadając na jej przeciągłe spojrzenie, zażenowany. - Zbesztła mnie za to, że nie przekazałem pani tej wiadomości owego wieczoru w Operze. Dostałem rozkaz, żebym powiedział pani, że jesteśmy zaręczeni... ale nie zdołałem... w takim tłumie...

Uśmiech spłynął z oczu hrabiny Olenskiej na jej usta. Wyglądała młodziej, bardziej przypominała tę zuchwałą, ciemnowłosą Ellen Mingott z okresu jego lat chłopięcych.

- Oczywiście, że wiem. Bardzo się cieszę. Ale po pierwsze takich rzeczy nie ogłasza się w tłumie... - Panie stały już w progu, więc wyciągnęła do niego rękę.

- Do widzenia! Proszę któregoś dnia mnie odwiedzić - rzekła nie spuszczając z Archera wzroku.

Jadąc powozem Piątą Aleją rozmawiali swobodnie o pani Mingott, o jej wieku, usposobieniu i różnych zachwycających przymiotach. Nikt nie wspomniał o Ellen Olenskiej. Jednakże Archer wiedział, że pani Welland myślała: To błąd ze strony Ellen, żeby zaraz, następnego dnia po przybyciu, paradować Piątą Aleją w porze, kiedy jest najbardziej zatłoczona, mając u boku Juliusza Beauforta... A młody człowiek dodał w duchu: Jednak ona powinna wiedzieć, że mężczyzna świeżo zaręczony nie ugania się za mężatkami. Niemniej skłonny jestem twierdzić, że w tym środowisku, w jakim ona się obraca, tak robią... poza tym nie robią nic innego. I pomimo tych kosmopolitycznych poglądów, jakimi się chełpił, dziękował niebiosom, że jest nowojorkczykiem, i gotów był sprzymierzyć się z każdym, kto wyznawał te same zasady co on.

V

Następnego wieczoru na obiad do Archerów przybył stary pan Sillerton Jackson.

Pani Archer należała do kobiet nieśmiałych i unikających towarzystwa, ale lubiła być dobrze poinformowana o wszelkich jego poczynaniach. Jej stary przyjaciel, pan Sillerton Jackson, przykładał się do śledzenia poczynañ swoich przyjaciół z cierpliwością kolekcjonera i wiedzą przyrodnika.

Natomiast jego siostra, panna Sophy Jackson, która z nim mieszkała i była przyjmowana przez tych wszystkich, którzy nie mogli pozyskać sobie jej tak cieszącego się wzięciem brata, przynosiła do domu okruchy wielkich plotek, wypełniających z takim pożytkiem luki w jego relacji.

Dlatego też, ilekroć coś się takiego zdarzyło o czym chciałyby wiedzieć, pani Archer prosiła pana Jacksona o przybycie; a ponieważ zaszczycała swymi zaprosinami zaledwie kilka osób i ponieważ ona sama i jej córka Janey były wdzięcznymi słuchaczkami, pan Jackson zazwyczaj przychodził sam, zamiast przysyłać swoją siostrę. Gdyby mógł dyktować warunki, to wybierałby wieczory, kiedy nie było Newlanda. Nie dlatego, że młody człowiek był nieuprzejmy dla niego (w klubie znakomicie się rozumieli), ale czasami stary gawędziarz wyczuwał w Newlandzie pewną skłonność do podważania jego dowodów, czego nigdy nie przejawiały damy z tej rodziny.

Pan Jackson, jeśli doskonałość jest osiągalna na tym świecie, życzyłby sobie również, żeby jedzenie podawane u pani Archer było troszkę lepsze.

Lecz wówczas Nowy Jork, od tak dawna, jak tylko sięgała ludzka pamięć, podzielony był na dwie wielkie podstawowe grupy: Mingottów i Mansonów i ich klany, którzy troszczyli się o jadło, ubranie i pieniądze, i ród Archer - Newland - van - der - Luyden, który oddawał się podróżom, ogrodnictwu i lekturze najlepszych powieści i patrzył z góry na pospolitsze formy przyjemności.

Ostatecznie nie można mieć wszystkiego. Jeśli jadłeś obiad u Lovellów Mingottów, dostawałeś dziką kaczkę, zupę zółwiową i wina gronowe; u Adeliny Archer mogłeś sobie porozmawiać o krajobrazie alpejskim i „Marmurowym Faunie”; na szczęście Madera Archera opłynęła już Przylądek. Dlatego, gdy od pani Archer nadeszły

przyjazne zaprosiny, pan Jackson, który, był prawdziwym eklektykiem, powiedział jak zwykle do swojej siostry: - Mam lekką niestrawność po ostatnim obiedzie u Mingottów, wobec tego dieta u Adeliny dobrze mi zrobi.

Pani Archer, od dawna owdowiała, mieszkała z synem i córką na Zachodniej Dwudziestej Ósmej ulicy. Górne piętro było przeznaczone dla Newlanda, a dwie kobiety tłoczyły się w ciasniejszych pokojach na dole. W niezmałconej harmonii gustów i interesów hodowały paprocie w szklanych kloszach, robiły ozdobne koronki i haftowały włóczką na lnie, zbierały wyroby z błyszczącej ceramiki z okresu rewolucji, prenumerowały pismo „Good Words” i czytały powieści Ouida'y, dla przywołania włoskiej atmosfery. Wołały te z życia wieśniaków, a to ze względu na opisy krajobrazów i czystych uczuć, chociaż właściwie lubiły powieści z życia ludzi z towarzystwa, których motywy postępowania i zwyczaje były bardziej zrozumiałe.

Wyrażały się surowo o Dickensie, który nigdy nie stał się dżentelmenem, i doszły do wniosku, że Thackeray czuje się mniej pewnie w wielkim świecie niż Bulwer, o którym notabene zaczynało się mówić, że trąci myszką.

Pani i panna Archer były wielkimi miłośniczkami krajobrazów. Podczas swoich rzadkich podróży zagranicę przede wszystkim im poświęcały swój czas, zważywszy, że architektura i malarstwo to tematy dla mężczyzn i głównie dla wykształconych, czytających Ruskina. Pani Archer pochodziła z Newlandów, a matka i córka były podobne do siebie niczym siostry i wedle powszechnej opinii - były prawdziwymi przedstawicielkami rodu Newlandów. Wysokie, blade, o wątych spadzistych ramionach, długich nosach i słodkim uśmiechu na ustach miały w sobie ociężałą dystynkcję, jak niektóre wyblakłe portrety Reynoldsa. Ich fizyczne podobieństwo byłoby absolutne, gdyby czarne brokaty nie opinały podstarzałej embonpoint pani Archer, a brązowo - fioletowe popeliny Janey z każdym rokiem nie zwisały coraz luźniej z jej dziewiczej postaci.

Newland zdawał sobie sprawę, że pod względem umysłowym nie były tak całkowicie do siebie podobne, jak by na to wskazywał ich identyczny sposób bycia. Długie przyzwyczajenie wynikające ze współzależnej zażyłości sprawiło, że miały

podobny sposób mówienia i że obie zaczynały od „Mama uważa” lub „Janey uważa” , zależnie od tego, która z nich życzyła sobie wyrazić własną opinię. Ale w rzeczywistości, podczas gdy pogodny brak wyobraźni pani Archer był powszechnie znany i spotkał się z akceptacją, Janey była skłonna do wzlotów i zaników wyobraźni, których źródło stanowiły tłumione namiętności.

Matka i córka ubóstwiały się nawzajem i wspólnie czciły swego syna i brata. Newland kochał je z czułością, pełną skruchy i pozbawioną wszelkiego krytycyzmu z powodu ich przesadnego uwielbienia i cichej satysfakcji, jakiej z tego powodu doznawał. Uważał, że mimo wszystko dobra to rzecz dla mężczyzny, gdy posiada autorytet we własnym domu, nawet jeżeli czasami jego poczucie humoru kazało mu poddawać w wątpliwość potęgę tego autorytetu.

Młody człowiek był głęboko przekonany, że pan Jackson byłby rad z jego nieobecności na obiedzie w tym dniu; miał jednak swoje uzasadnione powody, aby nie zastosować się do jego życzenia.

Oczywiście stary Jackson będzie chciał mówić o Ellen Olenskiej i oczywiście pani Archer i Janey będą chciały usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Wszyscy troje byliby trochę skrępowani jego obecnością, zwłaszcza teraz, gdy wiadomo o jego rychłym spowinowaceniu się z klanem Mingottów. Młody człowiek czekał więc z zaciekawieniem, rozbawiony, jak też rozwiążą tę trudność.

Zaczęli najpierw rozmawiać wymijająco na temat pani Lemuelowej Struthers.

- To Wielka szkoda, że Beaufortowie ją zaprosili - powiedziała pani Archer łagodnie. - Ale Regina zawsze robi to, co on jej każe. A Beaufort...

- Pewne nuances uchodzą Beaufortowi - rzekł pan Jackson, ostrożnie przyglądając się gotowanej rybie i nie mogąc się nadziwić, czemu kucharka pani Archer zawsze przypala sarninę na węgiel. (Newland, który już od dawna podzielał jego zdziwienie, potrafił zawsze wyczytać to z miny starszego pana, wyrażającej melancholijną dezaprobatę).

- Och, z konieczności. Beaufort to pospolity człowiek - wyznała pani Archer. - Mój dziadek Newland zawsze zwykł mawiać do mojej matki:

„Cokolwiek przedsięwzięmiesz, nie pozwól, by ten Beaufort został przedstawiony dziewczętom”. Jednakże w końcu dostąpił tego zaszczytu, by zaznajomić się z dżentelmenami, podobno również w Anglii. Wszystko to jest bardzo tajemnicze... - Spojrzała na Janey i umilkła. Ona i Janey znały każdy rąbek tajemnicy Beauforta. Jednakże na forum publicznym pani Archer nie przestawała podkreślać, że ten temat nie jest przeznaczony dla osób niezamężnych.

- A ta pani Struthers - ciągnęła pani Archer. - Sillerton, mówił pan, że kim ona była?

- Pochodzi z kopalni albo raczej z knajpy przy szybie. Potem i z „Living Wax - Works” objeżdżała Nową Anglię. Następnie, kiedy policja ich rozpędziła, zamieszkała... - Teraz z kolei pan Jackson spojrzał na Janey, której oczy omal nie wyszły z orbit pod wydatnymi powiekami. W dalszym ciągu miała luki w wiadomościach co do przeszłości pani Struthers.

- A potem... - Ciągnął pan Jackson (Archer zauważył, jak znów nie potrafi ukryć zdziwienia, dlaczego nikt nie powiedział lokajowi, żeby nie krajał ogórków stalowym nożem) - potem zjawił się Lemuel Struthers. Powiadają, że jego spec od reklamy potrzebował główek dziewczęcych na pudełka z pastą do butów. A jej kruczoczarne włosy, wie pani, uczesane w stylu Egipcjanki... W każdym razie... w końcu... ją poślubił. - Ileż aluzji zawierało wypowiedziane przez niego słowo „w końcu”, a jak akcentowana była każda sylaba!

- No i cóż, mimochodem doszliśmy do obecnych czasów, mniejsza z tym zresztą - powiedziała pani Archer obojętnie. Prawdę powiedziawszy to damy po prostu nie bardzo interesowały się panią Struthers. Natomiast temat o Ellen Olenskiej był bardzo świeży i atrakcyjny. W rzeczywistości pani Archer wymieniła nazwisko pani Struthers tylko dlatego, żeby teraz mogła powiedzieć: - A nowa kuzynka Newlanda... hrabina Olenska? Czy była również na balu?

Czuło się lekką nutę sarkazmu pod adresem syna, lecz Newland spodziewał się tego i był na to przygotowany. Nawet pani Archer, która właściwie rzadko cieszyła się z radosnych wydarzeń swoich bliźnich, zadowolona była z zaręczyn syna. „Zwłaszcza po

tej głupiej historii z panią Rushworth” - powiedziała do Janey, robiąc aluzję do tego, co niegdyś wydawało się Newlandowi tragedią, po której w duszy jego miała pozostać nigdy nie zablizniona rana. Nie znalazłoby się w całym Nowym Jorku lepszej partii niż May Welland, z którejkolwiek strony na to spojrzeć. Oczywiście Newland tylko do takiego małżeństwa był uprawniony, lecz młodzi ludzie są tacy niemądrzy i niepraktyczni, a niektóre kobiety potrafią tak zręcznie usidlać i to bez żadnych skrupułów... Należy to niemal uznać za cud, że jedyny syn bezpiecznie ominął Syrenią Wyspę i znalazł się w zaciszu nieposzlakowanego domowego ogniska.

Takich to uczuć doznawała pani Archer i jej syn wiedział o tym. Ale wiedział również, że jej spokój zakłócało przedwczesne ogłoszenie jego zaręczyn albo raczej tego przyczyna. Dlatego właśnie - ponieważ w zasadzie był czułym i pobłażliwym władcą - został w domu tego wieczoru.

- To nie znaczy, że nie aprobuję Mingottów esprit de corps. Ale nie widzę powodu, aby tylko dlatego, że ta Olenska ciągle wyjeżdża i przyjeżdża, miało powstać jakieś zamieszanie w związku z zaręczynami Newlanda. - Pani Archer narzekała do Janey, jedynego świadka jej niewielkiego odstępstwa od idealnej słodczy charakteru.

Zachowała się wspaniale - a w tym była niedościgniona - podczas wizyty u pani Welland. Jednakże Newland wiedział (a jego narzeczona bez wątplenia się domyślała), że cały czas podczas wizyty i ona, i Janey nerwowo wyczekiwały, czy nie wtargnie Madame Olenska. Kiedy opuszczali razem dom, nie omieszkała powiedzieć do syna:

- Wdzięczna jestem, że Augusta Welland zaprosiła tylko nas samych...

Te oznaki wewnętrznego niepokoju poruszyły Newlanda, tym bardziej, że on także czuł, iż Mingottowie posunęli się troszkę za daleko. Ale ponieważ sprzeciwiało się to wszelkim zasadom ich kodu, żeby matka i syn robili jakiegokolwiek aluzję do swoich najskrytszych myśli, odpowiedział po prostu:

- No cóż, zawsze może się zdarzyć w rodzinnych spotkaniach taka faza, przez którą trzeba przejść, kiedy się ktoś zaręcza, ale im wcześniej się przez to przejdzie, tym lepiej.

Na co jego matka tylko zacisnęła usta pod koronkową woalką, która opadała z jej

szarego aksamitnego czepeczka okolonego małymi winogronkami.

Czuł, że tego wieczoru jej zemstą - w pełni uzasadnioną - będzie „pociągnięcie za język” pana Jacksona na temat hrabiny Olenskiej, a młody człowiek pełniwszy już publicznie swój obowiązek, jako przyszyły członek klanu Mingottów nie miał teraz nic przeciwko temu, by usłyszeć, co się mówi o owej damie prywatnie - chociaż ten temat zaczynał go nużyć.

Pan Jackson wziął plasterek chłodnego filetu, który podawał mu smutny lokaj z równie sceptycznym spojrzeniem jak jego, i odsunął sos grzybowy z ledwie dostrzegalnym skrzywieniem nosa. Wyglądał na zawiedzionego i głodnego i Archer pomyślał, że najprawdopodobniej zakończy posiłek tematem o Ellen Olenskiej.

Pan Jackson odchylił się w krzesło i popatrzył na oświetlonych blaskiem świec Archerów, Newlandów i van der Luydenów, wiszących w ciemnych ramach na tle równie ciemnych ścian.

- Och, mój drogi Newlandzie, jakże twój dziadek Archer uwielbiał dobre obiady! - wykrzyknął, a oczy jego spoczywały na pulchnym, barczystym młodym mężczyźnie w sztywnym kołnierzyku i granatowym surducie, stojącym na tle wiejskiego dworu z białymi kolumnami. - Tak, tak, tak... Ciekaw jestem, co on by powiedział na te wszystkie cudzoziemskie małżeństwa?

Pani Archer zignorowała aluzję do odziedziczonej po przodkach cerisine i pan Jackson ciągnął dalej ze spokojem:

- Nie, ona nie była na balu.

- Aha - mruknęła pani, Archer tonem, który mówił: „Miała przynajmniej na tyle przyzwoitości”.

- Może Beaufortowie jej nie znają? - podsunęła Janey ze źle udawaną złośliwością.

Pan Jackson lekko cmokał, jakby kosztował niewidoczną Maderę.

- Możliwe, że pani Beaufort jej nie zna... Ale Beaufort z pewnością tak, ponieważ cały Nowy Jork widział, jak dzisiaj po południu spacerowała z nim po Piątej Alei.

- O Boże! - jęknęła pani Archer, najwyraźniej w poczuciu nadaremnego

oczekiwania po cudzoziemcach jakiejś delikatności.

- Ciekawa jestem czy ona po południu nosi okrągły kapelusz, czy czepeczek? - zastanawiała się Janey. - Wiem, że w Operze miała granatową welurową suknię... prostą i luźną... jak koszula nocna.

- Janey! - wykrzyknęła jej matka. Panna Archer splonęła rumieńcem i usiłowała przybrać zuchwałą minę.

- W każdym razie było w lepszym guście nie przychodzić na bal - ciągnęła pani Archer.

W tym momencie wiedziony duchem przekory wtrącił syn:

- Nie sądzę, aby w jej przypadku była to sprawa gustu. May mówiła, że zamierzała pójść na bal, lecz doszła do wniosku, że jej suknia nie jest dostatecznie elegancka.

Pani Archer uśmiechnęła się na to potwierdzenie jej wywodów.

- Biedna Ellen - zauważyła po prostu i dodała litościwie: - Zawsze musimy pamiętać o tym, co ta ekscentryczna Medora Manson jej wpoila! Czego można się spodziewać po dziewczynie, której na pierwszym balu pozwolono wystąpić w czarnych atłasach?

- O, nie przypominam sobie tego - powiedział pan Jackson i dodał: - Biedna dziewczyna! - tonem kogoś, kto cieszy się dobrą pamięcią i doskonale rozumie, jakież to w owych czasach musiał być widok.

- To dziwne - zauważyła Janey - że zachowała takie okropne imię jak Ellen. Ja bym zmieniła je na Elaine. - Spojrzała wokół siedzących chcąc sprawdzić efekt swoich słów.

- Dlaczego Elaine? - zaśmiał się jej brat.

- Nie wiem. To brzmi bardziej... bardziej po polsku - powiedziała Janey rumieniąc się.

- Brzmi bardziej wyzywająco, o to zapewne jej chodzi - orzekła obojętnie pani Archer.

- A dlaczego nie? - wmieszał się jej syn, nagle skory do dyskusji. - Dlaczego by nie miała być wyzywająca, jeśli chce? Czy powinna przemykać się chyłkiem, jak gdyby to

ona okryła się niesławą?

Oczywiście jest „biedną Ellen” , ale tylko dlatego, że miała paskudnego pecha zawrzeć nieszczęśliwe małżeństwo. Ale nie widzę powodu, żeby chowała głowę, jakby to ona była winowajczynią.

- Przypuszczam - odezwał się pan Jackson z rozmysłem - że taką linię postępowania zamierzają obrać Mingottowie.

Młody człowiek poczerwieniał.

- Nie musiałem czekać na ich wskazówki, jeśli o to panu chodzi, sir.

Madame Olenska nie ma szczęśliwego życia, ale z tego powodu nie jest wyrzutkiem.

- Krążyły różne pogłoski... - zaczął pan Jackson zerknąwszy na Janey.

- Och, wiem. Chodzi o sekretarza - przerwał mu młody człowiek. - Nonsens, mam, Janey jest dorosła. Powiadają - ciągnął dalej - że sekretarz pomógł jej uciec od męża brutala, który właściwie trzymał ją jak więźnia. No i co, jeśli nawet tak zrobił? Sądzę, że nie ma wśród nas mężczyzny, który by w tym przypadku nie postąpił tak samo.

Gość spojrział przez ramię zwracając się do smutnego lokaja: - Może... tego sosu... ale tylko troszkę...

- Po czym zauważył: - Mówiono mi, że poszukuje domu. Zamierza tu osiąść na stałe.

- A ja słyszałam, że ma zamiar przeprowadzić rozwód - powiedziała Janey śmiało.

- Mam nadzieję, że tak zrobi! - wykrzyknął Newland.

Słowa eksplodowały niczym bomba w czystej i spokojnej atmosferze jadalni.

Pani Archer uniosła swe delikatne brwi w ten szczególny sposób, który miał oznaczać: „Lokaj...” - i młody człowiek, zdawszy sobie sprawę, jak niestosowne jest dyskusowanie o tak intymnych sprawach przy służbie, czym prędzej zmienił temat i zaczął opowiadać: o swej wizycie u starej pani Mingott.

Po obiedzie, zgodnie z odwiecznym zwyczajem, pani Archer i Janey, powłócząc długimi jedwabnymi sukniami, udały się do salonu, a tymczasem panowie zeszli na dół wypalić cygaro. Usiadły naprzeciw siebie przy naftowej lampie z ozdobnym kloszem,

stojącej na stolyczku do robótek z różanego drzewa, pod którym leżał zielony jedwabny woreczek, i zaczęły tkać z obydwu stron gobelin w kwiaty, przeznaczony do przykrycia „paradnego” fotela w salonie młodej pani Newlandowej.

Podczas gdy dokonywano tego obrządku w salonie, Archer usadowił pana Jacksona w fotelu przed kominkiem w gotyckiej bibliotece i poczęstował go cygarem. Starszy pan rozsiadł się wygodnie, zapalił cygaro z pełnym zaufaniem (bowiem to Newland je kupował) i wyciągnąwszy swoje starcze cienkie nogi w stronę rozżarzonych węgli, powiedział:

- Mówiłeś, drogi przyjacielu, że sekretarz ot, tak sobie, pomógł jej w ucieczce? No cóż, w rok później w dalszym ciągu jej pomagał. Ktoś spotkał ich w Londynie, gdzie mieszkali razem.

Newland poczerwieniał.

- Mieszkali razem? A czemużby nie? Kto ma prawo układać jej życie, jeśli nie ona? Niedobrze mi się robi od tej hipokryzji, żywcem pogrzebano by tę kobietę tylko za to, że jej mąż woli się uganiać za ladacznicami.

Przerwał i odwrócił się ze złością, by zapalić cygaro.

- Kobiety powinny być wolne... tak samo jak my - oświadczył spostrzegłszy się, że jest zanadto poirytowany, by ocenić straszne konsekwencje takiej możliwości.

Gość przysunął nogi bliżej kominka i wydał z siebie, sardoniczne gwizdnięcie.

- Otóż - odezwał się po chwili - najprawdopodobniej hrabia Olenski podziela pański punkt widzenia, jako że nigdy nie słyszałem, by choćby kiwnął palcem w celu odzyskania żony...

VI

Tego wieczoru, po odejściu pana Jacksona i potem, jak już damy udały się do swoich sypialni o perkalowych zasłonach, Newland, zamyślony, wszedł po schodach do swego gabinetu. Troskliwa ręka, jak zawsze, podsyciła na kominku ogień i zapaliła lampę. Pokój o niezliczonych rzędach półek z książkami, ze statuetkami z brązu i metalu stojącymi na gzymsie kominka i mnóstwem reprodukcji słynnych obrazów, wyglądał niezwykle przytulnie i miło.

Gdy opadł na fotel przy kominku, oczy jego spoczęły na dużej fotografii May Welland, którą młoda dziewczyna podarowała mu w pierwszych dniach ich miłości i z powodu której zniknęły teraz wszystkie inne portrety ze stolika. Z jakimś nowym uczuciem nabożnej czci popatrzył na otwarte czoło, poważne oczy i radosne niewinne usta młodej istoty, której miał zostać duchowym opiekunem. Ten przerażający wytwór systemu społecznego, do którego przynależał i weń wierzył - ta młoda dziewczyna, która o niczym nie wiedziała, a spodziewała się wszystkiego - spoglądał na niego jak ktoś obcy poprzez znajome rysy May Welland. I raz jeszcze ośwładnęła nim myśl, że małżeństwo nie jest bezpieczną przystanią, jak nauczono go wierzyć, lecz podróżowaniem po bezkresnych morzach.

Przypadek hrabiny Olenskiej poruszył dawne, ustalone przekonania, które drażyły mu niebezpiecznie umysł. Jego własny okrzyk: „Kobiety powinny być wolne... tak samo jak my!” - podważył korzenie problemów, które w jego świecie postanowiono traktować jako nieistniejące.

„Przyzwoite kobiety”, aczkolwiek skrzywdzone, nigdy nie będą żądały takiej wolności, jaką on ma na myśli, a mężczyźni o tak szerokich horyzontach jak on - w ferworze dyskusji - skłonni są z całą rycerskością im ją przyznać. Taka słowna wspaniałomyślność była tylko oszukańczym maskowaniem nieubłaganych konwenansów, które wszystko krępują i przywiązują ludzi do starego modelu. Jednakże w tym wypadku był zdecydowany walczyć po stronie kuzynki swej narzeczonej i przeprowadzić to w imieniu swej własnej żony, i czułby się usprawiedliwiony, nawet gdyby sprowadził na jej głowę wszystkie gromy Kościoła i państwa. Oczywiście dylemat

należał do czysto hipotetycznych. Skoro nie był łajdackim polskim magnatem, absurdem byłoby zastanawiać się, jakie powinny być prawa jego żony, gdyby nim był. Lecz Newland Archer posiadał zbyt bujną wyobraźnię, aby nie wyczuwać, w przypadku jego i May, że więzy mogą stać się udręką z przyczyn mniej uchwytnych i daleko mniejszej wagi. Co właściwie mogli tak na prawdę wiedzieć o sobie wzajem, skoro jego obowiązkiem jako „przywoitego” człowieka było ukrywanie przed nią swej przeszłości, gdy tymczasem ona jako panna na wydaniu nie miała czego ukrywać? A jeśli z przyczyn subtelniejszej natury, dotyczących zresztą ich obojga, mieliby siebie dosyć, nie rozumieliby się i nawzajem denerwowali? Dokonał przeglądu swoich przyjaciół - przypuszczalnie szczęśliwych - i nie dojrzał niczego, co by chociaż mgliście odpowiadało temu pełnemu uczucia i tkliwości koleżeństwu, jakie miało cechować, wedle jego wyobrażenia, przyszłe współżycie z May Welland.

Rozumiał, że taki obraz wymagał z jej strony doświadczenia, obrotności, wolności w wypowiedaniu własnych sądów, gdy tymczasem starannie ją ćwiczone, by nie posiadała tych cech. Wzdrygnął się na to przeczucie, ujrzał, jak jego małżeństwo staje się takie samo jak większość małżeństw wokół niego: pustym związkiem materialnych i towarzyskich interesów, utrzymujących się tylko dzięki ignorancji z jednej strony a hipokryzji z drugiej. Lawrence Lefferts wydał mu się mężem, który całkowicie odpowiadał temu godnemu pozazdrosczenia ideałowi. Kiedy stał się arcykapłanem formy, uformował swoją żonę tak absolutnie dla swojej wygody, że na rzucające się w oczy jego częste romanse z żonami innych mężczyzn, ona tylko się uśmiechała, pełna nieświadomości, i mówiła: „Lawrence jest tak przerażająco surowy w kwestiach moralności”. I znana była z tego, że rumieniła się z oburzenia i odwracała wzrok, gdy ktoś w jej obecności robił aluzję, że Juliusz Beaufort (ten „cudzoziemiec” o wątpliwym pochodzeniu) posiadał, jak mówiono w Nowym Jorku, „garsonierę”.

Archer usiłował pocieszyć siebie, że przecież nie jest aż takim draniem jak Lawry Lefferts ani też May tak głupiutka jak biedna Gertruda. Jednakże różnice, mimo wszystko, sprowadzały się do inteligencji, a nie wzorców. W rzeczywistości wszyscy żyli w jakimś hieroglificznym świecie, gdzie nigdy nie mówiono, nie robiono ani nawet nie

myślano o realnych rzeczach, a tylko przedstawiano je za pomocą szeregu drobnych znaków. Toteż pani Welland, która doskonale wiedziała, czemu Archer nalega na nią, by ogłosiła zaręczyny córki na balu u Beaufortów (i rzeczywiście spodziewała się, że to zrobi), czuła się jednak w obowiązku udawać niechęć i stwarzać atmosferę jakiegoś nacisku, zupełnie jak w tych książkach o jaskiniowcach - w których zaczynali się rozczytywać ludzie o wysokiej kulturze - kiedy to młodą, wrzeszczącą dzikuskę wyciągają z rodzicielskiej jaskini.

Oczywiście rezultat był taki, że młoda dziewczyna, która stanowiła ośrodek owego wypracowanego systemu mistyfikacji, pozostawała jeszcze bardziej niezgłębiona, a to przez swoją szczerą i pewność siebie. Była szczerą, biedactwo, ponieważ nie miała nic do ukrywania, pewna siebie, ponieważ nie знаła nic takiego, przed czym musiałaby się mieć na baczności.

W oparciu o takie właśnie przygotowanie musiała się ubiegłego wieczoru poświęcić temu, co ludzie enigmatycznie nazywają „sprawami życiowymi”.

Młody człowiek był szczerze, lecz umiarkowanie zakochany. Przyjemność mu sprawiała promienna uroda narzeczonej, jej zdrowie, umiejętność konnej jazdy, wdzięk i zręczność w grach, jej nieśmiałe zainteresowanie książką i ideami, które zaczęła rozwijać pod jego kierunkiem. (Posunęła się już na tyle daleko, by móc razem z nim wyśmiewać się z „Idylli króla”, lecz nie na tyle, by odczuwać piękno „Ulissesa” czy „Zjadaczy lotosu”). Była prostolinijna, lojalna i odważna; miała poczucie humoru (zwłaszcza gdy się zaśmiewała z jego żartów). A podejrzewał, że w głębi tej niewinnej istoty drzemie żar namiętności, którego rozniecenie będzie stanowiło jego największą radość. Lecz gdy zrobił to szybkie zestawienie, na powrót opanowała go zniechęcająca myśl, że cała ta szczerota i niewinność to jedynie sztuczny wytwór. Pierwotna ludzka natura nie była ani szczerą, ani niewinną; w gruncie rzeczy była wykrętą i podstępna. Czuł się przygnębiony tą sztuczną niewinnością, tak zręcznie stworzoną przez sprzysiężenie matek, ciotek i dawno nieżyjących przodków, ponieważ z góry zakładano, że on tego chce, że ma prawo ją mieć, żeby mógł zaznawać swoich wielkopańskich przyjemności, zdmuchując ją jak płomień świecy.

Było coś pospolitego w tych rozważaniach; ale stały się zwyczajem wśród młodych ludzi w przededniu małżeństwa. Lecz najczęściej towarzyszyło im poczucie żalu i samoponizenia, czego Newland w najmniejszym stopniu nie doznawał. Nie potrafił ubolewać (dlatego bohaterowie Thackeraya tak często go denerwowali), że nie ma czystej karty do zaoferowania swojej narzeczonej w zamian za nieskalaność, którą ona mu ofiaruje. A jednocześnie uważał, że nawet gdyby był tak samo wychowany jak ona, nie mogliby chyba być bardziej zgodni w znalezieniu wspólnej drogi niż bohaterowie ballady „Babes in the Wood”. Na skutek tych wszystkich niespokojnych rozmyślań nie potrafił dostrzec żadnego uczciwego powodu (jakiegokolwiek bądź, który byłby nie związany z jego własną chwilową przyjemnością i poczuciem męskiej próżności), dla którego jego narzeczonej miałaby nie korzystać z tej samej co on swobody doświadczeń.

Takie to pytania i o takiej porze kłębiły się w jego głowie. Lecz świadom był tego, że ich nieprzyjemną uporczywość i precyzję zawdzięcza niewczesnemu przyjazdowi hrabiny Olenskiej. W najważniejszym momencie swego narzeczeństwa - w momencie przeznaczonym do czystych myśli i pogodnych nadziei - znalazł się w sieci skandalu, który poruszył wszystkie te szczególne problemy, które lepiej, żeby sobie leżały nie ruszane. „Do diabła z Ellen Olenską!” - mruknął, gasząc ogień na kominku i zaczynając się rozbierać. Nie mógł doprawdy pojąć, dlaczego jej los miałby wywierać jakikolwiek wpływ na jego życie. Podświadomie jednak czuł, że po prostu zaczyna tylko rozważać ryzyko championatu, jakie narzuciło mu jego narzeczeństwo.

W kilka dni później wybuchła bomba. Lovellowie Mingottowie porzysyłali zaproszenia na tak zwany „oficjalny obiad” (to znaczy ekstra trzech służących, po dwa dania do wyboru i rzymski poncz podawany w trakcie posiłku), a swoje zaprosiny, zgodnie z amerykańską gościnnością, która nakazuje traktować cudzoziemców, jak gdyby byli koronowanymi głowami lub co najmniej ich ambasadorami, zaczęli od słów: „Na spotkanie z hrabiną Olenską”...

Goście byli wybrani z bezwzględnością i dyskryminacją, w czym wtajemniczeni rozpoznawali mocną rękę Katarzyny Wielkiej. Były to tak niezawodne osoby jak Selfridge

Merry'owie, zapraszani wszędzie, ponieważ już tak się utarło, Beaufortowie, a na tych ciążył obowiązek z racji pokrewieństwa, pan Sillerton Jackson i jego siostra Sophy (która bywała wszędzie tam, gdzie jej brat nakazywał bywać) oraz kilka najmodniejszych, a jednocześnie jak najbardziej nieposzlakowanych znanych młodych małżeństw; Leffertsowie, pani Rushworth (urocza wdowa), Thorleyowie, Chiversowie i młody Morris Dagonet z żoną (z domu van der Luyden). Towarzystwo było rzeczywiście świetnie dobrane, odkąd wszyscy jego członkowie należeli do małego ścisłego grona, które podczas długich nowojorskich sezonów hasało wspólnie dniami i nocami wciąż z niesłabnącym zapalem.

Czterdzieści osiem godzin potem stała się rzecz niesłychana. Nikt nie przyjął zaproszenia Mingottów z wyjątkiem Beaufortów oraz starszego pana Jacksona i jego siostry. Ten zamierzony bojkot potęgowało jeszcze to, iż nawet Chiversowie, należący do klanu Mingottów, byli pośród tych, którzy maczali w tym palce, a także zgodna treść bilecików, w których piszący „przepraszali, iż nie mogą przyjąć zaproszenia”, nie siląc się nawet na łagodzące słowa usprawiedliwienia, że już zostali „przedtem zaproszeni”, jak nakazywałaby zwykła grzeczność.

Towarzystwo nowojorskie było w owych czasach niezbyt liczne i każdy (włączając przedsiębiorców wynajmujących konne pojazdy, lokai i kucharzy) dobrze był poinformowany, którego wieczoru kto jest wolny. W taki to sposób odbiorcom zaproszeń pani Lovellowej Mingott nadarzyła się sposobność, żeby z czystym okrucieństwem i zdecydowaniem pokazać, jak bardzo nie życzą sobie spotkań z hrabiną Olenską.

Uderzenie było niespodziewane. Ale Mingottowie, jak zwykle, przyjęli je z godnością. Pani Lovellowa Mingott zwierzyła tę sprawę pani Welland, a ta z kolei przekazała ją Newlandowi Archerowi, który oburzony na tę zniewagę zwrócił się porywczo i autorytatywnie do swojej matki. Pani Archer, po bolesnym okresie wewnętrznych niepokojów i zewnętrznym pozornym dostosowaniu się do zaistniałej sytuacji, uległa jego prośbom (jak zawsze zresztą) i natychmiast, oddając się jego sprawom z energią podwojoną na skutek swoich poprzednich wahań, nałożyła szary aksamitny czepeczek i powiedziała: - Idę zobaczyć się z Louisą van der Luyden.

Nowy Jork w czasach Newlanda Archera był małą śliską piramidą, w której, jak dotąd, trudno było zrobić szczelinę lub wylom. U jej podnóża leżał twardy fundament, który pani Archer nazywała „pospółstwem” ; uczciwa, lecz nieznaczną większość poważnych rodzin, które (jak w przypadku Spicerów czy Leffertsów albo Jacksonów) wspięły się wyżej przez małżeństwo z kimś spośród panujących klanów. Ludzie, jak zawsze powiadała pani Archer, nie są tak wybredni, jak powinni być. Mając do tego starą Katarzynę Spicer rządzącą na jednym końcu Piątej Alei i Juliusza Beauforta - na drugim, nie należy się spodziewać, by zbyt długo przetrwały stare tradycje.

To bogate, choć niepozorne podłoże zwężało się ku górze, i tam właśnie zajmowała miejsce zwarta i dominująca grupa, której aktywnymi przedstawicielami byli Mingottowie, Newlandowie, Chiversowie i Mansonowie.

Większość ludzi wyobrażała ich sobie na wierzchołku piramidy, lecz oni sami (przynajmniej ci z pokolenia pani Archer) zdawali sobie sprawę, że w oczach zawodowego genealoga zaledwie garsteczka rodzin godna byłaby dostąpić tego zaszczytu.

- Nie powtarzajcie mi - pani Archer powiadała do swoich dzieci - tych wszystkich bzdur, jakie piszą w gazetach na temat nowojorskiej arystokracji. Jeżeli istnieje takowa, to ani Newlandowie, ani Chiversowie do niej nie należą. Nasi dziadowie i pradziadowie to po prostu szanowani angielscy lub duńscy kupcy, którzy przybyli do kolonii, by zrobić fortunę, i osiedlili się tutaj, ponieważ doskonale im się powiodło. Jeden z waszych pradziadów podpisał Deklarację Niepodległości, a inny był generałem w armii Washingtona i w bitwie pod Saratogą otrzymał szablę generała Burgoyne'a.

Oto, z czego należy być dumnym, a przecież nie mieli oni nic wspólnego z rangą i klasą społeczną. Nowy Jork był zawsze handlową społecznością i może znalazłyby się ze trzy rodziny, które mogłyby się poszczycić arystokratycznym pochodzeniem w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Pani Archer, je syn i córka, jak zresztą wszyscy w Nowym Jorku, wiedzieli, kto są ci uprzywilejowani: Dagonetowie z Washington Square, pochodzący ze starej angielskiej ziemiańskiej rodziny skoligaconej z Pittami i Foxami; Lanningowie, którzy pożenili się z

potomkami hrabiego de Grasse, i van der Luydenowie wywodzący się bezpośrednio od pierwszego duńskiego gubernatora Manhattanu i spokrewnieni poprzez małżeństwa jeszcze sprzed rewolucji z kilkoma przedstawicielami francuskiej i angielskiej arystokracji.

Ród Lanningów przetrwał w osobach dwóch bardzo wiekowych, lecz żywotnych panien Lanning, które żyły sobie pełne pogody, wspominając przeszłość pośród rodzinnych portretów i stylowych mebli. Dagonetowie stanowili znaczny klan, skoligacony z najznakomitszymi nazwiskami z Baltimore i Filadelfii. Ale van der Luydenowie, którzy stali ponad nimi wszystkimi, zniknęli w pozaziemskim mroku, z którego wyłaniały się w pełni swego dostojęstwa tylko dwie osoby pan Henry van der Luyden i jego małżonka.

Pani van der Luyden była z domu Dagonet, a jej matka była wnuczką pułkownika du Lac, ze starej rodziny z Channel Island, który walczył pod dowództwem Cornwallisa i po wojnie osiedlił się w Marylandzie wraz z młodziutką żoną, lady Angeliką Trevenna, piątą córką księcia St. Austrey.

Związek pomiędzy Dagonetami a du Lacami z Marylandu i ich arystokratycznymi kornwalijskimi krewnymi, Trevennami, pozostał na zawsze bliski i serdeczny.

Państwo van der Luyden niejednokrotnie składali dłuższe wizyty obecnej głowie domu Trevennow, księciu St. Austrey, w jego wiejskiej rezydencji w Kornwalii i w St. Austrey w Gloucestershire, a jego wysokość za każdym razem zapewniał, że ma zamiar któregoś dnia ich rewizytować (bez księżnej, którą przerażał Atlantyck).

Państwo van der Luyden dzielili swój czas pomiędzy Trevennow, ich dom w Marylandzie i Skuytercliff, wielką posiadłość nad Hudsonem, nadaną w czasach kolonialnych pierwszemu sławnemu gubernatorowi, której w dalszym ciągu państwo van der Luyden byli „władcami”. Ich obszerny majestatyczny dom na Madison Square rzadko bywał otwarty, a kiedy zjeżdżali do miasta, przyjmowali w nim tylko swoich najbliższych przyjaciół.

- Pragnęłabym, żebyś ze mną pojechał, Newlandzie - powiedziała jego matka, zatrzymując się nagle w drzwiczkach karety. - Louisa cię lubi.

Oczywiście robię ten krok ze względu na drogą May... a także dlatego, że jeżeli

nie będziemy się trzymać razem, przestanie istnieć życie towarzyskie.

VII

Pani van der Luyden przysłuchiwała się w milczeniu opowiadaniu swej kuzynki, pani Archer.

Już przy pierwszym spotkaniu można było stwierdzić, że pani van der Luyden jest zawsze milcząca i że chociaż pełna rezerwy z usposobienia i wychowania, okazywała wielką uprzejmość osobom, które naprawdę lubiła.

Nawet bezpośrednie zetknięcie się z tą uprzejmością nie zawsze chroniło człowieka przed zimnem spływającym z wysoko sklepionego, biało malowanego salonu przy Madison Avenue, z fotelami krytymi jasnym brokatem, oczywiście odsłoniętymi na tę okazję, i ornamentami nad kominkiem wykonanymi z imitacji złota, ciągle jeszcze za osłoną z cieniutkiej gazy, oraz śliczną starą ozdobną ramą z portretem „Lady Angeliki du Lac” pędzla Gainsborougha.

Portret pani van der Luyden malowany przez Huntingtona (w czarnych aksamitach i weneckiej opasce na głowie) spoglądał na swoją śliczną prababkę. Uznano go powszechnie za „równie świetny jak portrety Cabanela” i chociaż upłynęło już dwadzieścia lat od czasu jego wykonania, ciągle stanowił „doskonałe podobieństwo”. Rzeczywiście pani van der Luyden, która siedziała pod nim przysłuchując się pani Archer, mogła uchodzić za bliźniaczą siostrę ładnej i wciąż jeszcze młodej kobiety, zagłębionej w złożonym fotelu na tle zielonej rypsowej zasłony. Pani van der Luyden ciągle jeszcze nosiła czarną welurową suknię i wenecką opaskę, gdy pojawiała się w towarzystwie - czy raczej (odkąd przestała bywać na proszonych obiadach) kiedy otwierała pokoje, by przyjmować u siebie. Jej piękne włosy, które wyblakły, ale nie posiwały, w dalszym ciągu były gładko uczesane i przedzielone pośrodku tworząc dwie fale na czole, a prosty nos, między bladoniebieskimi oczyma, troszkę może był wydatniejszy, niż wtedy, gdy malowano portret. Rzeczywiście zawsze zaskakiwała Newlanda tym, że przebywając w pozbawionej powietrza atmosferze nienagannej egzystencji, przetrwała niczym ciała ludzi znalezionych w wiecznych lodach, które przez lata zachowały niezmienny wygląd.

Podobnie jak cała rodzina, Archer szanował i podziwiał panią van der Luyden.

Uważał jednak, że łagodna, niezmienna słodycz jest mniej przystępna aniżeli surowość niektórych starych ciotek jego matki, zagorzałych starych panien, które z zasady mówiły „Nie”, nim jeszcze usłyszały pytanie. Z zachowania pani van der Luyden nie wynikało ani tak, ani nie, lecz zawsze zdawała się je cechować łagodność, póki jej wargi, drgnąwszy w leciutkim uśmiechu, nie wyraziły prawie niezmiennej odpowiedzi: „Najpierw muszę to omówić z moim mężem”.

Ona i jej mąż byli tak bardzo do siebie podobni, że Archer często dziwił się, iż po czterdziestu latach współżycia, te dwie tak identyczne osoby mogą różnić się jeszcze choćby w tak kontrowersyjnej kwestii jak omawianie.

A ponieważ nikt dotąd nie otrzymał decyzji bez zwołania tego tajemniczego konklawe, pani Archer i jej syn, wyłożywszy swoją sprawę, czekali z rezygnacją na znajomą formułę.

Jednakże pani van der Luyden, która rzadko czymś ludzi zadziwiała, tym razem zaskoczyła ich wyciągnąwszy swą wąską dłoń w stronę sznura od dzwonka.

- Wolałabym - powiedziała - żeby Henry posłuchał tego, co mnie opowiedziałaś.

Ukazał się służący, któremu poleciła z powagą:

- Jeśli pan van der Luydan skończył czytać gazetę, proszę go poprosić, by zechciał uprzejmie tu się pofatygować.

Powiedziała „czytać gazetę”, takim tonem, jak żona ministra oznajmiająca:

„Mój mąż właśnie przewodniczy spotkaniu gabinetu” - nie z powodu zarozumiałości, ale dlatego, że na skutek długoletniego zwyczaju, a także stosunku przyjaciół i krewnych, uważała każdy najmniejszy gest ze strony męża za sprawę wyjątkowej wagi.

Jej szybkość działania wskazywała na to, że uznała tę kwestię za równie niecierpiącą zwłoki jak pani Archer. Lecz by nie zostać posądzoną, iż nie stać jej na uprzejmość, dodała z najśłodszy spojrzeniem:

- Henry zawsze tak się cieszy, jak może cię widzieć, droga Adelino. Poza tym pragnie pogratulować Newlandowi...

Podwójne drzwi otworzyły się uroczyście i stanął w nich pan Henry van der

Luyden, wysoki, szczupły, w surducie, z pięknymi spleśniałymi włosami, prostym nosem jak u żony i takim samym spojrzeniem zamrożonej uprzejmości w oczach, które miały kolor jasnoszary, a nie bladoniebieski.

Pan van der Luyden powitał panią Archer z kuzynowską uprzejmością, składając Newlandowi gratulacje głosem o niskim brzmieniu, wyrażone tymi samymi słowami co jego żona, i zasiadł w brokacie krytym fotelu ze swobodą panującego władcy.

- Skończyłem akurat czytać „Timesa” - złożył razem opuszki palców. - Mam tak zajęte ranki w mieście, że dogodniej mi czytać gazetę zaraz po śniadaniu.

- Ach, można by wiele powiedzieć na temat takiego rozplanowania czasu...

Wuj Egmont zwykł był mawiać, że mniej podniecające jest czytanie porannych gazet dopiero po obiedzie - pośpieszyła z odpowiedzią pani Archer.

- Tak, mój zacny ojciec nie znosił pośpiechu. Ale obecnie żyjemy w ustawicznym pośpiechu - rzekł pan van der Luyden statecznym tonem, rozglądając się z miłym spokojem po obszernym, jakby spowitym całunem salonie, który Archerowi wydał się tak samo pozbawiony polotu, jak jego właściciele.

- Ale mam nadzieję, Henry, że skończyłeś czytanie? - wtrąciła jego żona.

- Właśnie akurat skończyłem - zapewnił ją, - A więc chciałabym, żeby ci Adelina opowiedziała...

- Och, w zasadzie jest to opowieść Newlanda - odrzekła jego matka z uśmiechem i zabrała się do powtórzenia po raz drugi strasznej opowieści o afroncie, jaki spotkał panią Lovellową Mingott.

- Oczywiście - zakończyła - Augusta Welland i Mary Mingott uznały, zwłaszcza wobec zaręczyn Newlanda, że przede wszystkim ty i Henry powinniście się o tym dowiedzieć.

- Och! - Pan van der Luyden zaczerpnął głęboko powietrza.

Zapanowała cisza, w której tykanie olbrzymiego pozłacanego zegara, stojącego na marmurowym gzymsie kominka, rozlegało się tak głośno jak wystrzały armatnie. Archer spoglądał z szacunkiem na dwie szczupłe, wyblakłe postacie siedzące obok siebie, pełne jakiejś królewskiej surowości - rzecznicy dawnego odziedziczonego po

przodkach autorytetu, zmuszeni przez los do dzierżenia władzy, gdy tymczasem o wiele bardziej woleliby żyć skromnie i w spokoju, wykopywać niewidoczne chwasty z idealnie utrzymanych trawników w Skuytercliff lub wieczorami układać razem pasjansy.

Pan van der Luyden pierwszy przerwał milczenie.

- Naprawdę uważasz, że to na skutek jakiejś... jakiejś zamierzonej interwencji ze strony Lawrence'a Lefferts'a? - zwrócił się z tym pytaniem do Archera.

- Jestem tego pewien, proszę pana. Ostatnio Lawry posuwa się chyba trochę dalej niż zwykle... jeśli kuzynka Louisa nie ma nic przeciwko temu, że o tym wspomnę... utrzymując dość poważny romans z żoną pocztynioną w ich wiosce czy z kimś w tym rodzaju. Ilekroć biedna Gertruda zaczyna się czegoś domyślać, a on obawia się zdemaskowania, wywołuje natychmiast jakieś zamieszanie, by pokazać, jaki to on moralny, i głośno wykrzykuje, że to impertynencja zapraszać jego żonę na spotkanie z osobami, z którymi nie życzy sobie, by utrzymywała znajomość. On po prostu używa Madame Olenskiej jako piorunochronu. Byłem świadkiem, jak niejednokrotnie już próbował tej samej sztuczki.

- Ci Leffertsowie! - powiedział pan van der Luyden.

- Ci Leffertsowie! - zawtórowała mu pani Archer. - Co by powiedział wuj Egmont na to wypowiedzanie się Lefferts'a o czyjejsz pozycji społecznej? To tylko pokazuje, do czego sprowadza się życie towarzyskie.

- Miejmy nadzieję, że całkiem do tego nie dojdzie - powiedział pan van der Luyden surowo.

- Ach, gdybyście tylko ty i Louisa więcej się udzielali! - westchnęła pani Archer.

Lecz natychmiast zdała sobie sprawę z popełnionej gafy. Van der Luydenowie byli wprost chorobliwie drażliwi na jakiegokolwiek słowa krytyki co do ich życia w odosobnieniu. Byli arbitrami mody, ostatniego sądu apelacyjnego i w pełni odpowiedzialni, za co dziękowała losowi. Lecz należąc do osób nieśmiałych i nie lubiących rozgłosu, i do tego pozbawieni jakichkolwiek naturalnych skłonności w tym kierunku, w miarę swych możliwości starali się przebywać jak najdłużej w wiejskim zaciszu Skuytercliff, a kiedy zjeżdżali do miasta, uchylali się od wszelkich zaproszeń tłumacząc to słabym zdrowiem

pani van der Luyden.

Newland przyszedł matce w sukurs.

- Każdy w Nowym Jorku wie, co pan i kuzynka Louisa sobą reprezentujecie.

Dlatego właśnie pani Mingott uznała, że nie powinna pozwolić na przemilczenie takiego lekceważenia hrabiny Olenskiej, nie skonsultowawszy się przedtem z państwem.

Pani van der Luyden spojrzała na męża, a on na nią.

- Nie mogę nie pochwalać takie zasady - powiedział pan van der Luyden. - Tak długo jak członek znanej rodziny jest przez tę rodzinę popierany, powinno być to uszanowane, bezapelacyjnie.

- Tak samo i mnie się wydaje - rzekła jego żona, jakby wyrażała jakąś nową opinię.

- Nie miałem pojęcia - ciągnął dalej pan van der Luyden - że sprawy tak daleko się posunęły - przerwał i znów popatrzył na żonę. - Przyszło mi na myśl, że hrabina Olenska jest przecież jakąś kuzynką... poprzez pierwszego męża Medory Manson. W każdym razie będzie, jak Newland się ożeni. - Zwrócił się w stronę młodego człowieka. - Czytałeś porannego „Timesa” ?

- Tak, oczywiście, proszę pana - powiedział Newland, który zwykle przerzucał tylko gazety podczas porannej kawy.

Mąż i żona popatrzyli ponownie na siebie. Ich blade oczy skrzyżowały się porozumiewawczo w przeciągłym i poważnym spojrzeniu. Po chwili na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Najwyraźniej zroszumiała i wyraziła zgodę.

Pan van der Luyden zwrócił się do pani Archer.

- Jeśli Louisie zdrowie pozwoli na złożenie wizyty... pragnąłbym, żebyś powiedziała pani Lovellowej Mingott... że ona i ja bylibyśmy szczęśliwi mogąc wypełnić miejsce Lawrence'ów Leffertsów przy jej obiadowym stole. - Umilkł, by ironia zawarta w tym zdaniu mogła zostać należycie oceniona. - Ale jak wiesz, jest to niemożliwe. - Pani Archer wydała z siebie współczujące westchnienie. - Jednakże Newland mówił mi, że czytał porannego „Timesa”. Z pewnością zauważył wzmiankę, że kuzyn Louisy, książe St.

Austrey, przypląwa w przyszłym tygodniu na „Rosji”. Przybywa, by zobaczyć swój nowy żaglowiec „Guinevere”, na którym przyszłego lata będzie brał udział w Międzynarodowych Fregatach, a poza tym, żeby sobie trochę popolować na dzikie kaczki w Trevennie. - Pan van der Luyden znów zamilkł, po czym podjął z wzrastającą życzliwością: - Nim zabierzemy go do Marylandu, zaprosimy kilku przyjaciół, żeby się tu z nim spotkali na skromnym obiedzie... a potem na przyjęciu. Jestem pewien, że Louisa byłaby równie zadowolona jak ja, gdyby hrabina Olenska pozwoliła zaliczyć również siebie do grona naszych gości. - Podniósł się, pochylił swą wysoką postać ze sztuczną uprzejmością w kierunku kuzynki i dodał:

- Sądzę, że mam przyzwolenie Louisy na to, by powiedzieć, że ona sama, kiedy wyjdzie niebawem na miasto, zostawi zaproszenie na obiad z naszymi bilecikami wizytowymi... oczywiście z bilecikami...

Pani Archer, która zrozumiała, iż jest to znak, że siedemnastoletnie kasztanki, którym nigdy nie pozwalano długo czekać, stoją przed drzwiami, podniosła się z pośpiechem, mamrocząc podziękowania. Pani van der Luyden skinęła jej głową z uśmiechem Estery wstawiającej się u Ahaswerusa. Ale jej mążonek podniósł rękę w geście pełnym protestu.

- Nie masz mi za co dziękować, droga Adelino, naprawdę. Taka historia nie powinna się była w ogóle zdarzyć w Nowym Jorku. I nie zdarzy się więcej, przynajmniej dopóki ja mogę mieć na to wpływ wypowiedział to z władcą wielkodusznością odprowadzając swych kuzynów do drzwi.

W dwie godziny później wszyscy już wiedzieli, że wielki powóz, w którym pani van der Luyden zażywała powietrza o każdej porze roku, był widziany przed domem starej pani Mingott, gdzie zostawiono dużą kwadratową kopertę.

Tego samego wieczoru w Operze pan Sillerton Jackson mógł stwierdzić, że koperta zawierała bilecik zapraszający hrabinę Olenską na obiad, który van der Luydenowie wydawali w przyszłym tygodniu z okazji przyjazdu ich kuzyna, księcia St. Austrey.

Kilku młodych mężczyzn w klubowej łoży wymieniło uśmiechy na tę wiadomość i

zerknęło na Lawrence'a Leffertsza, który siedział niedbale rozparty w pierwszym rzędzie, gładząc długie, piękne wąsy i gdy umilkł sopran, zauważył autorytatywnie:

- Nikt inny, tylko Patti powinna popробować zaśpiewać Lunatyczkę.

VIII

W Nowym Jorku wszyscy byli zgodni, że hrabina Olenska „straciła na urodzie”.

Po raz pierwszy zjawiała się tutaj, jeszcze kiedy Newland był chłopcem, jako wybitnie uzdolniona, śliczna, dziewięć czy dziesięcioletnia dziewczynka, o jakich się powiada, że „są jak stworzone do portretowania”.

Jej rodzice należeli do wiecznych podróżników po Kontynencie i już we wczesnym dzieciństwie obfitującym w podróże straciła ich oboje, po czym wzięła ją na wychowanie ciotka, Medora Manson, również wieczna podróżniczka, która powróciła do Nowego Jorku, by tu „osiąść”.

Biedna Medora, kilkakrotnie owdowiawszy, zawsze wracała do domu, by już osiąść na stałe (za każdym razem w coraz mniej okazałym domu), i przywoziła z sobą nowego męża lub adoptowane dziecko. Lecz po kilku miesiącach niezmiennie opuszczała małżonka lub kłóciła się ze swym pupilem, aż wreszcie pozbywszy się domu ze stratą, ruszała znów w świat. Ponieważ matka jej była z domu Rushworth, a przez ostatnie małżeństwo związała się z tymi zbzikowanymi Chiversami, Nowy Jork spoglądał pobłażliwie na jej ekstrawagancje. Jednakże kiedy wróciła ze swą osieroconą siostrzeniczką, której rodzice byli powszechnie znani, a to ze względu na swe godne pożałowania skłonności do podróżowania, wszyscy ubolewali, że takie urocze dziecko będzie w takich rękach.

Każdy czuł się w obowiązku, żeby być miły dla małej Ellen Mingott, chociaż rumiane policzki i bujne kędziory nadawały jej wesoły wygląd, raczej niestosowny u dziecka, które powinno jeszcze nosić żałobę po rodzicach. Była to jedna z wielu przekornych skłonności Medory do wykpiwania niezmiennych praw, które ustalają w Ameryce czasokres żałoby, i kiedy zstępowała po trapie parowca, jej rodzina niepomrotnie się zgorszyła widząc, że krepowy welon, jaki nosiła po śmierci rodzonego brata, był siedem cali krótszy niż u jej bratowych, zaś mała Ellen miała na sobie karmazynowy sweter, a na szyi sznur bursztynów, niczym cygański podrzutek.

Niemniej Nowy Jork od dawna już pogodził się z Medorą, tak że zaledwie kilka starszych dam kiwało głowami nad krzykliwym strojem Ellen, podczas gdy inni krewni

ulegli czarowi jej rumianej buzi i wesołemu usposobieniu.

Była bowiem nieustraszonym, bezceremonialnym stworzonkiem, które zadawało ambarasujące pytania, czyniło zaskakujące uwagi nad wiek rozwiniętego dziecka i posiadało zadziwiające artystyczne talenty, takie jak taniec hiszpański z szalem i śpiewanie neapolitańskich piosenek miłosnych przy akompaniamencie gitary. Pod kierunkiem swej ciotki (której prawdziwe nazwisko brzmiało pani Thorleyowa Chivers, ale która otrzymawszy zgodę papieską, przybrała z powrotem patronimik swego pierwszego męża i nazwała się markizą Manson, ponieważ we Włoszech mogła zmieniać je na Manzoni) miała dziewczynka otrzymała kosztowne, lecz dosyć chaotyczne wykształcenie, które zawierało „malowanie przy udziale modela”, rzecz, o której nigdy dotąd nikomu się nie śniło, jak również grę na fortepianie w kwintetach z zawodowymi muzykami.

Oczywiście nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć i kiedy w kilka lat później biedny Chivers wreszcie zakończył życie w zakładzie dla umysłowo chorych, wdowa po nim (spowita w cudaczną krepę) znów sprzedała mieszkanie i wyjechała z Ellen, która wyrosła na wysokiego, chudego podlotka z fascynującymi oczyma. Na pewien czas słuch o nich zaginął. Potem nadeszły wiadomości o małżeństwie Ellen z szalenie bogatym polskim arystokratą cieszącym się legendarną sławą, którego Ellen spotkała na balu w Tuileries i o którym mówiono, że ma książęce apanaże w Paryżu, Nicei i Florencji, jacht w Cowes i rozległe tereny łowieckie w Siedmiogrodzie.

Zniknęła niby w apoteozie i kiedy w kilka lat potem Medora powróciła znów do Nowego Jorku, przyciszona, zubożała, oplakująca swego trzeciego męża, i poszukiwała mniejszego domu, dziwiono się, że jej bogata bratanica nie pośpiesza jej z pomocą. Wreszcie nadeszły wieści, że małżeństwo Ellen zakończyło się klęską i że ona sama powraca do domu, by szukać odpoczynku i zapomnienia pośród swoich krewnych.

Takie myśli przebiegały przez głowę Newlanda tydzień później, gdy obserwował hrabinę Olenską, wchodzącą do salonu van der Luydenów w wieczór uroczystego obiadu. Chwila była podniosła i zastanawiał się nerwowo, jak też ona zdoła to udźwignąć. Przybyła trochę później, na jednym ręku nie miała rękawiczki, tylko bransoletkę na przegubie. Weszła bez oznak pośpiechu czy zakłopotania do salonu, w

którym zebrała się sama śmietanka towarzyska Nowego Jorku.

Zatrzymała się pośrodku pokoju, rozejrzała poważnie, lecz oczy jej były roześmiane; i w tym momencie; Newland wydał bezapelacyjną opinię o jej wyglądzie. To prawda, że jej dawna promiennność przeminęła. Rumiane policzki pobladły; była szczupła, zmarnowana, wyglądała staro na swoje lata, a zbliżała się już do trzydziestki. Lecz promieniało z niej jakieś tajemnicze, pełne powagi piękno, pewność siebie, z jaką trzymała głowę, spojrzenie, które, całkowicie pozbawione teatralności, uderzyło go jako świetnie wystudiowane i świadome swojej siły. Jej zachowanie było naturalniejsze niż większości obecnych dam i wiele osób (jak potem słyszał od Janey) odczuło zawód, że jej ukazanie się nie było bardziej „stylowe” - jako że w Nowym Jorku przede wszystkim ceniono stylowość.

Najprawdopodobniej, zastanawiał się Archer, przyczyną tego była utrata jej dawnej żywości. Była spokojna - spokojna w ruchach, w sposobie wyrażania się i w tonie nisko brzmiącego głosu. Nowy Jork spodziewał się, że młoda kobieta z taką przeszłością wywoła znacznie większy rozgłos.

Obiad nie należał do łatwych obowiązków. Obiadowanie z van der Luydenami było zadaniem raczej niełatwym - a do tego jeszcze z księciem, który był ich kuzynem - i urastało niemal do religijnego obrzędu. Archera bawiła myśl, że tylko stary nowojorczyk mógł dostrzec subtelną różnicę (dla Nowego Jorku) pomiędzy byciem jedynie księciem a byciem księciem van der Luydenów.

Nowy Jork przyjmował zbląkanymi szlachetnie urodzonych ze spokojem, a nawet (wyłączając przypadek Struthersów) z pewnym niedowierzającym hauteur. A jeśli legitymowali się takimi listami uwierzytelniającymi jak te, byli podejmowani ze staroświecką gościnnością i mylili by się wielce, przypisując ją wyłącznie swojej pozycji w Debrett. Była ona przeznaczona dla znakomitości i młody człowiek miłował swój stary Nowy Jork, nawet gdy się z tego podśmiewał.

Van der Luydenowie ze swej strony zrobili wszystko, by podkreślić ważność uroczystości. Wydostano sewską porcelanę du Laców i patery z czasów panowania Jerzego II, należące do Trevennów; była również van der Luydenów porcelana

„Lowestoft” (z Kompanii Wschodnioindyjskiej) i Dagonetów „Crown Derby”. Pani van der Luyden bardziej niż kiedykolwiek przypominała portret Cabanela, a pani Archer w perłach i szmaragdach swojej babki przywodziła swemu synowi na myśl miniaturę Isabeya. Wszystkie damy miały na sobie najpiękniejszą biżuterię, lecz zgodnie ze specyfiką tego domu, jak i ze względu na okazję większość biżuterii była raczej w ciężkiej staromodnej oprawie. A stara panna Lanning, którą namówiono do przyjścia, przypięła nawet kameę swojej matki i zarzuciła na ramiona jasny szal hiszpański.

Hrabina Olenska była jedyną młodą kobietą zaproszoną na obiad. A kiedy tak Archer przebiegał uważnie wzrokiem gładkie, pulchne, podstarzałe twarze wśród diamentowych naszyjników i wysokich strusich piór, uderzyła go ich śmieszna niedojrzałość w porównaniu z jej twarzą. Napawała go przerażeniem myśl, co się stało z jej fascynującymi oczyma.

Książę Austrey, który siedział po prawej stronie gospodyni, był oczywiście głównym bohaterem wieczoru. W każdym razie, jeśli hrabina Olenska mniej rzucała się w oczy niż po niej oczekiwano, to księcia należało uznać za prawie niewidocznego. Jako człowiek dobrze wychowany nie zjawił się (jak inny książęcy gość) na obiedzie w kurtce myśliwskiej.

Jednakże jego smoking był wytarty i workowaty, a ponieważ nosił go jak zwyczajny strój domowy (siedząc jak zawsze zgarbiony, z okazałą brodą spływającą na gors koszuli), nie sprawiał wrażenia, że jest ubrany wizytowo. Krępy, miał krągłe ramiona, twarz ogorzałą od słońca, mięsisty nos, małe oczka i szeroki uśmiech. Rzadko się odzywał, a kiedy już to robił, to tak cichutko, że, zawdzięczając tylko częstym chwilom milczenia brzemiennej oczekiwaniem, jego uwagi mogli słyszeć wyłącznie najbliżsi sąsiedzi.

Kiedy po obiedzie panowie przyłączyli się do pań, książę podszedł prosto do hrabiny Olenskiej; usiedli w kątku i pograżyli się w ożywionej rozmowie. Zdawali się być całkowicie nieświadomi, że książę powinien najpierw złożyć swoje uszanowanie pani Lovellowej Mingott i pani Headly'owej Chivers, a hrabinie wypada porozmawiać z tym miłym hipochondrykiem, panem Urbanem Dagonet z Washington Square, który dlatego,

by mieć przyjemność spotkać się z nią, złamał swój ustalony zwyczaj niejadania obiadów poza domem od stycznia do kwietnia. Tymczasem tych dwoje rozmawiało sobie przez blisko dwadzieścia minut, po czym hrabina podniosła się i przeszedłszy przez całą szerokość salonu usiadła przy boku Newlanda Archera.

W salonach Nowego Jorku nie było zwyczaju, by dama, skończywszy rozmowę z jednym dżentelmenem, natychmiast udawała się w poszukiwaniu towarzystwa drugiego. Etykieta wymagała, żeby ona czekała, nieugięta niczym bogini, gdy tymczasem mężczyźni, którzy mają życzenie z nią konwersować, zmieniali się kolejno przy jej boku. Lecz hrabina była najwidoczniej nieświadoma tego, że łamie jakieś prawo; siedziała doskonale spokojna w rogu kanapy obok Archera i spoglądała na niego z wielką przychylnością.

- Chciałabym, żeby mi pan opowiedział o May - poprosiła.

Zamiast zastosować się do jej życzenia, spytał:

- Znała pani przedtem księcia?

- O, tak... widywaliśmy się każdej zimy w Nicei. Uwielbia hazard... często przychodził do domu gry. - Powiedziała to jak najbardziej naturalnie, jakby mówiła: „Uwielbia polne kwiaty”. Po chwili dodała szczerze: - Według mnie to najnudniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Tak to ucieszyło jej towarzysza, że zapomniał o lekkim szoku, o jaki przyprawiła go jej poprzednia uwaga. Było to bezsprzecznie podniecające spotkać damę, która uważa księcia van der Luydenów za nudziarza i ma odwagę wypowiedzieć swą opinię. Pragnął zapytać ją, dowiedzieć się czegoś o życiu, na temat którego jej swobodne, beztraskie słowa rzuciły tak konkretne światło. Jednakże obawiał się dotykać dręczących ją wspomnień i nim zdołał pomyśleć, co by tu powiedzieć, ona znów nawiązała do swego poprzedniego tematu.

- May jest cudowna. Nie widziałam w Nowym Jorku równie ładnej i inteligentnej młodej dziewczyny. Bardzo jest pan w niej zakochany?

Newland poczerwieniał i roześmiał się.

- Tak bardzo, jak tylko może być zakochany mężczyzna. Nie przestawała

obserwować go z powagą, jakby nie chciała uronić ani słowa z tego, co powiedział.

- Więc pan uważa, że jest jakaś granica?

- W zakochaniu? Jeżeli jest, ja tego nie zauważyłem.

Rozpromieniła się.

- Ach, jest to zatem rzeczywisty i prawdziwy romans?

- Najprawdziwszy z prawdziwych!

- Jakież to rozkoszne! I wynalazł pan to wszystko sam dla siebie... nikt panu ani troszkę nie pomagał?

Archer spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Czyżby pani zapomniała - spytał z uśmiechem - że w tym kraju nie pozwalamy, by małżeństwa były dla nas aranżowane?

Lekki rumieniec wypłynął na jej policzki i natychmiast pożałował swych słów.

- Tak - odparła - zapomniałam. Musi mi pan wybaczyć, jeśli czasem będę popełniała podobne błędy. Zawsze zapominam, że tutaj jest wszystko dobre to, co było... co było złe tam, skąd przyjechałam. - Opuściła wzrok na swój wiedeński wachlarz z orlich piór i spostrzegł, że drżą jej wargi.

- Tak mi przykro - powiedział żarliwie - wie pani przecież, że jest tutaj wśród przyjaciół.

- Tak, wiem. Gdziekolwiek idę, doświadczam tego. Dlatego wróciłam do domu. Chcę zapomnieć o tamtym wszystkim, by stać się znów prawdziwą Amerykanką, tak jak Mingottowie i Wellandowie, pan i pańska czarująca matka, i ci wszyscy dobrzy ludzie zebrani tutaj dzisiaj. O, otóż i May, a panu zapewne śpieszno, by ją powitać - dodała, lecz się nie poruszyła. Jej oczy powróciły od drzwi i spoczęły na twarzy młodego człowieka.

Salony zaczęły się zapełniać gośćmi, którzy mieli przyjść po obiedzie, i idąc teraz za wzrokiem Madame Olenskiej Archer zobaczył May wchodzącą wraz z matką. W swej białosrebrzystej sukni, z bukietem srebrzystych kwiatów we włosach, wysoka dziewczyna wyglądała jak Diana powracająca z łowów.

- Och - powiedział Archer - mam tak wielu rywali! Widzi pani, jest już obłąkana.

Właśnie przedstawiają jej księcia.

- Wobec tego, niech pan zostanie ze mną trochę dłużej - poprosiła cicho Madame Olenska, dotykając jego kolana swym puszystym wachlarzem. Było to zaledwie muśnięcie, lecz podziało na niego jak pieszczota.

- Oczywiście, że zostanę - odpowiedział tym samym tonem, nie bardzo zdając sobie sprawę, co mówi. Właśnie w tej chwili pojawił się pan van der Luyden, a za nim starszy pan Urban Dagonet. Hrabina powitała ich poważnym uśmiechem i Archer, czując na sobie pełne nagany spojrzenie gospodarza, podniósł się ustępując mu miejsca.

Madame Olenska wyciągnęła rękę jakby na pożegnanie.

- A więc jutro, po piątej, będę pana oczekiwać - powiedziała, po czym odwróciła się, by zrobić miejsce panu Dagonet.

- Jutro... - Archer usłyszał, że powtarza po niej, chociaż wcale go przedtem nie zapraszała, a podczas ich rozmowy nawet nie napomknęła, że życzy sobie jeszcze się z nim widzieć.

Gdy się oddalał, zobaczył Lawrence'a Lefferts'a, wysokiego, w całym swym blasku, prowadzącego żonę, by ją przedstawić. Usłyszał, jak Gertruda Lefferts, kłaniając się hrabinie, mówi z tym swoim szerokim, niezbyt mądrym uśmiechem:

- A jednak myślę, że chodziłyśmy razem do szkoły tańca, kiedy byłyśmy dziećmi.

Tuż za nią Archer zauważył kilka par opozycjonistów, którzy odmówili spotkania się z hrabiną u pani Lovellowej Mingott, a teraz czekali w kolejce, by ich jej przedstawiono.

Słusznie bowiem zauważyła pani Archer, że jak już van der Luydenowie się decydowali, to wiedzieli, jak dawać lekcję. Zdumiewające tylko, że tak rzadko się decydowali.

Młody człowiek poczuł na ramieniu dotknięcie i ujrzał panią van der Luyden spoglądającą na niego z góry, spośród pełnych dostojności czarnych aksamitów i rodzinnych klejnotów.

- Poczciwie z twojej strony, drogi Newlandzie, że tak bezinteresownie poświęciłeś się Madame Olenskiej. Powiedziałam twemu kuzynowi Henry'emu, żeby pośpieszył ci na

odsiecz.

Zdał sobie sprawę, że uśmiecha się do niej niewyraźnie, a ona, jakby przychylając się z łaskawością do jego naturalnego zmieszania, dodała:

- Nigdy jeszcze nie widziałam May wyglądającej tak uroczo. Księżę uważa, że jest najładniejszą z dziewcząt w tym salonie.

IX

Hrabina Olenska powiedziała „po piątej”, a o wpół do szóstej Newland zadzwonił do obdrapanego, pokrytego stiukiem domu, z ogromną wistarią przepychającą gałązki poprzez żelazne pręty balkonu. Dom ten wynajmowała od wiecznie tułającej się po świecie Medory daleko na Zachodniej Dwudziestej Trzeciej ulicy.

Niewątpliwie dziwna to była dzielnica, by tu zamieszkać. Drobni krawcy, wypychacze ptaków i „ludzie piszący” - to jej najbliżsi sąsiedzi. A dalej w dole tej zaniedbanej ulicy, na końcu brukowanej alejki, Archer rozpoznał zrujnowany drewniany dom, w którym mieszkał pisarz i dziennikarz nazwiskiem Winsett. Archer spotykał go od czasu do czasu i kiedyś ten wspominał mu, że właśnie tutaj mieszka. Winsett nie zapraszał nikogo do siebie, ale raz podczas nocnej przechadzki pokazał swój dom Archerowi, który, z lekka się wzdrygnawszy, zadał sobie wówczas pytanie, czy ludzie tak samo nędznie mieszkają w innych stolicach.

Mieszkanie Madame Olenskiej wyróżniało się jedynie tym, że ramy okienne były trochę lepiej pomalowane. Kiedy tak Archer lustrował skromny front domu, przemknęła mu przez głowę myśl, że hrabia musiał okraść ja nie tylko ze złudzeń, ale i z całej fortuny.

Młody człowiek miał niezbyt udany dzień. Jadł lunch z Wellandami, mając nadzieję, że potem zabierze May na spacer do parku. Chciał ją mieć dla siebie, powiedzieć jej, jak zachwycająco wyglądała wczoraj wieczorem i jaki był z niej dumny. Poza tym chciał ją nakłonić, by przyśpieszyła datę ślubu.

Jednakże pani Welland niewzruszenie przypomniała mu, że plan tury rodzinnych wizyt nie został nawet w połowie wykonany, a kiedy napomknął o wyznaczeniu terminu zaślubin, podniosła z wyrzutem brwi i wyszeptała:

- Wszystkiego po dwanaście tuzinów... ręczny haft...

Zapakowani w rodzinne lando toczyli się od jednych klanowych drzwi do następnych i gdy popołudniowa rundka dobiegła końca, Archer rozstał się ze swą narzeczoną mając uczucie, że pokazywano go niczym dzikie zwierzę, zręcznie schwyte w sidła. Przypuszczał, że to jego rozczytywanie się na temat antropologii nasunęło mu takie prostackie porównanie, a przecież ostatecznie było to tylko zwykłą i

naturalną demonstracją rodzinnych uczuć.

Ale gdy przypomniał sobie, że Wellandowie nie przewidują, by ślub miał mieć miejsce wcześniej niż dopiero jesienią, i wyobraził sobie, jak będzie wyglądało do tej pory jego życie, ogarnęło go przygnębienie.

- Jutro - zawołała za nim pani Welland - pojedziemy do Chiversów i Dallasów!

Archer zrozumiał, że ona odbywa dwie wizyty rodzinne w kolejności alfabetycznej i że w ten sposób znajdują się dopiero w pierwszej ćwiartce alfabetu.

Zamierzał powiedzieć May o zaproszeniu hrabiny Olenskiej - raczej rozkazie - że ma odwiedzić ją tego popołudnia; lecz w tych krótkich chwilach, kiedy byli sami, miał pilniejsze sprawy do omówienia. Poza tym wydało mu się lekkim absurdem, by robić jakieś aluzje na ten temat.

Wiedział, że May szczególnie zależało, by był uprzejmy dla jej kuzynki. Czy nie to właśnie życzenie przyśpieszyło ogłoszenie ich zaręczyn? Doznał dziwnego uczucia stwierdziwszy, że gdyby nie przyjazd hrabiny, mógł być nadal wolnym człowiekiem, a przynajmniej człowiekiem nie tak nieodwołalnie zobowiązanym. Lecz tak May sobie życzyła i poczuł się w jakiś sposób zwolniony od swych obowiązków - i wobec tego uznał, że może nie mówić jej o zaproszeniu kuzynki.

Gdy tak stał u progu domu Madame Olenskiej, dominowało w nim uczucie zaciekawienia. Był zaniepokojony tonem, jakim go wezwała. Doszedł do wniosku, że ona jest mniej naturalna, niż się wydaje.

Drzwi otworzyła mu śniada, z cudzoziemska wyglądająca dziewczyna o wydatnym biuście pod wesołą chustą. Nie wiedzieć czemu, wyobraził sobie, że musi być Sycylijką. Powitała go szerokim uśmiechem, pokazując białe zęby i odpowiadając mu na pytanie potrząśnięciem głową na znak, że nie rozumie.

Wprowadziła go przez wąski hall do niskiego salonu, w którym płonął na kominku ogień. Pokój był pusty i dziewczyna zostawiła go tu na czas nieokreślony; zastanawiał się, czy poszła szukać swojej pani, czy też nie pojęła, po co on tu się zjawił, i może myśli, że przyszedł nakręcić zegary - spostrzegł właśnie, że jedyny, jaki tu był, nie chodzi.

Wiedział, że południowcy porozumiewają się za pomocą języka pantomimicznego, i czuł

się upokorzony, że jej wzruszenie ramion i uśmiechy są dla niego absolutnie niezrozumiałe. Wreszcie wróciła z lampą. Archer, skleciwszy tymczasem zdanie z Dantego i Petrarcki, otrzymał na nie odpowiedź:

- La signora e fuori; ma verra subito - które sobie przetłumaczył:
„Wyszła... ale wkrótce ją pan zobaczy”.

Tymczasem w świetle lampy spostrzegł, że jakiś nieuchwytny, nikły czar spowija ten pokój, niepodobny do żadnego ze znanych mu dotychczas.

Wiedział, że hrabina Olenska zabrała ze sobą część swoich rzeczy - szczątki fortuny, jak je nazywała - i właśnie one, jak przypuszczał, były reprezentowane przez małe wysmukłe stoliczki z ciemnego drzewa, delikatne, greckie statuetki z brązu stojące na gzymsie kominka; bezbarwne tapety zostały przykryte czerwonym adamaszkiem, na którym wisiało kilka najwidoczniej włoskich obrazów, oprawnych w stare ramy.

Newland był dumny ze swojej wiedzy na temat malarstwa włoskiego. Jego lata chłopięce nasycone były Ruskinem, poza tym czytał wszystkie najnowsze książki Johna Addingtona Symonds'a; „Euphorion” Vernona Lee, eseje G.

Hamertona i uroczy nowy tom zatytułowany „Renesans” , pióra Waltera Patera.

Potrafił mówić wyczerpująco na temat Botticellego, o Fra Angelico wyrażał się z lekką protekcjonalnością. Lecz te obrazy oszołomiły go, ponieważ nie przypominały niczego, co zwykł był oglądać (i przez to widzieć), kiedy podróżował po Włoszech; z pewnością również jego siłę percepcji osłabiła szczególność sytuacji - że znalazł się w tym dziwnym, pustym domu, gdzie najwyraźniej nikt go nie oczekiwał. Przykro mu było, że nie powiedział May o zaproszeniu hrabiny, i niepokoiła go trochę myśl, że narzeczona mogłaby akurat przyjść w odwiedziny do kuzynki. Co by pomyślała, gdyby go tak zastała siedzącego tu w aurze intymności, jaką insynuowało to jego samotne czekanie przy kominku w półmroku damskiego pokoju.

Lecz skoro już przyszedł, to zamierzał czekać; zagłębił się w fotelu wyciągnawszy nogi w stronę polan płonących na palenisku.

Dziwne to było, żeby wezwać go w ten sposób, a potem zapomnieć o nim. Ale Archer czuł się bardziej zaciekawiony niż dotknięty. Atmosfera tego pokoju była tak inna

od jakiegokolwiek, którą dotąd wdychał, że zakłopotanie przerodziło się w poczucie przygody. Bywał już przedtem w salonach zawieszonych czerwonym adamaszkiem, z obrazami „szkoły włoskiej”. To, co go tutaj uderzyło, to sposób, w jaki ten obskurny, wynajęty dom Medory Manson, stojący wśród zwiędniętej trawy i statuetek Rogersa, za jednym dotknięciem ręki i umiejętnym rozmieszczeniem kilku przedmiotów, został przekształcony w coś tak intymnego, „cudzoziemskiego”, nieuchwytnie przypominającego romantyczne sceny i uczucia. Próbował analizować ten trik, znaleźć klucz w sposobie ustawienia foteli i stolików, w fakcie, że tylko dwie czerwone róże Generała Jacqueminot (których nikt nigdy nie kupował mniej niż tuzin) były wstawione do smukłej wazy stojącej koło niego, i w bliżej nieokreślonej ostrej woni perfum, których nie używa się do skrapiania chusteczek, a które przypominały raczej zapach jakiegoś odległego bazaru, zapach zmieszanej tureckiej kawy, ambry i wędnących róż.

Zadawał sobie w myśli pytanie, jak też mógłby wyglądać salon May. Wiadomo mu było, że pan Welland, który okazał się, bardzo szczodry”, miał już oko na nowo zbudowany dom w dzielnicy Wschodniej na Trzydziestej Dziewiątej ulicy. Był to dom wolno stojący, zbudowany z bladego zielonkawożółtego kamienia, jakiego zaczęli teraz używać młodzi architekci buntując się przeciwko czerwono - brązowemu piaskowcowi, którego uniformowa barwa pokryła Nowy Jork niczym sosem czekoladowym. Lecz położenie jego było doskonałe.

Archer wolałby, co prawda, podróżować, odłożyć sprawę domu na później.

Chociaż Wellandowie pochwalali dłuższy miesiąc miodowy w Europie (może nawet spędzenie zimy w Egipcie), jednakże byli niewzruszeni wobec konieczności przygotowania domu dla powracającej pary. Młody człowiek czuł, że jego los został przypieczętowany - przez resztę swego życia każdego wieczoru będzie wstępował na te zielonkawożółte schodki, otoczone żelazną balustradą, przechodził przez pompejański westybul do hallu wykładanego boazerią z politurowanego jasnego drzewa. Dalej jego wyobraźnia już nie sięgała. Wiedział, że salon na piętrze ma okno z wykuszem, lecz nie potrafił wyobrazić sobie, jak May go urządzi. Podała się radośnie fioletowym atlasom i żółtym ozdóbkom ze strzępiastych piór w salonie Wellandów, przywykła do stoliczków

imitujących Bühlowskie i złożonych serwantek pełnych saskiej porcelany. Nie widział powodu, żeby zechciała mieć coś innego w swoim własnym domu. Jego jedyną pociechę stanowiła myśl, że z pewnością pozwoli mu urządzić bibliotek, wedle jego gustu. Będzie ona oczywiście wyposażona w solidne meble z Eastlake, a proste, nowe szafy biblioteczne nie będą miały oszklonych drzwi.

Weszła dziewczyna z obfitym biustem, zaciągnęła zasłony, przesunęła polano na kominku i powiedziała pocieszająco:

- Verra... verra.

Gdy zniknęła za drzwiami, Archer podniósł się i zaczął spacerować po pokoju w tą i z powrotem. Czy ma czekać dłużej? Jego sytuacja stawała się co najmniej śmieszna. Może źle zrozumiał Madame Olenską, a może wcale go nie zapraszała?

Z dołu na kocich łbach cichej ulicy rozległ się stuk końskich kopyt; zatrzymały się przed domem i usłyszał otwieranie drzwi pojazdu. Odchyliwszy zasłony wyjrzał we wczesny zmierzch. Lampa uliczna zaświeciła mu w twarz i w jej świetle zobaczył płaską angielską karetę Juliusza Beauforta, zaprzęzoną w wielkiego deresza, z której wyłonił się bankier i pomagał wysiąść hrabinie.

Beaufort stał, z kapeluszem w ręce, i coś mówił, czemu jego towarzyszką zdawała się zaprzeczać; następnie podali sobie ręce i on wskoczył do powozu. Tymczasem hrabina wstępowała na schodki.

Kiedy weszła do pokoju, nie okazała zdziwienia na widok Archera.

Zdziwienie zdawało się należeć do uczuć, któremu się bardzo rzadko poddawała.

- Jak się panu podoba mój zabawny dom? - spytała. - Mnie tu jest jak w niebie.

Mówiąc to odwiązała malutki aksamitny czepeczek i rzuciwszy go razem z długim płaszczem, stała spoglądając na Archera zamyślonym wzrokiem.

- Urządziła go pani wspaniale! - wykrzyknął świadom, że słowa brzmią płasko, lecz powstrzymywały go konwenanse, mimo iż zżerała go chęć okazania się zwyczajnym, interesującym człowiekiem.

- Och, to ubożuchne mieszkanko. Moja rodzina pogardza nim. Ale mimo wszystko jest mniej ponure niż van der Luydenów.

Słowa te podziały na niego jak iskra elektryczna, ponieważ niewielu było takich śmiazków, którzy odważyliby się nazwać stateczny dom van der Luydenów ponurym. Ci uprzywilejowani, gdy przekraczali jego progi, drżeli i mówili o nim „ładny”. I nagle ucieszył się, że dała wyraz temu powszechnemu drżeniu.

- To rozkoszne, co pani tutaj zrobiła - powtórzył.

- Lubię ten domek - przyznała. - Ale przypuszczam, że największym szczęściem jest dla mnie przebywanie tutaj, we własnym kraju i we własnym mieście. A poza tym, że jestem tu sama. - Mówiła tak cicho, że z trudem dosłyszał ostatnie zdanie i w swojej niezręczności podjął ten temat.

- Pani tak bardzo lubi być sama?

- Tak. Tak długo, jak mi pozwalają na tę samotność moi przyjaciele. - Usiadła blisko kominka i powiedziała: - Nastazja zaraz przyniesie herbatę.

- Wskazała mu gestem, by powrócił na swój fotel, i dodała: - Widzę, że pan już obrał sobie miejsce.

Odchylając się do tyłu, założyła ręce pod głowę i wpatrywała się w ogień spod półprzymkniętych powiek.

- To pora, jaką najbardziej lubię, a pan?

Poczucie godności kazało mu odpowiedzieć:

- Zdaje się, iż zapomniała pani, która to godzina. Beaufort musiał być bardzo absorbujący...

Wyglądała na rozbawioną.

- Doprawdy... długo pan czekał? Pan Beaufort zabrał mnie, żeby obejrzeć niezliczoną ilość domów... jako że, zdaje się, w tym nie będzie mi wolno pozostać. - Sprawiała wrażenie, jakby zapomniała o nich obydwu, o Beauforcie i o nim, i ciągnęła dalej:

- Nigdy jeszcze nie byłam w takim mieście, gdzieby panowała taka opinia o mieszkaniu w des quartiers excentriques. Co za różnica, gdzie kto mieszka?

Powiedziano mi, że ulica ta jest przyzwoita.

- Ale nie jest modna.

- Modna! Czy rzeczywiście wszyscy tak bardzo o tym myślicie? Czemu wobec tego nie stworzyć swojej własnej mody? Może ja prowadziłam życie zbyt niezależne. W każdym razie pragnę robić to, co wszyscy... chcę czuć się bezpieczna i mieć poczucie, że się o mnie troszczą...

Był poruszony, podobnie jak poprzedniego wieczoru, kiedy mówiła o potrzebie kierowania sobą.

- Pani przyjaciele pragną tego. Nowy Jork to przerażająco spokojne miasto - dodał z nutką sarkazmu.

- O, tak, nieprawdaż? Każdy to czuje! - wykrzyknęła, nie dostrzegłszy kpiny. - Być tutaj to jak... jak przebywać na wakacjach, za to, że się jest grzeczną dziewczynką i odrobiło wszystkie zadane lekcje.

Analogia była bardzo trafna, ale jego zupełnie nie zadowoliła. Sam chętnie przejawiał nonszalancki stosunek wobec Nowego Jorku, lecz nie lubił słuchać, gdy ktoś inny przybierał ten sam ton. Zastanawiał się, czy jeszcze nie dostrzegła, jak potężna jest to machina i jak niedługo ją zgniecie.

Obiad u Mingottów, który wywołał in extremis towarzyskie nieporozumienie, powinien nauczyć ją, jak ograniczone ma możliwości ucieczki. Jednakże albo ona nie zdawała sobie absolutnie sprawy, że stąpa na skraju przepaści, albo też zatraciła świadomość tego odnosząc triumf owego wieczoru u van der Luydenów. Archer skłaniał się ku temu pierwszemu przypuszczeniu, uważając, że jej Nowy Jork jest w dalszym ciągu zupełnie niezmienny, i to go uspokoiło.

- Wczorajszego wieczoru - powiedział - Nowy Jork legł u pani stóp. Van der Luydenowie nie robią niczego połowicznie.

- Oczywiście, jakże oni są uprzejmi! To było takie urocze przyjęcie!

Każdy zdaje się żywić dla nich tyle szacunku!

Sformułowania były wyjątkowo nietrafne, mogła mówić w ten sposób o herbatce u drogiej panny Lanning.

- Van der Luydenowie - Archer czuł się pompatyczny, gdy to mówił - są najbardziej wpływowi wśród nowojorskiego towarzystwa. Na nieszczęście, wskutek jej słabego

zdrowia przyjmują u siebie bardzo rzadko.

Rozplotła dłonie spod głowy i spojrzała na niego z zadumą.

- Czy przypadkiem nie w tym tkwi przyczyna?

- Przyczyna?...

- Ich wielkiego wpływu. Dlatego, że tak rzadko pozwalają się widywać.

Zaczerwienił się lekko, wpatrując się w nią - i nagle pojął przenikliwość tej uwagi.

Na pierwsze uderzenie wybrała van der Luydenów i oni załamali się pod tym uderzeniem. Roześmiał się i poświęcił ich na ofiarnym ołtarzu.

Nastazja przyniosła herbatę, japońskie filiżanki bez uszek i małe przykrywane miseczki, stawiając tacę na niskim stoliku.

- Lecz niech mi pan wytłumaczy pewne rzeczy... niech mi pan powie wszystko, co powinnam wiedzieć - ciągnęła Madame Olenska pochylając się do przodu, by podać mu filiżankę.

- To pani mi powie, otworzy oczy na sprawy, na które patrzyłem tak długo, że przestałem je dostrzegać! Odłączyła maleńką złotą papierośnicę od jednej z licznych bransoletek, wyciągnęła ją ku Archerowi i sama też wzięła papierosa. Na kominku leżały długie fidybusy do ich przypalania.

- Ach, wobec tego możemy sobie nawzajem pomagać! Ale ja chcę być bardziej pomocna. Pan musi mi po prostu powiedzieć, co mam robić.

Miał na końcu języka odpowiedź: „Niech się pani nie afiszuje z Beaufortem po ulicach” - lecz został tak dalece wciągnięty w atmosferę pokoju, która była tak przesiąknięta jej osobowością, że udzielanie tego rodzaju rad byłoby tym samym, co opowiadanie komuś, kto handluje olejkiem różanym w Samarkandzie, że na nowojorską zimę powinien zawsze być zaopatrzony w śniegowce. Nowy Jork wydawał się o wiele bardziej odległy niż Samarkanda i jeżeli rzeczywiście mieli sobie pomagać, to właśnie ona oddawała mu pierwszą z ich wzajemnych usług, sprawiając, że spojrzał na swoje miasto obiektywnie. Widziane w ten sposób, jakby przez odwrotną stronę teleskopu, wyglądało niepokojąco małe i odległe; tak chyba powinno wyglądać od strony Samarkandy.

Płomień buchnął z polan i hrabina pochyliła się wyciągając swe szczupłe dłonie tuż nad ogniem, tak że wokół podłużnych paznokci powstała delikatna aureola. Światło musnęło pierścionki jej ciemnych włosów wymykających się z warkoczy, rozświetlając je czerwonawobrazowym blaskiem i czyniąc jej bladą twarz jeszcze bielszą.

- Jest mnóstwo ludzi, którzy powiedzą pani, co robić - Archer podjął znów przerwany temat, w duchu zazdroszcząc tym ludziom.

- Och... wszystkie moje ciotki? I moja droga stara babunia? - rozważała ten pomysł bezstronnie. - One są trochę zmartwione mną, że urządziłam się sama... zwłaszcza biedna babunia. Pragnęłaby trzymać mnie przy sobie. A ja chcę być wolna...

Zrobił na nim wrażenie ten lekki sposób wyrażania się o strasznej Katarzynie i głęboko poruszyła go myśl o tym, co sprawiło, że Madame Olenska pragnęła tego najsmutniejszego rodzaju wolności. Ale jednocześnie gryzło go wspomnienie o Beaufortcie.

- Chyba rozumiem, jak się pani czuje - powiedział. - Niemniej rodzina może pani doradzić... wytłumaczyć różnice... wskazać drogę.

Uniosła swoje cienkie czarne brwi.

- Czy Nowy Jork to taki labirynt? Myślałam, że jest tak wszędzie prościutki jak Piąta Aleja. I z tymi przecznicami ponumerowanymi! - Zdawała się zgadywać jego lekką dezaprobatę i dodała z tym rzadkim u siebie uśmiechem, który rozpromienił całą jej twarz.

- Gdyby pan wiedział, jak ja lubię Nowy Jork właśnie dlatego... tę akuratność i te wielkie, solidne etykiety na wszystkim!

Dostrzegł swoją szansę.

- Każda rzecz może być opatrzona etykietą, ale nie każdy człowiek.

- Zapewne. Może zbyt upraszczam pewne rzeczy, ale proszę mnie strofować, jeśli to robię. - Odwróciła się od kominka, by spojrzeć na niego. - Są tylko dwie osoby, które sprawiają wrażenie, że rozumieją, co myślę, potrafią wytłumaczyć mi pewne rzeczy, to pan i pan Beaufort.

Archer drgnął na dźwięk tego nazwiska, po czym błyskawicznie wyczuł sytuację i

zrozumiał; ogarnęło go współczucie i żal. Musiała tak blisko stykać się ze złem, że jeszcze teraz może, oddychać pełniejszą piersią tylko w jego atmosferze. Ale skoro uważa, że on ją też rozumie, jego więc zadaniem będzie ukazać hrabinie Beauforta takim, jaki naprawdę jest, ze wszystkim, co przedstawia - i wzbudzić odrazę.

Odpowiedział łagodnie:

- Rozumiem. Jednakże na początku niech pani po prostu nie wymyka się z rąk swym starym przyjaciółom. Mam na myśli starsze panie, babcię Mingott, panią Welland, panią van der Luyden. One panią lubią i podziwiają... chcą pani pomóc.

Potrząsnęła głową z westchnieniem.

- Och, wiem, wiem! Ale pod warunkiem, że nie muszą słuchać tego, co nie jest przyjemne. Ciocia Welland tak właśnie powiedziała, gdy próbowałam...

Proszę pana, czy nikt tutaj nie chce znać prawdy. Prawdziwa samotność to właśnie życie wśród wszystkich tych uprzejmych ludzi, którzy tylko udają, że ich interesują odpowiedzi na zadawane pytania! - Uniosła dłonie ku twarzy i Archer zobaczył, że jej szczupłymi ramionami wstrząsa szloch.

- Proszę pani! Och, nie, Ellen! - wykrzyknął zrywając się z miejsca i pochylając nad nią. Odjął od twarzy jej rękę, poklepując i głaszcząc jak rączkę dziecka, i pomrukiwał z cicha kojące słowa. Po chwili hrabina opanowała się i spojrzała na niego wilgotnymi oczyma.

- Chyba nikt tutaj nie płacze? Nie ma powodu płakać w niebie - powiedziała poprawiając swe rozluźnione sploty warkoczy ze śmiechem i pochylając się nad dzbankiem. Nękała go świadomość, że nazwał ją „Ellen” - i to dwukrotnie, i że ona tego nie zauważyła. Gdzieś daleko w odwróconym oku teleskopu zobaczył niewyraźną białą postać May Welland - tu, w Nowym Jorku.

Nagle Nastazja wsunęła głowę przez drzwi, mówiąc coś swą zabawną włoszczyzną.

Madame Olenska, znów z ręką we włosach, wyraziła zgodę wykrzykując szybko: - Gia... gia! - wszedł książę St. Austrey, pilotując ogromną damę w czarnoskrzydłym kapeluszu z czerwonymi piórami, odzianą w obszerne futra.

- Droga hrabino, przyprowadziłem pani moją starą przyjaciółkę, panią Struthers. Nie była zaproszona na wczorajsze wieczorne przyjęcie, a pragnie panią poznać.

Książę uśmiechał się promiennie i Madame Olenska podążyła naprzeciw ekscentrycznej parze ze słowami powitania. Chyba nie zdawała sobie sprawy, jak dziwną stanowili parę, ani też na co pozwolił sobie książę przyprowadzając swoją towarzyszkę - a żeby oddać mu sprawiedliwość, jak Archer zauważył, sam książę również zdawał się być tego nieświadom.

- Oczywiście, moja droga, że chcę panią poznać! - wykrzyknęła pani Struthers pełnym, wibrującym głosem, który dorównywał jej zuchwałym piórom i bezwstydnym skrzydłom kapelusza. - Chcę znać każdego, kto jest młody, interesujący i pełen czaru. A książę opowiadał mi, że pani jest jak muzyka... nieprawdaż, książę? Ufam, że pani sama jest pianistką? A więc, czy nie zechce pani posłuchać jutro wieczorem gry Sarasate'a u mnie w domu?

Staram się zawsze coś urządzać w niedzielne wieczory... jest to dzień, kiedy Nowy Jork nie wie, co ze sobą zrobić, i wobec tego ja mu mówię:

„Przyjdź i rozerwij się”. Książę uważa, że skusi się panią występem Sarasate'a. Znajdzie też pani wielu swoich przyjaciół.

Twarz hrabiny pokraśniała z zadowolenia.

- Jakże to miło! Jak pocziwie ze strony księcia, że pomyślał o mnie! - Posunęła fotel w stronę stoliczka z herbatą i pani Struthers opadła nań z rozkoszą. - Oczywiście, będę szczęśliwa, że mogę przyjść!

- To świetnie, moja droga. I proszę przyprowadzić ze sobą swego młodego dżentelmena. - Pani Struthers wyciągnęła do Archera rękę poufałym gestem.

- Nie mogę przypomnieć sobie pańskiego nazwiska... ale jestem pewna, że pana spotkałam... zawsze spotykam wszystkich tutaj albo w Paryżu lub w Londynie.

Czy jest pan w dyplomacji? Wszyscy dyplomaci przychodzą do mnie. Pan też lubi muzykę? Książę, musi pan koniecznie go przyprowadzić.

Książę odpowiedział „Oczywiście” z czeluści swojej brody i Archer ulotnił się, złożwszy niezbyt niski ukłon, z uczuciem pełnym goryczy, jak nieśmiały chłopczyk, który

znalazł się wśród nieuważnych i nie zwracających nań uwagi dorosłych.

Nie było mu przykro z powodu denouement swojej wizyty; pragnął tylko, żeby się to było zdarzyło wcześniej i zaoszczędziło mu pewnych emocji. Gdy wyszedł w zimową noc, Nowy Jork znów stał się olbrzymi i groźny, a May Welland najcudowniejszą jego mieszkanką. Zawrócił w stronę znajomej kwiaciarni, by posłać jej, jak co dzień, bukiet konwalii, o których, ku swemu wstydnemu, zapomniał tego ranka.

Gdy napisał słówko na bileciku i czekał na kopertę, rozejrzał się po zaciemnionym sklepie i oczy jego spoczęły na pęku żółtych róż. Nigdy dotąd nie widział róż tak słonecznozłoty i w pierwszym odruchu chciał posłać je May zamiast konwalii. Ale te róże nie pasowały do niej - było coś zbyt bogatego, zbyt mocarnego w tym ich promiennym pięknie. Gwałtownie zmieniawszy zamiar i nieomal nie zdając sobie sprawy, co czyni, dał znak sprzedawcy, by włożył róże do innego długiego pudełka, i wsunął swój bilecik do ciężkiej koperty, na której wypisał nazwisko hrabiny Olenskiej.

I właśnie gdy się już miał odwrócić, ponownie wyciągnął bilecik z koperty i pustą rzucił do pudełka.

- Czy odejdą natychmiast? - spytał wskazując róże. Sprzedawca upewnił go, że tak.

X

Następnego dnia namówił May, by po śniadaniu wymknęli się do parku na spacer. Zgodnie ze zwyczajem staroświeckich nowojorczyków wyznania episkopalnego w niedzielne popołudnie dziewczyna zwykle towarzyszyła swoim rodzicom do kościoła. Jednakże tym razem pani Welland rozgrzeszyła się z obowiązku uczestniczenia w nabożeństwie, gdyż tego ranka upewniła się ostatecznie co do konieczności długiego narzeczeństwa, by mieć czas na przygotowanie wyprawy ślubnej złożonej z odpowiedniej ilości tuzinów.

Wzdłuż całego Mall pod lazurowym niebem nagie wierzchołki drzew wyginały swe gałęzie ponad śniegiem, skrzącym się niczym drobne kryształki. Przy takiej pogodzie jeszcze bardziej uwydatniała się cała promienność May, która błyszczała niby młody klon na mrozie. Archer dumny był, że wszystkie spojrzenia kierują się ku niej, i zwykła radość posiadacza wymazała jego podświadome zakłopotanie.

- Jakie to rozkoszne... budząc się co rano czuć zapach konwalii w swoim pokoju! - wykrzyknęła.

- Wczoraj nadeszły późno... Nie miałem rano czasu.

- Ale to twoje pamiętanie, by je każdego ranka przysłać, sprawia, że kocham je stokroć bardziej, niż gdybyś dał z góry polecenie i przychodziły rano co do minuty niczym nauczyciel muzyki... wiem, że tak było u Gertrudy Lefferts, gdy zaręczyli się z Lawrencem.

- Och, doprawdy! - zaśmiał się Archer ubawiony jej bystrością. Zerknął na jej policzki, zarumienione jak jabłuszka, i poczuł się bogaty i dostatecznie pewny siebie, by dodać: - Kiedy wczoraj po południu wysyłałem ci konwalie, zobaczyłem może nazbyt okazałe żółte róże i kazałem zanieść je hrabinie Olenskiej.

Czy słusznie zrobiłem?

- Jak to miło z twojej strony! Wszystkie takie rzeczy zachwycają ją! To dziwne, że nie wspomniała o tym. Była u nas dzisiaj na lunchu i mówiła, że pan Beaufort przysłał jej piękne orchidee, a kuzyn Henry van der Luyden pełen kosz goździków ze Skuytercliff.

Wydawała się taka zdumiona z powodu tych kwiatów! Czy w Europie ludzie ich

sobie nie posyłają? Uważa, że to taki śliczny zwyczaj.

- No cóż, nic dziwnego, moje zostały przyćmione kwiatami Beauforta - powiedział Archer z lekką irytacją. A potem przypomniał sobie, że przecież nie włożył bileciku do róz, i zaczął się dręczyć, że w ogóle o nich wspomniał. Chciał powiedzieć: „Byłem wczoraj z wizytą u twojej kuzynki” - ale zawahał się. Jeżeli hrabina sama nie mówiła o jego odwiedzinach, mogłoby okazać się niezręczne, gdyby on to zrobił. A znów zatajenie tego przydawało całej sprawie posmaku tajemniczości, a tego nie lubił. By zwrócić myśli na inne tory, zaczął rozmawiać na temat ich własnych planów, o wspólnej przyszłości, i żalić się, że pani Welland nalega na długie narzeczeństwo.

- Jeśli można je nazwać długim. Isabel Chivers i Reggie byli narzeczeństwem przez dwa lata, a Grace i Thorley prawie półtora roku. A czy nam nie jest tak bardzo dobrze?

Było to tradycyjne dziewczęce pytanie i wstyd mu się zrobiło samego siebie, że uznał je po prostu za dziecinne. Bez wątpienia ona tylko powtarza to, co jej mówiono. Tymczasem zbliżały się jej dwudzieste pierwsze urodziny i zastanawiał się, w jakim wieku te „rozkoszne kobietki” zaczynają mówić same za siebie.

Przypuszczam, że nigdy, jeśli im nie pozwolimy - rozmyślał i przypomniał sobie, jak głupio wystąpił wobec pana Jacksona. - „Kobiety powinny być wolne... tak samo jak my... „

Teraz jego zadaniem jest zdjąć opaskę z jej młodych oczu i skierować jej wzrok w przyszłość, na świat.

Ale ileż pokoleń kobiet, które ją stworzyły, zeszło z tego świata z zawiązanymi oczami do rodzinnych krypt. Wzdrygnął się lekko przypominając sobie pewne postępowe myśli zawarte w jego naukowych książkach, a zwłaszcza najczęściej przytaczany przypadek ryb jaskiniowych z Kentucky, u których zanikł narząd wzroku, jako że oczy nie były im potrzebne. Ale co by było, gdyby zmusił May Welland do otwarcia oczu które potrafiłyby tylko patrzeć pustym wzrokiem w pustkę?

- Byłoby nam wygodniej. Moglibyśmy już być razem... moglibyśmy podróżować.

Twarz jej się rozjaśniła.

- To byłoby cudowne! - wykrzyknęła. Uwielbiałaby podróże. Jednakże jej matka nie rozumie, jak może zachciewać im się takich niezwykłości.

- Przecież już samo to słowo „niezwykłość” stanowi wytłumaczenie! - nalegał zalotnik.

- Newlandzie! Jesteś taki oryginalny - ucieszyła się.

Serce w nim zamarło. Spostrzegł, że mówi wszystko to, czego oczekuje się od młodych ludzi w takiej sytuacji, a ona daje odpowiedzi, które dyktują jej instynkt i tradycja - nawet do tego stopnia, że nazwała go oryginalnym.

- Oryginalny! Jesteśmy wszyscy jak jedno, jak to laleczki wycięte z tego samego złożonego podwójnie papieru. Jesteśmy niczym szablonowe wzory wymalowane na ścianie. May, czy potrafimy sami stanąć na własnych nogach?

Przerwał i spojrzał na nią podniecony dyskusją, a jej rozpromienione oczy spoczęły na nim z nieskrywanym podziwem.

- Litości... może uciekniemy? - roześmiała się.

- Jeśli chcesz...

- Newlandzie, ty naprawdę mnie kochasz! Taka jestem szczęśliwa.

- Czemu więc nie dążyć do jeszcze większego szczęścia?

- Przecież nie możemy zachowywać się jak ludzie w powieściach, nieprawdaż?

- Czemu nie... czemu nie...

Wyglądała na trochę zmęczoną tym jego naleganiem. Wiedziała doskonale, że nie mogą, ale kłopotliwe było wymyślanie przyczyny.

- Nie jestem wystarczająco mądra, by z tobą dyskutować. Lecz nie uważasz, że to byłoby po prostu raczej... wulgarne? - podsunęła, uszczęśliwiona, że utrafiła we właściwe słowo, które z pewnością zakończy ten temat.

- Czyżbyś tak bardzo obawiała się być wulgarną?

Najwyraźniej poczuła się dotknięta.

- Oczywiście, że powinnam... tak samo jak i ty - zareplikowała, odrobinę zirytowana.

Stał w milczeniu uderzając nerwowo laską w czubek swego buta. May,

przeświadczona, iż rzeczywiście znalazła właściwą drogę do zamknięcia dyskusji, ciągnęła beztrąsko:

- Och, czy mówiłam ci, że pokazywałam Ellen pierścioneł? Mówi, że nie widziała jeszcze tak ślicznej oprawy. Powiedziała, że nie ma takiego na całej rue de la Paix. Jakże ja ciebie kocham, Newlandzie, za to twoje wycucie artystyczne!

Następnego popołudnia, kiedy przed obiadem Archer siedział z cygarem zagłębiiony w posępnych myślach, do gabinetu wtargnęła Janey. Nie wstąpił do klubu w drodze powrotnej z biura, gdzie w wolnych chwilach przyuczał się do zawodu prawnika, co było powszechne wśród zamożnych nowojorczyków z jego sfery. Czuł się przygnębiony i zupełnie pozbawiony energii, myśli jego opanował dręczący strach, że będzie musiał wykonywać to samo zajęcie dzień po dniu, o tej samej godzinie.

- Jednostajność... jednostajność... - mruknał. Słowo to przebiegało mu przez głowę, jak prześladowcza nuta, gdy zobaczył za oknem znajome postacie w wysokich kapeluszach spędzające czas na próżniactwie. A ponieważ zwykle o tej porze wpadał do klubu, tym razem pojechał wprost do domu. Nie tylko wiedział, o czym będą mówić, ale który z nich w jakiej części dyskusji weźmie udział. Naturalnie głównym tematem będzie książkę. Chociaż pojawienie się na Piątej Alei złotowłosej damy w małej, kanarkowego koloru karecie zaprzężonej w parę karych koni (o co czyniono odpowiedzialnym Beauforta) bez wątpienia zostanie również dokładnie omówione. Takich „kobiet” (jak je określano) było niewiele w Nowym Jorku, tych, które miały swoje pojazdy, coraz mniej, toteż pojawienie się panny Fanny Ring na Piątej Alei, o tak ucześnieowanej porze, głęboko wzburzyło towarzyskie kręgi. Załedwie poprzedniego dnia jej pojazd minął powóz pani Lovellowej Mingott, która to natychmiast zadzwoniła dzwoneczkiem znajdującym się tuż pod jej ręką i kazała woźnicy odwieźć się do domu.

- A co by było, gdyby się to zdarzyło pani van der Luyden? - z drżeniem zapytywano siebie nawzajem.

Archer nieomal słyszał, jak Lawrence Lefferts w tej chwili rozprawia o rozpadzie towarzystwa.

Gdy weszła jego siostra Janey, uniósł głowę z irytacją i czym prędzej pochylił się nad książką (Swinburne'a „Chastelard” - dopiero co zdjętym z półki), jakby jej nie widział. Spojrzała na jego biurko zavalone książkami, otworzyła tomik „Contes Drolatiques” , skrzywiła się na starofrancuszczyznę i westchnęła:

- Jakież ty uczone rzeczy czytasz!

- Słucham?... - spytał, gdy stanęła nad nim niczym Kasandra.

- Mama jest bardzo zła.

- Zła? Na kogo? O co?

- Właśnie była tutaj panna Sophy Jackson. Przyszła powiedzieć, że jej brat wpadnie po obiedzie. Nie mogła mówić zbyt wiele, ponieważ jej zabronił. Życzy sobie sam opowiedzieć wszystko ze szczegółami. Teraz jest u kuzynki Louisy.

- Na litość boską, drogie dziewczątko, zacznij jeszcze raz od początku.

Jedynie Wszechmocny Bóg wie o czym ty mówisz.

- Nie czas na bluźnierstwa, Newlandzie... Mama i tak wystarczająco się martwi, że nie poszedłeś do kościoła.

Z jękiem powrócił znów do swojej książki.

- Newlandzie! Posłuchaj. Twoja przyjaciółka Madame Olenska była wczoraj wieczorem na przyjęciu u pani Struthers. Pojechała tam z księciem i panem Beaufort.

Po ostatnim zdaniu w piersi młodego człowieka wezbrała bezsensowna złość.

By ją zatrzeć, roześmiał się.

- To i cóż z tego? Wiem, że zamierzała tam pojechać.

Janey zbladła, a oczy jej zaczęły się rozszerzać.

- Wiedziałaś, że ona zamierza tam pojechać... I nie próbowałaś jej zatrzymać?

Ostrzec ją?

- Zatrzymać? Ostrzec? - znów się roześmiał. - Nie mam przecież zamiaru poślubiać hrabiny Olenskiej! - Słowa te zabrzmiały dziwacznie w jego uszach.

- Wżeniasz się w jej rodzinę!

- Och, rodzina, rodzina! - powiedział kpiąco.

- Newland... nie dbasz o rodzinę?

- Ani na jotę.

- Nawet o to, co kuzynka Louisa van der Luyden sobie pomyśli?

- Ani na jotę... jeżeli ona uznaje takie staropanieńskie brednie.

- Mama nie jest starą panną - odpowiedziała jego dziewicza siostra, przygryzając wargi.

Miał ochotę wykrzyknąć: „Właśnie że jest, tak samo jak van der Luydenowie i jak my wszyscy, kiedy przychodzi nam zetknąć się z rzeczywistością”. Lecz zobaczył jej długą i miłą twarz wykrzywającą się do płaczu i zawstydził się, że sprawia jej niepotrzebnie ból.

- Niech лихо porwie hrabinę Olenską! Nie bądź gąską, Janey. Nie jestem jej stróżem.

- Oczywiście, ale proszę Wellandów, żeby ogłosili twoje zaręczyny wcześniej, tak żebyśmy mogli wszyscy ją wesprzeć. Gdyby nie to, kuzynka Louisa nigdy by jej nie zaprosiła na obiad wydany na cześć księcia.

- No... a cóż się stało złego, że ją zaproszono?

Była najatrakcyjniejszą kobietą w salonie. Dzięki niej obiad mniej przypominał stypę niż zwykle bankiety u van der Luydenów.

- Wiesz przecież, że kuzyn Henry zaprosił ją, by ciebie zadowolić. To on namówił kuzynkę Louise. A teraz są tak wzburzeni, że zamierzają wracać jutro do Skuytercliff. Sądzę, Newlandzie, że lepiej zrobisz, jeśli zejdziesz na dół. Najwidoczniej nie rozumiesz, co mama odczuwa.

Newland znalazł matkę w salonie. Uniosła zatroskane czoło znad robótki i spytała:

- Czy Janey ci powiedziała?

- Tak. - Starał się mówić głosem równie spokojnym jak ona. - Jednakże nie potrafię brać tego aż tak poważnie.

- Faktu, że obraziłeś kuzynkę Louise i kuzyna Henry'ego?

- Tego, że mogą być obrażeni z powodu takiej drobnostki, jak pójście hrabiny Olenskiej do domu kobiety, którą oni uważają za pospolitą.

- Uważają!

- No, powiedzmy, która nią jest, ale która oferuje dobrą muzykę i zabawia ludzi w niedzielne wieczory kiedy cały Nowy Jork umiera z nudów.

- Dobrą muzykę? Wiadomo mi, że była tam taka kobieta, co to na stole wyśpiewywała różne rzeczy jakie śpiewają w Paryżu w takich miejscach, gdzie to ty bywasz. Poza tym palono papierosy i pito szampana.

- No cóż, podobne rzeczy zdarzają się nie tylko tam i świat dalej się toczy.

- Nie przypuszczam, mój drogi, żebyś naprawdę był orędownikiem francuskich niedziel!

- Już wystarczająco często słyszałem, jak ty, mamó, utyskiwałaś na angielską niedzielę, kiedy byliśmy w Londynie.

- Nowy Jork to nie Paryż ani Londyn.

- Och, nie, oczywiście! - jęknął syn.

- Zapewne uważasz tutejsze towarzystwo za niezbyt świetne? Masz rację, nie przeczę. Lecz przynależymy tutaj i ludzie powinni respektować nasz sposób życia, kiedy się zjawiają wśród nas. Zwłaszcza taka Ellen Olenska, która wróciła, by uciec od życia, jakie ludzie wiodą w świetnych towarzystwach.

Newland milczał, po chwili jego matka ośmieliła się powiedzieć:

- Zamierzam włożyć mój czepeczek i prosić cię, żebyś mnie zawiózł do kuzynki Louisy na chwilę jeszcze przed obiadem.

Nachmurzył się, ale pani Archer ciągnęła dalej:

- Myślałam, że mógłbyś wytłumaczyć jej, co mnie przed chwilą powiedziałeś... że towarzystwo za granicą jest inne... że ludzie nie są tak drobiazgowi i że Madame Olenska może sobie nawet nie zdawać sprawy, jaki jest nasz pogląd na te rzeczy. Wiesz, mój drogi - dodała zręcznie z niewinną miną - że mogłaby to być nawet w interesie Madame Olenskiej.

- Najdroższa mamó, doprawdy, nie widzę powodu, żebyśmy aż tak dalece interesowali się tą sprawą. Książkę zabrał Madame Olenską do pani Struthers... a faktycznie to przyprowadził panią Struthers, by ją zaprosiła. Byłem tam, kiedy oni przyjechali. Jeżeli ci van der Luydenowie chcą z kimś kłótni, prawdziwy winowajca

znajduje się pod ich własnym dachem.

- Klótni? Newlandzie, czyś ty kiedykolwiek słyszał, żeby kuzyn Henry się klócił? Poza tym, książe jest jego gościem, a do tego obcym. Cudzoziemcy nie są spostrzegawczy. Skądby mieli być? Hrabina jest w Nowym Jorku i dlatego powinna respektować uczucia jego mieszkańców.

- No cóż, zatem skoro muszą mieć ofiarę, masz moją zgodę, by rzucić im Madame Olenską! - wykrzyknął jej syn z goryczą. - Nie widzę powodu żebyśmy ty lub ja składali siebie w ofierze dla odkupienia jej win.

- Och, naturalnie, ty widzisz tylko stronę Mingottów - odpowiedziała matka czułym głosem, który był zapowiedzią narastającego gniewu.

Smutny lokaj odsunął portiery w drzwiach salonu i zaanonsował:

- Pan Henry van der Luyden.

Pani Archer upuściła igłę i odsunęła gwałtownie fotel.

- Jeszcze jedną lampę! - krzyknęła za znikającym sługą, podczas gdy Janey pochylała się, by poprawić matce czepeczek.

Postać pana van der Luydena zamajaczyła w progu i Newland postąpił naprzód, by powitać kuzyna.

- Właśnie rozmawialiśmy o panu - powiedział.

Gość zdawał się być zaskoczony tym oświadczeniem. Ściągnął rękawiczki, by przywitać się z damami, i wygładził nieśmiało swój wysoki kapelusz, podczas gdy Janey przesunęła w jego stronę fotel.

- ... I o hrabinie Olenskiej - dodał Archer.

Pani domu zbladła.

- Och, cóż to za czarująca kobieta! Właśnie byłem ją odwiedzić - oznajmił pan van der Luyden, a wyraz zadowolenia rozlał się po jego twarzy. Opadł na fotel, położył kapelusz i rękawiczki na podłodze koło siebie na staroświecką modłę i mówił dalej:

- Ona ma prawdziwy talent do układania kwiatów. Posłałem jej kilka goździków ze Skuytercliff i byłem wprost zaskoczony. Zamiast ustawić je w wielkich pękach, tak jak to robi nasz ogrodnik, ona rozrzuciła je luźno to tu, to tam... Nawet nie potrafię opisać jak.

Książę opowiedział mi o tym i dodał: „Pójdź i zobacz, jak pomysłowo urządziła swój salon”. I rzeczywiście. Doprawdy, chciałbym móc zabrać Louise, by ją odwiedziła, gdyby sąsiedztwo nie było takie... nieprzyjemne.

Martwa cisza powitała ten niezwykle potok słów pana van der Luydena. Pani Archer ponownie wyciągnęła swoją robótkę z koszyczka, do którego nerwowo ją wepchnęła, i Newland, opierając się o kominek i obracając w ręce ekranik z piórek kolibra, zauważył pojawiający się na twarzy Janey wyraz zdziwienia na widok wnoszonej drugiej lampy.

- Faktycznie - ciągnął pan van der Luyden głaszcząc swoje długie szare nogi bezkrwistą dłonią, obciążoną wielkim rodowym sygnetem. - Faktycznie wpadłem, by podziękować jej za prześliczny liścik, jaki napisała mi o moich kwiatach, a także... ale to, oczywiście, tylko między nami... aby dać jej przyjacielską przestrozę, żeby nie pozwalała księciu oprowadzać się po przyjęciach. Nie wiem, czy słyszeliście...

Pani Archer przywołała na twarz stosowny uśmiech.

- Czy książę prowadzi ją na przyjęcia?

- Wiecie, jacy są ci angielscy grandowie. Wszyscy tacy sami. Louisa i ja bardzo lubimy naszego kuzyna, lecz próżno oczekiwać po ludziach przyzwyczajonych do bywania na europejskich dworach, by dbali o nasze drobne republikańskie odrębności. Książę chodzi tam, gdzie jest bawiony. - Pan van der Luyden przerwał, lecz nikt się nie odezwał. - Tak, zdaje się, że zabrał ją wczoraj wieczorem do pani Struthers. Sillerton Jackson wpadł właśnie do nas z tą głupiutką opowiadką i Louisa trochę się zmartwiła.

Wobec tego pomyślałem, że najprostszy sposób to pójść do hrabiny i wytłumaczyć - jak najogólniej, rozumie się - jaki my w Nowym Jorku mamy pogląd na pewne sprawy. Czuję, że muszę, nie popełniając niedelikatności, ponieważ tego wieczoru, gdy była u nas na obiedzie, sugerowała nawet... to znaczy pozwoliła mi się domyślać, że byłaby wdzięczna za przewodnictwo. I była.

Pan van der Luyden rozejrzył się po pokoju z wyrazem, który mógłby oznaczać samozadowolenie na twarzach bardziej ulegających, pospolitym uczuciom. Na jego twarzy przybrało ono odcień łagodnej życzliwości, która natychmiast znalazła odbicie w

wypowiedzi pani Archer.

- Jakże uprzejmi jesteście oboje, drogi Henryku... zawsze! Zwłaszcza Newland docenia, coście zrobili, ze względu na drogą May i jego nową rodzinę!

Rzuciła porozumiewawcze spojrzenie synowi, który natychmiast wtrącił:

- Ogromnie, proszę pana. Ale jestem pewien że pan polubi Madame Olenską.

Pan van der Luyden popatrzył na niego z najwyższą łagodnością.

- Mój drogi Newlandzie, nigdy nie zapraszam do swego domu nikogo, kogo nie lubię. I właśnie tak powiedziałem Jacksonowi. - Spojrzawszy na zegarek, podniósł się i dodał: - Ale Louisa będzie czekała. Jemy dzisiaj obiad wcześniej, gdyż zabieramy księcia do Opery.

Gdy portiery zamknęły się uroczyście za ich gościem, wśród rodziny Archerów zapadła cisza.

- Wielki Boże, jakie to romantyczne! - Janey w końcu wykrzyknęła.

Właściwie to nikt nie wiedział, co natchnęło ją do takich eliptycznych komentarzy, i jej bliscy długo zastanawiali się próbując je zinterpretować.

Pani Archer pokiwała głową z westchnieniem.

- Tylko wtedy, gdy może obrócić się na dobre - stwierdziła to tonem osoby, która wie, że z całą pewnością tak nie będzie. - Newlandzie, musisz zostać i przyjąć Jacksona, kiedy przyjdzie wieczorem. Ja naprawdę nie wiedziałabym, co mu powiedzieć.

- Biedna mama! Ale on i tak nie przyjdzie... - zaśmiał się syn pochylając się, by scalać zmarszczki z jej czoła.

XI

W jakieś dwa tygodnie później, gdy Newland Archer oddawał się rozkoszemu lenistwu w swym prywatnym gabinecie biura adwokackiego Letterblair, Lamson i Low, został wezwany przez głowę firmy.

Stary pan Letterblair, oficjalny, prawny doradca trzech pokoleń szlachetnie urodzonych nowojorczyków, prezydował za mahoniowym biurkiem, najwyraźniej zakłopotany. Kiedy głaskał swe krótko przycięte białe bokobrody i przesuwiał dłonią po przerzedzonych siwych lokach ponad krzaczastymi brwiami, jego młody wspólnik z całym brakiem szacunku pomyślał, jak bardzo przypomina rodzinnego konsyliarza, zanudzanego przez pacjenta, któremu trudno jest postawić diagnozę.

- Mój drogi panie - zawsze zwracał się do Archera per pan. - Posłałem po pana odnośnie pewnej drobnej sprawy, sprawy, o której na razie wolałbym nie wspominać ani panu Skipworthowi, ani panu Redwoodowi. - Dwaj wymienieni panowie byli również starszymi wspólnikami firmy. Albowiem w większości legalnych stowarzyszeń o ustalonej reputacji w Nowym Jorku starzy wspólnicy wymienieni na firmowym papierze z nadrukiem przeważnie od dawna już nie żyli; a pan Letterblair był, określając to językiem prawniczym, swoim własnym wnukiem.

Teraz odchylił się w fotelu ze zmarszczonym czołem.

- Ze względów rodzinnych - mówił dalej.

Archer popatrzył na niego.

- Chodzi o rodzinę Mingottów - pan Letterblair wyjaśnił z uśmiechem, skłoniwszy się. - Pani Mansonowa Mingott przysłała po mnie wczoraj. Jej wnuczka, hrabina Olenska, chce uzyskać od swego męża rozwód. Zostały złożone na moje ręce odpowiednie papiery. - Przerwał, bębniąc palcami w biurko. - Ze względu na pański przysły związek z tą rodziną, chciałbym się z panem skonsultować... rozważyć tę sprawę... nim podejmę jakieś dalsze kroki.

Archer poczuł gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach. Widział się z hrabiną zaledwie raz od swojej wizyty w jej domu, a potem w Operze, w łoży Mingottów. Przez ten czas pamięć o niej stopniowo się zacierała, prawie zniknęła z jego podświadomości, w

miarę jak May Welland zajmowała należne sobie tam miejsce. Nie słyszał, by mówiono o jej rozwodzie od czasu owej przypadkowej aluzji wypowiedzianej przez Janey, i potraktował tę historyjkę jako bezpodstawną plotkę. Teoretycznie rzecz biorąc, sama myśl o rozwodzie była dla niego tak samo odstręczająca jak dla jego matki. Był urażony, że pan Letterblair (niewątpliwie za podszeptem starej Katarzyny Mingott) może tak bez skrpułów planować wciągnięcie go do tej sprawy. Ostatecznie jest wielu innych mężczyzn w rodzinie Mingottów do takich poręczeń, a on jak na razie nie stał się jeszcze członkiem klanu poprzez małżeństwo.

Czekał, póki jego starszy wspólnik nie zacznie znów mówić. Pan Letterblair otworzył szufladę i wyciągnął z niej pakiet. - Gdyby pan mógł rzucić okiem na te papiery.

Archer zmarszczył brwi.

- Bardzo przepraszam, proszę pana, ale właśnie ze względu na przyszłe pokrewieństwo wolałbym, żeby się pan porozumiał z panem Skipworthem lub panem Redwoodem.

Pan Letterblair spojrział zdziwiony a lekko urażony. Było to niezwykle u młodego wspólnika odrzucać taką sposobność.

Skłonił głowę.

- Uznaję pańskie skrupuły. Jednakże w tym przypadku wierzę, że wrodzona delikatność skłoni pana do uczynienia tego, o co proszę. Istotnie, pomysł nie jest mój, lecz pani Mansonowej Mingott i jej syna. Widziałem się z Lovellem Mingott a także z panem Wellandem. I wszyscy zgodnie wymienili pana.

Archer poczuł, jak narasta w nim gniew. W ciągu ostatnich dwóch tygodni poddał się biernie różnorodnym zdarzeniom, a dzięki urzekającym spojrzeniom May i jej promiennej naturze, zatarła się w jego pamięci natrętna myśl o żądaniach Mingottów. Jednakże ten nakaz ze strony starej pani Mingott uświadomił mu, iż klan uważa, że mają prawo żądać tego od przyszłego zięcia; a on miał niechęć do tej roli.

- Powinni się tym zająć jej wujowie - powiedział.

- Tak też zrobili. Sprawa już została rozpatrzona przez rodzinę. Byli przeciwni pomysłowi hrabiny. Ale ona jest zdecydowana i nalega na wszczęcie postępowania

prawnego.

Młody człowiek milczał; nie otworzył trzymanego w ręce pakietu dokumentów.

- Czy zamierza wyjść powtórnie za mąż?

- Sądzę, że poruszono ten problem. Ale ona zaprzecza temu.

- Wobec tego...

- Czy zechce pan najpierw, drogi panie, przejrzeć te papiery? Potem, kiedy przedyskutujemy tę sprawę, powiem panu, co o tym sądzą.

Archer wycofał się niechętnie z niepożądanymi dokumentami. Od czasu ich ostatniego spotkania podświadomie robił wszystko, żeby się uwolnić od myśli o Madame Olenskiej. Ta godzina spędzona z nią sam na sam przy kominku wciągnęła ich w nastrój intymności, który został raczej opatrnościowo przerwany przez wtargnięcie księcia Austrey z panią Struthers i radosne ich powitanie przez hrabinę. Dwa dni później Archer był świadkiem komedii przywrócenia jej do łask przez van der Luydenów i pomyślał sobie trochę cierpko, że dama, która wie, jak dziękować wszechmocnemu, starzejącemu się dżentelmenowi za bukiet kwiatów, nie potrzebuje ani prywatnego pocieszenia, ani publicznej obrony ze strony młodego człowieka o tak niewielkich możliwościach.

Rozpatrując to z tego punktu widzenia uprościł swoją własną sytuację i w zdumiewający sposób odświeżył wszystkie usunięte w cień domowe cnoty. Nie wyobrażał sobie na przykład May Welland - przyciśniętej choćby najbardziej nagłą potrzebą - która by rozpowiadała o swoich osobistych kłopotach i obdarzała zaufaniem obcych mężczyzn. A już nigdy dotąd nie wydawała mu się wspanialsza i piękniejsza jak w ciągu kilku następnych dni. Przychylił się nawet do jej życzenia i zgodził się na długie zaręczyny, odkąd znalazła rozbijającą odpowiedź na jego prośby o pośpiech.

- Wiesz, kiedy już się pobierzemy, twoi rodzice będą pozwalali ci mieć zawsze swoje zdanie i nie będą cię traktowali jak małą dziewczynkę - argumentował, a ona odpowiedziała z najniewinniejszym spojrzeniem:

- Tak. I właśnie dlatego tak trudno odmówić im tej najostatniejszej rzeczy, o jaką proszą mnie jeszcze jako małą dziewczynkę.

To była cecha starego Nowego Jorku. Chciałby mieć pewność, że taką odpowiedź

zawsze otrzyma od swojej żony. Jeżeli stale oddychało się nowojorskim powietrzem, to w owych czasach wydawało się ono krystaliczne.

W rzeczywistości papiery, które wychodząc zabrał ze sobą, by je przeczytać, niewiele mu powiedziały; wprowadziły go tylko w duszącą atmosferę pustej gadaniny. Składały się głównie z listów wymienianych między adwokatami hrabiego Olenskiego a francuską firmą prawniczą, do której hrabina zwróciła się o ustalenie jej stanu majątkowego. Był tam również krótki list od hrabiego do żony. Po przeczytaniu go Newland wstał, wsunął papiery do koperty i wszedł ponownie do gabinetu pana Letterblaira.

- Tu są, proszę pana, listy. Skoro pan sobie życzy, to zobaczę się z Madame Olenską - powiedział z przymusem.

- Dziękuję panu, dziękuję, drogi panie Newlandzie. Jeśli ma pan dzisiaj wolny wieczór, to proszę przyjść do mnie na obiad, a potem rozpatrzmy sobie wszystko. W takim razie może zechce pan spotkać się z naszą klientką jutro.

Newland również i tego popołudnia udał się prosto do domu. Był to zimowy wieczór, krystalicznie czysty, a niewinny księżyc w nowiu unosił się nad dachami domów. Pragnął odetchnąć czystą atmosferą wieczoru i w absolutnym milczeniu, aż do momentu gdy po obiedzie zamkną się razem z panem Letterblairem w gabinecie. Nie miał innego wyjścia - musiał się zgodzić.

Powinien raczej sam zobaczyć się z hrabiną, aniżeli pozwolić, by jej tajemnice zostały odkryte przed innymi ludźmi. Wielka fala współczucia zmyła jego obojętność i zniecierpliwienie: stała teraz przed nim obnażona żalosna postać, którą za wszelką cenę należało ocalić od dalszego samoudręczenia i szaleńczego rzucania się na oślep w szpony losu.

Przypomniał sobie, co mu mówiła o żądaniu pani Welland, żeby opuścić wszystko, co było „nieprzyjemne” w jej historii, i zmarszczył się na myśl, że to zapewne dzięki takiemu rozumowaniu powietrze Nowego Jorku było czyste. Czyż mimo wszystko nie jesteśmy tylko faryzeuszami? - zastanawiał się zakłopotany, że usiłuje pogodzić swą instynktowną niechęć wobec ludzkiej podłości z równoczesnym instynktownym

współczuciem dla ludzkich słabości.

Po raz pierwszy zrozumiał, jakie elementarne były zawsze jego własne zasady. Uchodził za młodego człowieka, który nie obawiał się ryzyka i wiedział, że jego tajemny związek miłosny z tą biedną głupiutką panią Thorleyową Rushworth nie był aż tak tajemny, by przydawać mu stosownej aury przygody. Jednakże pani Rushworth przedstawiała „taki typ kobiety” : głupiutka, pusta, skryta z natury, i chyba właśnie o wiele bardziej w tym stosunku pociągały ją tajemniczość i niebezpieczeństwo aniżeli urok i walory osobiste Archera. A kiedy ów fakt dotarł do niego,omal nie złamało mu to serca; lecz w tej chwili ta cecha wydała mu się zbawienna. Krótko mówiąc owa afera miłosna była w rodzaju tych, które większość młodych ludzi w jego wieku musi przeżyć i wychodzi z tego ze spokojną świadomością i niezachwianą wiarą w przepastną różnicę pomiędzy kobietami, które kochał i szanował, a tymi, które dawały mu jedynie przyjemność i budziły w nim litość. W tym przypadku wszyscy ci młodzi ludzie byli gorliwie wspierani przez swoje matki, ciotki i różne starsze kuzynki, które bez wyjątku podzielały wiarę pani Archer, że kiedy „taka rzecz się zdarzy” , jest to bez wątpienia głupie ze strony mężczyzny, ale nigdy nie do darowania, jeśli chodzi o kobietę. Wszystkie starsze damy, znane Archerowi, traktowały każdą kobietę, kochającą nierozważnie, jako samo przez się pozbawioną skrupułów i chytrą, a jednocześnie były przekonane, że naiwny prostolinijny mężczyzna jest bezsilny w jej szponach. Jedyna rzecz, to przekonać go, by jak najszybciej poślubił miłą dziewczynę, a potem wierzyć, że potrafi go upilnować.

Archer zaczynał podejrzewać, że w skomplikowanych starych europejskich społeczeństwach problemy miłosne muszą być nie tak proste i nie tak łatwo dają się sklasyfikować. Bogata, próżniacza i utytułowana społeczność musi stwarzać o wiele więcej takich sytuacji; i może nawet się zdarzyć, że kobieta wrażliwa i pełna rezerwy, pod presją okoliczności, będąc bezbronna i samotna, mogłaby jednak uwikłać się w sytuację, jakiej nie wybaczą konwencjonalne wzorce.

Po przyjeździe do domu napisał kilka słów do hrabiny Olenskiej z zapytaniem, o której godzinie następnego dnia będzie mogła go przyjąć, i wysłał kartkę przez posłańca. Ten powrócił niebawem z odpowiedzią, że jutro hrabina wybiera się do Skuytercliff, by

tam spędzić niedzielę z van der Luydenami, ale że mogłaby się z nim zobaczyć sam na sam dzisiaj wieczorem, po obiedzie. Słowa te napisano na nieporządnej kartce, bez daty i adresu, lecz pismo było pewne i skreślone swobodną ręką. Ubawiła go myśl o jej weekendzie w paradnej pustelni Skuytercliff, lecz natychmiast potem pojął, że tam właśnie, ze wszystkich możliwych miejsc, będzie mogła najbardziej odczuć chłód umysłów surowo odwracających się od wszystkiego, co „nieprzyjemne”.

Zjawił się u pana Letterblaira punktualnie o siódmej, zadowolony, że będzie miał pretekst, by wyrwać się niedługo po obiedzie. Wyrobił już sobie zdanie po przeczytaniu tych papierów, jakie mu powierzono, i nie miał szczególnej ochoty wnikać w tę sprawę ze swoim starszym wspólnikiem. Pan Letterblair był wdowcem, jedli więc obiad sami, racząc się suto i z namaszczeniem, w ciemnym, ponurym pokoju zawieszonym poźółkłymi rycinami „Śmierć Chathama” i „Koronacja Napoleona”. Na kredensiku w stylu sheratońskim, pomiędzy żłobkowanymi przegródkami na noże, stała karafka z Haut Brion i druga ze starym porto firmy Lanning (prezent od klienta), które ten nicpoń Tom Lanning wyprzedał na rok czy dwa przed swoją tajemniczą i hańbiącą śmiercią w San Francisco - wypadek mniej publicznie upokarzający dla rodziny niż sprzedaż piwnic.

Po łagodnej w smaku zupie z ostryg zjawiła się aloza i ogórki, następnie młodziutki pieczony indyk z frytkami oraz dzika kaczka z porzeczkową galaretką i selerowym majonezem. Pan Letterblair, który jadł lunch złożony z kanapki i herbaty, spożywał teraz obiad z rozwagą i głębokim namysłem i nalegał, by gość poszedł za jego przykładem. Wreszcie, gdy końcowe obrzędy zostały dopełnione, zdjęto obrus, panowie zapalili cygara i pan Letterblair, odchyliwszy się w swoim fotelu i odsunawszy na bok porto, odezwał się, nadstawiając z przyjemnością plecy w stronę rozpalonego kominka.

- Cała rodzina jest przeciwko rozwodowi. I ja podzielam ich zdanie.

Archer natychmiast poczuł się upoważniony do wystąpienia z własnym argumentem.

- Ależ dlaczego, proszę pana? Jeżeli kiedykolwiek wyłoniła się ta sprawa...

- To i cóż... i co z tego? Ona jest tutaj, on tam, a między nimi Atlantyk. Ona nigdy

nie dostanie z powrotem ani dolara więcej ze swoich pieniędzy poza tym, co on dobrowolnie jej zwróci. Ich piekielne pogańskie umowy dotyczące majątku żony wyjątkowo dobrze już to obwarowały. Kiedy wszczęto sprawę, Olenski postąpił wspaniałomyślnie. Mógł ją zostawić bez centa.

Młody człowiek wiedział o tym i milczał.

- Chociaż wiem - ciągnął dalej pan Letterblair że ona nie przywiązuje wagi do pieniędzy. Dlatego też, jak powiada rodzina, czy nie lepiej zostawić to swojemu biegowi?

Archer pojechał do domu godzinę wcześniej całkowicie dzieląc punkt widzenia pana Letterblaira. Jednakże w ustach tego samolubnego, dobrze odżywionego i obojętnego starca nagle zabrzmiało to jak faryzeuszowski głos towarzystwa zaabsorbowanego bez reszty odgradzaniem się od wszystkiego, co niemiłe.

- Sądzę, że decyzja należy do niej.

- Hm, czy pan przewidział konsekwencje, jeśli ona zdecyduje się na rozwód?

- Ma pan na myśli pogrożki w liście jej męża? Jakież to by mogło mieć znaczenie? Jest to po prostu niesprecyzowany atak rozwścieczonego łajdaka.

- Tak. Lecz to może spowodować nieprzyjemną rozmowę, jeśli ona naprawdę wygra proces.

- Nieprzyjemną! - wykrzyknął Archer gwałtownie.

Pan Letterblair spojrział na niego spod wygiętych ze zdziwienia brwi i młody człowiek świadom bezcelowości tłumaczenia mu tego, co miał na myśli, skłonił się ulegle, w milczeniu, a jego zwierzchnik mówił dalej:

- Rozwód jest zawsze nieprzyjemny. - Po ciszy pełnej oczekiwania pan Letterblair podjął na nowo: - Zgadza się pan ze mną?

- Oczywiście - przytaknął Archer.

- A zatem mogę liczyć na pana? I Mingottowie również, że użyje pan swojego wpływu, by ją odwieść od tego pomysłu?

Archer zawahał się.

- Nie mogę się zobowiązywać, dopóki nie zobaczę się z hrabiną Olenską - powiedział wreszcie.

- Panie Archer, nie rozumiem pana! Chce pan wejść w rodzinę, nad którą wisi skandaliczny proces o rozwód?

- Nie sądzę, by to miało jakikolwiek związek z...

Pan Letterblair odstawił szklaneczkę z porto i utkwiał w swoim młodym wspólniku rozważne, pełne zrozumienia spojrzenie.

Archer pojął, że ryzykuje odwołanie powierzonego sobie zlecenia i z jakiejś niejasnej przyczyny nie spodobała mu się ta perspektywa. Teraz kiedy wręcz narzucono mu tę sprawę, nie zaproponował, że się jej zrzeknie; i aby zabezpieczyć się przed taką możliwością, pojął, że musi przekonać tego pozbawionego wyobraźni starca, który był prawnym sumieniem Mingottów.

- Zapewniam pana, sir, że nie zobowiązę się, dopóki nie złożę panu sprawozdania. To znaczy, że nie wyrażę swojej opinii, póki nie usłyszę, co ma do powiedzenia Madame Olenska.

Pan Letterblair skinął głową wyrażając w ten sposób aprobatę dla tego ogromu rozwagi godnej najwspanialszej nowojorskiej tradycji i młody człowiek, spojrzawszy na zegarek, tłumacząc się umówionym spotkaniem, wyszedł.

XII

Staroświecki Nowy Jork obiadował o siódmej i zwyczaj poobiednich zaproszeń - jakkolwiek wyśmiewany w sferze Archera - w dalszym ciągu powszechnie się utrzymywał. Gdy młody człowiek podążał Piątą Aleją od Waverley Place, długa arteria była prawie pusta, poza kilkoma pojazdami, które stały przed domem Reggie Chiversów (wydawano tu obiad na cześć księcia), i od czasu do czasu pojawiającej się postaci starszego dżentelmena w ciepłym płaszczu i szaliku, wstępującego na próg domu z czerwonobrazowego piaskowca i znikającego w hallu, oświetlonym lampami gazowymi. W ten sposób Archer, przeszedłszy Washington Square, dowiedział się, że stara pani du Lac zaprosiła swoich kuzynów Dagonetów, a zwróciwszy się w stronę rogu Zachodniej Dziesiątej ulicy zobaczył pana Skipwortha, swego starszego wspólnika z firmy, który bez wątpienia zdążył z wizytą do panny Lanning. Trochę dalej, na Piątej Alei, na progu własnego domu, ukazał się Beaufort; przez chwilę jego ciemna sylwetka zarysowała się w blasku światła, po czym wsiadł do swojej jednokonnej karety i pojechał ku tajemniczemu i nieodgadnionemu przeznaczeniu. Nie był to wieczór występów w Operze, nikt też nie wydawał przyjęcia, tak że wyjazd Beauforta był niewątpliwie tajemnej natury. Archer skojarzył to natychmiast z małym domkiem za Lexington Avenue, w którego oknach niedawno się pojawiły zasłonki i skrzynki z kwiatami, a przed świeżo pomalowanymi drzwiami często widywano kanarkowego koloru karetkę panny Fanny Ring.

Poza małą i śliską piramidą, która tworzyła świat pani Archer, leżał nieomal niezauważalny teren, zamieszkały przez artystów, muzyków i „ludzi piszących”. Owe rozproszone okruchy ludzkości nigdy nie wykazywały pragnienia, by łączyć się z tą trwałą strukturą społeczną. Ze względu na swój dziwny sposób bycia byliby nawet całkiem mile widziani; lecz woleli trzymać się ze sobą. Medora Manson, w czasach swojego dobrobytu, zainaugurowała „salon literacki”, który wkrótce umarł śmiercią naturalną, jako że literaci niechętnie doń uczęszczali.

Inni również czynili takie próby. Na przykład w domu pań Blenker - energiczna i wymowna matka oraz trzy niechlujne córki, które ją naśladowały - można było spotkać

Edwina Bootha i Patti, i Williama Wintera, i nowego szekspirowskiego aktora, George'a Rignolda, wydawców pism oraz muzycznych i literackich krytyków.

Pani Archer i jej otoczenie odczuwali pewną nieśmiałość wobec tych ludzi.

Byli jacyś dziwni, niepewni, nigdy się nie wiedziało, jakie tajemnice kryje ich życie i myśli. Literatura i sztuka cieszyły się respektem w sferze Archera i jego matka zadawała sobie zwykle niemało fatygi, by opowiadać, o ileż bardziej miłe i wykształcone było społeczeństwo, gdy przyjmowało w swoim gronie takich ludzi jak Washington Irving, Fitz - Greene Halleck czy twórca poematu „The Culprit Fay”. Najbardziej czczeni i sławieni pisarze owej generacji byli „dżentelmenami” ; możliwe, że ich nieznani następcy posiadali również dżentelmeńskie uczucia, ale ich pochodzenie, ich wygląd, ich włosy, ich zażyłość ze sceną i Operą nie odpowiadały starym nowojorskim kryteriom.

- Gdy byłam młodą dziewczyną - mawiała pani Archer - znaliśmy wszystkich mieszkańców pomiędzy Battery i Canal Street. I tylko osoby, które się znało, miały powozy. Wtedy więc nietrudno było je rozpoznać. Teraz nikt by nie potrafił i wolę nie próbować.

Tylko stara Katarzyna Mingott, pozbawiona moralnych przesądów i wykazująca nieomal parvenu obojętności wobec jakichś subtelniejszych wyróżnień, mogłaby przerzucić pomost nad tą przepaścią. Lecz ona nigdy nie otworzyła książki i nie spojrzała na żaden obraz, a muzyką interesowała się tylko dlatego, że przypominała jej galowe bale w „Italiens” , w czasach gdy odnosiła triumfy w Tuileries. Może Beaufort, który dorównywał jej śmiałością, zdołałby doprowadzić do pojednania. Jednakże jego ogromny dom i lokaje w jedwabnych pończochach stanowili przeszkodę dla swobodnych zebrań towarzyskich. A co więcej, był on równie nieuczony, jak stara pani Mingott, i uważał „tych, którzy piszą” , za zwykłych płatnych dostawców przyjemności dla bogaczy. I nikt dostatecznie bogaty, by móc wpłynąć na tę opinię, nigdy jej nie zakwestionował.

Newland Archer doskonale zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego, odkąd tylko sięgał pamięcią, i zaakceptował to jako część struktury swego wszechświata. Wiedział, że istnieją społeczeństwa, gdzie malarze, poeci, pisarze i ludzie nauki, a nawet wielcy aktorzy są równie poważani jak książęta. Często wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby

w intymnej atmosferze salonów przeważały rozmowy na temat Merimeego (z którego „Lettres a une Inconnue” prawie się nie rozstawał), Thackeraya, Browninga czy Williama Morrisa. Jednakże było to w Nowym Jorku nie do pojęcia i nie do pomyślenia. Archer znał większość „ludzi piszących”, muzyków i malarzy. Spotykał ich w „Century” albo w małych muzycznych i teatralnych klubach, które właśnie zaczynały powstawać. Podobali mu się tam, lecz był nimi znudzony u Blenkerów, gdzie zachłanne i niemodnie ubrane kobiety oprowadzały ich niczym zdobyczne osobliwości. Nawet po najbardziej podniecających dyskusjach z Nedeem Winsettem wychodził zawsze z uczuciem, że jeśli jego świat jest mały, to również taki sam jest i ich świat, i jedynym sposobem powiększenia obu tych światów byłaby stworzenie takich zwyczajów, które by mogły w sposób naturalny scalić te światy.

Przyszło mu to na myśl, kiedy próbował wyobrazić sobie towarzystwo, w którym hrabina Olenska obracała się i cierpiała, a również - co nie ulegało wątpliwości - smakowała owe tajemne radości. Z jakim rozbawieniem opowiadała mu, że babka i Wellandowie mają jej za złe mieszkanie w dzielnicy Bohemy, przeznaczonej dla „ludzi piszących”. Jej rodzina obawiała się nie tyle niebezpieczeństwa, co ubóstwa. Lecz widmo takowego ją ominęło i sądziła, że zechcą pójść na kompromis z literaturą.

Ona sama nie odczuwała żadnej obawy, książki wały się w jej salonie (miejsce, gdzie książki uważa się zazwyczaj „nie na swoim miejscu”), a chociaż były to przeważnie powieści, Archera zainteresowały takie nowe nazwiska, jak Paul Bourget, Huysmans i bracia Goncourt. Zatopiony w myślach znalazł się przed drzwiami jej domu, uświadomiwszy sobie raz jeszcze, w jak przedziwny sposób hrabina obaliła uznawane przez niego wartości i jak będzie musiał przystosować się do całkiem odmiennych warunków, jeżeli ma jej pomóc w obecnych trudnościach.

Nastazja otworzyła mu drzwi, uśmiechając się tajemniczo. Na ławie w hallu leżał płaszcz obsyty sobolowym futrem, melonik z ciemnego jedwabiu ze złotymi inicjałami J. B. i biały jedwabny szalik. Nie ulegało wątpliwości, że właścicielem tych eleganckich przedmiotów jest Juliusz Beaufort.

Archer był zły; tak zły, że zamierzał skreślić kilka słów na bileciku i odejść. Potem przypomniał sobie, że pisząc do Madame Olenskiej na skutek przesadnej dyskrecji nie wspominał, że chce ją zobaczyć sam na sam. Dlatego też może tylko siebie winić za to, że jej drzwi stały otworem dla innych gości. Wkroczył więc do salonu zdecydowany dać do zrozumienia Beaufortowi, że jest intruzem, i przetrzymać go.

Bankier, w szerokich czarnych lakierkach, stał z wypiętą piersią na jednej nodze opierając się o półkę nad kominkiem, spowitą starą haftowaną draperią, którą zdobił mosiężny kandelabr z wysokimi świecami. Kiedy Archer wszedł, Beaufort uśmiechał się spoglądając z góry na swą gospodynię, która siedziała na kanapie na prawo od kominka. Stół pełen kwiatów tworzył jakby zasłonę, a na tle orchidei i azalii, zapewne dar z oranżerii Beaufarta, siedziała Madame Olenska, na pół leżąc, z głową opartą na ręce, która wychylała się aż do łokcia z szerokiego rękawa sukni.

Zwyczajem dam, które przyjmowały wieczornych gości, było ubieranie się w tak zwane „proste suknie wizytowe”, które ciasno opinały pancerz z fiszbinów, a przymarszczona koronka zwykle zasłaniała lekkie pęknięcie przy szyi, wąskie rękawy z falbanką odsłaniały akurat tyle ręki, by widać było etruską złotą bransoletkę lub opaskę z aksamitu. Jednakże Madame Olenska, nie dbając o tradycję, była ubrana w długą suknię z czerwonego aksamitu, obszytą przy szyi i na przodzie puszystym czarnym futrem. Archer przypomniał sobie, że podczas ostatniego pobytu w Paryżu widział portret nowego malarza, Carolusa Duran, którego obrazy stały się sensacją Salonu Wystawowego. Portretowana dama ubrana była w jedną z tych śmiałych obcisłych sukien, z futrem sięgającym aż po brodę. Było coś perwersyjnego i prowokującego w tym kaprysie noszenia wieczorem futer w przegrzanych salonach i w tym połączeniu opatulonych szyi i gołych ramion. Niemniej wrażenia, jakich się doświadczało, należały bezsprzecznie do przyjemnych.

- Na litość boską... całe trzy dni w Skuytercliff! - mówił swym kpiącym tonem, w chwili gdy wchodził Archer. - Niech pani lepiej weźmie wszystkie swoje futra i butelkę z gorącą wodą.

- Czemu? Czy dom jest aż tak zimny? - spytała wyciągając ku Archerowi lewą

dłoń takim gestem, jakby spodziewała się, że ją ucałuje.

- Nie dom, ale jego pani - odpowiedział Beaufort skinąwszy niedbale głową młodemu człowiekowi.

- A ja uważałam ją za taką miłą. Sama tu się fatygowała, żeby mnie zaprosić. Babcia mówi, że naturalnie powinnam jechać.

- To babcia powinna pojechać. A ja uważam, że to wstyd i hańba, żeby pani wyjeżdżała i nie wzięła udziału w kolacyjce z ostrygami, jaką dla pani zaplanowałam u „Delmonica” w najbliższą niedzielę. Będzie Campanini i Scalchi, i mnóstwo wesółych osób.

Przeniosła niedowierzające spojrzenie z bankiera na Archera.

- Och, jakież to dla mnie pokusa! Poza tamtym wieczorem u pani Struthers nie spotkałam jeszcze ani jednego artysty.

- A jakiego rodzaju artysty? Znam jednego czy nawet dwóch bardzo dobrych malarzy, których mógłbym przyprowadzić, jeśli pani pozwoli - zaproponował Archer śmiało.

- Malarzy? A czy w Nowym Jorku są malarze? - spytał Beaufort tonem dającym do zrozumienia, że skoro on nie kupił ich obrazów, to znaczy, że nie mu takowych.

Madame Olenska zwróciła się do Archera z poważnym uśmiechem:

- To byłoby cudowne. Ale ja właściwie miałam na myśli dramaturgów, aktorów i muzyków. Dom mego męża był ich zawsze pełen.

Słowa „mego męża” wymówiła tak, jakby nie nasuwały żadnych żalonych skojarzeń, i takim tonem, który zdawał się być niemal westchnieniem za utraconymi przyjemnościami małżeńskiego życia. Archer spojrzał na nią zmieszany, zastanawiając się, czy to lekkomyślność, czy umiejętność udawania umożliwiły jej mówienie z taką swobodą o przeszłości teraz, kiedy ryzykując całą swoją reputacją chciała z nią zerwać.

- Myślę - ciągnęła dalej zwracając się do obu mężczyzn - że to imprevu przysparza przyjemności. Chyba błędem jest widywać co dzień tych samych ludzi.

- A w każdym razie jest piekielnie nudne. Nowy Jork umiera wprost z nudów - utyskiwał Beaufort. - A kiedy ja próbuję go dla pani ożywić, pani mnie opuszcza. Proszę

to przemyśleć! Niedziela to pani ostatnia szansa, ponieważ Campanini w przyszłym tygodniu wyjeżdża do Baltimore i Filadelfii. Mam swoją prywatną salę i Steinwaya i będą dla mnie śpiewać przez całą noc.

- Cóż za rozkosz! Mogę się nad tym zastanowić i dać panu odpowiedź jutro rano?

Mówiła uprzejmie, lecz w głosie jej brzmiała lekka nuta jakby odprawy.

Beaufort najwyraźniej wyczuł to i nie będąc przyzwyczajony do odpraw, stał wpatrując się w hrabinę, a na czole jego pojawiła się zmarszczka znamionująca upór.

- Czemu nie teraz?

- To zbyt poważny problem, by decydować o tym o tak późnej porze.

- Pani nazywa to późną porą?

Odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem.

- Tak. Ponieważ muszę jeszcze chwilę porozmawiać z panem Archerem o interesach.

- Ach! - warknął Beaufort. Ponieważ w głosie jej nie było zachęty, wzruszył lekko ramionami i opanowawszy się ujął jej dłoń, ucałował z wielką wprawą i krzyknawszy od progu: - Newland, jeżeli zdoła pan nakłonić hrabinę, żeby została w mieście, jest pan również proszony na kolację! - wyszedł z pokoju swoim ciężkim, pewnym siebie krokiem.

Przez chwilę Archer pomyślał, że pan Letterblair musiał ją zawiadomić o jego wizycie; jednakże następna uwaga, nie mająca zupełnie z tym związku, kazała mu zmienić zdanie.

- A więc zna pan malarzy? Pan obraca się w ich milieu? - spytała, a oczy jej błyszczały zainteresowaniem.

- Och, niezupełnie. Nie przypuszczam, by sztuki piękne posiadały tutaj milieu i to żadna z jej przedstawicielek. One stanowią tutaj zaledwie bardzo wąziutki margines.

- Ale pana interesuje?

- Ogromnie. Kiedy przebywałem w Paryżu lub Londynie, nigdy nie opuściłem żadnej wystawy. Staralem się wszystkie pilnie śledzić.

Spojrzała na nosek swego atlasowego pantofelka, który wychylał się spośród fałdów długiej sukni.

- Ja też interesowałam się tym ogromnie! Moje życie pełne było artystów.
- Nie chce pani znów popróbować?
- Nie. Chcę odrzucić całe moje dawne życie, by stać się po prostu taką jak

wszyscy tutaj.

Archer poczerwieniał. - Pani nigdy nie będzie taka jak wszyscy - powiedział.

Uniosła lekko swe proste brwi.

- Och, niech pan tak nie mówi. Gdyby pan wiedział, jak ja nienawidzę być inna!

Twarz jej stała się ponura jak maska greckiego tragika. Pochyliła się do przodu zaciskając na kolanie swe szczupłe dłonie i wpatrzyła się w odległą ciemność.

- Chcę uciec od tego wszystkiego - upierała się.

Czekał chwilę, a potem odchrząknął.

- Wiem, właśnie pan Letterblair powiedział mi...

- Doprawdy?

- Dlatego tutaj przyszedłem. Prosił mnie o to... pani wiedziała, że pracuję w tej firmie...

Wyglądała na zdumioną, po czym oczy jej rozbliły.

- To znaczy, że pan może poprowadzić tę sprawę dla mnie? Mogę rozmawiać z panem, a nie z panem Letterblair? Och, o ileż to będzie łatwiejsze.

Jej ton poruszył go, wraz z samozadowoleniem wzrosła jego pewność siebie.

Zrozumiał, że wspomniała Beaufortowi o interesach po prostu dlatego, żeby się go pozbyć. A pokonanie Beauforta było w pewnym sensie triumfem.

- Przyszedłem właśnie, by o tym pomówić - powtórzył.

Siedziała w milczeniu, głowa jej w dalszym ciągu opierała się na ręce, która spoczywała na oparciu kanapy. Twarz jej była blada i zgaszona, jakby przyćmiona przez jaskrawą czerwień sukni. Uderzyło raptem Archera, iż przypomina wzruszającą, a nawet żalną figurkę.

A teraz dochodzimy do poważnych faktów - pomyślał uświadamiając sobie, że sam instynktownie wzdryga się przed tym, co tak często krytykował u swojej matki i jej znajomych. Lecz jakże małe posiadał doświadczenie, by radzić sobie w tak

niezwykłych sytuacjach! Nie był obznajomiony z ich słownictwem, które zdawało się należeć do świata powieści i sceny. W obliczu tego, co go oczekiwało, poczuł się równie niezdarny i zakłopotany jak mały chłopiec.

Po chwili Madame Olenska przerwała ciszę z niespodziewaną gwałtownością:

- Chcę być wolna! Chcę wymazać przeszłość!

- Rozumiem to.

Twarz jej płonęła.

- A więc pomoże mi pan?

- Po pierwsze - zawahał się - chyba powinienem wiedzieć trochę więcej...

Wyglądała na zdziwioną.

- Pan wie o moim mężu... o moim z nim pożyciu?

Skinął głową potwierdzająco.

- No cóż, wobec tego, co można tu dodać więcej?

Czy w tym kraju są tolerowane takie rzeczy? Jestem protestantką... w takich przypadkach nasz Kościół nie zabrania rozwodów.

- Oczywiście, że nie.

Znów zamilkli oboje i Archer czuł, jak widmo listu hrabiego Olenskiego wykrzywia się obrzydliwie stając między nimi. List był zaledwie półstronicowy i zawierał właśnie to, co przekazał panu Letterblair podczas rozmowy z nim; niejasne oskarżenia rozwścieczonego łajdaka. Lecz jaka kryła się za nim prawda? Mogła na to odpowiedzieć tylko żona hrabiego.

- Przejrzałem papiery, jakie pani przekazała panu Letterblair - odezwał się w końcu.

- No... czy może być coś bardziej obrzydliwego?

- Nie.

Nieznacznie zmieniła pozycję, uniosła dłoń przysłaniając nią oczy.

- Oczywiście orientuje się pani - ciągnął Archer - że jeśli pani mąż zamierza wytoczyć sprawę... a grozi tym...

- To co?

- Może mówić o sprawach... sprawach nieprzy... które mogą być niemiłe dla pani... i to mówić o nich publicznie, tak że odbije się to głośnym echem i zaszkodzi pani, nawet jeśli...

- Jeśli co?

- Nawet jeśli były całkowicie wysrane z palca.

Milczała przez długą chwilę - tak długą, że nie chcąc wpatrywać się w jej spochmurniałą twarz, miał czas, by zapamiętać dokładnie kształt jej drugiej ręki, spoczywającej na kolanie, i wszystkie najdrobniejsze szczegóły trzech pierścionków na czwartym i piątym palcu. Nie zauważył wśród nich ślubnej obrączki.

- Jaką szkodę mogą mi tutaj wyrządzić te oskarżenia, jeżeli nawet zrobi to publicznie?

Na usta cisnęła mu się odpowiedź: „Moje biedne dziecko... o wiele większą szkodę niż gdziekolwiek indziej!”

Lecz miast tego odparł tonem, który w jego uszach zabrzmiał jak głos pana Letterblaira:

- Towarzystwo nowojorskie stanowi bardzo mały światek w porównaniu z tym, w którym pani żyła. I jest rządzone, mimo wszelkich pozorów, przez kilku ludzi, powiedzmy, o raczej staroświeckich poglądach.

Nic nie odpowiedziała, a on ciągnął dalej:

- Nasze poglądy na temat małżeństwa i rozwodu należą do szczególnie staroświeckich. Nasze ustawodawstwo popiera rozwód... natomiast nasze społeczeństwo nie.

- Nigdy?

- No cóż, nie wtedy, gdy przeciwko kobiecie, chociaż skrzywdzonej i chociaż bez skazy, przemawiają najłżejsze pozory lub też gdy przez jakiś niekonwencjonalny czyn naraziła się na... na przykre insynuacje...

Opuściła trochę niżej głowę, a on znów czekał, mając gorącą nadzieję, że okaże chociaż cień oburzenia lub przynajmniej głośno zaprzeczy. Nie zrobiła tego.

Malutki podróżny zegarek tykał monotonicznie tuż przy jej ręce, polano rozpadło się

na dwoje wznecając pióropusz iskier. Cały ten cichy i pogrążony w rozmyślaniach pokój zdawał się czekać w milczeniu wraz z Archerem.

- Tak - szepnęła w końcu - o tym właśnie mówiła mi moja rodzina.

Drgnął lekko.

- Nie jest to niczym niezwykłym...

- Nasza rodzina - poprawiła się. Archer poczerwieniał. - Ponieważ będzie pan wkrótce moim kuzynem - ciągnęła uprzejmie.

- Mam nadzieję.

- I pan podziela ich punkt widzenia?

Podniósł się na te słowa, przeszedł przez pokój, wpatrzył się pustym wzrokiem w jeden z obrazów zawieszonych na tle czerwonego adamaszku i wrócił zdecydowanym krokiem na swoje poprzednie miejsce. Jak mógł jej powiedzieć: „Tak, jeśli to, o czym wspomina małżonka, jest prawdą i jeśli pani nie jest w stanie temu zaprzeczyć”.

- Szczerze mówiąc wtrąciła, kiedy właśnie miał się odezwać.

Popatrzył w ogień.

- Szczerze więc mówiąc... cóż mogłaby pani zyskać, co wynagrodziłoby możliwość... a nawet pewność tej podłej gadaniny?

- A moja wolność... czy to jest bez znaczenia?

W tym momencie nagle olśniło go, że oskarżenie zawarte w liście to prawda i że ona miała nadzieję poślubić tego, który uczestniczył w jej grzechu. W jaki sposób mógł jej powiedzieć - jeżeli żywiła taki plan - że prawa Stanów są nieugięte wobec takiego postępowania? Już od samego przypuszczenia, że podobna myśl zrodziła się w jej głowie, poczuł do niej odrazę i stracił cierpliwość.

- A czyż nie jest pani równie wolna jak ptak w przestworzach? - odparował. - Kto może panią tknąć? Pan Letterblair mówił mi, że sprawy finansowe zostały załatwione...

- Och, tak - odparła obojętnie.

- A więc, czy warto ryzykować to, co mogłoby się okazać bardzo niemiłe i bolesne? Proszę pomyśleć o prasie... o drukowanych tam oszczerstwach!

Wszystko jest głupie, ograniczone i niesprawiedliwe... lecz nie można przerobić

społeczeństwa.

- Nie - zgodziła się; jej głos był tak słaby i strapiony, że poczuł nagle wyrzuty sumienia z powodu swoich surowych sądów.

- W takich przypadkach jednostka prawie zawsze poświęca się temu, co uważa za interes ogółu. Ludzie trzymają się kurczowo każdej konwencji, która pozwala scalać rodzinę... chroni dzieci, jeżeli są takowe - wyrzucił z siebie lawinę frazesów, jakie cisnęły mu się na usta. Jednocześnie gorąco pragnął ukryć okrutną prawdę, którą jej milczenie zdawało się obnażać.

Skoro nie chciała czy nie mogła powiedzieć choćby jednego słowa, które by oczyściło atmosferę, pragnął przynajmniej, by nie poczuła, że on próbuje wnikać w jej tajemnicę. Lepiej zachować roztropność, jak nakazuje stary nowojorski zwyczaj, niż ryzykować rozjątrzenie rany, której nie potrafi zaleczyć.

- Jak pani wiadomo, moim zadaniem jest pomóc pani spojrzeć na te sprawy tak, jak je widzą ludzie, którzy panią kochają - Mingottowie, Wellandowie, van der Luydenowie, wszyscy pani przyjaciele i krewni. Gdybym nie przedstawił pani uczciwie, jak oni osądzają takie sprawy, nie byłoby to chyba z mojej strony fair, nieprawdaż? - Mówił natarczywie, jakby w tej swojej gorliwości prosił ją o przerwanie nieznośnej ciszy.

- Nie, to nie byłoby fair - powiedziała wolno. Polana na kominku spopieliała, a jedna lampa zaskwierczała ostrzegawczo. Madame Olenska wstała, podkręciła knot i powróciła do kominka, lecz nie zajęła swego poprzedniego miejsca.

To, że nie usiadła, zdawało się oznaczać, iż nie mają sobie nic więcej do powiedzenia, wobec tego Archer również się podniósł.

- Dobrze, zrobię, co pan sobie życzy - powiedziała nagle.

Krew nabiegła mu do skroni; uderzony nagłością tej kapitulacji chwycił niezdarnie jej dłoń w swoje ręce.

- Ja... ja tak pragnę pani pomóc - powiedział.

- Pan mi pomaga. Dobranoc, kuzynie.

Pochylił się, dotykając ustami jej dłoni, które były zimne i jakby pozbawione życia. Cofnęła je i Archer odwrócił się w stronę drzwi; w hallu, w słabym świetle gazowej lampy,

odnalazł swój płaszcz i kapelusz i wyszedł w zimową noc, a wewnątrz aż kipiało w nim to wszystko, czego nie zdołał wypowiedzieć.

XIII

Tego wieczora teatr Wallacka był zapełniony.

Grano „The Shaughraun” z Dionem Boucicault w roli tytułowej oraz Harrym Montaque i Adą Dyas jako parą kochanków. Popularność podziwianej angielskiej trupy sięgała szczytów, a „Shaughraun” zawsze miał pełen komplet. Zwłaszcza na galeriach entuzjazm był szczery; w krzesłach i łóżach widzowie uśmiechali się nieznacznie z wyświechtanych frazesów i efekciarskich sytuacji i bawili się sztuką w równym stopniu jak ci na galeriach.

Szczególnie jeden epizod trzymał w napięciu widownię od pierwszych aż po ostatnie rzędy. Była to smutna, prawie milcząca scena rozstania kochanków, kiedy to Harry Montaque wypowiada do Ady Dyas słowa pożegnania i odwraca się, by odejść. Aktorka, która stoi przy kominku zapatrzona w ogień, ubrana jest w szarą kaszmirową suknię, bez żadnych modnych pętelek i ozdóbek, dopasowaną do jej wysokiej figury i układającą się w fałdy wokół stóp. Na szyi ma zawiązaną aksamitkę, której końce spływają na plecy.

Gdy zalotnik odchodzi, ona opiera się ramionami o gzyms kominka i ukrywa twarz w dłoniach. Od progu Montaque odwraca się jeszcze, by na nią popatrzeć, po czym rzuca się na powrót ku ukochanej, chwyta jeden koniec aksamitki, całuje go i opuszcza pokój. Ona nawet tego nie dostrzega ani nie zmienia postawy. I na tej milczącej scenie rozstania kurtyna opada.

Właśnie ze względu na tę szczególną scenę Newland chętnie chodził na przedstawienia „Shaughraun”. Uważał, że to pożegnanie Montaque'a z Adą Dyas jest tak znakomicie grane, iż nie oglądał nigdy takiego spektaklu ani w Paryżu z Croisette i Bressantem, ani w Londynie w wykonaniu Madge Robertson i Kendala. Owa powściągliwość, ten niemy smutek wzruszały go bardziej niż przesadna wylewność uczuć w wykonaniu najslawniejszych aktorów.

Tego wieczora ta mała scenka nabrała dodatkowej pikanterii przypominając mu - nie potrafił powiedzieć dlaczego - o rozstaniu z Madame Olenską po ich poufnej rozmowie, jaka odbyła się przed tygodniem czy dziesięcioma dniami.

Równie trudno byłoby doszukiwać się jakiegokolwiek podobieństwa pomiędzy tymi dwiema sytuacjami, jak między wyglądem osób, których one dotyczyły.

Archer w niczym nie przypominał młodego angielskiego aktora o ładnej marzycielskiej twarzy, natomiast Ada Dyas była wysoką rudowłosą kobietą potężnej budowy, której twarz, blada i ujmująco brzydka, całkowicie różniła się od żywych rysów Ellen Olenskiej. Poza tym Archer i hrabina nie stanowili pary kochanków, rozstających się w bolesnym milczeniu. Ona była klientką, on doradcą prawnym i żegnali się po rozmowie, która pozostawiła prawnikowi jak najgorsze wrażenie o sprawie jego klientki. Gdzież więc leżało podobieństwo, które sprawiało, iż serce jego biło z jakimś niezwykłym podnieceniem? Może tkwiło to w jej tajemniczej zdolności wywoływania niecodziennych, tragicznych wzruszeń poza utartymi codziennymi przeżyciami. Nigdy nie powiedziała do niego ani jednego słowa, które by mogło wywołać takie wrażenie, a które stanowiłoby część jej samej albo było wytworem jej tajemniczego i cudzoziemskiego wychowania, albo czymś dziedziczone dramatycznym, pełnym pasji i tak u niej niezwykłym. Archer zawsze skłonny był uważać, że przypadek i okoliczności grają znikomą rolę w kształtowaniu się ludzkich losów. O wiele silniejsza jest wrodzona skłonność do godzenia się z tym, co los zgotuje. Tę skłonność od samego początku wyczuwał u Madame Olenskiej. Spokojna, niemal bierna młoda kobieta natychmiast przywiodła mu na myśl właśnie tego rodzaju osobę, której muszą się przydarzać różne historie, niezależnie od tego, jak bardzo się przed nimi wzdraga i zbacza z drogi, by ich uniknąć. Podniecające było to, że żyła w atmosferze tak nabrzmiałej dramatem, że gdyby sama chciała go wywołać, nikt by tego nie zauważył. Ów całkowity u niej brak okazywania najlżejszego zdziwienia robił na nim wrażenie, jakby została wyrwana z jakiegoś wielkiego zamętu; sprawy, które brała za dobrą monetę, równoważyły się z tymi, przeciwko którym walczyła.

Archer opuścił ją w przeświadczeniu, że oskarżenie hrabiego Olenskiego nie było bezpodstawne... Owa tajemnicza osoba, która istniała w przeszłości jego żony jako „sekretarz”, najprawdopodobniej została wynagrodzona za swój udział w jej ucieczce. Warunki, od jakich uciekła, były nie do zniesienia, nie do opowiedzenia i wprost nie do wiary; była młoda, przerażona, w rozpacz - czyż nie jest więc naturalne, że czuła

wdzięczność dla swego wybawcy? Szkoda tylko, że ta wdzięczność postawiła ją - tak w oczach prawa, jak i całego świata - na równi z jej odrażającym małżonkiem. Archer zrobił wszystko, żeby to zrozumiała, tak jak był do tego zobligowany. Uświadomił jej również, że prostoduszny, układny Nowy Jork - na którego szczerą wyrozumiałość najwyraźniej liczyła - stanowił akurat to miejsce, gdzie mogła mieć nadzieję zaledwie na pobłażliwość.

To, że musiał jej ten fakt uzmysłowić - i być świadkiem, z jaką rezygnacją go przyjęła - było dla niego niewypowiedzianie bolesne. Czuł, że przyciąga go do niej jakieś niejasne uczucie zazdrości i żalu, jak gdyby to nieme wyznanie zdało ją na jego łaskę, upokarzając ją, lecz jednocześnie wzbudzając czułość. Cieszył się, że to jemu wyjawiała swój sekret, a nie wobec chłodno dociekliwego pana Letterblaira czy też krępujących spojrzeń rodziny. On natychmiast wziął to na siebie, by zapewnić i jedną, i drugą stronę, że hrabina zaniechała myśli o rozwodzie, opierając swą decyzję na tym, że zrozumiała beznadziejność takiego wystąpienia; a oni wszyscy z niezmierną ulgą odwrócili się od tej „przykrew sprawy” , jakiej im zaoszczędziła.

- Byłam pewna, że Newland to załatwi - powiedziała pani Welland, dumna ze swego przyszłego zięcia. A stara pani Mingott, która zaprosiła go na intymne zwierzenia, złożyła mu gratulacje z powodu jego sprytu, po czym dodała niecierpliwie:

- Głupia gęś! Sama jej mówiłam, jaki to nonsens. Chcieć przeżyć życie w samotności i staropanieństwie, kiedy ma szczęście być mężatką i do tego hrabiną!

Wypadki rozgrywające się na scenie, tak żywo przypominały młodemu człowiekowi jego ostatnią rozmowę z Madame Olenską, że gdy kurtyna opadła po scenie rozstania dwojga aktorów, oczy jego napęłniły się łzami; podniósł się, by wyjść z teatru.

Kiedy opuszczał salę, odwrócił się raptem i ujrzał ową damę, o której rozmyślał, siedzącą w łoży z Beaufortami, Lawrencem Leffertsem i jeszcze z jakimiś dwoma panami. Nie rozmawiał z nią od tamtego wieczoru i unikał jej towarzystwa. Jednakże teraz oczy ich się spotkały i kiedy w tym samym momencie zauważyła go pani Beaufort i skinęła zapraszając go lekkim, omdlewającym ruchem niepodobieństwem było nie wejść do łoży.

Beaufort i Lefferts zrobili mu przejście i zamieniwszy kilka słów z panią Beaufort

która lubiła pięknie wyglądać, ale nie lubiła rozmawiać, Archer usadowił się za Madame Olenską. W loży był jeszcze pan Sillerton Jackson który konfidencjonalnym półgłosem opowiadał pani Beaufort o ostatnim sobotnim przyjęciu u pani Lemuelowej Struthers (gdzie, jak niektórzy opowiadali, były nawet tańce). Korzystając z tej okolicznościowej opowiadki, której pani Beaufort przysłuchiwała się ze swoim najpiękniejszym uśmiechem i z głową pochyloną pod odpowiednim kątem, by jej profil widoczny był z krzeseł na parterze, Madame Olenska odwróciła się ku niemu i odezwała cichym głosem:

- Czy nie sądzi pan - spytała spoglądając na scenę - że on pośle jej jutro rano bukiet żółtych róż?

Archer poczerwieniał i serce jego drgnęło ze zdziwienia. Był dwukrotnie zapraszany do hrabiny i za każdym razem posyłał jej pudło żółtych róż i zawsze bez bileciku. Nigdy dotąd nie robiła na ten temat aluzji i sądził, że nie wiedziała, iż on jest ofiarodawcą kwiatów. Teraz jej nagłe uznanie dla podarunku i skojarzenie tego z czułą sceną rozstania sprawiło mu ogromną przyjemność.

- Ja też o tym myślałem... zamierzałem opuścić teatr, by zabrać ten obraz ze sobą - powiedział.

Ku jego zdumieniu policzki jej powoli zabarwiły się ciemnym rumieńcem.

Spojrzała na oprawną w macicę perłową lornetkę, którą przytrzymała dłońmi w gładkich rękawiczkach, i spytała po chwili:

- Co pan robi, kiedy nie ma May?

- Poświęcam się pracy - odparł niezadowolony z tego pytania.

Posłuszni z dawna ustalonym zwyczajom Wellandowie w ubiegłym tygodniu wyjechali do St. Augustine, gdzie, ze względu na rzekomą podatność pana Wellanda na bronchity, zawsze spędzali drugą połowę zimy. Pan Welland, który był potulnym i cichym człowiekiem, nie posiadał własnego zdania, ale za to wiele przyzwyczajień. Właśnie tym przyzwyczajeniom nikt nie miał prawa się przeciwstawić; między innymi wymagał, by żona i córka zawsze razem z nim wyjeżdżały w coroczną podróż na południe. Dla spokoju jego umysłu było istotne, by wieść niczym niezmałcone życie w ciepłe domowego ogniska; mógłby nie wiedzieć, gdzie leżą jego szczotki do włosów czy też jak przykleić

znaczkę do listów, gdyby pani Welland mu o tym nie powiedziała.

Ponieważ wszyscy członkowie rodziny uwielbiali się nawzajem i ponieważ pan Welland był centralną postacią ich bałwochwalstwa, nigdy nie przyszło do głowy ani jego żonie, ani córce, by pozwolić mu jechać samemu do St.

Augustine; a jego synowie, obydwaj prawnicy, którzy nie mogli wyjechać z Nowego Jorku w zimie, zawsze przyjeżdżali na Wielkanoc i potem wracali wszyscy razem.

Byłoby całkiem bezcelowe, gdyby Archer chciał dyskutować, czy May rzeczywiście powinna towarzyszyć swemu ojcu. Opinia lekarza domowego Mingottów opierała się po większej części na rzekomym zapaleniu płuc pana Wellanda i tym bardziej jego naleganie na wyjazd do St. Augustine było nieugięte. Początkowo zamierzano ogłosić wiadomość o zaręczynach dopiero po powrocie May z Florydy, bowiem nie można było oczekiwać, żeby przez wcześniejsze ich ogłoszenie pan Welland zmienił plany. Archer może by nawet chętnie przyłączył się do podróżników i spędził kilka tygodni opalając się i wiosłując na łódce ze swoją narzeczoną, lecz on także był związany zwyczajami i konwenansami. Jego obowiązki zawodowe należały do niezbyt uciążliwych, niemniej cały klan Mingottów mógłby go posądzić o lekkomyślność, gdyby spróbował poprosić o urlop w środku zimy. Przyjął więc rozstanie z May z rezygnacją, która, jak przewidywał, stanie się jednym z głównych przykazań ich życia małżeńskiego.

Zdawał sobie sprawę, że hrabina przygląda mu się spod opuszczonych powiek.

- Zrobiłam, co pan sobie życzył... co pan mi radził - powiedziała nagle.

- Och, cieszę się - odparł zakłopotany, że porusza ten temat w takim momencie.

- Zrozumiałam... że pan miał rację - ciągnęła trochę jakby z lekką zadyszka -
jednakże życie czasem jest trudne... pełne zawłości...

- Wiem.

- I chciałam panu powiedzieć, iż jestem całkowicie przeświadczona, że miał pan rację, i jestem panu wdzięczna - zakończyła podnosząc szybkim ruchem lornetkę do oczu, gdy drzwi łoży otworzyły się i dobiegł ich donośny głos Beauforta.

Archer wstał ze swojego miejsca, wyszedł z łoży i z teatru.

Zaledwie wczoraj otrzymał list od May, w którym z tą swoją charakterystyczną otwartością prosiła go, by był miły dla Ellen podczas ich nieobecności. „Ona tak bardzo Ciebie lubi i ogromnie podziwia, i jak wiesz, chociaż tego nie okazuje, jest ciągle bardzo samotna i nieszczęśliwa. Nie sadzę, żeby ją babunia rozumiała albo też wuj Lovell. Oni naprawdę myślą, że Ellen wie tu światowe życie i pochłania ją towarzystwo, a wcale tak nie jest. Doskonale widzę, że Nowy Jork wydaje jej się nudny, chociaż rodzina nie chce tego przyznać. Sadzę, że jest przyzwyczajona do mnóstwa rzeczy, których my nie mamy: piękna muzyka, wystawy obrazów i różne znakomitości - artyści i pisarze, i wszyscy ci mądry ludzie, których tak podziwiasz. Babunia nie może zrozumieć tych jej potrzeb, poza ciągłym urządzaniem obiadów i kupowaniem sukien... lecz widzę, że Ty chyba jesteś jedyną osobą w Nowym Jorku, która potrafi z nią rozmawiać o tym, na czym jej naprawdę zależy”.

Jego mądra May - jakże ją kochał za ten list. Niemniej wcale nie zamierzał postępować zgodnie z jej wytycznymi. Był zbyt zajęty, by się zajmować takimi sprawami, a jako człowiek zaręczony nie chciał grać zbyt otwarcie roli obrońcy Madame Olenskiej. Był przeświadczony, że ona stokroć lepiej wie jak sobie radzić, niż May w swej niewinności przypuszcza. Ma u swych stóp Beauforta, pan van der Luyden czuwa nad nią niczym opiekuńcze bóstwo i wielu innych kandydatów (wśród nich Lawrence Lefferts), czekających tylko na swoją szansę z odpowiedniej odległości. Jednakże nigdy nie spoglądał na nią ani też nie zamienił z nią słowa, by nie prześladowało go uczucie, że mimo wszystko, May w swej niewinności przejawiała niemal dar jasnowidzenia. Ellen Olenska była samotna i nieszczęśliwa.

XIV

Kiedy Archer wyszedł do foyer, natknął się na swego znajomego, Neda Winsetta, jednego z tych „mądrych ludzi” , jak ich określała Janey, z którym chciałby nawiązać bliższe stosunki, nie ograniczające się wyłącznie do spotkań w klubie, upływających na domowych ploteczkach i żartach.

Spoglądając po sali zauważył już przedtem przygarbione plecy Winsetta w wyświechtanym ubraniu i raz nawet pochwycił jego spojrzenie skierowane na łożę Beauforta. Uścisnęli sobie dłonie i Winsett zaproponował kufel piwa w niemieckiej restauracji, znajdującej się tuż za rogiem. Archer, który, nie był w nastroju do rozmowy, jaką by tam mogli prowadzić, wymówił się, że ma dużo pracy w domu. Winsett powiedział:

- Och, jeśli o to chodzi, to ja pragnąłbym również być takim Pracowitym Terminatorem.

Szli dalej razem i w końcu Winsett odezwał się:

- Mówiąc prawdę, to chciałbym się dowiedzieć, jak się nazywa owa ciemnowłosa dama w tej waszej napuszonej łoży... Beaufortów, prawda? Ta, którą pański przyjaciel Lefferts jest najwyraźniej oczarowany.

Archer nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego poczuł się z lekka urażony. Po cóż, do diabła, potrzebne jest Nedowi nazwisko Ellen? A na domiar wszystkiego, dlaczego je łączy z Leffertsem? Taka ciekawość nie pasowała do Winsetta. Jednakowoż, jak Archer sobie przypominał, był to przecież dziennikarz.

- Mam nadzieję, że nie jest to wywiad? - roześmiał się.

- No... nie dla prasy, tylko dla mnie - odparł Winsett. - Otóż ona jest moją sąsiadką - szczególnie to, co prawda, dzielnica, by mieszkała taka piękność - i okazała niesłychaną uprzejmość mojemu małemu, który puszczając latawca upadł przed jej domem i paskudnie się skaleczył. Przybiegła do nas z gołą głową, trzymając go w ramionach, z kolanem już pięknie zabandażowanym, a była przy tym tak urocza i śliczna, że żona z tego oszołomienia nie spytała jej o nazwisko.

Serce Archera nappełniło się miłym ciepłem. W opowieści tej nie było nic

nadzwyczajnego. Każda kobieta zrobiłaby to samo dla dziecka sąsiadów. Ale czuł, że w tym postępku była cała Ellen: przybiegająca z odkrytą głową z chłopcem w ramionach i wprawiająca biedną panią Winsett w takie oszołomienie, że aż zapomniała spytać, kim jest.

- To hrabina Olenska... wnuczka starej pani Mingott.

- Fiu, fiu, hrabina! - zagwizdał Ned. - No cóż, nie przypuszczałem, że hrabiny mogą być dobrymi sąsiadkami. Bo Mingottowie do takich nie należą.

- Byliby, gdybyście im pozwolili.

- No, cóż... - Był to ich stary, niezmienny argument na obsesyjną niechęć „mądrych ludzi” do odwiedzania modnych domów, i obydwaj mężczyźni wiedzieli, że nie ma sensu przedłużać rozmowy na ten temat.

- Ciekaw jestem - przerwał milczenie Winsett jak to się stało, że hrabina mieszka w naszej brudnej dzielnicy?

- Ponieważ nie dba ani o to, gdzie mieszka, ani też o żaden z naszych towarzyskich drogowskazów - powiedział Archer ze skrywaną dumą, że ma swój własny o niej osąd.

- Hm... przypuszczam, że musiała bywać w większych miastach - skomentował drugi mężczyzna. - Tutaj już skręcam.

Powlókł się dalej przez Broadway, a Archer stał spoglądając za nim i zastanawiając się nad sensem jego ostatnich słów.

Ned Winsett posiadał takie właśnie przebliski przenikliwości i to chyba było w nim najbardziej interesujące. Zawsze wprawiało Archera w zdumienie, jak owa przenikliwość pozwala godzić się z tyloma niepowodzeniami, gdy tymczasem większość mężczyzn w jego wieku nie przestawałaby walczyć.

Archer wiedział, że Winsett ma żonę i dziecko, ale nigdy ich nie widział.

Dwaj mężczyźni spotykali się zwykle w klubie „Century” albo na zebraniach dziennikarzy i ludzi teatru w tego rodzaju restauracjach, jaką Winsett niedawno zaproponował.

Dał Archerowi do zrozumienia, że jego żona jest inwalidką. Ta biedna kobieta

mogła rzeczywiście nią być, a mogło to po prostu oznaczać, że jest nieobyta towarzysko lub nie posiada wieczorowych strojów - może oznaczało i jedno, i drugie. Sam Winsett był zaciekłym wrogiem towarzyskich form.

Archer, który przebierał się na wieczór, ponieważ uważał, że jest to i higieniczniej, i wygodniej, i który nigdy nie zastanawiał się, że czystość i wygoda to dwa najkosztowniejsze artykuły we współczesnym budżecie, przypuszczał, że zachowanie Winsetta to po części poza tej nudnej Bohemy, która uważa, że modni ludzie to tacy, co zmieniają ubrania, nie mówiąc o tym, i nigdy nie rozwodzą się nad ilością służby, jaką trzymają, i przez to wydają się prości i mniej absorbujący od innych. Niemniej Winsett zawsze go zaciekawiał i ilekroć spostrzegwał szczupłą brodatą twarz dziennikarza i jego pełne melancholii oczy, wywabiał go z kąta i wyciągał na dłuższą pogawędkę.

Winsett nie został dziennikarzem z wyboru. Był po prostu literatem, lecz na nieszczęście urodził się w świecie, który nie potrzebował literatury. I tak po opublikowaniu tomu krótkich i niezwykłych literackich esejów krytycznych, z których sprzedano sto dwadzieścia egzemplarzy, trzydzieści rozdano, a resztę ostatecznie zniszczyli wydawcy (zgodnie z kontraktem), by zrobić miejsce dla bardziej kasowej książki, zaniechał swego prawdziwego powołania i przyjął posadę redaktora w tygodniku kobiecym, gdzie mody i wykroje przeplatały się z miłosnymi opowieściami z Nowej Anglii i ogłoszeniami o napojach bezalkoholowych.

Praca we „Rozmowach przy kominku” (tak się ów tygodnik nazywał) niesłychanie go bawiła. Lecz pod tą zabawą kryło się poczucie beznadziejności, gorycz młodego jeszcze człowieka, który próbował się wybić dał za wygraną. Po rozmowie z nim Archer zawsze dokonywał oceny własnego życia i stwierdzał, że niewiele ono zawiera, ale mimo wszystko Winsett chyba jeszcze mniej osiągnął i chociaż ich rozmowy były ożywione i błyskotliwe, na co wpływał normalny zasób ich intelektualnych zainteresowań i ciekawość życia, to wymiana poglądów pozostawała zwykle w granicach pełnego zadumy dyletantyzmu.

- Faktem jest, że życie dla żadnego z nas nie jest zbyt łaskawe - zauważył kiedyś Winsett. - Raz jestem na wozie, raz pod wozem i nic na to nie można poradzić. Mogę

tylko wytwarzać jeden produkt, na który nie ma tutaj popytu i nie będzie za mojego życia. Ale pan jest wolny i bogaty.

- Czemu pan się nie weźmie do czegoś? Jest ku temu tylko jedna droga... zająć się polityką.

Archer odchylił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. I tu właśnie od razu zaznaczała się różnica między Winsettem a ludźmi... pokroju Archera. Każdy w wytwornych towarzyskich kołach wiedział, że w metryce „dzentelmen nie może być politykiem”. Jednakże nie mógł powiedzieć tego Winsettowi wprost, odparł więc wymijająco:

- Proszę popatrzeć na karierę najuczciwszego człowieka w polityce amerykańskiej! Oni nas nie potrzebują.

- Kto to są „oni” ? Czemu wy wszyscy nie wystąpicie razem i sami nie staniecie się „nimi” ?

Śmiech zamarł Archerowi na ustach, przerodziwszy się w lekki protekcyjny uśmieszek. Nie było sensu przedłużać dyskusji. Każdy wiedział o smutnym losie kilku dzentelmenów, którzy ryzykowali swoją nieposzlakowaną reputację w municypalnych i stanowych władzach Nowego Jorku. Minęły już dni, kiedy takie rzeczy były możliwe: kraj znalazł się w rękach wielkich szefów przedsiębiorstw i emigrantów, a przyzwoici ludzie wycofali się do sportu czy kultury.

- Kultura! Naturalnie gdybyśmy mieli takową! Ale są zaledwie maleńkie lokalne jej ośrodki, które tu i tam obumierają z braku... no cóż, pielęgnacji i użyźniania, właściwego okopywania i zapładniania. Po prostu resztki starej europejskiej tradycji, którą pańscy przodkowie przywiedli ze sobą. Lecz pan jest w żalosalnej, niewielkiej mniejszości. Nie zdobył pan zainteresowania, umiejętności ani audytorium. Jesteście jak obrazy na ścianach wyludnionego domu. „Portret dzentelmena”. Nigdy nie dojdziecie do niczego, żaden z was, jeżeli nie zawiniecie rękawów i nie dotkniecie ręką gnoju. Musicie zrobić albo to, albo emigrować... Boże, żebym to ja mógł wyemigrować.

Archer nieznacznie wzruszył ramionami i znów skierował rozmowę na książki, którymi Winsett, nieświadom tego, zawsze się interesował.

Emigrować! Jakby dżentelmen mógł wyrzec się własnego kraju! Tak samo nie mógłby zrobić tego, jak zawinąć rękawów i babrać się w gnoju. Dżentelmen po prostu przebywa w domu i żyje z umiarem. Ale trudno to uzmysłowić takiemu człowiekowi jak Winsett; i właśnie dlatego ów Nowy Jork literackich klubów i egzotycznych restauracji, wydając się w pierwszym momencie jakby barwnym kalejdoskopem, okazuje się w końcu małym pudełkiem, o bardziej monotonnym wzorze, niż skupiająca tyle indywidualności Piąta Aleja.

Następnego ranka Archer na próżno przemierzał miasto w poszukiwaniu złotych róż.

W rezultacie tych poszukiwań spóźnił się do biura i przekonał się, że nikt nie zwrócił na to uwagi, co go rozdrażniło, bo uświadomił sobie w całej pełni jałowość swego życia. Czemu nie mógł być w tym momencie na piaszczystej plaży St. Augustine razem z May Welland? Nikt nie udawał, że wierzy w jego aktywność zawodową. W takich staroświeckich firmach prawniczych jak pana Letterblaira, które przeważnie zajmowały się prowadzeniem interesów wielkich posiadłości i skromnych przedsiębiorstw, znajdowało się zawsze dwóch lub trzech młodych ludzi, najczęściej zamożnych, bez zawodowych ambicji, którzy w pewnych godzinach każdego dnia, siedząc przy biurkach, wykonywali błahe zadania lub po prostu czytali gazety. Jakkolwiek oczekiwano po nich, że powinni mieć jakieś zajęcie, prymitywny fakt robienia pieniędzy uważano w dalszym ciągu za uwłaczający, a zajmowanie się prawem było liczone jako bardziej dżentelmeński zawód niż handel. Lecz żaden z tych młodych ludzi nie miał zbyt wielkich nadziei na jakikolwiek awans w swoim zawodzie ani też nie przejawiał szczególnie gorącej chęci, by go osiągnąć. A wielu spośród nich zaczęła już pokrywać zielona patyna obojętności.

Archer aż się wzdrygnął na myśl, że i z nim mogłoby się tak stać. To pewne, że miał inne gusta i zainteresowania; spędzał urlopy podróżując po Europie, utrzymywał znajomości z „mądrymi ludźmi”, o jakich mówiła May, próbował „dotrzymać kroku współczesności”, jak to w rozmarzeniu przedstawił Madame Olenskiej. Ale z chwilą gdy się ożeni, co się stanie z tym wąskim marginesem życia, wypełnionym prawdziwymi

doświadczeniami?

Widział sporo młodych ludzi, którzy marzyli tak jak on, chociaż z pewnością mniej żarliwie, i którzy stopniowo popadali w spokojną i zbyt kowną rutynę swoich starszych przełożonych.

Wysłał z biura bilecik przez posłańca do Madame Olenskiej z zapytaniem, czy mógłby się zjawić tego popołudnia, i prosił ją o zostawienie odpowiedzi w jego klubie. Jednakże w klubie nie znalazł listu ani też nie otrzymał żadnej wiadomości następnego dnia. To nieoczekiwane milczenie upokorzyło go, zupełnie bez powodu, i chociaż następnego ranka ujrzał w oknie wystawowym kwiaciarni wspaniałą bukiet żółtych róż, nie wszedł po nie.

Trzeciego dnia rano otrzymał od hrabiny kartkę wysłaną pocztą. Ku jego zdziwieniu została nadana w Skuytercliff, gdzie van der Luydenowie umknęli prosto po wsadzeniu swego księcia na pokład jachtu.

„Uciekłam - zaczynała niespodziewanie autorka listu (bez zwykłego nagłówka) - następnego dnia po zobaczeniu się z Panem w teatrze i ci uprzejmi przyjaciele zabrali mnie tutaj. Chciałam mieć spokój, by przemyśleć pewne sprawy. Miał Pan rację mówiąc, jacy oni są uprzejmi. Czuję się tutaj taka bezpieczna! Chciałabym, żeby Pan był z nami”. Zakończyła konwencjonalnym: „Łączę pozdrowienia”, nie wspominając o dacie swego powrotu.

Ton tego listu zdumiał młodego człowieka. Od czego to Madame Olenska uciekła i czemu odczuwała taką potrzebę bezpieczeństwa? W pierwszym momencie pomyślał, czy przypadkiem nie otrzymała jakiejś groźby z zagranicy, potem się zreflektował, że przecież nie zna jej sposobu pisania listów, może to tylko oznaczać przesadną kwiecistość stylu. Kobiety zawsze przesadzają. A co więcej, ona niezbyt biegle posługiwała się angielskim i często mówiła tak, jakby tłumaczyła z francuskiego. „Je me suis evadee” - wtrącała w ten sposób, jakby już na samym początku sugerowała, że chciałyby uniknąć wszelkich nużących zobowiązań. Było to bardzo prawdopodobne, ponieważ posądzał ją, że jest kapryśna i łatwo nużą ją chwilowe przyjemności.

Ubawiła go myśl, że van der Luydenowie zabrali ją do Skuytercliff po raz drugi i

tym razem na czas nieokreślony. Podwoje domu w Skuytercliff rzadko i niechętnie otwierano dla gości, a i tym kilku uprzywilejowanym osobom oferowano wyłącznie chłodny weekend. Lecz Archer widział podczas ostatniego pobytu w Paryżu świetną sztukę Labiche'a „Le Voyage de M. Perrichon” i przypomniał sobie wytrwale i nieustraszone przywiązanie M. Perrichona do młodego człowieka, którego wyratował z lodowca. Państwo van der Luyden ocalili Madame Olenską od losu niemal równie lodowatego. Chociaż istniało wiele powodów, które mogły każdego do niej przyciągać, Archer wiedział, że przede wszystkim kieruje nimi szlachetne i mocne postanowienie, by ją ocalić.

Poczuł się wyraźnie rozczarowany uświadomiwszy sobie, że wyjechała; i niemal natychmiast przypomniał sobie, że zaledwie przedwczoraj odmówił Reggie Chiversom, gdy go zapraszali na najbliższą niedzielę do swego domu nad Hudsonem, parę mil oddalonego od Skuytercliff.

Dawno temu wyniósł również swój wkład w gwarne przyjacielskie spotkania w Highbank żeglując, jeżdżąc na bojerach, sankach, odbywając długie wycieczki wśród śniegów w atmosferze łagodnych flirtów i jeszcze łagodniejszych dowcipów. Ale otrzymał właśnie od londyńskiego księgarza paczkę z nowymi książkami i wolał perspektywę spędzenia spokojnej niedzieli w domu ze swoim nowym nabytkiem. Jednakże teraz udał się do klubowego gabinetu, napisał pilny telegram i kazał służącemu natychmiast go wysłać. Wiedział, że pani Chivers nie ma nic przeciwko nagłym zmianom decyzji u swoich gości i że zawsze znajdzie się wolny pokój w ich przestronnym domu.

XV

Newlana przyjechał do Chiversów w piątek wieczorem, a w sobotę z pełną świadomością poddał się wszelkim obrzędom należącym do weekendu w Highbank.

Rano zrobił przejażdżkę bojerem razem ze swoją gospodynią i paru bardziej zahartowanymi gośćmi; po południu „obszedł farmę” z Reggie'm i wysłuchał w świetnie postawionej stajni długiego i przekonywującego elaboratu na temat koni. Po podwieczorku w rogu hallu oświetlonym ogniem płonącym na kominku wdał się w rozmowę z młodą damą, która wyznała, że ma złamane serce, odkąd dowiedziała się o jego zaręczynach, ale teraz nawet skłonna jest zwierzyć mu się ze swoich matrymonialnych planów; aż wreszcie około północy asystował przy wkładaniu złotej rybki do łóżka jednego z gości, zainicjował włamanie do łazienki nerwowej ciotki, a po północy przyłączył się do bitwy na poduszki, która rozgorzała od pokojów dziecińczych aż po sutereny. Lecz w niedzielę po drugim śniadaniu pożyczył sanki i pojechał do Skuytercliff.

Zawsze opowiadano, że dom w Skuytercliff to willa w stylu włoskim. Ci, którzy nigdy nie byli we Włoszech, wierzyli w to, a nawet i ci którzy tam byli. Dom został zbudowany przez młodego pana van der Luyden, po jego powrocie z „wielkiej wyprawy” i w przewidywaniu rychłego małżeństwa z panną Louisą Dagonet. Był to obszerny, kwadratowy, drewniany dom, o połączonych na wpust ścianach w kolarze bladej zieleni i bieli, z korynckim portykiem i rowkowanymi kolumnkami umieszczonymi między oknami. Stał na wysokim wzniesieniu, a liczne tarasy, otoczone żelazną ozdobną balustradą zwieńczoną urnami, opadały ku małemu nieregularnemu jeziorku. Wokół jego wyasfaltowanego brzegu rosły rzadkie okazy iglastych drzew. Na prawo i lewo rozciągały się słynne bez chwastów trawniki obsadzone egzotycznymi drzewami (każde innego gatunku), rozchodzące się dalej w długie pasma trawy, którą przedzielały kunsztowne, kute z żelaza ornamenty. Poniżej, w kotlinie, leżał czteroizbowy dom z kamienia, wybudowany przez pierwszego właściciela tej ziemi, którą nadano mu w roku 1612.

Pokryta śniegiem, na tle szarawego zimowego nieba willa włoska przedstawiała się raczej ponuro. Nawet latem zachowywała jakiś dystans i najbardziej zuchwały klomb

z koleusu nie ośmielił się nigdy zbliżyć do jej dostojnego frontu dalej niż na trzydzieści stóp. Teraz, kiedy Archer nacisnął dzwonek, jego przeciągły dźwięk zdawał się rozbrzmiewać niczym w mauzoleum. Gdy wreszcie zjawił się na jego wezwanie lokaj, okazał tak wielkie zdziwienie, jak gdyby wyrwano go z głębokiego snu.

Na szczęście Archer należał do rodziny i dlatego, chociaż jego przybycie było nieoczekiwane, pokrewieństwo upoważniało go, by zostać poinformowanym, że hrabina Olenska właśnie przed trzema kwadransami wyjechała z panią van der Luyden na nabożeństwo.

- Pan van der Luyden - ciągnął dalej lokaj - jest w domu, proszę pana.

Jednakże mam wrażenie, że albo kończy swoją drzemkę, albo czyta wczorajszy „Evening Post”. Słyszałem, proszę pana, jak mówił rano po powrocie z kościoła, że zamierza przejrzeć „Evening Post” po śniadaniu. Jeśli pan sobie życzy, to mogę podejść do drzwi biblioteki i posłuchać.

Ale Archer podziękował mu i powiedział, że chyba pójdzie na spotkanie pań. Lokaj, najwyraźniej z ulgą, zamknął za nim majestatycznie drzwi.

Chłopak stajenny zabrał sanki i konia do stajni, więc Archer udał się przez park do głównej drogi. Miasteczko Skuytercliff oddalone było zaledwie półtorej mili, lecz wiedział, że pani van der Luyden nie chodzi piechotą, dlatego musi się trzymać drogi, jeśli chce spotkać powóz. Wkrótce, idąc ścieżką, która przecinała główną drogę, spostrzegł szczupłą postać w czerwonym płaszczu, przed którą biegł duży pies. Przyśpieszył kroku i Madame Olenska zatrzymała się raptownie, witając go z uśmiechem.

- Ach, przyjechał pan! - wykrzyknęła i wyciągnęła rękę z mufki.

W czerwonym płaszczu wyglądała wesoło, wyraźnie ożywiona, przypominała Ellen Mingott z dawnych lat. Ujmując jej dłoń roześmiał się i odpowiedział:

- Przyjechałem zobaczyć, od czego pani uciekła.

- Och, cóż, przekona się pan wkrótce.

Odpowiedź zaintrygowała go.

- Czemu... czy to znaczy, że panią zaskoczono?

Wzruszyła ramionami lekko jak Nastazja i podjęła rozmowę już pogodniejszym

tonem:

- Możemy ruszyć w drogę? Tak zmarzłam na tym kazaniu. A poza tym teraz to już jest bez znaczenia, skoro pan mnie ochrania.

Krew uderzyła mu do skroni i chwycił za klapę jej płaszcza.

- Ellen, co to takiego? Musisz mi powiedzieć!

- Och, niebawem... najpierw pobiegnijmy. Stopy przymarzają mi do ziemi! - wykrzyknęła i zebrawszy poły płaszcza puściła się przez śnieg, a pies podskakiwał wokół niej z zachęcającym szczekaniem. Przez chwilę Archer stał obserwując z przyjemnością blask czerwonego meteoru na śniegu, potem ruszył za nią. Spotkali się zdyszani i roześmiani przy furtce prowadzącej do parku.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Wiedziałam, że przyjedziesz!

To tylko dowodzi, że chciałaś, żebym to zrobił - odparł ogarnięty wielką radością z powodu tego ich szaleństwa.

Biały poblask ośnieżonych drzew nappełniał powietrze jakąś szczególną czarodziejską jasnością i gdy tak podążali przez śnieg, ziemia zdawała się śpiewać pod ich stopami.

- Skąd przyjechałeś? - spytała.

Powiedział jej i dodał: - To dlatego, że otrzymałem od ciebie list.

Po chwili odezwała się z wyraźnym chłodem w głosie:

- May prosiła cię o opiekę nade mną.

- Nie potrzebowałem żadnych próśb.

- Sądzisz oczywiście... że jestem bezradna i bezbronna? Za jaką niedołęgę musisz mnie uważać! Chyba tutejsze kobiety nie odczuwają nigdy takiej potrzeby... poza błogosławieństwem w niebie!

Zniżył głos do szeptu.

- Jakiej potrzeby?

- Ach, nie pytaj mnie! Nie przemawiam twoim językiem! odparła opryskliwie.

Odpowiedź smagnęła go jak batem; stał nadal na ścieżce i spoglądał na nią.

- A po cóż bym tutaj przybył, gdybym nie przemawiał twoim językiem?

- Och, mój przyjacielu! - Położyła mu lekko dłoń na ramieniu, a on poprosił gorąco:

- Ellen, czemu nie chcesz mi powiedzieć, co się zdarzyło?

Znów wzruszyła ramionami.

- A czy cokolwiek zdarza się w niebie?

Milczał i szli dalej nie zamieniwszy ze sobą słowa. W końcu hrabina przemówiła:

- Powiem ci, ale gdzie, gdzie, gdzie? Człowiek nie może być choćby przez chwilę sam w wielkim domu, z tymi drzwiami szeroko otwartymi i służącym, który albo wnosi herbatę, albo polano do kominka, albo gazetę! Czy w żadnym amerykańskim domu nie ma miejsca, gdzieby człowiek mógł być sam? Mimo że jest odosobniony, a jednak zawsze na widoku. Czuję się tak, jakbym znów była w klasztorze... albo na scenie przed przerażająco grzeczną publicznością, która nigdy nie bije brawa.

- Och, ty nas nie lubisz! - wykrzyknął Archer.

Przeszli obok domu założyciela rodu. Wokół głównego komina tuliły się jego przysadkowate ściany i małe kwadratowe okienka. Okiennice były szeroko otwarte i przez jedno świeżo wymyte okno Archer spostrzegł światło padające od kominka.

- Otóż i proszę... ten dom jest otwarty: - powiedział.

Stała spokojnie. - Tak. Przynajmniej dzisiaj. Chciałam go obejrzeć i pani van der Luyden kazała napalić w kominku i pootwierać okiennice, żebyśmy mogły zatrzymać się tu w drodze powrotnej z porannej mszy.

- Wbiegła na schodki i nacisnęła klamkę drzwi. - Są jeszcze nie zamknięte... co za szczęście! Wejźmy, to będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Pani van der Luyden pojechała do Rhinebeck odwiedzić swoje stare ciotki i nie oczekują nas wcześniej w domu jak za godzinę.

Wszedł za nią do wąskiego korytarza. Dobry humor, który prysł przy ostatnich jej słowach, powrócił raptem z jakichś niewytłumaczalnych powodów. Stał tu oto przytulny mały domek, a jego boazerie i klamki lśniły w blasku ognia, jak gdyby stworzone czarodziejską mocą na ich przyjęcie. Na kuchennym piecu tlił się jeszcze stos drewniaków, nad którymi zwiślał na staroświeckim żelaznym pręcie ciężki żelazny garnek. Przed

wykładanym kafelkami kominkiem stały wyplatane fotele, a na półkach wzdłuż ścian pyszniły się rzędy talerzy z Delft. Archer wszedł i dołożył polano do żarzących się drewniaków.

Madame Olenska, zrzuciwszy płaszcz, usiadła na jednym z foteli. Archer uparty o komin przygląda się młodej kobiecie.

- Teraz się śmiejesz, ale wtedy, gdy pisałaś do mnie, byłaś nieszczęśliwa - powiedział.

- Tak. Ale nie potrafię czuć się nieszczęśliwa, kiedy jesteś ze mną.

- Nie pozostanę tu długo - odparł i zacisnął usta: by nie powiedzieć za dużo.

- Tak, wiem. Jestem jednak niepoprawna. Żyję wtedy, kiedy jestem szczęśliwa.

Słowa te przeszły go dreszczem pożądania i chcąc się opanować, odszedł od kominka i stanął przy oknie wpatrując się w ciemne pnie drzew rysujące się na tle śniegu. Miał uczucie, jakby i ona wstała ze swego miejsca, i widział ją pochyloną nad ogniem z tym swoim nikłym uśmiechem na ustach.

Serce mu biło jak oszalałe. A jeżeli to z jego powodu wyjechała i może czekała, by mu to teraz powiedzieć, póki są razem w tym ustronnym miejscu?

- Ellen, skoro jestem rzeczywiście ci pomocny... jeśli rzeczywiście chciałaś, żebym przyjechał, powiedz mi, co się stało złego, przed czym uciekasz? - nalegał.

Mówił nie zmieniawszy pozycji - nawet nie odwrócił się, by na nią spojrzeć. Jeśli ma się to stać, niech się stanie w ten sposób, niech ich dzieli szerokość pokoju. Nie odwracał oczu od śniegu leżącego za oknem.

Długą chwilę milczała. I wtedy właśnie Archer wyobraził sobie, niemal słyszał, jak skrada się ku niemu i zarzuca mu swe lekkie ramiona na szyję.

Gdy tak stał czekając na nadejście cudu, oczy jego bezwiednie spoczęły na sylwetce mężczyzny w ciepłym płaszczu z futrzanym kołnierzem, który szedł ścieżką w stronę domu. Mężczyzną tym był Juliusz Beaufort.

- Ach! - wykrzyknął Archer wybuchając śmiechem.

Madame Olenska poderwała się z miejsca i stanęła przy nim wsuwając dłoń w jego rękę, lecz spojrzawszy przez okno zbladła i cofnęła się.

- A więc to tak? - powiedział Archer drwiąco.

- Nie wiedziałam, że jest tutaj - wyszeptła.

Jej dłoń nadal spoczywała w jego dłoni. Teraz jednakże odsunął się od niej i wyszedłszy na korytarz, otworzył szeroko drzwi domu.

- Halo, Beaufort, proszę tędy! Madame Olenska oczekuje pana! - powiedział.

Następnego ranka, jadąc z powrotem do Nowego Jorku Archer z pewnym trudem odtwarzał w pamięci swoje ostatnie chwile w Skuytercliff.

Beaufort, chociaż wyraźnie niezadowolony, że zastał go z Madame Olenską, jak zwykle stanął na wysokości zadania. Jego sposób ignorowania ludzi, których obecność była mu w danej chwili niewygodna sprawiało, że jeżeli tylko zdawali sobie z tego sprawę, mieli uczucie, że są niewidzialni i nieistniejący. Gdy wszyscy troje wracali przez park, Archer też doświadczał tego dziwnego poczucia odcieleśnienia. Upokarzało to jego próżność, ale dawało mu jednocześnie przywilej obserwowania, nie będąc sam obserwowany.

Beaufort wszedł do domku ze swoją zwykłą pewnością siebie, lecz nie potrafił pokryć uśmiechem pionowej zmarszczki pomiędzy brwiami. Nie ulegało wątpliwości, że Madame Olenska nie wiedziała o jego przyjeździe, aczkolwiek w rozmowie z Archerem nie wykluczała takiej możliwości. W każdym razie nie powiedziała mu, gdzie wyjeżdża, kiedy opuszczała Nowy Jork, i ten jej niewytłumaczalny wyjazd musiał go najwyraźniej rozżłościć. Rzekomym powodem jego zjawienia się tutaj było odkrycie poprzedniego wieczoru „cudownego domeczku” do wynajęcia, jakby stworzonego dla hrabiny, a gdyby jej nie odpowiadał, to wynajmie go ktoś inny. Robił głośnie, żartobliwe uwagi na temat tego, jak to go ślicznie urządziła uciekając akurat wtedy, kiedy jemu udało się ten domek znaleźć.

- Gdyby tylko to nowe urządzenie do rozmów za pomocą drutu było trochę doskonalsze, mógłbym powiedzieć o tym i grać sobie w tym samym czasie stopy przed kominkiem, zamiast gonić za panią poprzez śniegi - utyskiwał, kryjąc pod tą wymówką prawdziwą irytację. Po takim wstępie Madame Olenska skierowała rozmowę na ową

fantastyczną możliwość, kiedy pewnego dnia będą mogli rozmawiać ze sobą mieszkając na różnych ulicach albo nawet - cóż za niedoścignione marzenie! - w różnych miastach. To skierowało ich rozmowę na Edgara Poe i Juliusza Verne'a i takie różne nedorzecznosci, jakie bywają przedmiotem rozmów tych najświetlejszych, kiedy wybiegają myślą w przyszłość, a mając do czynienia z jakimś nowym wynalazkiem uważają, że jest zbyt prosty, by weń tak szybko uwierzyć. W ten sposób problem telefonu przywiódł ich bezpiecznie do drzwi wielkiego domu.

Pani van der Luyden jeszcze nie wróciła. Archer pożegnał ich i udał się po sanki, a Beaufort wszedł za hrabiną do domu. Niewykluczone, że van der Luydenowie, którzy nie są zwolennikami niezapowiedzianych wizyt, zaproszą go na obiad, po czym odeślą na pociąg odchodzący o dziewiątej wieczorem. I chyba na nic więcej nie mógł liczyć, ponieważ dla jego gospodarzy było niepojęte, żeby dżentelmen, podróżujący bez bagażu, mógł chcieć spędzić noc poza domem, a już wręcz odrażającą myśl, żeby oni sami proponowali to osobie, z którą są na stopie tak umiarkowanie zażyłej jak z Beaufortem.

Beaufort o tym wiedział i musiał to zapewne przewidywać. Podejmowanie podróży w tak błahej sprawie było tylko miarą jego niecierpliwości. Bez wątpienia uganiał się za hrabiną Olenską. A Beaufort miał tylko jeden cel na względzie uganiając się za pięknymi kobietami. Jego pusty i pozbawiony dzieci dom od dawna już mu się znudził. W dodatku, by zaznać trwalszej pociechy, zawsze szukał miłosnych przygód w swojej sferze. To był właśnie ten mężczyzna, przed którym Madame Olenska tak wyraźnie uciekała. Pytanie tylko, czy uciekała z powodu jego natręctwa, którego nie znosiła, czy też, dlatego, że nie mogła sobie zawierzyć, czy mu się zdoła oprzeć. A może też cała ta jej rozmowa o ucieczce była pretekstem, a jej wyjazd niczym więcej jak zamierzonym manewrem.

Prawdę powiedziawszy Archer nie wierzył w to. Nawet rzadko obecnie widując Madame Olenską zaczynał wierzyć, że potrafi czytać z jej twarzy, a jeżeli nie z twarzy, to z tonu głosu. A zarówno twarz jak głos wyrażały niechęć, a nawet przestach z powodu niespodziewanego pojawienia się Beauforta. Lecz mimo wszystko w tym przypadku czy nie byłoby gorsze, gdyby opuściła Nowy Jork z wyraźnym zamiarem spotkania go? Jeżeli

tak zrobiła, przestała się liczyć, związała swój los z najpospolitszym obłudnikiem.

Kobieta zaplątana w historię miłosną z Beaufortem „deklasowała się” bezpowrotnie.

Nie, byłoby tysiąc razy gorzej, gdyby osądzała Beauforta, a najprawdopodobniej nawet nim gardziła, a mimo to przyciągało ją ku niemu to wszystko, co dawało mu przewagę nad innymi mężczyznami, którzy się koło niej kręcili, a mianowicie jego przyswojone zwyczaje dwóch kontynentów i dwóch sfer towarzyskich, jego zażyłość z artystami, aktorami i ludźmi znanymi w świecie oraz jego beztroska pogarda wobec tutejszych przesądów.

Beaufort był pospolity, niewykształcony, szczyił się pieniędzmi. Jednakże dzieje jego życia i pewna wrodzona bystrość sprawiały, że miał o wiele więcej do powiedzenia niż niejeden mężczyzna, stojący wyżej pod względem moralnym i społecznym, a którego horyzont ograniczał się do Battery i Central Parku. Ale jak człowiek przybywający z wielkiego świata może nie wyczuwać tej różnicy i jak może go to pociągać?

Madame Olenska w chwili zdenerwowania powiedziała Archerowi, że on i ona nie mają wspólnego języka. Młody człowiek wiedział, że pod pewnymi względami była to prawda. Beaufort natomiast rozumiał każde brzmienie jej mowy i sam posługiwał się nią płynnie. A jego zapatrywanie się na życie, jego ton, jego zachowanie stanowiły jedynie bardziej prostackie odbicie tego, co ujawniał list hrabiego Olenskiego. To mogło stawiać w niekorzystnym świetle żonę hrabiego. Archer był jednak zbyt inteligentny, by uważać, aby taka młoda kobieta jak Ellen miała czuć niechęć do wszystkiego, co przypominało jej przeszłość. Musiałaby całkowicie być przekonana, że czuje do tamtego świata odrazę. Ale to, co ją kiedyś czarowało, będzie nadal ją czarować, nawet wbrew jej woli.

W ten sposób, z bolesną bezstronnością, młody człowiek wytoczył sprawę przeciwko Beaufortowi i przeciwko jego ofercie. Gorąco pragnął wyjaśnić jej wszystko, a były nawet takie chwile, kiedy wyobrażał sobie, że wszystko, o co ona pytała, zostało wyjaśnione.

Tego wieczora rozpakował paczkę otrzymaną z Londynu. Przesyłka pełna była książek, na które tak niecierpliwie czekał. Nowy tom Herberta Spencera, drugi zbiór

licznych świetnych opowieści Alphonse'a Daudeta, powieść „Middlemarch” , na temat której ukazały się w prasie interesujące recenzje.

Z powodu tej uczty duchowej nie przyjął trzech zaproszeń na obiad. Mimo iż przewracał kartki ze zmysłową radością miłośnika książek, nie wiedział, co czyta, i książka po książce wypadła mu z ręki. Raptem wzrok jego spoczął na małym tomiku wierszy, jaki zamówił, zainteresowany tytułem „The House of Life”. Podniósł książkę i natychmiast pogrążył się w atmosferze, jakiej nigdy dotąd nie czerpał z książek: ciepłej, mocnej, a jednocześnie tak niewypowiedzianie czulej, że najprostsze ludzkie uczucia nabierały jakiegoś nowego i niepodważalnego piękna. Całą noc podążał przez te czarowne strony za wizją kobiety, która miała twarz Ellen Olenskiej. Kiedy następnego ranka obudził się i wyrzął na domy z brązowego kamienia stojące po drugiej stronie ulicy i pomyślał o swoim biurku u pana Letterblaira i rodzinnej ławce w Grace Church, owa godzina spędzona w parku Skuytercliff stała się równie daleka i nieprawdopodobna jak senne wizje tej nocy.

- Litości, jak ty blado wyglądasz, Newlandzie! - wykrzyknęła Janey przy śniadaniu siedząc nad filiżanką kawy, a matka jej dodała:

- Drogi Newlandzie, ostatnio zauważyłam, że kaszlesz. Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz?

Ponieważ obie panie były przeświadczone, że młody człowiek większość wyczerpujących godzin pracy spędza gnębiony żelaznym despotyzmem starszych przełożonych, nigdy nie uważał za stosowne wyprowadzać ich z błędu.

Następne dwa czy trzy dni wlokły się w nieskończoność. Jedzenie nabierało w ustach smaku popiołu i zdarzały się chwile, kiedy czuł się jakby za życia pogrzebany. Nie miał wiadomości o hrabinie ani o jej „cudownym domeczku” , a chociaż spotkał w klubie Beauforta, skłonili się sobie tylko z daleka poprzez stoliki do kart. Dopiero chyba czwartego dnia wieczorem, po powrocie do domu, zastał kartkę. „Przyjdź jutro późno. Muszę Tobie wytłumaczyć. Ellen”. Zawierała tylko te słowa.

Młody człowiek, który wybierał się akurat na proszony obiad, wsunął kartkę do kieszeni, uśmiechając się z lekka z jej francuskiego „Tobie”. Po obiedzie poszedł na

sztukę do teatru i dopiero po powrocie do domu, już po północy, wyciągnął list z kieszeni i odczytywał go wolno po wiele razy.

Można nań było odpowiedzieć na kilka sposobów - przemyślał niejeden z nich podczas nieprzespanych godzin tej niespokojnej nocy. W rezultacie, gdy nadszedł ranek, zdecydował się w końcu zapakować do walizki kilka ubrań i wskoczył na pokład statku odpływającego tego popołudnia do St. Augustine.

XVI

Gdy Archer szedł piaszczystą główną ulicą St. Augustine w stronę domu, który wskazano mu jako dom Wellanda, i ujrzał May stojącą pod magnolią ze słońcem we włosach, nie mógł pojąć, czemu tak długo czekał z przyjazdem.

Tutaj znajdowała się prawda, tutaj była rzeczywistość, tu było życie, które do niego przynależało. A on, który uważał siebie za przeciwnika wszelkich arbitralnych ograniczeń, obawiał się odejść od biurka, bo co by ludzie pomyśleli, gdyby zrobił sobie sam wakacje!

- Newland, czy coś się stało? - wykrzyknęła na jego widok, A jemu przyszło na myśl, że byłoby bardziej „po kobiecemu”, gdyby w jego oczach natychmiast wyczytała, dlaczego przyjechał. I kiedy odpowiedział: - Tak, doszedłem do wniosku, że muszę cię zobaczyć - jej początkowe chłodne zdziwienie zastąpiły rumieńce radości i przekonał się, jak łatwo uzyskałby przebaczenie i jak niebawem ta tolerancyjna rodzina uśmiełaby się nawet z najłżejszej nagany ze strony pana Letterblaira.

O tej wczesnej porze główna ulica była miejscem jedynie do oficjalnych powitań i Archer pragnął, by znaleźć się z May sam na sam i dać upust swojej czułości i tęsknocie. Dopiero za godzinę miano zasiaść do śniadania u Wellandów i May, zamiast poprosić go do domu, zaproponowała spacer do sadu pomarańczowego za miasto. Odbiła właśnie przejażdżkę po rzece i wydawało się, że słońce, które zagarniało do swej złotej siatki maleńkie fale, i ją schwytało w swe sieci. Na smagłych, rozgrzanych policzkach opadające włosy błyszcząły srebrzystymi pasmami, oczy jakby jeszcze bardziej zajaśniały, stały się niemal blade w swojej młodzieńczej przejrzystości. Kiedy tak szła u boku Archera tym swoim posuwistym krokiem, jej twarz miała wyraz beztroskiej pogody młodego atlety wykutego w marmurze.

Dla napiętych nerwów Archera był to widok równie kojący jak widok błękitnego nieba i płynącej leniwie rzeki. Ledwie usiedli na ławce pod drzewami pomarańczy, otoczył ją ramieniem i pocałował. Miał uczucie, że pije wodę z zimnego źródła, skapanego w blasku słońca. Jednakże w tym swoim pośpiechu mógłby wykazywać trochę mniej gwałtowności, bo krew nagle nabiegła jej do twarzy i zerwała się z miejsca jakby

przestraszona.

- Co takiego? - spytał z uśmiechem, a ona spojrzała na niego ze zdumieniem i odpowiedziała: - Nic.

Ogarnęło ją lekkie zakłopotanie, wysunęła rękę z jego dłoni. Po raz pierwszy pocałował ją w usta, nie licząc owego pocałunku w oranżerii Beauforta, i zauważył, że jest zaniepokojona, wyrwana ze swojego chłodnego młodzieńczego opanowania.

- Opowiedz mi, jak spędzasz czas - poprosił, krzyżując ręce z tyłu głowy i zsuwając kapelusz na czoło, by zasłonić się przed oślepiającym słońcem.

Pozwolić jej mówić o znanych i zwyczajnych sprawach, to najłatwiejszy sposób, by skierować swe własne myśli na inne tory. Siedział przysłuchując się jej prostej opowieści o pływaniu, żeglowaniu i jeździe konnej, które od czasu do czasu urozmaicały okolicznościowe tańce w gospodzie, kiedy przypląwał okręt wojenny. Kilka młodych osób z Filadelfii i Baltimore urządzało pikniki w gospodzie, poza tym przyjechali Merry'owie na trzy tygodnie, bo Kate nabawiła się bronchitu. Planowali urządzić na tych piaskach kort do tenisa, ale nikt poza Kate i May nie ma rakiet, a większość towarzystwa nawet nie słyszała o tej grze.

I właśnie z powodu tego wszystkiego była tak bardzo zajęta, że nie miała czasu, by obejrzeć małą Welinową książeczkę („Sonety z Portugalii”), którą przysłał jej Archer tydzień temu, ale nauczyła się na pamięć „Jak to oni ważną wieść przynieśli z Gandawy do Akwizgranu”, ponieważ był to pierwszy wiersz, jaki jej kiedyś czytał. Z radością zakomunikowała mu, że Kate Merry nigdy nawet nie słyszała o takim poecie jak Robert Browning.

Lecz zaraz zerwała się z miejsca, tłumacząc, że spóźnią się na śniadanie.

Pośpieszyli więc na powrót ku walącemu się domostwu z nie pomalowanym gankiem i nie przystrzyżonym żywopłotem z ołownicy i różowego geranium, gdzie Wellandowie zainstalowali się na zimę.

Pan Welland, tak niezwykle wrażliwy na ciepło domowego ogniska, aż wzdrygał się na wszelkie niewygody niechlujnego hotelu i przy ogromnych nakładach finansowych i w obliczu niemal nieprzezwycięzalnych trudności pani Welland zobowiązana była,

rokrocznie, improwizować gospodarstwo, częściowo przy pomocy niezadowolonej służby nowojorskiej i częściowo z pomocą tutejszych Murzynów.

- Lekarze chcą, żeby mąż czuł się tutaj jak we własnym domu. W przeciwnym razie byłby tak nieszczęśliwy, że sam klimat nic by mu nie pomógł - tłumaczyła każdej zimy współczującym jej filadelfijczykom i mieszkańcom Baltimore. Pan Welland, uśmiechając się promiennie poprzez stół wspaniale zastawiony najprzeróżniejszymi smakołykami, mówił do Archera:

- Widzisz, mój drogi chłopcze, my po prostu biwakujemy. Stale powiadam mojej żonie i May, że chcę je nauczyć biedowania.

Państwo Welland byli równie zdziwieni nagłym przyjazdem młodego człowieka, jak ich córka. Lecz wpadł na pomysł, żeby wytłumaczyć się jakimś paskudnym przeziębieniem, co dla pana Wellanda stanowiło absolutnie wystarczający powód, żeby zwolniono Archera od pełnienia wszelkich obowiązków.

- Musisz być ostrożny, zwłaszcza pod koniec zimy - powiedział nakładając na talerz apetyczne placuszki i polewając je złocistym syropem. - Gdybym był postępował tak rozważnie będąc w twoim wieku, May tańczyłaby teraz na balach, zamiast spędzać zimy w takiej głuszy i dziczy ze starym kaleką.

- Ależ tatusiu, ja uwielbiam spędzać zimy tutaj, wiesz przecież. Gdyby tylko Newland mógł tu zostać, lubiłabym je tysiąc razy bardziej niż w Nowym Jorku.

- Newland musi tu zostać, póki się całkiem nie pozbędzie przeziębienia - oświadczył pan Welland z pewną pobłażliwością.

Młody człowiek roześmiał się mówiąc, iż spodziewał się znaleźć u państwa Welland zrozumienie.

W rezultacie, po wymianie telegramów z firmą, udało mu się załatwić, że leczenie jego będzie trwało tydzień. Cała ta sytuacja miała dosyć ironiczny posmaczek, jeżeli się wiedziało, że pobłażliwość pana Letterblaira wpływała częściowo z zadowolającego wyniku, jaki osiągnął jego zdolny młody wspólnik w nader kłopotliwej sprawie rozwodowej Olenskich. Pan Letterblair powiadomił panią Welland, że Archer „oddał nieoszacowaną przysługę” całej rodzinie, a zwłaszcza ucieszona była pani Mansonowa

Mingott. Pewnego dnia, gdy May wybrała się z ojcem na przejażdżkę jedynym powozem, jaki znajdował się w tej miejscowości, pani Welland wykorzystała okazję, by poruszyć temat, którego zawsze unikała w obecności córki.

- Obawiam się, że poglądy Ellen nie są całkowicie zgodne z naszymi. Miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy Medora zabrała ją na powrót do Europy... przypominasz sobie to poruszenie, jak zjawiała się na swym pierwszym balu w czerni? Jeszcze jeden z Medory biczaków... było to wówczas niemal prorocze!

A zdarzyło się co najmniej dwanaście lat temu! I od tamtej pory Ellen nie była już w Ameryce. Nic dziwnego, że jest tak całkowicie zeuropeizowana!

- Ale przecież sfery towarzyskie Europy nie są przychylne rozwodom.

Hrabina Olenska myślała, że podporządkuje się amerykańskim zwyczajom, jeżeli poprosi o rozwód. - Młody człowiek po raz pierwszy wymówił jej nazwisko, odkąd opuścił Skuytercliff, i poczuł, że się czerwieni.

Pani Welland uśmiechała się z łaskawością.

- Otóż właśnie, ci cudzoziemcy wymyślają na nasz temat nieprawdopodobne historie. Myślą, że jadamy obiady o godzinie drugiej i popieramy rozwody!

Dlatego uważam, że nie należy ich przyjmować tak gościnnie, gdy przyjeżdżają do Nowego Jorku. Wykorzystują naszą serdeczność, a potem wracają do domu i opowiadają różne banialuki.

Archer nie odzywał się i pani Welland ciągnęła dalej: - Jesteśmy dla ciebie pełni uznania, że udało ci się odwieść Ellen od myśli o rozwodzie.

Jej babka i wuj Lovell nie mogli sobie z nią poradzić. Obydwoje pisali, że zmiana jej decyzji nastąpiła bezsprzecznie dzięki twojemu wpływowi...

faktycznie to ona powiedziała tak swojej babce. Ma dla ciebie bezgraniczny podziw. Biedna Ellen, zawsze była nieobliczalnym dzieckiem. Ciekawa jestem, jak się potoczą jej losy...

„Do czego my wszyscy staramy się przyłożyć ręki i - chciał powiedzieć. - Gdyby to od was zależało, zostałyaby raczej kochanką Beauforta niż żoną jakiegoś przyzwoitego człowieka, bo wy oczywiście obraliście dla niej najwłaściwszą drogę”.

Zastanawiał się, co by powiedziała pani Welland, gdyby głośno wyraził te słowa. Mógł sobie wyobrazić nagły niepokój na jej pewnej sobie, spokojnej twarzy, na której wskutek długoletnich wysiłków, aby lekko traktować drobne przeszkody, gościł teraz zawsze sztuczny wyraz stanowczości. Lecz twarz ta ciągle jeszcze nosiła ślady świeżej urody. Zadawał sobie pytanie, czy twarzyczka May w późniejszym wieku również przybierze wyraz niepokonanej niewinności. O, nie, nie chciałby, żeby May posiadała ten rodzaj niewinności, co to zamyka umysł przed wyobraźnią, a serce przed doświadczeniem.

- Święcie wierzę - mówiła dalej pani Welland - że jeśli ta straszna historia dostanie się na łamy prasy, może to być dla mojego męża śmiertelny cios. Nie znam żadnych szczegółów. Prosiłam biedną Ellen, żeby ich nie ujawniała, kiedy próbowała mi coś powiedzieć na ten temat. Mając pod opieką inwalidę, muszę zachować umysł jasny i pogodny. Jednakże mój mąż był ogromnie przygnębiony. Każdego ranka miał podwyższoną temperaturę, wtedy kiedyśmy czekali na zapadnięcie decyzji. To, że takie rzeczy są możliwe, stanowiło dla jego wiedzy o dziewczętach poważny cios. Dla ciebie chyba także, drogi Newlandzie. Wszyscy wiemy, że myślisz o May...

- Zawsze myślę o May - odparł młody człowiek podnosząc się, by przerwać tę rozmowę.

Zamierzał wykorzystać okazję tej intymnej rozmowy z panią Welland i nakłonić ją do przyśpieszenia daty ślubu. Lecz nie potrafił wymyślić żadnych argumentów, które by ją poruszyły, i z pewnym uczuciem ulgi zobaczył, że pan Welland i May zajeżdżają przed drzwi domu.

Jedyną nadzieję pokładał teraz w narzeczonej. W przeddzień jego wyjazdu udali się na spacer do zaniedbanego ogrodu hiszpańskiej misji. Otoczenie przypominało scenerię europejską. May wyglądała prześlicznie w kapeluszu z szerokim rondem, które rzucało tajemniczy cień na jej zbyt jasne oczy płonące gorączkowo, kiedy opowiadał o Granadzie i Alhambrze.

- Moglibyśmy to wszystko zobaczyć tej wiosny... nawet uroczystości wielkanocne w Sewilli - nalegał przesadzając w swych opowiadaniach w nadziei, że uzyska tym jakieś

ustępstwa.

- Wielkanoc w Sewilli? Przecież w przyszłym tygodniu już wielki post! - roześmiała się.

- Czemu mielibyśmy się nie pobrać w wielkim poście? - odparł. Lecz wyglądała na tak wstrząśniętą, że zrozumiał swój błąd.

- Oczywiście nie mówiłem tego poważnie, najdroższa. Ale wkrótce po Wielkiejnocy... żebyśmy mogli wypłynąć pod koniec kwietnia. Wiem, że uda mi się to załatwić w biurze.

Uśmiechnęła się rozmarzona. Archer pojął, że samo marzenie jej wystarcza.

To tak jakby słuchała czytanych przez niego głośno strof poezji o cudownych rzeczach, które najprawdopodobniej nie zdarzają się w normalnym życiu.

- Och, mów dalej, Newlandzie! Uwielbiam słuchać twoich opowieści.

- Ale Czemu mają być tylko opowieściami? Dlaczego ich nie urzeczywistnić?

- Oczywiście urzeczywistnimy to, najdroższy, w przyszłym roku - umilkła.

- A nie chcesz wcześniej? Nie mogę cię przekonać, żebyś już teraz się uwolniła.

Pochyliła głowę, kryjąc się przed Archerem pod przychylnym rondem kapelusza.

- Dlaczego mamy jeszcze jeden rok strawić na marzeniach? Spójrz na mnie, kochana! Czy nie widzisz, jak pragnę, żebyś już została moją żoną?

Przez chwilę trwała bez ruchu; potem uniosła ku niemu oczy, tak rozpaczliwie przejrzyste, że omal nie wypuścił jej ręki z uścisku. Raptem jej spojrzenie zmieniło się, stało się całkiem nieprzeniknione.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem - powiedziała. - Ale czy to... czy to dlatego, że nie jesteś pewien, że będzie ci nadal na mnie zależeć?

Archer poderwał się ze swego miejsca.

- Boże mój, może i tak, sam nie wiem! - wybuchnął ze złością.

May podniosła się również. Gdy stanęli twarzą w twarz, wydała mu się pełna kobiecej godności. Oboje milczeli, jak gdyby zatrwożeni nieprzewidzianym obrotem rozmowy. Potem ona odezwała się cichym głosem:

- Skoro tak... to czy jest ktoś inny?

- Ktoś inny... między tobą a mną? - powtórzył jej słowa powoli, jakby tylko w połowie je zrozumiał i potrzebował czasu, żeby uświadomić sobie ich sens. Zdawało się, że uchwyciła niezdecydowanie brzmiące w jego głosie, gdyż mówiła dalej coraz ciszej:

- Pomówmy otwarcie, Newlandzie. Niekiedy wyczuwałam w tobie jakąś zmianę. Zwłaszcza od czasu ogłoszenia naszych zaręczyn.

- Kochanie, cóż za nedorzecznosc! - wykrzyknął przyszedłszy trochę do siebie. Przyjęła jego protest ze słabym uśmiechem.

- Skoro tak jest, to nie powinna nas ranić rozmowa o tym - umilkła, po czym dodała unosząc głowę swoim pełnym godności ruchem: - A jeżeli to prawda, to czemu nie mielibyśmy właśnie o tym mówić? Mogłeś tak łatwo popełnić omyłkę.

Opuścił głowę wpatrując się w ciemny wzór liści leżących u ich stóp na skąpanej w słońcu ścieżce.

- Łatwo jest się pomylić. Lecz gdybym popełnił tego rodzaju omyłkę, jaką sugerujesz, czy wobec tego błagałbym cię o przyspieszenie naszego małżeństwa?

Ona również spuściła wzrok, niszcząc wzór z liści końcem swej parasolki od słońca i gorączkowo usiłując zebrać myśli.

- Tak - odezwała się wreszcie. - Mogłeś chcieć... raz na zawsze... załatwić tę sprawę. To jeden sposób.

Jej spokój i jasność rozumowania przestraszyły go, lecz nie wprowadziły w błąd, by uznał ją za nieczułą. Pod rondem kapelusza dostrzegł zarys jej profilu, lekkie drżenie nozdrzy nad rezolutnymi, o zdecydowanym wyrazie ustami.

- A więc... ? - spytał siadając na ławce. Spojrzał w górę na May ze zmarszczoną brwią, próbując obrócić wszystko w żart.

Usiadła obok niego i ciągnęła dalej:

- Nie myśl, że dziewczyna wie tak mało, jak sobie to wyobrażają jej rodzice.

Człowiek słucha i widzi... posiada jakieś uczucia i idee.

Oczywiście, że na długo przedtem, nim powiedziałeś mi, że ci na mnie zależy, wiedziałam o istnieniu kogoś, kim się interesowałeś. Dwa lata temu w Newport wszyscy o tym mówili. A kiedyś widziałam was siedzących razem na werandzie podczas jakiejś

zabawy... i kiedy ona wróciła do, sali, miała smutną twarz i bardzo mi jej było żal.

Przypomniałam sobie to wtedy, gdyśmy się zaręczali.

Głos jej opadł prawie do szeptu i siedziała zaplatając i rozplatając palce na rączce parasolki. Młody człowiek objął je swoją ręką i delikatnie uścisnął.

Serce jego wypełniła niewypowiedziana ulga.

- Moje drogie dziecko... to o to chodzi? Gdybyś tylko znała prawdę!

Uniosła szybkim ruchem głowę.

- A więc istnieje jakaś prawda, o której nie wiem? W dalszym ciągu przytrzymywał jej rękę.

- Mam na myśli tę prawdę dotyczącą owej starej historii, o której wspominałaś.

- Ale to jest właśnie to, co pragnę wiedzieć... co powinnam wiedzieć. Nie chcę, by moje szczęście powstało ze zła... nieuczciwości, wyrządzonych komuś krzywd. I chcę wierzyć, że ty tak samo uważasz. Jakież życie moglibyśmy zbudować na takich fundamentach?

Jej twarz przybrała wyraz tak tragicznej odwagi, że gotów był rzucić się na kolana do jej stóp.

- Już od dłuższego czasu pragnęłam ci to powiedzieć - mówiła. - Chciałam ci powiedzieć, że jak dwoje ludzi naprawdę się kocha, wiem, że mogą zaistnieć takie sytuacje, że należy... należy postąpić wbrew opinii publicznej. I jeżeli czujesz się w jakikolwiek sposób zobowiązany... zobowiązany wobec osoby, o której rozmawialiśmy... i jeżeli jest jakiś sposób... sposób, żebyś mógł wypełnić swoje zobowiązanie... nawet kosztem rozstania... Newlandzie, nie porzucaj jej z mego powodu!

Zdumienie, kiedy odkrył, że jej obawy dotyczyły epizodu tak odległego i tak całkowicie należącego już do przeszłości jak ów związek miłosny z panią Thorleyową Rushworth, wprawiło go w podziw nad szlachetnością jej natury.

Było coś ponadludzkiego w tym stosunku tak lekkomyślnie nieortodoksyjnym, że gdyby nie zaprzętały go inne problemy, zatraciłby się absolutnie w zachwycie nad tak cudownym zjawiskiem jak córka Wellandów, która namawiała go do poślubienia ostatniej kochanki. Lecz czuł zawrót głowy widząc przepaść, nad której krawędzią stąpają, i

przepelniała go jakaś nowa nabożna cześć dla tajemnicy nieskalanej dziewczęcości.

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu; wreszcie powiedział:

- Nie istnieje żadne zobowiązanie... ani przymus w tej kwestii, o jakiej myślisz.

Takie przypadki nie zawsze wyglądają całkiem tak zwyczajnie...

Zresztą, to nie ma znaczenia... Uwielbiam twoją wspaniałomyślność, ponieważ w tych sprawach zgadzam się z tobą całkowicie... Uważam, że każdy przypadek musi być rozważany indywidualnie, wedle jego własnych postępów... niezależnie od głupich konwenansów... Mam na myśli prawo każdej kobiety do wolności... - przerwał raptem, przerażony własnymi myślami, lecz po chwili mówił dalej spoglądając na May z uśmiechem: - Skoro tak wiele rozumiesz, najdroższa, nie mogłabyś posunąć się trochę dalej i zrozumieć bezużyteczności poddawania się trochę innej formie tych samych głupich konwenansów? Jeżeli nie stoi nam nikt i nic na przeszkodzie, to czyż nie jest to argument przemawiający za szybkim małżeństwem, a nie dalszym odraczaniem go?

Splonęła rumieńcem radości i uniosła ku niemu twarz. Gdy pochylił się nad nią, spostrzegł, że oczy jej są pełne łez. W następnym momencie zdała się jakby przeobrażać z kobiety pełnej godności ty bezbronną i bojaźliwą dziewczynę. Pojął, że odwagę i inicjatywę miała dla innych, ale nie dla siebie. Nie ulegały wątpliwości, że rozmowa na ten temat kosztowała ją znacznie więcej, niż wskazywało na to jej wystudiowane opanowanie, i już po jego pierwszych słowach zapewnienia o miłości wróciła do normalnego stanu, podobnie jak dziecko żądne zbyt wielu przygód szuka w końcu ukojenia w ramionach matki.

Archer nie miał serca, by dalej nalegać. Był zanadto zawiedziony zniknięciem tej nowej istoty, która rzuciła na niego tylko jedno głębokie spojrzenie swych przejrzystych, płomiennych oczu. May zdawała sobie chyba sprawę z jego rozczarowania, lecz nie wiedziała, jak je rozwiać. Podnieśli się oboje z ławki i poszli w milczeniu w stronę domu.

XVII

- Podczas twojej nieobecności była z wizytą u mamy twoja kuzynka hrabina - Janey oznajmiła bratu zaraz wieczorem po jego powrocie. Młody człowiek siedząc przy obiedzie z matką i siostrą podniósł oczy ze zdumieniem i zauważył, jak pani Archer opuściła wzrok z powagą na swój talerz. Pani Archer nie uważała swego odosobnienia od świata za powód, by zostać przezeń zapomnianą; Newland domyślał się, że nie była zadowolona, iż okazał zdumienie z powodu odwiedzin Madame Olenskiej.

- Była ubrana w czarną aksamitną polonezę z dżetowymi guzikami i miała małą mufkę z małp. Nigdy jeszcze nie widziałam jej ubranej równie stylowo - ciągnęła Janey. - Przyjechała sama wczesnym popołudniem w niedzielę. Na szczęście palił się ogień na kominku w salonie. Miała taką nowoczesną małą torebkę. Powiedziała, że pragnęła nas poznać, ponieważ byłeś dla niej bardzo dobry.

Newland roześmiał się.

- Madame Olenska zwykle przybiera taki ton mówiąc o swoich przyjaciółach. Jest bardzo szczęśliwa, że znajduje się znów wśród swoich.

- Tak, mówiła nam o tym - odezwała się pani Archer. - Muszę powiedzieć, że wydaje się być wdzięczna, że może być znów tutaj.

- Mam nadzieję, że ją polubiłaś, mamo?

Pani Archer ściągnęła usta.

- Ona niewątpliwie robi wszystko, żeby się przypodobać, nawet kiedy przychodzi z wizytą do starszej damy.

- Mama uważa, że ona nie jest naturalna - wtrąciła Janey.

Nie spuszczała wzroku z twarzy brata.

- Takie jest moje staroświeckie odczucie. Moim ideałem jest kochana May - powiedziała pani Archer.

- Och - odparł jej syn - one są zupełnie do siebie niepodobne.

Archer opuścił St. Augustine obarczony wieloma poleceniami dla starej pani Mingott. Dzień czy dwa dni po swoim powrocie do miasta złożył jej wizytę.

Stara dama przyjęła go nad wyraz serdecznie. Wdzięczna mu była, że zdołał odwieść hrabinę od myśli o rozwodzie. A kiedy opowiedział jej, że opuścił firmę bez pozwolenia i popędził do St. Augustine po prostu dlatego, że chciał zobaczyć May, zachichotała i poklepała go po kolanie pulchną dłonią.

- Oho, ho, więc podeptałeś wszelkie reguły, co? Przypuszczam, że Auguście i Wellandowi wydłużyły się miny i pewnie zachowywali się, jakby nastąpił koniec świata? A mała May... no, ona chyba przyjęła to lepiej, nieprawdaż?

- Mam nadzieję, że tak. Lecz mimo wszystko nie chciała się zgodzić na moją prośbę, z jaką przyjechałem.

- Rzeczywiście nie chciała? A co to takiego?

- Chciałam otrzymać od niej obietnicę, że pobierzemy się w kwietniu. Bo co za sens tracić jeszcze jeden rok?

Pani Mansonowa Mingott ściągnęła swe małe usta w grymas, który miał udawać pruderię, i mrugnęła do niego zza złośliwie przymrużonych powiek.

- „Spytaj mamusię”, to zwykła historia. Ach, ci Mingotowie, wszyscy jednakowi. Urodzili się już tacy i nie potrafisz ich z tej rutyny wyrwać.

Kiedy wybudowałam ten dom, myśleli, że wyniosę się do Kalifornii. Nikt nigdy nie budował poza Czterdziestą ulicą... nie, powiedziałabym, ani nawet dalej, niż Battery, od czasu, kiedy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę. Nie, nie, ani jeden z nich nie chce być inny. Tak się tego boją jak ospy. Och, mój drogi, dziękuję swojej gwieździe, że jestem tylko zwykłą Spicerówną.

Jednakże ani jedno z moich dzieci nie odziedziczyło charakteru po mnie, tylko mała Ellen - przerwała nie przestając na niego mrugać i zupełnie bez związku, jak to ludzie starsi, spytała: - Czemu, na Boga, nie ożeniłeś się z moją małą Ellen?

Archer roześmiał się.

- Z tej prostej przyczyny, że nie było jej tutaj, bym mógł ją poślubić.

- Tak, rzeczywiście. Tym większa szkoda. A teraz jest już za późno. Jej życie się skończyło. - Mówiła z mrozącym krew w żyłach samozadowoleniem kobiety starej, zasypującej ziemią grób młodzięcych nadziei.

Serce młodego człowieka ścisnęło się lodem i powiedział czym prędzej:

- Czy mógłbym prosić panią, by zechciała użyć całych swoich wpływów na Wellandów? Nie jestem stworzony do długiego narzeczeństwa, proszę pani.

Stara Katarzyna uśmiechnęła się do niego z uznaniem.

- Tak, widzę to. Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Kiedy byłeś jeszcze młodym chłopcem, nie miałam wątpliwości, że lubisz być obsługiwany w pierwszej kolejności. - Odrzuciła głowę do tyłu ze śmiechem, a na jej policzkach potworzyły się zmarszczki niczym fale. - O, a otóż i moja Ellen! - wykrzyknęła, gdy kotary rozsunęły się za jej plecami.

Madame Olenska weszła z uśmiechem. Jej twarz była ożywiona i szczęśliwa; wyciągnęła do Archera radośnie rękę, nadstawiając jednocześnie babce policzek do pocałowania.

- Właśnie, moja droga, zadałam mu pytanie: „Czemu nie ożeniłeś się z moją małą Ellen?” Hrabina spojrzała na Archera, nie przestając się uśmiechać.

- I cóż odpowiedział?

- Och, moja najmilsza, pozostawiam to tobie, żebyś się sama spytała.

Wyjeżdżał na Florydę, by zobaczyć się z ukochaną.

- Tak, wiem. - Ciągle nie spuszczała z niego oczu.

- Odwiedziłam twoją matkę, by się dowiedzieć, gdzie wyjechałeś. Wysłałam bilecik, na który nie odpowiedziałeś, i obawiałam się, czy nie jesteś przypadkiem chory.

Coś tam wymamrotał o niespodziewanym wyjeździe w wielkim pośpiechu i że zamierzał napisać do niej z St. Augustine.

- I oczywiście, jak tylko się tam znalazłeś, tak od razu przestałeś o mnie myśleć. - Ciągle uśmiechała się radośnie, co mogło być wystudiowaną pozą obojętności.

Mimo iż w dalszym ciągu mnie potrzebuje, to jednak postanowiła mi tego nie okazywać - pomyślał, dotknięty jej zachowaniem. Chciał jej podziękować, że odwiedziła jego matkę, lecz pod złośliwym spojrzeniem babki nie potrafił sklecić zdania i czuł się skrępowany.

- Spójrz na niego, tak mu śpieszno do żeniaczki, że bez pytania opuszcza pracę i

pędzi, by błagać na kolanach tę niemądrą dziewczynę! Zupełnie jak kochanek. W ten sposób urodziwy Bob Spicer porwał moją biedną matkę. A potem znudził się nią, gdy byłam jeszcze niemowlęciem przy piersi - chociaż czekali na mnie zaledwie osiem miesięcy! Lecz cóż, ty nie jesteś Spicerem, młody człowieku. Na szczęście dla ciebie i May. To tylko moja biedna Ellen odziedziczyła trochę ich gorącej krwi. Reszta to wszystko wzorowi Mingottowie! - wykrzyknęła starsza dama z pogardą.

Archer zdawał sobie sprawę, że Madame Olenska, która usadowiła się obok babki, przygląda mu się bacznie, w zamyśleniu. Z oczu jej zniknęła radość.

Odezwała się z wielką słodyczą:

- Zapewne, babciu, potrafimy im wytłumaczyć, żeby przychyłili się do jego życzenia.

Archer podniósł się do wyjścia i kiedy ujął rękę hrabiny, poczuł, że oczekuje ona na jakieś wytłumaczenie, nie odpisał bowiem na jej list.

- Kiedy będę mógł cię zobaczyć? - spytał, gdy szła obok niego w stronę drzwi.

- Kiedykolwiek zechcesz. Ale musiałoby to nastąpić niedługo, jeżeli chcesz zobaczyć jeszcze mały domek.

W przyszłym tygodniu się przenoszę.

Przeniknął go ostry ból na wspomnienie tych godzin, jakie spędził w świetle lampy w salonie z nisko sklepionym sufitem. Tak niewiele ich było, ale ileż wspomnień!

- Jutro wieczorem?

Skinęła głową.

- Dobrze, jutro, ale wcześniej. Potem wychodzę. Następnego dnia wypadła niedziela i skoro „wychodziła” w niedzielny wieczór, mogła, oczywiście, iść tylko do pani Lemuelowej Struthers. Poczul lekki przyływ niezadowolenia, chyba nawet nie dlatego, że tam się wybiera (ponieważ raczej cieszył się, że chodzi tam, gdzie lubi, na przekór van der Luydenom), a raczej dlatego, że w takim domu niewątpliwie musiał być Beaufort, o czym zresztą z góry wiedziała... i najprawdopodobniej szła właśnie w tym celu.

- Doskonale, jutro wieczorem - powtórzył postanawiając w duchu, że nie pojedzie wcześniej i że przez późniejsze przybycie powstrzyma ją od pójścia do pani Struthers,

albo też przybędzie po jej wyjeździe - co, rozważywszy wszystko, będzie najprostszym rozwiązaniem.

Było zaledwie wpół do dziewiątej, kiedy nacisnął dzwonek ukryty wśród wistarii. Nie tak późno, jak zamierzał; namyślał się przez pół godziny, ale jakiś osobliwy niepokój kazał mu pędzić do jej drzwi. Jednakże przypomniał sobie, że niedzielne wieczory u pani Struthers to nie bale, a jej goście, jak gdyby dla pomniejszenia swojej winy, zazwyczaj wcześniej wychodzą.

Jednej rzeczy nie przewidział, wchodząc do hallu Madame Olenskiej, a mianowicie tego, że znajdzie tam kapelusze i płaszcze. Czemu kazała mu przyjść wcześniej, jeżeli podejmowała gości obiadem? Po bliższym przyjrzeniu się płaszczom, obok których Nastazja położyła jego własny, uraza Archera ustąpiła zaciekawieniu. Rzeczywiście płaszcze były tak dziwaczne, jakich nigdy nie oglądał pod wytwornym dachem. A wystarczył jeden rzut oka, by się upewnić, że żaden nie należy do Juliusza Beauforta. Leżał tu znoszony, włochaty żółty ulster, obok niego bardzo już stareńki i zrudziały płaszcz z pelerynką... w rodzaju francuskiego „Macfarlane'a”. Ten ostatni, najwyraźniej szyty dla osoby niezwyklej rozmiarów, nosił widoczne ślady długiego i nieustannego używania, a jego zielonkawoczarne fałdy wydzielały wilgotny zapach kurzu, jakby właściciel nieustannie przesiadywał w barach.

Na nim leżał szary, postrzępiony szal i dziwaczny pilśniowy kapelusz, kształtem trochę przypominający nakrycie głowy duchownego.

Archer uniósł pytająco brwi zwracając się w stronę Nastazji, która w odpowiedzi zrobiła to samo i wykrzyknąwszy fatalistyczne: - Gia! - otworzyła na roścież drzwi do salonu.

Młody człowiek natychmiast spostrzegł, że w pokoju nie ma gospodyni, po czym ze zdumieniem ujrzał inną damę stojącą przy kominku. Owa dama, wysoka, chuda i niezgrabna, była ubrana w strój składający się z zawitych pętelek i frędzelków, z kratki, pasków i wstążek jasnego koloru ułożonych we wzór, którego wątek gdzieś się zagubił. Włosy, które próbowały oswiecić, ale udało im się jedynie wyblaknąć, były ujarzmione

hiszpańskim grzebieniem i czarnym koronkowym szalem, a jedwabne mitenki, nieudolnie pocerowane, okrywały jej zreumatyzowane dłonie.

Obok owej damy, w chmurze dymu z cygara, stali właściciele dwu płaszczy; obaj byli jeszcze w porannych strojach, których najwyraźniej nie zdążyli zmienić. Ku swemu zdumieniu w jednym z mężczyzn Archer rozpoznał Neda Winsetta. Drugi, starszy i nieznajomy, po którego gigantycznych kształtach domyślił się użytkownika „Macfarlane'a” , miał lwią głowę z burzą potarganych siwych włosów i zamasyście gestykulował wielkimi łapskami, jakby rozdawał błogosławieństwa klęczącemu tłumowi.

Te trzy postacie stały razem na dywaniku przed kominkiem, z oczyma utkwionymi w olbrzymim bukacie szkarłatnych róż i małym pęczku fioletowych bratków, które leżały na sofie, gdzie zwykle siadywała Madame Olenska.

- Ile one muszą kosztować o tej porze roku... chociaż oczywiście ofiarodawca kierował się uczuciem! - mówiła dama pełnym westchnień staccato, kiedy Archer wchodził do pokoju.

W tym momencie wszyscy troje odwrócili się ze zdumieniem i dama postąpiła naprzód z wyciągniętą ręką.

- Drogi pan Archer, a właściwie mój siostrzeniec Newland! - wykrzyknęła.

- Jestem markiza Manson.

Archer skłonił się, a ona ciągnęła dalej:

- Moja Ellen zaprosiła mnie na kilka dni. Przyjechałam z Kuby, gdzie spędzałam zimę z hiszpańskimi przyjaciółmi... cóż za rozkoszni i dystyngowani ludzie... najlepsza stara kastylijska arystokracja. Jakżebym chciała, byś ich mógł poznać. Ale zostałam wezwana tutaj przez naszego drogiego wielkiego przyjaciela, doktora Carvera. Znasz chyba doktora Agathona Carvera, założyciela „Doliny Wspólnej Miłości” ?

Doktor Carver pochylił swą lwią głowę, a markiza mówiła dalej:

- Och, ten Nowy Jork, Nowy Jork, jakież niewiele duchowego życia doń dotarło! Lecz widzę, że pan Winsett jest panu znany, prawda?

- Och, tak, zetknąłem się z nim kiedyś. Ale w innych okolicznościach - powiedział Winsett ze swoim oschłym uśmiechem.

Markiza potrząsnęła głową z przyganą.

- Doprawdy, proszę pana? Duch, gdzie chce wieje i głos jego słyszysz...

- Słuchajcie, och, posłuchajcie! - wtrącił doktor Carver, wydawszy potężny pomruk.

- Proszę siadać, panie Newland. Zjemy we czwórkę doskonały obiad, a moja dziecina poszła właśnie na górę, by się przebrać. Oczekuje pana. Za chwilę zejdzie. Właśnie podziwialiśmy te wspaniałe kwiaty, których widok wprawi Ellen w zdumienie, gdy tu zejdzie.

Winsett stał nadal.

- Chyba jednak będę musiał uciekać. Proszę powiedzieć Madame Olenskiej, że będziemy się czuli zagubieni, kiedy opuści naszą ulicę. Ten dom był niczym oaza.

- Och, ale ona nie opuści pana. Poezja i sztuka są dla niej tchnieniem życia. Pan pisze poezje, prawda, panie Winsett?

- No nie, ale czasem ją czytuję - odparł Winsett i skłoniwszy się całej grupce, wymknął się z pokoju.

- Zgryźliwa dusza... un peu sauvage. Ale jakże dowcipny! Doktorze Carver, nie myśli pan, że jest dowcipny?

- Nigdy nie myślę o dowcipie - odparł surowo doktor.

- Och, och, pan nigdy nie myśli o dowcipie! Jakże bezlitosny jest dla nas, słabych śmiertelników, panie Archer! On żyje tylko życiem duchowym.

Dzisiejszego wieczoru przygotowuje na pamięć skład, który ma wygłosić u pani Blenker. Doktorze, czy byłby jeszcze czas, nim wyruszy pan do Blenkerów, by wytłumaczyć panu Archerowi pańskie świetne odkrycie na temat bezpośredniego kontaktu? Lecz nie, dochodzi już dziewiąta i nie mamy prawa pana zatrzymywać, gdy tak wiele osób czeka na pańskie przesłanie.

Doktor Carver był jakby z lekka zawiedziony słysząc to, ale porównawszy godzinę na swoim ciężkim złotym zegarku z małym podróżnym zegarkiem hrabiny, niechętnie uniósł swe potężne ciało, szykując się do wyjścia.

- Zobaczę panią później, droga przyjaciółko? - zwrócił się do markizy, która

odparła z uśmiechem:

- Jak tylko zajedzie powóz Ellen, przyjadę za panem. Ufam, że wykład jeszcze się nie zacznie.

Doktor Carver popatrzył na Archera z zamyśleniem.

- Skoro ten młody dżentelmen jest zainteresowany moimi doświadczeniami, może pani Blenker nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli go pani przywiezie?

- Och, drogi przyjacielu, gdyby to tylko było możliwe, jestem pewna, że bardzo by się nawet ucieszyła. Lecz wydaje mi się, że moja Ellen również liczy na pana Archera.

- To nieszczęśliwie się składa - powiedział doktor - ale oto moja wizytówka - podał ją Archerowi, a napisane na niej było gotykiem:

Agathon Carver The Dalleg of Lode Kittasquttamg, N. J.

Doktor wyszedł w ukłonach, a pani Manson, z westchnieniem, które mogło oznaczać równie dobrze żal, jak i ulgę, wskazała Archerowi gestem ręki, by usiadł.

- Ellen zaraz zejdzie. Lecz nim się tu zjawi, cieszę się ogromnie, że mogę spędzić tę spokojną chwilę z panem.

Archer wymamrotał jakieś uprzejmości, że również się cieszy ze spotkania, i markiza mówiła dalej swym niskim, pełnym westchnień głosem:

- Wiem wszystko, drogi panie... moja dziecina opowiedziała mi, ile pan dla niej zrobił. Pańskie mądre rady, pańska odwaga i zdecydowanie... dzięki Bogu, że nie było za późno!

Młody człowiek słuchał tego z głębokim zakłopotaniem. Czy była chociaż jedna osoba, zastanawiał się, której Madame Olenska nie poinformowałaby o jego ingerencji w jej prywatne sprawy?

- Madame Olenska przesadza. Po prostu udzieliłem jej porady prawnej, gdy mnie o to poprosiła.

- Och, ale to czyniąc... to czyniąc był pan nieświadomym instrumentem tej... tej... jakim słowem my, ludzie współcześni, nazywamy Opatrzność, proszę pana? -

wykrzyknęła dama, przechylając na bok głowę i tajemniczo przymrużając powieki. - Wie pan, że w tym właśnie czasie ja apelowałam także w tej sprawie, występując de facto po

drugiej stronie Atlantyku.

Obejrzała się przez ramię, jakby obawiając się, czy jej nie słyszą, po czym, przysunawszy bliżej fotel i unosząc do ust malutki wachlarzyk, wyszeptała cicho:

- Ze względu na samego hrabiego... mojego biednego, szalonego, głupiutkiego Olenskiego, który prosi tylko, by mógł ją wziąć na powrót na jej własnych warunkach.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Archer zrywając się z miejsca.

- Jest pan przerażony? Tak, oczywiście, rozumiem.

Nie bronię biednego Stanisława, aczkolwiek zawsze nazywał mnie swoją najlepszą przyjaciółką. On również nie broni siebie... rzuca się do jej stóp... za moim pośrednictwem. - Poklepała się po wychudłym biuście. - Mam tutaj jego list.

- List? Czy hrabina widziała go? - wyjąkał Archer; w głowie czuł zamęt od tak nagłej wiadomości. Markiza łagodnie potrząsnęła głową.

- Czas... czas... muszę mieć czas. Znam moją Ellen, dumną, krnąbrną.

Powiedziałabym, że ona po prostu nie uznaje przebaczenia.

- Ależ, na miłość boską, przebaczyć to jedna sprawa, a wrócić do tego piekła...

- O, tak - zgodziła się markiza. - Właśnie tak to przedstawia... to moje przewrażliwione dziecko! Co do strony materialnej, proszę pana, jeśli wypada się zniżyć do roztrząsania takich spraw... Czy pan wie, czego ona się wyrzekła? Takie róże jak te tutaj na kanapie... całe ich akry, pod szkłem i na otwartej przestrzeni, w nierównych tarasowatych ogrodach nicejskich! Biżuteria... historyczne perły, szmaragdy Sobieskiego... sobole... Ale ona o to wszystko wcale nie dba. Sztuka i piękno, oto, co ją obchodzi, żyje dla nich, jak ja zawsze żyłam. I one również garną się do niej. Obrazy, bezcenne meble, muzyka, błyskotliwa konwersacja... och, jest to, mój młody człowieku, jeśli wolno mi tak powiedzieć, coś, o czym wy tutaj nie macie pojęcia! A ona miała to wszystko, a prócz tego składano jej najwyższe hołdy. Mówi mi, że nie uważają jej w Nowym Jorku za kobietę urodziwą. Wielkie nieba! Jej portrety malowano dziewięciokrotnie. Najwięksi malarze europejscy ubiegali się, by dostąpić tego zaszczytu. Czy te rzeczy nic nie znaczą? A wyrzuty sumienia uwielbiającego ją małżonka?

Gdy markiza doszła do punktu kulminacyjnego swej opowieści, twarz jej przybrała

wyraz jakiegoś ekstatycznego zatopienia się w przeszłości i już sam ten widok mógłby wzbudzić u Archera wesołość, gdyby wcześniej nie oniemiał ze zdumienia.

Byłby się roześmiał, gdyby ktoś przepowiedział mu, że jego pierwsze wrażenie na widok biednej Medory Manson przywiedzie mu na myśl wysłannika Szatana; lecz teraz nie miał nastroju do śmiechu i wydało mu się, jakby przybyła wprost z piekła, z którego Ellen Olenska zdołała się właśnie wydostać.

- To ona jeszcze nic nie wie o tym wszystkim? - pytał gwałtownie.

Pani Manson położyła swój fioletowy palec na ustach.

- Właściwie nic... ale czy czegoś nie podejrzewa... kto to może wiedzieć?

Prawda polega na tym, proszę pana, że czekałam, by się z panem zobaczyć. Od chwili, gdy usłyszałam o pana niezachwianym stanowisku, jakie pan zajmuje, i wpływie, jaki pan ma na nią, powzięłam nadzieję, że można będzie liczyć na pańskie poparcie... przekonać pana...

- Że ona powinna wrócić? Wolałbym raczej zobaczyć ją martwą! - wykrzyknął młody człowiek gwałtownie.

- Ach! - mruknęła markiza, bez widocznej urazy. Przez chwilę siedziała jeszcze w fotelu, otwierając i zamykając absurdalny kościany wachlarzyk dłońmi w mitenkach. Nagle uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

- Otóż i ona - szepnęła z pośpiechem, potem wskazała bukiet leżący na kanapie.

- Czy mam rozumieć, proszę pana, że raczej pan to woli? Mimo wszystko małżeństwo to małżeństwo... a moja siostrzenica jest w dalszym ciągu zamężna...

XVIII

- O czym to tak razem plotkujecie, ciociu Medoro? - wykrzyknęła Madame Olenska wchodząc do pokoju.

Była ubrana jak na bal. Wszystko wokół niej migotało i połyskiwało łagodnym blaskiem, jak gdyby jej suknia utkana była z promieni światła.

Trzymała głowę wysoko uniesioną, jak piękna kobieta wkraczająca do pokoju pełnego konkurentów.

- Mówiliśmy, moja droga, że jest tutaj coś ślicznego, co cię zadziwi - powiedziała pani Manson i wstając z fotela wskazała kolistym gestem na kwiaty.

Hrabina zatrzymała się raptownie i spojrzała na bukiet. Twarz jej nie zmieniła wyrazu, lecz błysk jakby gniewu przemknął po niej niczym letnia błyskawica.

- Ach! - wykrzyknęła przenikliwym głosem, jakiego młody człowiek nigdy u niej nie słyszał - kto był aż tak śmieszny, żeby przysłać mi ten bukiet?

Czemu bukiet? I dlaczego właśnie akurat dzisiejszego wieczora? Nie wybieram się na bal, nie jestem też dziewczyną zamierzającą brać ślub. Ale niektórzy ludzie zawsze są śmieszni.

Zawróciła w stronę drzwi, otworzyła je i zawołała: - Nastazjo!

Wszzechobecna służka zjawiła się natychmiast i Archer usłyszał, jak Madame Olenska mówi po włosku, a słowa zdawała się rozmyślnie wymawiać wyraźnie, przypuszczając, że on może je zrozumieć: - Wyrzuć to do śmieci - a widząc w spojrzeniu Nastazji wyraźny protest, dodała: - Właściwie to przecież nie jest wina tych biednych kwiatów! Powiedz chłopcu, żeby zaniósł je trzy domy dalej, do pana Winsetta, tego ciemnowłosego dżentelmena, który był tutaj na obiedzie. Jego żona jest chora... mogą jej sprawić przyjemność... Chłopiec gdzieś wyszedł, powiadasz? Wobec tego, moja droga, pobiegnij sama. Masz, włóż mój płaszcz i zmykaj. Chcę, żeby te kwiaty zniknęły z domu natychmiast. I jeśli ci życie miłe, nie mów, że są ode mnie.

Zarzuciła swój aksamitny wieczorowy płaszcz na ramiona dziewczyny i wróciła do salonu, energicznie zatrzaskując za sobą drzwi. Pierś jej gwałtownie falowała pod koronkami i przez chwilę Archer myślał, że wybuchnie płaczem. Lecz zamiast tego

roześmiała się i przenosząc wzrok z markizy na Archera spytała nagle:

- A wy dwoje... zawarliście przyjaźń?

- To pan Archer może powiedzieć, kochanie. Czekał cierpliwie, podczas gdy się ubierałaś.

- Tak... dałam wam dosyć czasu. Włosy nie chciały mi się ułożyć - powiedziała Madame Olenska, unosząc rękę do wysoko upiętych loków swojej chignon. - Lecz to mi przypomina, że doktor Carver wyszedł, a ty spóźnisz się do Blenkerów. Panie Archer, czy mógłby pan odprowadzić ciocię do powozu?

Podążyła za markizą do hallu, uważała, żeby wybrała ze sterty kaloszy, szalów i pelerynek futrzanych to, co odpowiednie dla niej, i krzyknęła jeszcze od progu:

- Pamiętaj, że powóz ma przyjechać po mnie o godzinie dziesiątej!

Potem wróciła do salonu. Tam zastał ją Archer stojącą przy kominku i przeglądającą się w lustrze. W nowojorskim towarzystwie nie było zwyczaju, by dama zwracała się do swej pokojówki per „moja droga” i wysyłała ją z poleceniem otulając swój własny płaszcz wizytowy. Archer wśród głębokich uczuć, jakie przeżywał, doświadczał jeszcze przyjemnego podniecenia, że znajduje się w świecie, w którym czyn podąża za uczuciem z szybkością biegu olimpijczyka.

Madame Olenska nie poruszyła się, kiedy wszedł i stanął za nią; po raz wtóry ich oczy spotkały się w lustrze; po czym odwróciła się, opadła na kanapę i wydała przeciągłe westchnienie.

- No, czas na papierosa.

Podał jej pudełko i zapalił dla niej fidybusa. Gdy płomień oświetlił jej twarz, spojrzała na niego śmiejącymi się oczyma i spytała:

- Co sądzisz o mnie, gdy się złoścę?

Archer milczał chwilę. Następnie odpowiedział z nagłym zdecydowaniem:

- Rozumiem teraz wszystko, co twoja ciotka mówiła o tobie.

- Wiedziałam, że mówiła o mnie. No, co takiego?

- Powiedziała, że jesteś przyzwyczajona do takich różnych rzeczy... wystawności, ekscytujących rozrywek, których nigdy tutaj nie zdołamy ci zapewnić.

Madame Olenska uśmiechnęła się leciutko wypuszczając z ust kółka dymu.

- Medora jest niepoprawną romantyczką. Wynagradza sobie w ten sposób tyle innych rzeczy!

Archer znów się zawahał i znów zaryzykował:

- Czy romantyzm twojej ciotki jest zgodny z rzeczywistością?

- Masz na myśli to, czy mówi prawdę? - zastanowiła się jej siostrzenica.

- No cóż, powiem ci. Niemal we wszystkim, co mówi, jest trochę prawdy i trochę nieprawdy. Lecz czemu pytasz? Co ci naopowiadała?

Odwrócił wzrok w stronę ognia, po czym znów spojrzął na jej migotliwą postać. Serce mu się ścisnęło na myśl, że jest to ich ostatni wieczór przy tym kominku i że za chwilę zjawi się powóz, by ją stąd zabrać.

- Ona mówi... ona uroiła sobie, że hrabia Olenski prosił ją, by nakłoniła ciebie do powrotu.

Hrabina nie odpowiedziała. Siedziała bez ruchu, trzymając papierosa w lekko uniesionej dłoni. Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie i Archer uświadomił sobie, że już przedtem zauważył, że nie jest zdolna wyrazić zdziwienia.

- A więc wiedziałaś? - wybuchnął.

Milczała tak długo, aż papieros wypalił się całkowicie. Strząsnęła popiół na podłogę.

- Wspominała o liście, biedactwo. Napomknęła...

- Czy to na prośbę twego męża przybyła tutaj tak nagle?

Hrabina zdawała się znów rozważać to pytanie.

- Chyba tak. Kto to może wiedzieć? Powiedziała mi, że otrzymała od doktora Carvera „duchowe wezwanie”, cokolwiek to oznacza. Obawiam się, że zamierza wydać się za doktora... biedna Medora, zawsze znajduje się ktoś taki, kogo chce poślubić. Lecz prawdopodobniejsze jest to, że ci ludzie na Kubie już się nią po prostu znużyli. Myślę, że była u nich czymś w rodzaju płatnej madame de compagnie. Doprawdy nie wiem, dlaczego przyjechała.

- Ale wierzysz, że ma list od twego męża?

I znów Madame Olenska pograżyła się w milczeniu, ale po chwili odezwała się:

- Mimo wszystko, należało się tego spodziewać.

Młody człowiek wstał i oparł się o kominek. Opanował go nagły niepokój, pod wpływem którego milczał w poczuciu, że ich minuty są policzone i że lada chwila może, usłyszeć turkot kół powracającego powozu.

- Wiesz, że twoja ciotka wierzy w to, że wrócisz?

Hrabina szybkim ruchem uniosła głowę. Głęboki rumieniec zabarwił jej twarz, spływając na szyję i ramiona. Rzadko się czerwieniła i najwidoczniej sprawiało jej to przykrość, jak gdyby ów rumieniec palił ją niczym ogień.

- Wierzy się w wiele okropnych rzeczy na mój temat - powiedziała.

- Och, Ellen, przebacz mi! Jestem głupcem i brutalem!

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jesteś tylko strasznie nerwowy. Masz swoje własne kłopoty. Wiem, że uważasz, iż Wellandowie zbyt przesadzają z twoim małżeństwem, i oczywiście jestem po twojej stronie. W Europie ludzie nie rozumieją naszych długich zaręczyn. Przypuszczam, że nie mają tyle spokoju, co my. - Słowo „my” wymówiła z lekkim naciskiem, co nadało mu ironiczne brzmienie.

Archer wyczuł tę ironię, ale nie zamierzał na nią reagować. Ona zapewne celowo zboczyła z rozmowy o swych własnych sprawach i jego ostatnie słowa musiały jej sprawić ból. Jedyne, co mógł zrobić, to poddać się jej przewodnictwu. Jednakże poczucie upływających chwil napawało go rozpaczą; nie mógł znieść myśli, że znów odgrodzi ich zaporą słowna.

- Tak - powiedział raptem - pojechałem na południe, by prosić May o wyznaczenie ślubu po Wielkiejnocy. Nie ma powodu, abyśmy tak długo zwlekali.

- May uwielbia cieę... a jednak nie udało ci się jej przekonać. Myślałam, że jest inteligentna, że nie będzie niewolnicą takich absurdalnych przesądów.

- Jest inteligentna... i nie jest ich niewolnicą.

Madame Olenska spojrzała na Archera.

- No więc, w takim razie... nie rozumiem.

Archer poczerwieniał i ciągnął dalej z pośpiechem:

- Mieliśmy szczerą rozmowę... chyba pierwszą. Uważa moją niecierpliwość za zły znak.

- Wielkie nieba... zły znak - Uważa, iż to oznacza, że nie ufam sobie... czy dalej mi będzie na niej zależeć. Mówiąc krótko, myśli, że chcę ją natychmiast poślubić, by uciec od innej, która jest mi bardziej bliska.

Madame Olenska rozważała to z zainteresowaniem.

- Lecz skoro tak myśli, to dlaczego sama również się nie pośpieszy?

- Bo ona nie należy do takich. Jest o wiele szlachetniejsza. Tym bardziej nalega na dłuższe zaręczyny, by dać mi czas...

- Czas, by ją porzucić dla innej kobiety?

- Jeśli zechcę.

Madame Olenska pochyliła się w stronę kominka i zapatrzyła w ogień. Z oddali, na cichej ulicy, Archer posłyszał zbliżający się stukot końskich kopyt.

- To jest szlachetne - powiedziała lekko załamującym się głosem.

- Tak. Ale i śmieszne.

- Śmieszne? Czy dlatego, że nie interesuje cię żadna inna

- Ponieważ nie zamierzam żenić się z żadną inną.

- Ach. - I znów nastąpiła długa przerwa w rozmowie. Wreszcie spojrzała na niego i spytała: - A ta inna kobieta... czy kocha ciebie

- Och, nie ma żadnej innej kobiety! To znaczy osoba, którą May miała na myśli, nie istnieje... nigdy nie istniała.

- No to właściwie dlaczego tak się śpieszysz?

- Zajechał twój powóz - powiedział Archer.

Uniosła się lekko z kanapy i rozejrzała wokół siebie niewidzącym wzrokiem.

Wachlarz i rękawiczki leżały obok niej; wzięła je machinalnie.

- Tak. Chyba muszę już jechać.

- Jedziesz do pani Struthers?

- Tak. - Uśmiechnęła się i dodała: - muszę jechać tam, gdzie mnie proszą, inaczej będę skazana na samotność. A może wybrałbyś się tam razem ze mną?

Archer czuł, że za wszelką cenę musi ją przy sobie zatrzymać, musi postarać się, żeby poświęciła mu resztę wieczoru. Ignorując jej pytanie, stał nadal oparty o kominek, wpatrując się w jej rękę, w której trzymała rękawiczki i wachlarz, jak gdyby siłą swego wzroku chciał sprawić, żeby je upuściła.

- May odgadła prawdę - powiedział. - Jest inna kobieta... ale nie ta, o której ona myśli.

Ellen Olenska nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Po chwili usiadł obok niej i ujmując jej dłoń, delikatnie rozchylił palce, tak że rękawiczki i wachlarz upadły na sofę między nimi.

Zerwała się gwałtownie i uwalniając się z uścisku stanęła po drugiej stronie kominka.

- Och, tylko nie zalecaj się do mnie. Zbyt wielu mężczyzn już to robiło - powiedziała marszcząc czoło. Archer, zmieniony na twarzy, wstał również - była to najbardziej gorzka nagana, jakiej mogła mu udzielić.

- Nigdy się do ciebie nie zalecałem - odparł i nigdy nie będę. Lecz jesteś kobietą, którą poślubiłbym, gdyby to było możliwe dla nas obojga.

- Możliwe dla nas obojga? - spojrzała na niego z niekłamanym zdumieniem.

- I ty to mówisz... kiedy to właśnie ty sprawiłeś, że stało się to niemożliwe?

Wpatrywał się w nią błędząc po omacku w ciemnościach, poprzez które jedynie jasny promień światła torował sobie drogę.

- Ja to sprawiłem?... :

- Ty, ty, ty!... - krzyknęła, usta jej drżały jak u dziecka, które za chwilę ma wybuchnąć płaczem. - Czy to nie ty właśnie kazałeś mi zaniechać rozwodu, zaniechać, ponieważ przedstawiłeś mi, jakie to samolubne i niegodziwe, i że ktoś musi poświęcić siebie, by zachować godność instytucji małżeństwa... i oszczędzić rodzinie rozgłosu, skandalu? A ponieważ moja rodzina ma zostać twoją... dla spokoju May i twojego

uczyniłam, co mi powiedziałaś, co mi udowodniłaś, że powinnam zrobić. Och -
wybuchnęła nagle śmiechem - nie trzymałam tego w sekrecie, że zrobiłam to dla ciebie!

Znów opadła na kanapę, kuląc się w bogatych fałdach swej sukni niczym żalosna
kukielka maskaradowa. Młody człowiek stał przy kominku i patrzył na nią nieporuszony.

- Dobry Boże! - jęknął. - Przecież ja myślałem...

- Ty myślałeś

- Och, tylko nie pytaj mnie, co myślałem!

Nie spuszczał z niej wzroku i zauważył, że ten sam krwisty rumieniec wypełza
znów na jej szyję, a potem oblewa twarz. Siedziała wyprostowana, patrząc na niego z
jakąś surową godnością.

- Ale ja pytam.

- A więc dobrze, w liście tym, który mi dałaś do przeczytania, były poruszane
pewne sprawy...

- Liście mego męża?

- Tak.

- Nie musiałam się niczego obawiać z powodu tego listu. Niczego! Bałam się
jedynie tego, by nie wywołać rozgłosu, nie sprowadzić skandalu na rodzinę... na ciebie i
May.

- Dobry Boże! - jęknął po raz drugi, ukrywając twarz w dłoniach.

Cisza, jaka zapadła, przygniotła ich swym ciężarem spraw skończonych i
nieodwołalnych. Archerowi zdawało się, że przyciska go niczym płyta nagrobna.

I czuł, że już nic nigdy nie zdoła mu zdjąć z serca tego ciężaru. Nie poruszył się
ze swego miejsca ani nie uniósł głowy ukrytej w dłoniach; jego oczy wpatrywały się w
nieprzeniknioną ciemność.

- Ale przynajmniej kochałem cię... - wyznał. Po drugiej stronie kominka, od strony
kanapy, gdzie siedziała, chyba nadal skulona, usłyszał stłumiony płacz jakby dziecka.
Poderwał się i stanął przy niej.

- Ellen! Co za szaleństwo! Czemu płaczesz? Nic się jeszcze nie stało Jestem
ciągle wolny, a tym masz zamiar odzyskać wolność! - Trzymał już ją w ramionach,

całował jej twarz, przypominającą pokryty rosą kwiat, i cały ich niepotrzebny strach ulotnił się jak duchy ze wschodem słońca. Dziwił się jedynie temu, że aż przez pięć minut dyskutował z nią przez szerokość pokoju, gdy tymczasem wystarczyło jej dotknąć i wszystko stało się tak proste.

Oddawała mu pocałunki, lecz po chwili poczuł, jak sztywnieje w jego ramionach; odsunęła go i wstała.

- Ach, mój biedny Newlandzie. Przypuszczam, że mogłoby tak się stać.

Jednakże w najmniejszym stopniu nie zmienia to biegu rzeczy - powiedziała spoglądając na niego z góry, gdy wracała w stronę kominka.

- Dla mnie zmienia to całe życie.

- Nie, nie... nie musi, nie może. Ty jesteś zaręczony z May Welland. A ja jestem mężatką.

On również podniósł się z kanapy, podniecony i zdecydowany.

- Nonsens! Już za późno. Nie mamy prawa okłamywać innych i siebie, znajomych. Nie powinniśmy rozmawiać o twoim małżeństwie. A czy widzisz mnie żeniącego się z May po tym, co się zdarzyło?

Stała w milczeniu, oparłszy szczupłe łokcie o gzyms kominka, jej profil widoczny był w lustrze wiszącym za nią. Jeden z loków wysunął się z jej chignon i opadł na szyję. Wyglądała na strapioną i niemal postarzałą.

- Ale też nie widzę ciebie - powiedziała w końcu - jak przedstawiasz tę sprawę May. A ty. Wzruszył niedbale ramionami.

- Jest za późno, by można było postąpić inaczej.

- Mówisz tak, bo w tym momencie najłatwiej jest tak powiedzieć... a nie dlatego, że to jest prawda. W rzeczywistości jest za późno, by zrobić cokolwiek innego, poza tym, cośmy zdecydowali.

- Och, nie rozumiem cię!

Zmusiła się do żalospnego uśmiechu, który raczej skurczył jej twarz, niż wygładził.

- Nie rozumiesz, dlatego że jeszcze nie odgadłeś, jak wszystko zmieniłeś w moim życiu. Och, od samego początku... na długo przedtem, nim się dowiedziałam

wszystkiego, co dla mnie zrobiłeś.

- Wszystkiego, co zrobiłem?

- Tak. Z początku byłem całkowicie nieświadoma tego, że ludzie tutaj wstydzą się mnie... że uważają mnie za odszczepieńca. Zdaje się, że nawet nie chcieli spotykać się ze mną na obiadach. Ale odkryłam to później. I to, jak zmusiłeś swoją matkę, by poszła z tobą do van der Luydenów. I jak nalegałeś na ogłoszenie waszych zaręczyn na balu u Beaufortów, żebym mogła mieć dwie rodziny zamiast jednej, które by mnie popierały...

Roześmiał się w tym momencie.

- Wyobrażasz sobie, jak głupia i niespostrzegawcza byłem! - wykrzyknęła.

- Nic o tym wszystkim nie wiedziałam, póki pewnego dnia babcia się nie wygadała. Nowy Jork po prostu oznaczał dla mnie spokój i wolność... był to przyjazd do domu. Czułam się taka szczęśliwa przebywając wśród swoich, że każdy, kogo spotkałam, wydawał mi się miły i dobry i że cieszy się na mój widok... Lecz od samego początku - ciągnęła dalej - czułam, że nie ma nikogo tak miłego jak ty. Nikogo, kto by sprawił, że rozumiałam to, co wydawało mi się tak ciężkie i... niepotrzebne. Ludzie bardzo dobrzy nie przekonują mnie. Oni nigdy nie mają pokus. Ale ty wiedziałeś, ty rozumiałeś. Wyczuwałeś, że świat wciąga człowieka wszystkimi swoimi złotymi mackami... a jednak nienawidziłeś tych wszystkich rzeczy, których w zamian za to żąda od człowieka ten świat. Nienawidziłeś szczęścia kupowanego za pomocą nielojalności, okrucieństwa i obojętności. Właśnie tego nigdy przedtem nie znałam... i byłoby lepiej, żebym nie poznała.

Mówiła cichym, beznamiętnym głosem, bez łez i widocznego wzburzenia, a każde słowo jakie padało z jej ust, godziło go w serce niczym rozpalone żelazo. Siedział zgarbiony, z głową ukrytą w dłoniach, wpatrując się w leżący przed kominkiem dywanik i w czubek jej atłasowego pantofelka, który wyglądał spod sukni. Raptem rzucił się na kolana i ucałował ten pantofelek.

Pochyliła się nad Archerem, kładąc mu dłonie na ramionach i wpatrując się w niego tak przejmująco, że nie mógł się poruszyć.

- Ach, nie pozwól nam zniszczyć tego, czego dokonałeś! - wykrzyknęła. - Nie

potrafię już teraz myśleć inaczej, tak jak dawniej. Nie mogę cię kochać, póki nie wyrzeknę się ciebie.

Wyciągnął do niej z tęsknota ramiona, lecz ona wymknęła mu się i stali nadal wpatrzeni w siebie, rozdzieleni przegrodą, którą stworzyły wypowiedziane przez nią słowa. , potem raptem Arche wybuchnął z gniewem:

- A Heautort? Czy to on ma mnie zastąpić?

Gdy padły te słowa, był przygotowany na atak z jej strony i byłby powitał go jako pożywkę dla swojej własnej złości. I. ecz Madame Olenska tylko trochę pobladła i stała z opuszczonymi rękami, a głowę nieznacznie pochyliła, jak gdyby rozważała to pytanie.

- Czeka teraz na ciebie u pani Struthers. Czemu do niego nie jedziesz? - zadrwił.

Odwróciła się, by zadzwonić na służącą.

- Nie wychodzę dzisiaj nigdzie. Powiedz, żeby powóz pojechał po markizę - oznajmiła, gdy weszła pokojówka.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Archer nie przestawał wpatrywać się w hrabinę z goryczą.

- Po cóż to poświęcenie? Odkąd powiedziałaś mi, że jesteś samotna, nie mam prawa trzymać cię z dala od przyjaciół.

Uśmiechnęła się leciutko spod wilgotnych rzęs.

- Nie będę już teraz samotna. Byłam samotna. Byłam przestraszona. Lecz pustka i ciemność zniknęły. Teraz, kiedy stałam się znów sobą, jestem jak dziecko wchodzące wieczorem do pokoju, w którym stale pali się światło.

Jej ton i spojrzenie w dalszym ciągu osnute były łagodną otoczką nieprzystępności. Archer znów jęknął:

- Nie rozumiem cię!

- Ale rozumiesz May!

Zaczerwienił się po takiej ripoście, ale nie spuszczał z niej wzroku.

- May jest gotowa zwrócić mi słowo!

- Co takiego? A przecież zaledwie trzy dni temu błagałeś ją na kolanach, by przyśpieszyła wasz ślub - Odmówiła. A to daje mi prawo...

- Och, dowiedziałam się od ciebie, jakie to okropne słowo - powiedziała.

Odwrócił się z uczuciem przemożnego zmęczenia.

Miał wrażenie, jak gdyby przez wiele godzin walczył, by wydostać się z głębokiej przepaści, a teraz, kiedy właśnie udało mu się wydobyć na jej brzeg, stracił nagle punkt oparcia i runął głową naprzód w ciemność.

Gdyby tylko mógł wziąć ją znów w ramiona, potrafiłby rozwiać jej upór.

Lecz ona ciągle trzymała go na dystans przez tę jakąś niezgłębioną powściągliwość w spojrzeniu i zachowaniu i przez tę jego pełną nabożnego lęku świadomość jej szczerości. W końcu zaczął znów ją prosić.

- Jeżeli nie zrobimy tego teraz, potem będzie trudniej... gorzej dla każdego z nas...

- Nie, nie, nie! - niemal krzyknęła, jakby przestraszona.

W tym momencie rozległ się przeciągły dźwięk dzwonka. Nie słyszeli, by przed wejściem zatrzymał się jakiś powóz, i stali bez ruchu spoglądając na siebie zaskoczeni.

W hallu usłyszeli kroki Nastazji, otwieranie drzwi wejściowych, a w chwilę potem dziewczyna weszła do pokoju niosąc telegram, który podała hrabinie.

- Pani bardzo cieszyła się z kwiatów - powiedziała Nastazja, wygladzając fartuszek. - Ona myślała, że to przysłał jej signor marito i trochę płakała, i powiedziała, że to szaleństwo.

Jej pani uśmiechnęła się biorąc żółtą kopertę. Rozerwała ją i podeszła do lampy; następnie, gdy tylko drzwi się znów zamknęły, podała telegram Archerowi.

Wysłany był z St. Augustine i zaadresowany do hrabiny Olenskiej.

Przeczytał: „Telegram babci poskutkował. Papa i mama zgadzają się. Ślub p Wielkiejnocy. Depeszuję do Newlanda. Niewypowiedzianie szczęśliwa i wdzięczna May”.

Pół godziny później, gdy Archer otworzył frontowe drzwi własnego domu, znalazł na stoliku w hallu taką samą kopertę, leżącą na stosie różnych pism i listów. Depesza, znajdująca się w kopercie, pochodziła od May i brzmiała następująco: „Zgoda rodziców na ślub, wtorek po Wielkiejnocy, w Grace Church, osiem druhen, proszę, zobacz się z

proboszczem całuję, przeschęśliwa May”.

Archer zmiął żółtą karteczkę, jakby tym gestem mógł zniszczyć wieści, jakie zawierała. Następnie wyjął notesik i przerzucał jego kartki drżącymi palcami; nie znalazł tego, czego szukał, i wepchnąwszy telegram do kieszeni wszedł na schody.

Przez szparę w drzwiach małego saloniku, który służył Janey jako ubieralnia i buduar, wydobywało się światło i brat niecierpliwie nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się i ujrzał przed sobą siostrę w odwiecznym fioletowym szlafroku z flaneli i w papilotach. Twarz jej była blada i niespokojna.

- Newlandzie! Mam nadzieję, że w telegramie nie było złych wiadomości?

Czekałam na wypadek, gdyby coś... (Żaden szczegół z jego korespondencji nie umknął uwadze Janey).

Nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

- Słuchaj... kiedy w tym roku jest Wielkanoc?

Wyglądała na zszokowaną tą pogańską ignorancją.

- Wielkanoc? Newlandzie! Ależ, oczywiście, w pierwszym tygodniu kwietnia.

Czemu pytasz?

- W pierwszym tygodniu? - Przewrócił znów kartki notesu, obliczając szybko w myślach. - Pierwszy, powiedziałaś? - odrzucił do tyłu głowę, wybuchając rozgłośnym śmiechem.

- Na miłość boską, co się stało?

- Nic się nie stało, poza tym, że biorę ślub za miesiąc.

Janey rzuciła mu się na szyję i przycisnęła do swej fioletowoflanelowej piersi.

- Och, Newlandzie, jak to cudownie! Tak się cieszę! Ale, kochany, czemu się tak śmiejesz? Uspokój się, bo obudzisz mamę!

KSIĘGA II

XIX

Dzień był rzeński, a wesoły wiosenny wietrzyk sypał kurzem. Wszystkie starsze damy z obydwu rodzin wyciągnęły wyblakłe sobole i żółknące gronostaje, a zapach kamfory, napływający od frontowych ławek, niemal zabijał delikatną wiosenną woń lilii wieńczących ołtarz.

Newland Archer, na znak kościelnego, wyszedł z zakrystii i stanął ze swoim drużbą na stopniu prezbiterium Grace Church.

Sygnał ów oznaczał, że jednokonna kareta, wioząca pannę młodą i jej ojca, jest już niedaleko; w przedsiönku, gdzie zebrały się druhny przypominające bukiety wielkanocnych kwiatów, nastąpiła pełna oczekiwania przerwa w gorączkowym ustawianiu się i konsultacjach. Podczas tego nieuniknionego upływu czasu pan młody wielce zniecierpliwiony winien był ukazać się sam oczom zgromadzonego towarzystwa.

Archer poddał się tej formalności równie potulnie jak wszystkim innym, które dziewiętnastowieczny ślub w Nowym Jorku czyniły obrzędem jakby wyciągniętym z lamusa historii. Wszystko było tak samo łatwe albo - jak kto woli - tak samo bolesne na tej ścieżce, którą zobowiązał się kroczyć, i słuchał gwałtownych napomnień swego drużby równie nabożnie, jak inni nowożeńcy słuchali swoich drużbów w tych czasach, kiedy to i on przeprowadzał ich przez ten sam labirynt.

Jak dotąd był pewny, że wypełnił wszystkie swoje obowiązki. Osiem bukietów dla druhen z białego bzu i konwalii zostało wysłanych w odpowiednim czasie, tak samo jak złote spinki z szafirem do koszul dla ośmiu drużbów i spinka do szarfy z kamieniem zwanym kocie oko dla starszego drużby. Archer przesiedział pół nocy próbując ułożyć w różnych wersjach podziękowania za nadesłane prezenty od przyjaciół i dawnych swych sympatii; opłaty dla biskupa i proboszcza spoczywały bezpiecznie w kieszeni drużby.

Jego własne bagaże były już w domu pani Mansonowej Mingott, gdzie miało się odbyć weselne śniadanie, i tak samo jego podróżne ubranie, w które miał się przebrać; wynajęty był przedział w pociągu, który miał młodą parę powieźć w nieznaną - ku tajemnemu miejscu, gdzie mieli spędzić noc poślubną, będącą ;jednym z najbardziej

uświęcanych tabu prehistorycznego rytuału.

- Czy wzięłaś obrączki? - szepnął młody van der Luyden Newland, który nie miał jeszcze doświadczenia w obowiązkach drużby i był pełen lęku wobec wagi swojej odpowiedzialności.

Archer wykonał gest, który podpatrzył przedtem u tak wielu nowożeńców: prawą ręką, nie w rękawiczce, sięgnął do kieszeni ciemnoszarej kamizelki i upewnił się, że mała złota obrączka (z wygrawerowanym wewnątrz napisem: Dla May od Newlanda, kwiecień 18... r.) znajduje się na swoim miejscu; następnie, trzymając w lewej ręce cylinder i perłowszare rękawiczki szyte czarną nicią, stanął wyprostowany i spoglądał na drzwi kościoła.

W górze, pod sklepieniem z imitacji kamienia, rozbrzmiewał uroczyście „Marsz” Handla, unosząc na falach dźwięku wyblakły osad wielu ślubów, podczas których z pogodną obojętnością stał na tym samym stopniu prezbiterium, obserwując innych oblubieńców puszczających się biegiem przez kościelną nawę na spotkanie swych oblubienic.

Jakże to przypomina ów pierwszy wieczór w Operze! - pomyślał rozpoznając wszystkie te same twarze, w tych samych łóżach (nie, w ławkach) i zastanawiając się, czy jak rozlegnie się dźwięk organów, pani Selfridge'owa Merry również pojawi się w tych samych strusich piórach na czepeczku, a pani Beaufort w tych samych diamentowych kolczykach z nieodłącznym uśmiechem - i czy równie wygodne miejsca na proscenium będą miały przygotowane na tamtym świecie.

Potem miał jeszcze czas, by popatrzeć kolejno na znajome twarze w pierwszym rzędzie - na podniecone i zaciekawione twarze kobiet, na ponure twarze mężczyzn, którzy z obowiązku musieli nałożyć przed śniadaniem fraki, a potem walczyć o jedzenie na weselnej uczcie.

- To bardzo źle, że śniadanie jest u starej Katarzyny - pan młody poznał głos Reggie Chiversa. - Ale mówiono mi, że Lovell nalegał, by wszystko przyrządzał jego własny chef, więc jedzenie powinno być dobre, żeby się tylko człowiek zdołał doń

dopchać. - I wyobraził sobie, jak Sillerton Jackson dodaje autorytatywnie: - Mój drogi, nie słyszałeś? Śniadanie ma być podane na małych stolikach wedle mody angielskiej.

Oczy Archera przez chwilę zatrzymały się na ławce po lewej stronie, gdzie jego matka, która weszła do kościoła wsparta na ramieniu pana Henry'ego van der Luydena, siedziała roniąc ciche łzy pod woalką z koronek Chantilly, wsunąwszy ręce w gronostajową mufkę swojej babki.

Biedna Janey - pomyślał spoglądając na siostrę nawet gdyby przekręciła całkiem głowę do tyłu i tak będzie mogła zobaczyć zaledwie ludzi siedzących w kilku frontowych ławkach; a to przeważnie niemodnie ubrani Newlandowie i I7agonetowie.

Po drugiej stronie białej wstążki, odgradzającej siedzenia zarezerwowane dla rodziny, spostrzegł Beauforta, wysokiego, o czerwonej twarzy, który mierzył kobiety swoim aroganckim spojrzeniem. Obok niego siedziała żona, cała w srebrzystych szynszylach a fiołkach; dalej, po tej samej stronie wstążki, gładko ulizana głowa Lawrence'a Leffertsza zdawała się sprawować straż nad niewidzialnym bóstwem Nienagannej Formy, które przewodniczyło ceremonii.

Archer zastanawiał się, ile to skaz dostrzegą bystre oczy Leffertsza na obrzędzie jego wstąpienia do raju. Potem raptem przypomniał sobie, że on również uważał kiedyś, że te sprawy są ważne. Sprawy, które wypełniały ostatnio jego dni, wydały się teraz jak niemowleca parodia życia albo raczej jak spory średniowiecznych scholastyków nad metafizycznymi terminami, których i tak nikt nigdy nie rozumiał. Burzliwe dyskusje, czy prezenty ślubne powinny być „wystawione” , czy nie, osnuły ciemną chmurką ostatnie godziny przed ślubem; Archerowi wydało się niepojęte, że dorośli ludzie mogą doprowadzać się do stanu podniecenia z powodu takich błahostek i że w tej sprawie musiała zadecydować (w sensie negatywnym) pani Welland, która mówiła poprzez pełne oburzenia łzy:

- Musiałabym wkrótce oddać mój dom w ręce reporterów.

Jednakże był czas, kiedy Archer miał zdecydowane i raczej negatywne zdanie na temat tych problemów kiedy wszystko, co dotyczyło zachowania i zwyczajów małego klanu, w którym żył, nabierało w jego oczach ogólnoświatowego znaczenia.

A mimo to, przypuszczam - rozmyślał - że żyją gdzieś prawdziwi ludzie, którym przytrafiają się prawdziwe rzeczy...

- Nadchodzą! - wyszeptał drużba w podnieceniu; ale pan młody wiedział lepiej.

Ostrożne uchylenie drzwi kościoła oznaczało, że pan Brown, koniuszy (cały w czerni, występujący chwilowo w roli kościelnego), dokonywał wstępnych oględzin sceny przed uroczystym wprowadzeniem aktorów. Drzwi ponownie zamknęły się cichutko; po chwili znów się otwały majestatycznie i po kościele rozszedł się szmerek:

- Rodzina pierwsza weszła pani Welland, wsparta na ramieniu najstarszego syna. Jej szeroka różowa twarz przybrała odpowiedni wyraz powagi, a śliwkowego koloru suknia z niebieskim obszyciem i mały czepeczek przybrany granatowymi strusimi piórami spotkały się z ogólnym aplauzem. Lecz nim jeszcze usadowiła się na ławce obok pani Archer ze statecznym szelestem jedwabiu, widzowie już wyciągali szyje, by zobaczyć, kto idzie za nią. Przedwczoraj gruchnęła szaleńcza pogłoska, jakoby pani Mansonowa Mingott, biorąc pod uwagę swoje fizyczne upośledzenie, zawahała się, czy weźmie udział w ceremonii ślubnej. A że myśl ta była tak niezgodna z jej sportowym duchem, w klubach zakładano się wysoko, czy uda jej się przejść nawą i wcisnąć do ławki. Wiadomo było, że zażądała, by posłano jej własnego stolarza, który miał rozpatrzyć możliwość usunięcia końcowego filunku z frontowej ławki i zmierzyć przestrzeń pomiędzy siedzeniem a oparciem z przodu; wynik tych oględzin okazał się niepomysłny i w ciągu jednego dnia pełnego niepokoju rodzina obserwowała, jak zabawia się planowaniem, żeby popchano ją przez główną nawę w tym olbrzymim fotelu na kółkach i ustawiono niczym na tronie u stóp prezbiterium.

Pomysł tego monstrualnego wystawienia się na widok publiczny był tak bolesny dla krewnych, że gotowi byli obsypać złotem kogoś odważnego, kto by nagle uznał, że fotel jest zbyt szeroki, by przejechać pomiędzy metalowymi prętami markizy, która ciągnęła się od drzwi kościoła aż po krawężnik trotuaru.

Natomiast myśl, żeby usunąć markizę i wystawić młodą parę na widok pospólstwa krawców i reporterów gazet, którzy stoją na zewnątrz i napierają na pręty płótna, chcąc znaleźć się jak najbliżej, odebrała nawet odwagę starej Katarzynie, chociaż przez chwilę

rozważała i taką możliwość.

- Ależ oni mogliby zrobić zdjęcie mojego dziecka i umieścić w gazecie! - wykrzyknęła pani Welland, kiedy przedstawiono jej ostatni plan matki. I przed tą możliwością, która przechodziła wszelkie granice przyzwoitości, klan wzdrygnął się zbiorowym dreszczem. Założycielka rodu musiała ustąpić.

Ale to ustępstwo było kupione obietnicą, że śniadanie weselne odbędzie się pod jej dachem, chociaż (jak powiadali ci z Washington Square) dom Wellandów znajdował się w pobliżu kościoła; w takiej sytuacji trzeba było opłacić specjalnie wynajęte powozy, by dowiozły gości na taki skraj świata.

Mimo iż te wszystkie deliberacje były szeroko rozprowadane przez Jacksonów, mniejszość w dalszym ciągu wierzyła, że stara Katarzyna ukaże się w kościele, i temperatura wyraźnie zaczęła się obniżać, gdy zdecydowała, że zastąpi ją synowa. Pani Lovellowa Mingott zyskała wysokie uznanie wśród dam swego wieku i po2ycji z powodu wysiłku, jaki włożyła w przygotowanie nowej toalety. Gdy tylko rozczarowanie wywołane niezjawieniem się jej teściowej opadło, ustalono, że czarna suknia z koronek Chantilly na fioletowym ałtasowym spodzie i czepeczek z fiołków parmeńskich wyjątkowo dobrze kontrastują z niebiesko - śliwkowymi barwami pani Welland. Całkiem odmienne wrażenie wywołała wychudzona i afektowana dama, która postępowala wsparta na ramieniu pana Mingotta, w dzikiej gmatwaninie pasków, frędzelków i powiewających wstążek. Na widok tej ostatniej zjawy serce Archera skurczyło się i przestało bić.

Uwierzył, że markiza Manson przebywa nadal w Waszyngtonie, dokąd wyjechała przed miesiącem ze swoją siostrzenicą, Madame Olenską.

Powszechnie było wiadomo, że ich nagły wyjazd nastąpił na życzenie Madame Olenskiej, która chciała wyrwać swą ciotkę spod wpływu zgubnej elokwencji doktora Agathona Carvera, któremu nieomal udało się ją zwerbować na nowego członka „Doliny Miłości”. W takiej sytuacji nikt się nie spodziewał, że któraś z owych dam przyjedzie na ślub. Przez chwilę Archer stał z wzrokiem utkwionym w fantastycznej postaci Medory i wyciągał szyję, by zobaczyć, kto postępuje za nią. Lecz był to już koniec tej małej procesji, gdyż mniej znaczeni członkowie rodziny zajęli przedtem swoje miejsca.

Ośmiu wysokich drużbów, skupionych razem jak ptaki lub owady szykujące się do odlotu, wśliznęło się przez boczne drzwi do przedsionka.

- Newland... mówię ci... ona już tu jest! - szepnął drużba.

Archer ocknął się przestraszony.

Minęło najwidoczniej sporo czasu od chwili, kiedy serce w nim zamarło, gdyż biała - różowa procesja znajdowała się już w połowie nawy, biskup, proboszcz i dwaj klerycy w komżach kręcili się już wśród ukwieconych ławek prezbiterium i pierwsze takty symfonii Spohra stały się do stóp panny młodej niczym płatki kwiatów.

Archer otworzył oczy (czy rzeczywiście były zamknięte, jak mu się zdawało?) i poczuł, że serce jego powróciło do normalnego rytmu. Muzyka, zapach lilii w prezbiterium, zjawiskowa chmura tiulów i pomarańczowego kwiecia, nadpływająca coraz bliżej, widok twarzy pani Archer, zroszonej nagle łzami szczęścia niski, zanoszący modły głos proboszcza, uporządkowane rozwijanie się orszaku ośmiu różowych druhen i ośmiu czarnych drużbów - wszystkie te dźwięki i wrażenia, same w sobie tak swojskie, a tak niewypowiedzianie obce i nic nieznaczące przy jego obecnym do nich stosunku, mieszały mu się kompletnie w głowie.

Mój Boże - myślał - czy aby wziąłem obrączkę?

- Raz jeszcze uczynił konwulsyjny ruch, tak charakterystyczny dla nowożeńca.

A potem, za chwilę, May stała już przy nim, bił od niej taki blask, że w jego delikatnym ciepłe ustąpiło odrętwienie Newlanda, wyprostował się i uśmiechnął prosto w jej oczy.

- Najukochańsi, zebraliśmy się tutaj... - zaczął proboszcz.

Obrączka znalazła się na jej palcu, biskup udzielił swego błogosławieństwa, drużny stały w pogotowiu, by zająć swoje miejsce w orszaku, organista brał pierwsze akordy marsza Mendelssohna, bez którego żadna młoda para nie mogła się obyć w Nowym Jorku.

- Ramię, słyszysz? Podaj jej ramię! - syknął nerwowo młody Newland i jeszcze raz Archer uświadomił sobie, że został daleko uniesiony w nieznaną.

Zastanawiał się, co go tam wysłało? Może wśród nieznanym widzów w

transepcie błysnięcie ciemnego pukla włosów spod kapelusza... W chwilę potem okazało się, że pukiel należy do nieznanym damy z długim nosem, tak śmiesznie niepodobnej do osoby, której obraz wywołał, że zastanawiał się, czy czasem nie staje się ofiarą halucynacji.

A teraz już razem z żoną kroczyli wolno wzdłuż nawy, unoszeni na łagodnych falach dźwięków marsza Mendelssohna. Wiosenny dzień nęcił ich przez szeroko otwarte drzwi, a kasztanki pani Welland z wielkimi białymi fontaziami na czołach paradowały robiąc kurbety na przeciwnym końcu płóciennego tunelu.

Woznica, który miał jeszcze większy biały pęk wstążek przypiętych do klapy surduta, zarzucił na ramiona May biały płaszcz i Archer wskoczył do karety, sadowiąc się obok żony. Odwróciła się ku niemu z triumfującym uśmiechem i dłonie ich złączyły się pod jej welonem.

- Kochanie - powiedział Archer i raptem ta sama czarna otchłań otwarła się przed nim i poczuł, że zapada się w nią, coraz głębiej i głębiej, podczas gdy jego głos brzmiał swobodnie i wesoło: - Tak, oczywiście, myślałem, że zgubiłem obrączkę. Żaden ślub chyba nie mógłby obejść się bez tego, żeby pan młody, biedaczysko, przez to samo nie przeszedł. Ale rozumiesz, kazałaś mi tak długo czekać. Miałem czas na to, żeby wyobrazić sobie, jakie to różne okropności mogłyby się zdarzyć.

Wprawiała go w zdumienie, gdy odwróciwszy się do niego na środku Piątej Alei zarzuciła mu ramiona na szyję. - Ale teraz, kiedy jesteśmy razem, już nic nigdy nie może się zdarzyć, prawda, Newlandzie?

Każdy szczegół tego dnia był pieczołowicie obmyślony, że młoda para po weselnym śniadaniu miała dostatecznie dużo czasu, by włożyć stroje podróżne, zejść po szerokich schodach Mingottów, pośród roześmianych druzhen i płaczących rodziców, i wsiąść do karety pod gradem ryżu i atłasowych pantofelków; pozostało im jeszcze pół godziny, by dojechać do stacji, kupić w kiosku ostatnie tygodniki jak wytrawni turyści i usadowić się w zarezerwowanym przedziale, w którym pokojówka May zdążyła już położyć podróżny płaszczyk swej pani w gołęmb kolorze oraz gładki, błyszczący nowy

neseser, prosto z Londynu.

Stare ciotki du Lac z Rhinebeck oddały młodej parze swój dom do dyspozycji, ucieszone perspektywą spędzenia tygodnia w Nowym Jorku w gościnie u pani Archer. A Newland, zadowolony, że uniknął zwykłego „weselnego apartamentu” w filadelfijskim czy baltimorskim hotelu, przyjął propozycję z nie mniejszą skwapliwością.

May była oczarowana możliwością wyjazdu na wieś i cieszyła się jak dziecko z nadaremnych wysiłków swych drухen, które koniecznie chciały się dowiedzieć, gdzie mieści się ich tajemnicze schronienie.

Uważano, że to „bardzo po angielsku” mieć wypożyczony wiejski domek i fakt ten przydawał jeszcze wytworności ślubowi, który i tak już został powszechnie uznany za najwspanialszy ślub roku. Ale nikt nie miał się dowiedzieć, gdzie jest ten dom, oprócz rodziców państwa młodych, którzy, gdy ich o to nagabywano, sznurowali usta i odpowiadali tajemniczo:

- Och, nie powiedzieli nam... - co było zbyt manifestacyjne i zupełnie niepotrzebne.

Kiedy się już rozlokowali w przedziale i pociąg, otrząsając z siebie nie kończące się drewniane zabudowania przedmieść, zaczął przedzierać się w końcu poprzez wyblakły wiosenny krajobraz, rozmowa stała się o wiele łatwiejsza, niż Archer przewidywał. May i z wyglądu, i z głosu pozostała tą samą prostą dziewczyną, jaką była wczoraj, tylko że bardziej skora do wymiany poglądów na temat pewnych wydarzeń ze ślubu i przedyskutowania ich równie bezstronnie jak drухna ze swoim drużbą. Początkowo Archer sądził, że to trzymanie się na dystans jest po prostu maskowaniem jakiegoś wewnętrznego niepokoju. Lecz jej jasne oczy wyrażały jedynie pełną spokoju nieświadomość. Po raz pierwszy znalazła się sam na sam ze swoim mężem, a ten mąż był także uroczym kolegą z dawnych lat. Nikogo poza nim nie lubiła tak bardzo nikomu tak bezgranicznie nie ufała, a kulminacyjnym „punktem” tej uroczej narzeczeńskiej i małżeńskiej przygody było znalezienie się z nim w podróży jako osoba dorosła, a właściwie jako „kobieta zamężna”.

To cudowne - jak już miał możliwość przekonać się w misyjnym ogrodzie w St.

Augustine - że takie pokłady uczuć mogą koegzystować z takim brakiem wyobraźni. Przypomniał sobie, że nawet wówczas zadziwiła go tym, że gdy tylko uwolniła się od poważnych myśli, natychmiast stała się znów beztrosko dziewczęcą. Spostrzegł, że zapewne przejdzie przez życie radząc sobie z każdą sytuacją jak najlepiej, w miarę swych możliwości, ale nie stać jej będzie na to, by cieszyć się czymkolwiek naprzód.

Może właśnie z powodu owej nieświadomości jej oczy były aż tak przezroczyste, a twarz miała wyraz jakiegoś posagu, a nie człowieka; tak jakby ją wybrano, aby pozowała do rzeźby wyobrażającej uosobienie Cnót Obywatelskich czy grecką boginię. Krew, która płynęła tuż pod jej delikatną skórą, mogła być raczej zachowawczym płynem, a nie elementem zniszczenia. Jednakże jej wygląd niezniszczalnej młodości sprawiał że nie wydawała się ani surowa, ani nudna, tylko prymitywna i czysta. Głęboko pogrążony w takich rozmyślaniach poczuł nagle, że przygląda się jej zdumionym wzrokiem człowieka obcego, i natychmiast powrócił do wspomnień o weselnym śniadaniu, podczas którego niepodzielnie, pełna triumfu, panowała babcia Mingott.

May usadowiła się, szczerze ucieszona, że znów poruszył ten temat.

- Byłam zaskoczona... a ty nie?... że mimo wszystko jednak ciocia Medora przyjechała. Ellen pisała, że żadna z nich nie czuje się na tyle dobrze, by przedsięwziąć podróż. Jakżebym chciała, żeby to właśnie ona wyzdrowiała)

Czy widziałeś, jakie prześliczne koronki mi przysłała?

Wiedział, że ta chwila wcześniej czy później musi nastąpić, lecz nie wiedzieć czemu wyobrażał sobie, że dzięki sile woli zdoła ją odwlec.

- Tak... ja... nie. Tak, są śliczne - powiedział patrząc na żonę niewidzącym wzrokiem i zastanawiając się, czy za każdym razem, kiedy usłyszy te dwie sylaby, jego cały, tak pieczołowicie zbudowany świat będzie się rozpadał jak domek z kart.

- Nie jesteś zmęczona? Dobrze byłoby się napić herbaty, jak tylko przyjedziemy... Jestem pewien, że ciocie wszystko cudownie przygotowały! - zaczął mówić szybko, ujmując jej dłoń w swoje. A jej myśli natychmiast poszybowały ku wspaniałemu serwisowi do herbaty i kawy z baltimorskiego srebra, który przysłali Beaufortowie i który tak świetnie „pasuje” do tacek i miseczek od wuja Lovella.

Gdy o wiosennym zmierzchu pociąg zatrzymał się na stacji Rhinebeck, udali się peronem do oczekującego ich pojazdu.

- Och, jak to miło ze strony van der Luydenów, że na nasze spotkanie przysłali swego człowieka aż ze Skuytercliff! - wykrzyknął Archer, gdy ukazała się majestatyczna postać, nie w liberii, i wzięła bagaże z rąk pokojówki.

- Ogromnie mi przykro, proszę pana - rzekł wysłannik - ale zdarzył się u panien du Lac nieprzewidziany wypadek. Pękł zbiornik z wodą. Stało się to wczoraj i pan van der Luyden, który usłyszał o tym dzisiaj rano, wysłał pokojówkę wczesnym pociągiem, żeby przygotowała domek starego pana. Myślę, że wyda się szanownemu panu wygodny. A panie du Lac wysłały już swoją kucharkę, będzie więc zupełnie tak samo, jakby państwo byli w Rhinebeck.

Archer wpatrywał się w mówiącego pustym wzrokiem, więc ten powtórzył jeszcze bardziej przekonującym tonem:

- Będzie całkiem tak samo, proszę pana, zapewniam...

W tej chwili rozległ się ożywiony głos May, przerywając krępującą ciszę.

- Tak samo jak w Rhinebeck? W domku starego pana? Ależ tam będzie tysiąc razy lepiej, nieprawdaż, Newlandzie? To strasznie miło i uprzejmie ze strony pana van der Luydena, że o tym pomyślał.

A gdy ruszyli z pokojówką siedzącą obok woźnicy i błyszczącymi walizkami młodożeńców przed sobą, May szepnęła w podnieceniu:

- Zabawne, ale ja nigdy nie byłam tam w środku, a ty? Van der Luydenowie pokazywali go tak niewielu osobom... Ale zdaje się, że otworzyli go dla Ellen i opowiadała mi, jakie to śliczne mieszkanko. Powiada, że to jedyny dom w Ameryce, w którym zdaje jej się, że mogłaby być naprawdę szczęśliwa.

- No cóż, my właśnie chyba tacy zamierzamy być nieprawdaż? - wykrzyknął jej mąż wesóło, a ona odpowiedziała ze swoim chłopięcym uśmiechem:

- Ach, to po prostu dla nas szczęśliwy początek... , cudowne szczęście, jakie zawsze nam będzie towarzyszyć !

XX

- Oczywiście, że musimy zjeść obiad z panią Carliry, najdroższa - powiedział Archer; żona, zmarszczywszy czoło, z zaniepokojeniem spojrzała na niego ponad posągiem Brytanii stojącym na śniadaniowym stoliku w ich wynajętym domu.

Na całej tej deszczowej pustyni jesiennego Londynu Archer znał zaledwie dwie osoby. Lecz oni, zgodnie ze starą nowojorską tradycją, która mówiła, że to „niewytworne” narzucać się komuś ze znajomością w obcych krajach, skrzętnie unikali nawet tych osób.

Pani Archer i Janey, podczas swoich podróży do Europy, tak niezachwianie trzymały się tej zasady, a wszelkie przyjacielskie awansy ze strony towarzyszy podróży napotykały u nich na tak nieprzeniknącą rezerwę, że osiągnęły chyba rekord - nigdy bowiem nie zamieniły słowa z „obcym” poza tymi, którzy byli zatrudnieni w hotelach czy na stacjach kolejowych.

Swoich rodaków - oprócz tych znanych czy odpowiednio uznawanych - traktowały nawet z bardziej widoczną wzdargą. Toteż nim spotkały się z Chiversami, Dagonetami czy Mingottami, ich miesiące za granicą upływały w niezakłóconym tete - a - tete. Lecz skrajna przezorność okazuje się czasem złudna. Pewnej nocy w Botzen jedna z dwóch angielskich dam z pokoju po przeciwnej stronie korytarza (których nazwiska, stroje i społeczna pozycja drogami tajemnymi były już znane Janey) zapukała do drzwi i spytała, czy pani Archer posiada płyn do nacierania. Druga dama, pani Carfry - siostra owej intruzki - dostała nagle bronchitu. Pani Archer, która nigdy nie wyruszała w podróż bez kompletnej apteczki, mogła na szczęście, służyć poszukiwanym medykamentem.

Pani Carfry była bardzo chora, a ponieważ ona i jej siostra, panna Harle, podróżowały same, nie miał wprost słów wdzięczności dla pań Archer, że wsparły je tak szczerą pomocą i że ich świetna pokojówka pielęgnowała chorą i pomogła jej wrócić do zdrowia.

Kiedy panie Archer opuściły Botzen, nie spodziewały się, że zobaczą jeszcze kiedykolwiek panią Carfry i pannę Harle. Według pani Archer nic nie mogło być bardziej „niestosowne” niż narzucanie się „obcym”, którym kiedyś udzieliło się przypadkowej pomocy. Jednakże pani Carfry i jej siostra, którym nieznanym był ów punkt widzenia i

którym wydałby się całkiem niestosowny, czuły się dożgonnie zobowiązane wobec tych „uroczych Amerykanek”, tak szalenie dla nich uprzejmych w Bntzen. Z wzruszającą wiernością chwyciły się każdej sposobności, by spotkać panią Archer i Janey podczas ich podróży po kontynencie i objawiały wprost nadludzką przenikliwość w dowiadywaniu się, kiedy akurat będą przejeżdżały przez Londyn w drodze ze Stanów czy z powrotem. Ich wzajemne stosunki stawały się coraz bardziej zażyłe. a pani Archer i Janey, gdy tylko zjawiały się w Hotelu Browna, były witane przez dwie wzruszone przyjaciółki, które podobnie jak one uprawiały paprocie w szklanych ogródkach, robiły ozdobne koronki, czytały pamiętniki baronowej Bunsen i miały swoje zdecydowane poglądy na temat tych, którzy zasiadali na czołowych londyńskich trybunach.

Jak wyraziła się pani Archer, poznanie pani Carfry i panny Harle „całkiem odmieniło” Londyn. W ciągu tego czasu, kiedy Newland się zaręczył, więź między obu rodzinami tak się trwale zadzierzgnęła, że uznano za „niezbędne” i wysłanie zaproszenia na ślub obydwu angielskim damom, które w odpowiedzi przysłały śliczny bukiet zasuszonych alpejskich kwiatów pod szkłem. Gdy nowożeńcy odpływali do Anglii, ostatnie słowa pani Archer brzmiały: - Musisz, Newlandzie, zaprowadzić May do pani Carfry.

Newland i jego żona nie zamierzali usłuchać tego nakazu. Lecz pani Carfry ze swą zwykłą przenikliwością odszukała ich i przysłała zaproszenie na obiad. I właśnie z powodu tego zaproszenia May zmarszczyła brwi nad swoją herbatą z bułeczkami. - Wszystko to bardzo pięknie, jeśli chodzi o ciebie, Newlandzie. Ty je znasz. Ale ja czuję się taka onieśmielona wśród tylu nieznanymi osób. I co ja na siebie włożę?

Newland pochylił się w fotelu i uśmiechnął do żony. Wyglądała jeszcze piękniej i bardziej przypominała Dianę niż kiedykolwiek przedtem. Wilgotne angielskie powietrze zdawało się jeszcze pogłębiać jej rumieniec złagodziło nieznaczną ostrość jej dziewczęcych rysów. A może też po prostu jakiś wewnętrzny blask szczęścia emanował z niej, jak światło od cienkiej warstewki lodu.

- Co włożysz, najdroższa? Wydawało mi się, że w zeszłym tygodniu nadszedł z Paryża pełen kufer rzeczy...

- Tak, oczywiście. Chciałam powiedzieć, że nie wiem tylko, którą sukienkę mam włożyć - nadała się trochę. - Nigdy nie bywałam na proszonych obiadach w Londynie i nie chcę okazać się śmieszna.

Próbował wczuć się w te jej kłopoty.

- A czy angielskie kobiety nie ubierają się na wieczór tak samo jak wszędzie

- Newlandzie! Jak możesz zadawać takie śmieszne pytanie. Przecież one chodzą do teatru w starych balowych sukniach i z gołymi głowami!

- No cóż, może w nowe suknie balowe ubierają się w domu. Ale w każdym razie nie pani Carfry ani panna Harle. Zakładają czepeczki tak jak moja matka... i szale. Takie bardzo mięciutkie szale.

- No dobrze, ale jak będą ubrane inne kobiety?

- Na pewno nie tak dobrze jak ty, kochanie - odparł zastanawiając się, skąd tak nagle rozwinęło się w niej to chorobliwe zainteresowanie strojami jak u Janey.

Odsunęła fotel z westchnieniem.

- To bardzo miło z twojej stron Newlandzie ale niewiele mi pomogłeś.

Nagle zstąpiło na niego olśnienie.

- A może byś włożyła swoją ślubną suknię. Nie byłoby to chyba niewłaściwe, prawda?

- Och, najdroższy. Gdybym ją tylko tu miała! Ale została przekazana do Paryża, by przerobiono ją na następną zimę i Worth jeszcze jej nie przysłał.

- Och, co tam... - powiedział Archer podnosząc się z fotela. - Spójrz, mgła opada. Jeśli się pośpieszymy, zdołamy jeszcze przy dziennym świetle obejrzeć obrazy w National Gallery.

Newlandowie wracali już do domu po trzymiesięcznej podróży poślubnej, którą May w listach do przyjaciółek określała jako „cudowną”.

Nie pojechali nad jeziora włoskie. Po zastanowieniu Archer jakoś nie bardzo mógł sobie wyobrazić żonę akurat właśnie w tym miejscu. Ona raczej przejawiała chęć (po miesiącu spędzonym u paryskiego krawca) do wspinaczek górskich w lipcu i pływania w sierpniu. Ten plan wykonali w stu procentach, spędziwszy lipiec w Interlaken i

Grindelwald, a sierpień w małej miejscowości Etretat, na wybrzeżu Normandii, którą im ktoś polecił jako bardzo malowniczą i spokojną. Raz czy dwa, gdy byli w górach, Archer wskazał na południe mówiąc:

- Tam leżą Włochy.

A May, stojąc wśród łąków goryczki, uśmiechnęła się radośnie i odpowiedziała:

- Cudownie będzie pojechać tam zimą, jeżeli tylko nie będziesz musiał zostać w Nowym Jorku.

Prawdę powiedziawszy podróże interesowały ją nawet mniej, niż się spodziewał. Uważała je (kiedy już zamówiła dla siebie stroje) jako doskonałą sposobność do spacerowania, jazdy konnej, pływania i ćwiczenia umiejętności w nowej fascynującej grze w tenisa. A kiedy wreszcie wrócili do Londynu (gdzie mieli spędzić dwa tygodnie, by uszyć ubrania dla niego), nie tała, że z wielką niecierpliwością oczekuje podróży statkiem.

W Londynie nic jej nie interesowało prócz teatrów i sklepów, przy czym uznała teatry za mniej podniecające od paryskich cafes chantants, gdzie pod kwitnącymi kasztanami na Champs Elysees zdobywała nowe doświadczenia spoglądając z tarasu restauracji na „kokotki” i każąc mężowi tłumaczyć sobie piosenki, o ile uznał je za stosowne dla uszu młodej mężatki.

Archer powrócił do wszystkich starych odziedziczonych poglądów na temat małżeństwa. Było mniej kłopotliwe podporządkować się tradycji i traktować May jak wszyscy jego przyjaciele traktują swoje żony, aniżeli próbować wprowadzić w czyn teorie, które głosił za czasów kawalerskich. Nie było sensu emancypować taką żonę, która ani przez chwilę nie wątpiła, że jest wolna. Od dawna już odkrył, że May zrobiłaby tylko jeden użytek z tej wolności - natychmiast złożyłaby ją na ołtarzu swojego żoninego uwielbienia.

Lecz jej wrodzona godność nie pozwalała na czynienie takiego podarunku, uważałaby to za coś poniżającego; a mógł nawet nadejść taki dzień (jak to się już raz zdarzyło), kiedy znalazłaby siłę na rozstanie, gdyby uznała, że czyni to dla jego własnego dobra. Ale z tak nieskomplikowanym i obojętnym poglądem na małżeństwo jak jej, tego

rodzaju kryzys mógłby nastąpić tylko i wyłącznie wtedy, gdyby jego zachowanie przekroczyło wszelkie granice przyzwoitości. A było to wprost nie do pomyślenia przy takiej czystości uczucia, jakim go obdarzała. Cokolwiek by się zdarzyło, wiedział, że zawsze będzie lojalna, dzielna i nie będzie żywić urazy, a to zobowiązywało go do odpłacania takimi samymi cnotami.

Wszystkie te okoliczności skłaniały go ku dawnym poglądom. Gdyby jej prostota miała być prostotą „małej kobietki”, byłby niewątpliwie zirytowany i zbuntowany, ale ponieważ cechy jej charakteru, choć niezbyt liczne, rysowały się równie miło jak cała jej twarz, stała się opiekuńczym bóstwem wszystkich jego starych tradycji i rewerencji.

Może tego rodzaju zalety niespecjalnie ożywiają zagraniczne wojaże, nie mniej czyniły ją miłą i łatwą towarzyszką tych podróży. Jednakże zdawał sobie sprawę, że owe zalety staną się całkiem zwyczajne w kręgu domowym.

Nie bał się, że będzie nimi przygnieciony, bowiem jego życie artystyczne i intelektualne potoczy się swoim trybem jak dawniej poza kręgiem domowym. A w jego obrębie nic nie będzie małe, i duszne, powrót do żony nigdy nie będzie przypominał wejścia do dusznego pokoju z wędrówki po świeżym powietrzu. A kiedy urodzą się dzieci, puste miejsca w ich życiu zostaną wypełnione.

Takie to myśli zaprzętały jego umysł podczas ich długiej powolnej jazdy z Mayfair do South Kensington, gdzie mieszkała pani Carfry z siostrą. Archer również wolałby uniknąć gościnności swoich przyjaciół. Zgodnie z rodzinną tradycją, zawsze podróżował jako turysta i widz, udając wyniośle, że nie dostrzega obecności żadnych znajomych. Tylko raz, tuż po ukończeniu Harvardu, spędził we Florencji kilka wesołych tygodni z grupą ekscentrycznych zeuropeizowanych Amerykanów, przetańczywszy całą noc z utytułowanymi damami w pałacach i grając w karty pół dnia z rozpustnikami i niebieskimi ptakami modnych klubów. Lecz wszystko to, chociaż najzabawniejsze w świecie, wydawało mu się równie nierzeczywiste jak karnawał. Te dziwne kosmopolityczne kobiety uwikłane w skomplikowane afery miłosne, o których opowiadały każdemu, kogo spotkały, wspaniali młodzi oficerowie i starzejący się farbowani dandysi, którzy byli przedmiotem lub też odbiorcami tych zwierzeń zbyt się różnili od ludzi, wśród których

Archer wzrastał, zanadto lubili kosztowne i niezbyt przyjemnie pachnące egzotyka ciepłarniane rośliny, by przykuć na dłużej jego wyobraźnię.

Wprowadzenie do takiego towarzystwa własnej żony nie wchodziło w ogóle w rachubę. A na trasie podróży nikt inny nie zabiegał o jego towarzystwo.

Wkrótce po przybyciu do Londynu natknął się na księcia St. Austrey, który od razu go poznał i serdecznie przywitał:

- Niech pan do mnie wpadnie, dobrze?

Lecz żaden rozsądny Amerykanin nie brałby tej propozycji poważnie i spotkanie zakończyło się bez dalszych następstw. Zamierzali nawet uniknąć wizyty u angielskiej ciotki May, żony bankiera, która stale przebywała w Jorkshire; w rzeczywistości, celowo odkładali wyjazd do Londynu aż do jesieni, bo ich przybycie w sezonie mogłoby się wydać nieznanym kuzynom snobistyczne i zbyt śmiałe.

- Prawdopodobnie nikogo nie będzie u pani Carfry... Londyn o tej porze roku jest bezludną pustynią; a ty chyba zbyt się wypiękniałś - powiedział Archer do May, która siedziała obok niego w kabriolecie, tak nieskazitelnie wspaniała w błękitnym płaszczyku obszytym łabędzim puchem, że wydawało się wprost grzechem pokazywanie jej na tych londyńskich brudnych ulicach.

- Nie chcę, żeby myślały, że ubieramy się jak dzikuski - odrzekła z pogardą, którą Pocahontas mogłaby się czuć urażona. Uderzyła go ponownie niemal nabożna cześć, jaką nawet najmniej światowe Amerykanki przejawiają wobec społecznego znaczenia stroju.

To jest ich oręż - rozmyślał - ich obrona przed nieznanym i ich bunt przeciwko temu. I po raz pierwszy zrozumiał powagę, z jaką May, która była niezdolna zawiązać wstążki we włosach po to, żeby go oczarować, dokonała uroczystego obrzędu wybrania i zamówienia całej kolekcji strojów.

Miał rację, spodziewając się u pani Carfry niewielkiego przyjęcia. Oprócz gospodyni i jej siostry w podłużnym chłodnym salonie zastali jeszcze jedną damę w szalu, sympatycznego pastora, który był owej damy mężem, cichego młodzieńca, którego pani Carfry nazwała siostrzeńcem, i niewysokiego, ciemnowłosego dżentelmena

o żywych oczach, którego przedstawiła jako guwenera siostrzeńca, wymawiając jakieś francuskie nazwisko.

Do tego niezbyt jasno oświetlonego pokoju, z niewyraźnie zarysowującą się grupką osób, May Archer wkroczyła niczym łabędź skąpany w blasku zachodzącego słońca; zdawała się jakaś większa, piękniejsza, poruszała się swobodnie i żywo - takiej mąż nigdy jej dotychczas nie widział. Pojął, że to zaróżowienie i żywość były oznaką wielkiej i dziecięcej nieśmiałości.

Na miłość boską, czegoż oczekują po mnie, o czym ja będę mówiła? - Jej bezradne oczy przesłały mu błagalne spojrzenie w tym samym momencie, kiedy jej olśniewająca aparycja wywołała taki sam niepokój wśród zebranych.

Jednakże piękność, nawet tak niedowierzająca sobie, budzi ufność w męskim sercu. Pastor i nauczyciel o francuskim nazwisku wkrótce już prześcigali się w okazywaniu starań, aby May czuła się wśród nich swobodnie.

Niemniej, mimo ich najlepszych chęci, obiad był dość nudny. Archer zauważył, że jego żona, im bardziej starała się okazać swobodę wobec obcych, tym bardziej stawała się zasadnicza w swych wypowiedziach, i chociaż jej uroda zachęcała do podziwiania, jej rozmowa mroziła wszelką chęć dyskusji. Pastor wkrótce zaniechał walki. Jednakowoż guwener, przemawiający swobodnie bardzo płynną i doskonałą angielszczyzną, szarmancko nie przestawał wygłaszać przed nią swego monologu, póki damy, ku najwyższej uldze wszystkich zainteresowanych, nie przeszły do salonu.

Pastor, wypiwszy szklaneczkę porto, musiał pośpieszyć na zebranie, a nieśmiały siostrzeniec, który, jak się okazało, był chory, został zapakowany do łóżka. Natomiast Archer z guwenerem w dalszym ciągu siedzieli przy winie i nagle Archer spostrzegł, że od swego ostatniego spotkania w Nedom Winsettem z nikim tak dobrze mu się nie rozmawiało.

Okazało się, że siostrzeniec Carfrych chorował na gruźlicę i musiał wyjechać z Harrow do Szwajcarii, gdzie spędził dwa lata w łagodnym klimacie nad jeziorem Lemman. Będąc urodzonym mołem książkowym, został powierzony opiece monsieur Riviere'a, który przywiózł go z powrotem do Anglii i miał pozostać z nim, póki w przyszłym roku na

wiosnę nie wstąpi do Oksfordu.

Riviere dodał z całą prostotą, że wobec tego będzie musiał rozejrzeć się za inną posadą.

Niemożliwe - rozmyślał Archer - by mógł długo pozostać bez zajęcia przy swoich różnorodnych zainteresowaniach i tylu zaletach.

Był to mężczyzna około trzydziestki, o szczupłej brzydkiej twarzy (May niewątpliwie nazwałaby ją pospolitą), pełnej ekspresji i wyrazu, jednakże w tej żywości nie było nic frywolnego ani też taniego.

Jego ojciec, który umarł młodo, zajmował jakieś pomniejsze stanowisko w dyplomacji i było postanowione, że syn pójdzie w jego ślady. Jednakowoż nienasycony głód literatury rzucił młodego człowieka najpierw na fale dziennikarstwa, potem ku własnej twórczości (oczywiście bez sukcesu), aż wreszcie - po różnorodnych doświadczeniach i zmiennych kolejach szczęścia, które pozbawiły go czytelników - został guwernerem angielskich młodzieńców w Szwajcarii. Przedtem jeszcze długo mieszkał w Paryżu, uczęszczał na grenier Goncourtów, sam Maupassant radził mu, by zaniechał pisania (nawet to wydawało się Archerowa niesłychanym wprost zaszczytem!) i często prowadził rozmowy o Merimeem w domu jego matki. Był oczywiście w ciągłej potrzebie i ciągle zabiegał o pieniądze (miał na utrzymaniu matkę i niezamężną siostrę), było więc oczywiste, że musiał się wyzbyć literackich aspiracji. Faktycznie jego sytuacja materialna zdawało się przypominać położenie: Neda Winsetta, jednakże obracał się on w świecie, w którym, jak się wyraził, nikt, kto kocha ideały, nie cierpi głodu umysłowego. Był to ten sam rodzaj miłości, którą biedny Winsett zdręczał się na śmierć i Archer spoglądał z pewną jakby zazdrością na tego żarliwego, zapalonego młodego człowieka bez pieniędzy, który jest tak bogaty w swoim ubóstwie.

- Widzi pan, warto jest, ponad wszystko na świecie, zachować wolność intelektualną, a nie krępować własnych kryteriów oceny ani niezależności krytyki. Właśnie dlatego porzuciłem dziennikarstwo i przyjąłem stokroć nudniejszą pracę: nauczanie i rolę osobistego sekretarza. Oczywiście, jest to ciężka harówka, ale zachowuje się wolność moralną, co we Francji nazywamy *quant a soi*. A kiedy się słyszy

błyskotliwą rozmowę i można się do niej przyłączyć, nie narażając niczyjej opinii poza własną, czy też słuchać i odpowiedzi zachować dla siebie... Ach, interesująca rozmowa... nic jej nie dorówna, nieprawdaż? Jedynie w atmosferze wzajemnej wymiany myśli warto jest żyć i oddychać. Tak więc nigdy nie żałowałem, że zrezygnowałem zarówno z dyplomacji, jak i dziennikarstwa, dwóch różnych form tego samego samowyrzeczenia. - Utkwił swoje bystre oczy w Archerze, gdy ten zapalał następnego papierosa. - Voyez - vous, monsieur, być zdolnym stawić czoło życiu, wtedy warto mieszkać nawet na poddaszu, nieprawdaż? Ale mimo wszystko człowiek musi zarobić na to, żeby zapłacić za to poddasze. Przyznaję, że zestarzeć się jako prywatny nauczyciel - czy też prywatny „ktoś tam” - to równie zabójcze dla wyobraźni, jak stanowisko drugiego sekretarza w ambasadzie w Bukareszcie. Czasem czuję, że muszę zdobyć się na jakieś ryzyko, i to duże. Czy sądzi pan, na przykład, że znalazłaby się dla mnie jakaś wolna posada w Ameryce... w Nowym Jorku?

Archer spojrzał na niego zdumionym wzrokiem. Nowy Jork dla człowieka, który był u Goncourtów i Flauberta i który uważał, że życie dla idei to jedyne, dla czego warto istnieć! Patrzył bez ustanku na monsieur Riviere'a ogromnie zakłopotany i zastanawiał się, jakby mu to powiedzieć, że właśnie ta jego wyższość i zalety będą największą przeszkodą do sukcesu.

- Nowy Jork... Nowy Jork... ale czy musi to być akurat Nowy Jork? - jękał się, najwyraźniej niezdolny wyobrazić sobie, jaką to lukratywną posadę może ofiarować jego rodzinne miasto młodemu człowiekowi, którego jedyną potrzebą wydaje się być interesująca rozmowa.

Na bladożółte policzki monsieur Riviere'a wypłynął nagły rumieniec.

- Ja... ja myślałem, że to jest pańska metropolia... Czy życie intelektualne nie jest tam bardziej rozwinięte? - wykrztusił. Po czym jakby w obawie, aby nie zrobić na swoim rozmówcy wrażenia, że prosi go o jakieś poparcie, ciągnął śpiesznie dalej: - Człowiek rzuca na chybił trafił jakieś myśli... przeznaczone bardziej dla siebie niż dla innych. A w rzeczywistości to wcale nie widzę tak nagłej potrzeby... - i podnosząc się z miejsca dodał bez cienia skrępowania: - Ale pani Carfry spodziewa się, że zaprowadzę pana na górę.

W drodze powrotnej do domu Archer siedział pogrążony głęboko w myślach nad tym epizodem. Ta godzina spędzona z monsieur Riviere'em sprawiła, że oddychał jakby jakimś innym, świeżym powietrzem i w pierwszym odruchu chciał go zaprosić na obiad na jutrzejszy dzień. Jednak zaczynał już powoli rozumieć, dlaczego żonaci mężczyźni nie zawsze natychmiast ulegają swoim pierwszym odruchom.

- Ten młody nauczyciel to interesujący człowiek. Ucieliśmy sobie miłą rozmówkę po obiedzie na temat książek i różnych takich rzeczy - zaczął na próbę rozmowę w kabriolecie.

May ocknęła się z rozmarzenia, któremu przypisywał tak wielkie znaczenie, zanim pół roku małżeństwa nie dostarczyło mu do niego klucza.

- Ten mały Francuz? Czyż nie jest on straszliwie pospolity? - powiedziała zimno. Domyślił się, że odczuwa ciche rozczarowanie, iż została zaproszona na obiad po to tylko, by spotkać duchownego i francuskiego guwernera. To rozczarowanie wyływało nie z uczucia najczęściej określanego snobizmem, lecz z głębokiego przekonania nowojorczyka, że za granicą obowiązuje szczególna troska o własną godność. Gdyby rodzice May zaprosili Carfrych na Piątą Aleję, na pewno zaofiarowaliby swym gościom towarzystwo bardziej godne niż pastor i guwerner.

Lecz Archer był zdenerwowany i przerwał jej:

- Pospolity... pospolity? Gdzież on jest pospolity? - dopytywał się, a ona odparła z niezwykłą skwapliwością:

- No cóż, powinnam powiedzieć, że wszędzie poza swoim pokojem lekcyjnym.

Tacy ludzie zawsze są nieporadni w towarzystwie. Ale - dodała rozbrajająco - chyba nie muszę wiedzieć, czy jest mądry.

Archer tak samo nie znosił, kiedy używała słowa „mądry”, jak i słowa „pospolity”. Jednakże zaczynał się bać tej swojej skłonności do rozważań nad tym, czego w niej nie lubi. Mimo wszystko jej punkt widzenia zawsze był taki sam. Taki sam jak wszystkich tych ludzi, wśród których wzrósł, i zawsze uważał, że jest wygodny, ale bez znaczenia. Jeszcze kilka miesięcy temu nie znał „uczciwej kobiety”, która by spoglądała na życie inaczej; a jak już mężczyzna żeni się, to musi z konieczności przebywać wśród tych

uczciwych.

- Ach, to wobec tego nie zaproszę go na obiad! - doszedł do wniosku śmiejąc się, a May wykrzyknęła oszołomiona:

- Wielkie nieba! Zapraszać gubernera Carfrych?!

- No, nie tego samego dnia, co ich. Ale skoro wolisz go nie zapraszać, to nie zrobię tego. Chciałbym tylko z nim sobie jeszcze porozmawiać. Szuka pracy w Nowym Jorku.

Jej zdumienie rosło wraz z obojętnością. Archer był prawie przekonany, że May podejrzewa go, że jest napiętnowany „cudzoziemskością”.

- Pracy w Nowym Jorku? Jakiego rodzaju? Ludzie nie chcą mieć francuskich nauczycieli. Co on zamierza robić?

- Głównie cieszyć się miłą rozmową, jak przypuszczam - odparł małżonek, a ona wybuchnęła śmiechem pełnym zrozumienia.

- Och, Newlandzie, jakie to zabawne! I tak typowo francuskie!

Prawdę powiedziawszy był zadowolony, że problem Riviere'a stał się nieaktualny już przez sam fakt, że May nie potraktowała poważnie jego chęci zaproszenia gubernera na obiad. Podczas poobiedniej pogawędki trudno byłoby uniknąć rozmowy na temat Nowego Jorku. Im bardziej Archer rozważał tę sprawę, tym trudniej przychodziło mu stworzyć jakiś realny obraz monsieur Riviere'a w takim Nowym Jorku, jaki znał.

Poczuwszy nagły wewnętrzny chłód zrozumiał, że w przyszłości wiele problemów będzie równie niekorzystnie dla niego rozwiązywanych. A kiedy zapłacił woźnicy kabrioletu i postępował za długim trenem swojej żony w stronę domu, szukał ucieczki w pocieszającym banale, że pierwsze pół roku jest zawsze najtrudniejsze w małżeństwie. Potem skończy się okres wzajemnego docierania ostrych kantów. Jednakże najgorsze z tego było to, że May właśnie szczególnie naciskała na te kanty, których ostrość najbardziej pragnął zachować.

XXI

Niewielki, gładki, jasnozielony trawnik ciągnął się aż do ogromnego jasnego morza.

Obrośnięty był wokół szkarłatnymi pelargoniami i koleusem, a na krętej ścieżce prowadzącej ku morzu stały, w odstępach, żeliwne wazy pomalowane na kolor czekolady, z których zwisały girlandy petunii i pnących pelargonii ponad starannie usypanym żwirem.

W połowie drogi między skałą a kwadratowym domem (również koloru czekolady, tylko małe daszek werandy pomalowany został w żółto - brązowe paski imitujące markizę) umieszczono dwie duże tarcze strzelnicze na tle jakichś krzewów. Po drugiej stronie trawnika, frontem do tarcz był rozstawiony namiot, a wokół niego ławki i krzeselka ogrodowe. Panie w letnich sukniach i panowie w szarych tużurkach i cylindrach stali na trawniku lub siedzieli na ławkach. Od czasu do czasu smukła dziewczyna w szeleszczących muślinach wychodziła z namiotu z łukiem w ręce i wypuszczała strzałę do tarczy, a w tym momencie widzowie przerywali rozmowy, by obserwować wynik.

Newland Archer, stojąc na werandzie domu, przyglądał się z zaciekawieniem tej scenie. Po obu stronach błyszczących malowanych schodów stały duże niebieskie porcelanowe wazy na jasnożółtej porcelanowej podstawie, a w nich znajdowały się długie zielone pędy roślin, zaś u stóp werandy ciągnął się szeroki pas niebieskich hortensji obrzeżonych jaskrawoczerwonymi pelargoniami.

Za nim, przez lekko rozchylone koronkowe firanki w drzwiach werandowych, widniał lśniący parkiet zastawiony pokrytymi perkalem poufs, małymi fotelikami i błyszczącymi stoliczkami, na których poumieszczano przeróżne przedmioty ze srebra.

Newport Archery Club zawsze urządzał swe sierpniowe spotkania u Beaufortów. Łucznictwo - którego jedynym dotychczasowym rywalem był krykiet - zaczynało być wypierane przez tenis. Jednakże ta ostatnia dyscyplina była ciągle jeszcze uważana za zbyt brutalną i nieelegancką grę na towarzyskie okazje, a łuk i strzała - jako wyjątkowa sposobność do pokazania uroczych strojów i wdzięcznych póz - nie dawały się zdystansować.

Archer spoglądał ze zdziwieniem na to rodzinne przedstawienie.

Zdumiewało go, że życie toczy się jak dawniej, gdy tymczasem jego Własne reakcje tak całkowicie się zmieniły. Właśnie tu w Newport po raz pierwszy uświadomił sobie rozmiary tej zmiany. Podczas ubiegłej zimy, gdy zamieszkali z May w Nowym Jorku, w swym zielono - żółtym domu z lukowatymi oknami i pompejańskim westybulem, powrócił z ulgą do dawnej pracy w biurze i to odnowienie codziennych zajęć stanowiło ogniwo łączące go z dawnymi przyzwyczajeniami. Potem było przyjemne podniecenie przy wyborze okazałego kłusaka do jednokonnej karety May (podarunek od Wellandów) i nieustanne zajęcia w związku z zakładaniem nowej biblioteki, która, na przekór rodzinnym wątpliwościom i dezaprobacie, została urządzona, jak sobie wymarzył: ciemna wytłaczana tapeta, solidne szafy na książki i „stateczne” fotele i stoliki. W klubie „Century” spotykał Winsetta, a w Knickebocker nowoczesnych młodych ludzi ze swego środowiska. Jeżeli policzyć te godziny poświęcone prawu i te spędzone na proszonych obiadach czy przyjmowaniu przyjaciół w domu, od czasu do czasu wieczorne wypadki do Opery czy na jakąś sztukę, życie, jakie wiódł, wciąż zdawało się być całkiem znośne i nieuniknione.

Jednakże Newport stanowił ucieczkę od obowiązku w atmosferę niczym nie krępowanej zabawy. Archer próbował wytłumaczyć May, by spędziła lato na dalekiej wysepce na wybrzeżu Maine (nazywanej akurat stosownie Pustynią Górską), gdzie kilku wytrwałych bostończyków i filadelfijczyków koczowało w „wiejskich” chatkach i skąd nadchodziły wieści o zachwycającym krajobrazie i dzikim, wręcz traperskim życiu pośród wód i lasów.

Wellandowie jednakże zawsze jeździli do Newport, gdzie mieli jedno z tych kwadratowych pudełek na skałach, i ich zięć nie potrafiłby przytoczyć dostatecznie przekonującego powodu, dla którego miałby się z żoną do nich nie przyłączyć. Kiedyś pani Welland cierpko wypomniała, że byłaby to wielka krzywda dla May, ponieważ zadała sobie tyle trudu sprowadzając letnie stroje z Paryża, i nie mogłaby ich tam włożyć. Na tego rodzaju argument Archer, jak dotąd, nie znajdował odpowiedzi.

May ze swej strony nie mogła zrozumieć jego niechęci, by przystać na tak rozsądny i przyjemny sposób spędzenia wakacji. Przypomniała mu, że w swych kawalerskich czasach tak lubił Newport, a ponieważ było to bezsporne, mógł jedynie powiedzieć, że pewien jest, iż polubi jeszcze bardziej teraz, bo będą tam razem. Lecz gdy tak stał na werandzie Beaufortów i spoglądał na trawnik wypełniony ludźmi w barwnych strojach, uzmysłowił sobie z drżeniem, że wcale nie zamierza tego polubić.

Nie była to wina May, biedactwa. Jeżeli od czasu do czasu w swych podróżach lekko się posprzeczali, następowała całkowita harmonia, gdy znów powracali do warunków, do jakich ona nawykła. Zawsze był przekonany, że May nie sprawi mu zawodu. I miał rację. Ożenił się (jak większość młodych ludzi), ponieważ spotkał wyjątkowo uroczą dziewczynę właśnie w takim momencie, gdy kilka raczej jałowych przygód miłosnych napełniło go zniechęceniem. A May była uosobieniem spokoju, stabilności, koleżeństwa stanowiła gwarancję trwałego związku.

Nie mógł powiedzieć, żeby się pomylił w swoim wyborze, ponieważ spełniała wszystko, czego po niej oczekiwał. Bez wątpienia sprawiała mu przyjemność być mężem najładniejszej i najbardziej popularnej młodej mężatki, zwłaszcza że była również najłagodniejszą i najrozsądniejszą z żon. A Newland nigdy nie był nieczuły na tego rodzaju cnoty. Na to chwilowe szaleństwo, które spadło na niego w dzień ślubu, nauczył się patrzeć jak na ostatnie ze swoich odstawionych do lamusa doświadczeń. Myśl, że mógł kiedykolwiek podświadomie marzyć o poślubieniu hrabiny Olenskiej, wydawała się wręcz nieprawdopodobna i hrabina pozostała w jego pamięci po prostu jako najbardziej żalosa i przejmująca postać wśród plejady duchów.

Lecz na skutek tego rozpamiętywania i selekcjonowania czuł jakąś pustkę w głowie i przypuszczał, że jednym z powodów, dlaczego ci krzątający się żywi ludzie na trawniku Beaufortów wstrząsnęli nim, było ich podobieństwo do dzieci bawiących się na cmentarzu.

Usłyszał obok siebie szelest spódnic i z drzwi salonu wyfrunęła markiza Manson. Jak zwykle strój jej był krzykliwy i pełen ozdóbek, oklapnięty kapelusz przykotwiczony do głowy bujnymi zwojami wyblakłej gazy, a maleńka czarna aksamitna parasoleczka z

wygiętą kościaną rączką absurdalnie kołysała się nad jej zbyt szerokim rondem kapelusza.

- Mój drogi Newlandzie, nie miałam pojęcia, że przyjechaliście oboje z May! Powiadasz, że ty przyjechałeś dopiero wczoraj? Ach, interesy... interesy... obowiązki zawodowe... rozumiem. Wiem, iż wielu mężczyzn uważa, że absolutnie nie mogą towarzyszyć tutaj swoim żonom poza weekendami. - Przekrzywiła głowę na bok i patrzyła na niego w rozmarzeniu spod przymrużonych powiek. - Ale małżeństwo to jedno długie pasmo poświęceń, jak często powtarzałam mojej Ellen...

Serce Archera zatrzymało się raptem z jakimś dziwnym skurczem, tak jak się to już zdarzyło kiedyś, i zdawało mu się, jakby ktoś gwałtownie zatrzasnął drzwi między nim a zewnętrznym światem. Jednakże ta przerwa musiała trwać bardzo krótko, gdyż usłyszał właśnie, jak Medora odpowiada mu na pytanie, które jej najwidoczniej zadał.

- Nie, nie zatrzymałam się tutaj, tylko u Blenkerów w ich wspaniałej samotni w Portsmouth. Beaufort był na tyle uprzejmy, że przysłał dziś rano po mnie swoje słynne kłusaki, tak że mogłam przynajmniej rzucić okiem na jedno z tych osławionych przyjęć Reginy. Ale wieczorem wracam do życia na wsi. Blenkerowie, kochane oryginały, wynajmują prymitywną starą farmę w Portsmouth, gdzie zbierają się same znakomitości - ukryła się skromnie pod rondem kapelusza i dodała z lekkim rumieńcem zawstydzenia: - W tym tygodniu doktor Agathon Carver odbędzie szereg spotkań „Myśli najskrytszej”. Och, doprawdy, cóż to za kontrast z tą wesołą sceną światowych uciech... ale całe moje życie zawsze upływało wśród kontrastów! Według mnie monotonia to oczywista śmierć. Ciągle powiadam Ellen: „Strzeż się monotonii. To matka wszelkich śmiertelnych grzechów”. Ale moje biedne dziecko przechodzi teraz okres egzaltacji, odrazy do świata. Czy wie pan, że nie przyjęła żadnych zaproszeń do Newport, nawet ze swą babką Mingott? Czy pan uwierzy, że nawet nie zdołałam jej namówić, żeby przyjechała ze mną do Blenkerów! Życie, jakie wiecie, jest zabójcze, nienormalne! Och, gdyby tylko posłuchała mnie, kiedy to było jeszcze możliwe! Kiedy drzwi stały wciąż otworem... Ale może zejdziemy na dół i popatrzymy na ten pasjonujący mecz? Słyszę, że pańska May jest jedną z zawodniczek.

Wychodząc ku nim z namiotu Beaufort pojawił się, na trawniku, wysoki, przyciężki, wciśnięty w zbyt obcisły londyński surdut, z orchideą z własnej oranżerii w klapie. Archer, który nie widział go przez jakieś dwa lub trzy ostatnie miesiące, był wstrząśnięty zmianą, jaka zaszła w jego wyglądzie. W gorącym letnim świetle dnia jego rumiana twarz wydawała się niezdrowa i nalana, a wyprostowane kwadratowe ramiona przydawały mu wyglądu człowieka starego, otyłego i ubranego nazbyt wystawnie.

Chodziły na jego temat różne słuchy. Wiosną wypłynął w długą podróż do Indii Zachodnich na swoim nowym jachcie parowym i z różnych części świata, gdzie się zatrzymywał, dochodziły wieści, jakoby widywano w jego towarzystwie damę, bardzo podobną do panny Fanny Ring. Jacht zbudowany w stoczni Clyde, wyposażony w wykładane kafelkami łazienki i inne nieznanne i nadzwyczajne luksusy, miał go podobno kosztować pół miliona dolarów. A naszyjnik z pereł, jaki ofiarował swojej żonie po powrocie, był wspaniały i godny prześlągalnego prezentu. Fortuna Beauforta stała na dostatecznie solidnych podstawach, by wytrzymać ten wydatek. Co prawda ostatnio chodziły niepokojące i dosyć uporczywe słuchy, nie tylko na Piątej Alei, ale i na Wall Street. Niektórzy powiadali, że niefortunnie spekulował na kolejach, inni, że dał się obskubać jednej z tych nienasyconych przedstawicielek pewnej profesji. A na każdą taką wiadomość o grożącej niewypłacalności Beaufort natychmiast odpowiadał świeżą ekstrawagancją: to zbudowaniem nowych oranżerii na orchidee, to nabyciem nowych koni wyścigowych czy też nowego Meissonniera lub Cabanela do swojej galerii obrazów.

Zwrócił się teraz do markizy i Newlanda ze swym zwykłym, na pół kpiącym uśmiechem:

- Jak się masz, Medoro! Czy kłusaki dobrze się spisały? Czterdzieści minut, prawda?... No, nie jest tak źle, zważywszy, że mogło ci to zaoszczędzić nerwów. -
Przywitał się z Archerem, po czym wracając razem z nimi, uplasował się po drugiej stronie markizy i wypowiedział do niej szeptem kilka słów, których ich towarzyszy nie dosłyszał.

Markiza odpowiedziała jednym z tych swoich dziwacznych prychnięć i wykrzyknęła: - Que voulez - vous? - czym pogłębiła jeszcze zmarszczkę na czole

Beauforta.

Ten ostatni spojrzawszy na Archera przywołał na usta sztuczny uśmiech i zaczął mu składać gratulacje.

- Czy pan wie, że May ma zamiar zdobyć pierwszą nagrodę?

- Ach, wobec tego nagroda zostanie w rodzinie mruknęła Medora.

W tym momencie doszli do namiotu, gdzie spotkała ich pani Beaufort w dziewczęcej chmurze bladofioletowych muślinów i powiewnych szarf.

May właśnie wychodziła z namiotu. W białej sukni, przewiązanej w pasie jasnozieloną wstążką, z wieńcem pelargonii na kapeluszu miała w sobie tę samą co Diana powściągliwość, jak wtedy w ów wieczór zaręczyn, gdy ukazała się w salonie Beaufortów. Tymczasem zdawało się, iż jej oczy nie wyrażają żadnej myśli, a w sercu nie gości żadne uczucie. I chociaż jej mąż wiedział, że zdolna jest i do jednego, i do drugiego, wciąż na nowo zdumiewał się, jak łatwo potrafi się opanować.

Trzymała w ręku łuk i strzałę i ustawiając się na linii wyrysowanej kredą na murawie, uniosła łuk do ramienia i wycelowwała. Postawa May miała tyle klasycznej gracji, że jej pojawienie się powitał pomruk uznania i Archer poczuł, jak oblewa się rumieńcem zadowolonego posiadacza, co tak często wprowadzało go w chwilowy dobry humor. Jej rywalki - pani Chivers, dziewczęta Merry'ów, kilka różanoliczych Thorleyówien, Dagonetówny i Mingottówny - stały za nią w malowniczej, pełnej niepokoju grupce, pochyliły brązowe i złote główki nad zapisami, a jasne muśliny i kapelusze spowite w girlandy kwiatów mieniły się niczym delikatna tęcza. Wszystkie były młode i śliczne, skąpane w letnim kwieciu, lecz żadna nie miała tej swobody nimfy co jego żona, gdy napiwszy mięśnie i z radosną zmarszczką na czole całą duszą oddała się swej zręczności i sile.

- Jak Bożę kocham - Archer usłyszał głos Lawrence'a Lefferts'a - niewiele kobiet potrafi tak trzymać łuk jak ona. - A Beaufort odpowiedział: - Tak, ale to chyba jedyny cel, w jaki jej się udało trafić.

Archer poczuł nagle niewytłumaczalną złość. Lekceważąca danina, jaką jego gospodarz składał urodzić, May, była chyba tym, co każdy mąż życzyłby sobie usłyszeć o

swojej żonie. Fakt, że taki gruboskórny, człowiek uważał, iż brak jej atrakcyjności, był po prostu jeszcze jednym dowodem jej klasy.

Jednakże słowa te wywołały w jego sercu lekkie drgnienie. Cóż, jeśli uroda wyniesiona na najwyższy szczebel jest tylko negacją, a kurtyna opada kryjąc pustkę? Gdy tak spoglądał na May, powracającą w rumieńcach i pełna spokoju po ostatnim rzucie, miał uczucie, jak gdyby nigdy dotąd nie uchylił tej kurtyny.

Przyjmowała gratulacje od swych rywalek i reszty towarzystwa z prostotą, która stanowiła ukoronowanie jej wdzięku. Nikt nigdy nie mógł jej zazdrościć triumfów, ponieważ swoim zachowaniem sprawiała wrażenie, że byłaby równie spokojna, gdyby ich nie dostąpiła. Lecz gdy oczy May napotkały spojrzenie męża, twarz jej rozbłysła taką samą radością, jaką w nim dojrzała.

Czekał już na nich pleciony z wikliny bryk pani Welland. Ruszyli więc wśród innych rozpędzonych powozów; May trzymała lejce, a Archer siedział obok.

Popołudniowe słońce nadal świeciło nad jasnozielonymi trawnikami i krzewami, a po Bellevue Avenue w jedną i drugą stronę toczył się podwójny rząd wiktorii, powozików dwukołowych, land i „vis - a - vis” wiozących dobrze ubrane damy i dżentelmenów - z przyjęcia u Beaufortów albo też z codziennej popołudniowej przejażdżki wzdłuż nadmorskiej promenady.

- Może pojedziemy odwiedzić babcię? - zaproponowała nagle May. - Chciałabym jej powiedzieć, że zdobyłam nagrodę. Mamy jeszcze dużo czasu do obiadu.

Archer zgodził się i zawrócili kucyki w Narragansett Avenue, przecięli Spring Street i wjechali w skalistą krainę wrzosowisk, ciągnącą się hen, daleko. W tej niemodnej dzielnicy Katarzyna Wielka, zawsze obojętna na wszelkie konwenanse i zawsze oszczędna, wybudowała sobie jeszcze w czasach młodości cottage - orne, o wielu szczytach i trawersach, na skrawku jałowej ziemi z widokiem na zatokę. Tutaj, w gąszczu skarłowaciałych dębów, ciągnęły się jej werandy nad wodami upstrzonymi plamami wysepek. Krętą drogą wjechali pomiędzy żelazne słupki z niebieskimi szklanymi kulami osadzonymi wśród kęp pelargonii aż do drzwi frontowych z orzecha, pociągniętych błyszczącą politurą i osłoniętych daszkiem werandy w paski.

Za nimi biegł wąski hall z parkietem ułożonym w czarne i żółte gwiazdy, a z niego prowadziły drzwi do czterech małych kwadratowych pokoików, pokrytych aż po sufit ciężką tapetą wymalowaną szczerze przez włoskiego pokojowego malarza wszelkimi bogami Olimpu. Jeden z pokoi obrócono na sypialnię dla pani Mingott, kiedy przygniotło ją brzemień stale narastającego tłuszczu, a w przyległym pokoju spędzała dni, siedząc w obszernym fotelu niby na tronie pomiędzy otwartymi drzwiami a oknem i nieustannie wachlując się wachlarzem z palmowego liścia, który na skutek olbrzymiej obfitości jej biustu był tak daleko od reszty jej osoby, że powiew powietrza zaledwie muskał rąbek narzutki na oparciu fotela.

Od czasu jak przyczyniła się do przyśpieszenia jego małżeństwa, stara Katarzyna okazywała Archerowi serdeczność, bowiem wyświadczona przysługa bardziej zacieśnia więzi. Wytłumaczono jej, że przyczyną jego niecierpliwości było przemożne uczucie, a ponieważ sama była żarliwą kapłanką impulsywności (jeżeli tylko nie pociągało to za sobą wydawania pieniędzy) zawsze przyjmowała Archera wesołym konspiracyjnym mrugnięciem i rzuceniem jakiejś aluzyjki, na co, na szczęście, May zdawała się nie reagować.

Z wielkim zainteresowaniem obejrzała i oceniła strzałę zakończoną diamentem, którą przypięto na piersi May po meczu, rzucając uwagę, że za jej czasów wystarczyłaby maleńka broszeczka, no, ale trzeba przyznać, że jak Beaufort coś robi, to robi to z całym rozmachem.

- Faktycznie, moja droga, to jest lejność rodzinny - stara dama zachichotała. -
Musisz to przekazać w spuściznie swojej najstarszej córce.

- Uszczypnęła białe ramię May i obserwowała, jak rumieniec zabarwia jej policzki.
- No, no, cóż ja takiego znów powiedziałam, żeby zaraz wywieszać czerwoną flagę? Czy nie masz zamiaru mieć córek?... tylko chłopców, co?

Wielkie nieba, spójrz, jak się znów zaczerwieniła! Co, może też nie powinnam tego mówić? Na litość boską... kiedy moje dzieci błagały mnie, by zamalować tych wszystkich bogów i boginie nad moją głową, odpowiadałam zawsze, że jestem wdzięczna losowi, że mam koło siebie takich, których nic nie może zaszokować!

Archer wybuchnął śmiechem, May mu zawtórowała, zaczerwieniona po białka oczu.

- No, a teraz opowiedzcie mi wszystko o przyjęciu, moi drodzy, ponieważ nigdy nie mogę wyciągnąć ani jednego uczciwego słowa z tej głupiej Medory ciągnęła staruszka.

A kiedy May wykrzyknęła: - Ciocia Medora? Ależ ja myślałam, że jest już w drodze do Portsmouth? - odpowiedziała spokojnie: - Tak też zamierzała zrobić... ale musiała najpierw wstąpić tu po Ellen. Co, nie wiedzieliście, że Ellen przyjechała, by spędzić ze mną ten dzień? Takie ot, sobie, folle - de - role to jej nieprzyjeżdżanie w lecie. Ale już od pięćdziesięciu lat zaniechałam dyskusowania z młodymi ludźmi. Ellen, Ellen! - krzyknęła swym przenikliwym starczym głosem, próbując pochylić się do przodu, by rzucić okiem na trawnik przed werandą.

Nie było odpowiedzi i pani Mingott uderzyła niecierpliwie laską w lśniąca podłogę. Służąca, Mulatka, w jasnym turbanie na głowie, zjawiwszy się na wezwanie, powiadomiła swoją panią, że widziała Miss Ellen, jak szła ścieżką w kierunku wybrzeża. Pani Mingott zwróciła się do Archera:

- Biegnij i zatrzymaj ją, jak przystało na dobrego wnuczka. A ta śliczna dama opisze mi przyjęcie powiedziała.

Newland podniósł się jakby we śnie.

Od czasu jak się ostatni raz widzieli, w ciągu półtora roku, dosyć często słyszał, jak wymawiano w jego obecności nazwisko hrabiny Olenskiej i nawet znane mu były najważniejsze wydarzenia z jej życia w tym okresie. Wiedział, że ubiegłe lato spędziła w Newport, gdzie, zdaje się, brała czynny udział w życiu towarzyskim, ale że jesienią wydzierżawiła „cudowny domek”, który Beaufort z takim trudem dla niej znalazł, i zdecydowała się osiąść w Waszyngtonie. Tam też podczas zimy słyszał o niej (jako że zawsze słyszy się w Waszyngtonie o pięknych kobietach), że błyszczy wśród „wytwornego towarzystwa dyplomatów”, które, jak przypuszczano, nadrabiało braki towarzyskie Administracji. Przysłuchiwał się tym wieściom i przeróżnym sprzecznym opiniom na temat jej wyglądu, rozmów, jakie prowadziła, jej poglądów i wyboru przyjaciół

z uczuciem, z jakim człowiek słucha wspomnień o kimś, kto od dawna nie żyje. Od chwili, kiedy Medora wymówiła podczas meczu jej imię, znów na nowo odżyła w jego pamięci. To głupie paplanie markizy wywołało ponownie wizję małego kominka w salonie i odgłosu kół powozu na pustej ulicy. Pomyślał o przeczytanej kiedyś historii, jak to wiejskie toskańskie dzieci rozпалиły wiązkę słomy w przydrożnej pieczarze i w blasku ognia ukazały się ciche postacie praojców śpiące w swych malowanych trumnach.

Ze skarpy, na której był usytuowany dom, szło się nad brzeg morza ścieżką prowadzącą tuż nad wodą, wysadzaną płaczącymi wierzby. Poprzez woal ich listowia Archer dostrzegł Lime Rock z jej otynkowaną wieżyczką i maleńkim domkiem, w którym dzielna latarniczka, Ida Lewis, dożywała swoich czcigodnych lat. Dalej rozciągała się płaska przestrzeń i brzydkie kominy gmachów rządowych Goat Island, w kierunku północnym zatoka migotała złotem aż do Prudence Island, którą porastały niskie dęby, a brzegi Conanicut niewyraźnie majaczyły w blasku zachodzącego słońca.

W wierzbową ścieżkę wrzynało się wątle drewniane molo, na końcu którego stał letni domek w kształcie pagody. A przy domku stała dama, oparta o balustradę, zwrócona tyłem do brzegu. Newland zatrzymał się na ten widok, jakby zbudzony ze snu. Ta wizja z przeszłości była snem, a rzeczywiste było to, co oczekiwało go w domu położonym na wysokim brzegu: był to powóz pani Welland zaprzężony w kucyki, okrążające niecierpliwie owalny trawnik przed drzwiami, to była May siedząca pod bezwstydnymi mieszkańcami Olimpu i rumieniąca się od skrytych nadziei, to była willa Wellandów na odległym końcu Bellevue Avenue i pan Welland, ubrany już do obiadu i przemierzający salon z zegarkiem w ręce z niecierpliwością człowieka cierpiącego na niestrawność - jako że był to jeden z tych domów, w którym każdy z domowników zawsze dokładnie wiedział, co ma się zdarzyć o oznaczonej godzinie.

Kimże ja jestem? Tylko zięciem... - pomyślał Newland.

Postać na końcu pomostu nie poruszyła się. Przez dłuższy czas młody człowiek stał w połowie drogi do brzegu, spoglądając na zatokę, po której sunęły w tę i na powrót żaglowce, jachty, kutry rybackie i czarne węglowe barki ciągnione przez hałaśliwe holowniki. Dama w letnim domku zdawała się być pochłonięta tym samym widokiem.

Poza szarym bastionem Fortu Adamsa długie promienie zachodzącego słońca rozprysły się w tysiące ognia, a ich blask jakby zatrzymał się na żaglu ketu, gdy łódź przedzierała się przez kanał pomiędzy Lime Rock i wybrzeżem. Archer obserwując ten widok przypomniał sobie scenę z „Shaughraun” i Montague'a unoszącą wstążkę Ady Dyas do swych ust, kiedy nie przeczuwała, że kochanek znajduje się w pokoju.

Ona nie wie... nie przypuszcza. Ciekaw jestem, czy ja bym wyczuł, gdyby ona stanęła za mną - zastanawiał się. I nagle powiedział sobie: „Jeśli nie odwróci się, nim ta żaglówka przepłynie koło latarni na Lime Rock, wracam do domu”.

Łódź ślizgała się wraz z falą odpływu. Przemknęła przed Lime Rock, zasłoniła domek Idy Lewis i przepłynęła obok ścieżeczki, w której błyskało światło. Archer czekał, póki rozległa przestrzeń wodna między ostatnią rafą wysepki a sterem łodzi iskrzyła się jeszcze drobniutkimi falami. Ale postać w letnim domku w dalszym ciągu stała nieporuszona.

Newland odwrócił się i wspiął się na wzgórze.

XXII

- Szkoda, że nie znalazłeś Ellen... tak chciałam ją znów zobaczyć - powiedziała May, gdy wracali do domu przedzierając się poprzez mrok. - Ale jej zapewne nie zależało na tym... wydaje się tak zupełnie odmieniona.

- Odmieniona? - powtórzył jej mąż bezbarwnym głosem; oczy miał utkwione w poruszających się miarowo uszach kucyków.

- Myślę o tym, że jest taka obojętna wobec przyjaciół. Żeby porzucić Nowy Jork, własny dom i spędzać czas z takimi dziwnymi ludźmi! Jakże jej tam musi być niewygodnie u tych Blenkerów! Powiada, że robi to tylko dlatego, żeby powstrzymać ciocię Medorę od popełnienia głupstwa. Uchronić ją od poślubienia tego okropnego człowieka. Czasami jednak myślę, że myśmy ją wszyscy po prostu nudzili.

Archer nie odpowiedział i May ciągnęła dalej z jakąś nutą surowości, czego nigdy przedtem nie zauważył w jej radosnym, świeżym głosie: - Mimo wszystko zastanawiam się, czy nie byłaby już szczęśliwsza ze swoim mężem?

Wybuchnął śmiechem.

- Sancta simplicitas! - wykrzyknął. A kiedy odwróciła się ku niemu zmarszczywszy czoło z zakłopotaniem, dodał: - Nigdy nie słyszałem, żebyś powiedziała kiedykolwiek równie okrutną rzecz.

- Okrutną?

- No cóż... przyglądanie się smażeniu w ogniu piekielnym potępionych jest przypuszczalnie ulubionym sportem aniołów. Ale nie wierzę, żeby nawet oni uważali, że ludzie mogą być szczęśliwsi w piekle.

- Szkoda wobec tego, że wyszła za mąż za granicą - powiedziała May spokojnym tonem, z jakim jej matka przyjmowała kaprysy pana Wellanda. I Archer w tym momencie poczuł się delikatnie relegowany do kategorii nierozsądnych małżonków.

Jechali Bellevue Avenue i skręcili pomiędzy żłobkowane drewniane odrzwia bramy, zwieńczone lampami z lanego żelaza, które znaczyły wjazd do willi Wellandów. Okna były już oświetlone i gdy powóz się zatrzymał, Archer spostrzegł teścia, tak jak go sobie wyobrażał, spacerującego po salonie z zegarkiem w ręku, z miną zboląłą, co od

dawna uznał za bardziej skuteczną broń od złości.

Młody człowiek, podążając za żoną przez hall, uświadamiał sobie dziwną odmianę nastroju. W zbytkowności domu Wellandów i w atmosferze tu panującej, tak brzemiennej zwyczajami i wszechwładnym panowaniem woli, było coś, co zawsze działało na niego jak narkotyk. Ciężkie dywany, czujni służący, nieustanne tykanie zdyscyplinowanych zegarów, stale zmieniająca się sterta wizytówek i zaproszeń na stolicku w hallu, cały łańcuch tyrańskich posunięć, wiążący jedną godzinę z każdą następną i każdego domownika z pozostałymi, sprawiały, że w porównaniu z tym każda usystematyzowana i mniej dostatnia egzystencja zdawała się nierealna i niepewna. Taki to był dom Wellandów, a życie, jakie spodziewał się tu wieść, stało się nierzeczywiste i nieistotne; ta przelotna scena na brzegu, kiedy zatrzymał się tam w połowie drogi, niezdecydowany, stała mu się nagle tak bliska jak krew płynąca w żyłach.

Całą noc leżał bezsennie u boku May w wielkiej, wybitej perkalem sypialni, obserwując ukośne promienie księżyca wędrujące po dywanie, i rozmyślał o Ellen Olenkiej, która zdążyła do domu poprzez rozjarzone światłem wybrzeże w powozie zaprzężonym w kłusaki Beauforta.

- Przyjęcie dla Blenkerów... tych Blenkerów?

Pan Welland odłożył nóż i widelec i spojrzał z zaniepokojeniem i niedowierzaniem poprzez stół nakryty do śniadania na swoją żonę, która nakładając okulary w złotej oprawce głośno przeczytała afektowanym tanem:

- „Profesor Sillerton i jego małżonka mają zaszczyt prosić państwa Wellandów na spotkanie w „Afternoon Club” we środę, 25 sierpnia, punktualnie o godzinie 15 - ej. Przyjęcie zaszczytą swą obecnością pani i panny Blenker. Red Gables, Catherine Street RSVP”.

- Wielkie nieba! - wykrztusił pan Welland, jak gdyby ponowne przeczytanie było mu potrzebne na to, by móc pojąć monstrualną absurdalność tego, co usłyszał.

- Biedna Amy Sillerton... nigdy nie można przewidzieć, z czym jej mąż wyskoczy - westchnęła pani Welland. - Przypuszczam, że właśnie dopiero co odkrył Blenkerów.

Profesor Emerson Sillerton był cierniem towarzystwa Newport; cierniem, którego

nie dawało się wyciągnąć, jako że rósł na czcigodnym i czczonym drzewie. Jak powiadano, był on człowiekiem, który posiadał „wszystkie przywileje”. Jego ojciec był wujem Sillertona Jacksona, jego matka wywodziła się z Pennilowów z Bostonu - z każdej strony było bogactwo, pozycja i wszystko tak jak trzeba. Nic - jak często powiadała pani Welland - nic na świecie nie zmuszało Emersona Sillertona, by zostać archeologiem czy jakimś innym profesorem albo mieszkać w Newport w zimie czy też wykonywać jakies inne rewolucyjne zajęcia, jak on to robił.

Ale skoro miał zamiar zerwać z tradycją i kpić z towarzystwa w żywe oczy, to nie musiał się wcale żenić z biedną Amy Dagonet, która miała prawo oczekiwać „czegoś całkiem innego” i tyle pieniędzy, by móc mieć swój własny powóz.

Nikt spośród otoczenia Mingottów nie potrafił zrozumieć, czemu Amy Sillerton przyjmowała tak potulnie te wszystkie ekscentryczności swego męża, który zapełniał dom długowłosymi mężczyznami i kobietami o krótko obciętych fryzurach, a zamiast wyjeżdżać z żoną do Paryża czy do Włoch, zabierał ją do Yucatanu, by tam grzebać się w grobowcach. Ale tacy to już oni byli, chodzili swoimi własnymi drogami i najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że różnią się od innych. A kiedy wydawali jedno z tych swoich ponurych przyjęć, każda rodzina na Cliffs, ze względu na koneksje z rodzinami Sillerton - Pennilow - Dagonet; musiała stawić się licznie albo też przysłać swego przedstawiciela.

- To cud - zauważyła pani Welland - że nie wybrali dnia wyścigów o puchar! Pamiętajcie, jak dwa lata temu wydawali przyjęcie dla jakiegoś Murzyna w dniu the dansant Julii Mingott? Na szczęście, o ile mi wiadomo, nie wypada tym razem nic takiego, więc oczywiście ktoś z nas musi tam pojechać.

Pan Welland westchnął nerwowo.

- „Ktoś z nas” , moja droga... chyba nie więcej niż jedna osoba? Trzecia godzina to taka niewygodna pora. Muszę być tutaj, by zażyć kropelki.

Doprawdy, nie ma sensu stosować nowych leków Bencomba, jeżeli nie będę robił tego systematycznie. A gdybym miał dołączyć do ciebie później, naturalnie byłbym pozbawiony swojej przejażdżki. - Na samą tę myśl ponownie odłożył nóż i widelec i rumieniec niezadowolenia wykwitł na leciutko pomarszczonych policzkach.

- Mimo wszystko nie ma powodu, mój drogi, żebyś jechał - odpowiedziała jego żona z serdecznością, która stała się już u niej odruchowa. - Mam do zostawienia kilka wizytówek w drugim końcu Bellevue Avenue i wpadnę tam około wpół do czwartej, i zostanę tak długo, żeby biedna Amy nie poczuła się dotknięta - zerknęła niepewnie na córkę. - A jeżeli Newland ma już ułożone popołudnie, May z pewnością zechce cię przewieźć swoimi kucykami i przy okazji wypróbować ich nową uprzęż.

Było już zasadą w rodzinie Wellandów, że człowiek musi mieć dni i godziny - jak pani Welland to nazywała - „ułożone”. Taka melancholijna możliwość „zabijania czasu” (zwłaszcza dla tych, którzy nie grali w wista i nie stawiali pasjansów) stała się wizją, która nawiedzała ją tak, jak widmo bezrobotnych nawiedza filantropa. Inną jej zasadą było to, że rodzice nie powinni nigdy (przynajmniej w sposób widoczny) wtrącać się w plany swych zamężnych dzieci; trudność zastosowania tej zasady wobec May, przy ciągłych żądaniach pana Wellanda, można było przezwyciężyć tylko poprzez doskonalenie pomysłowości, co zajmowało pani Welland każdą wolną chwilę.

- Oczywiście pojedę z papą... Jestem pewna, że Newland znajdzie sobie jakieś zajęcie - powiedziała May tonem, który delikatnie przypominał jej małżonkowi, że nie dał jeszcze odpowiedzi. Przyczyną ustawicznej zgrzyoty pani Welland było to, że jej zięć wykazuje tak mało inicjatywy w planowaniu swoich dni. Po dwóch tygodniach, od zamieszkania pod jej dachem, na pytanie, jak zamierza spędzić popołudnie, dawał paradoksalne odpowiedzi: - Och, sądzę, że dla odmiany po prostu zaoszczędzę je, zamiast je spędzać...

- A raz, kiedy musiały z May wyruszyć na zbyt długo odkładane wizyty, Newland przyznał się, że całe popołudnie przeleżał na przybrzeżnej skale, niedaleko domu.

- Newland zdaje się nigdy nie myśleć o przyszłości - pani Welland pewnego razu ośmieliła się poskarżyć swej córce. Na co May odparła pogodnie:

- Rzeczywiście. Ale, widzisz, mamo, to nie ma znaczenia, ponieważ jak już nie ma nic szczególnego do roboty, to czyta książkę.

- O, to tak jak twój ojciec! - przyznała pani Welland, jak gdyby pogodzona z tym dziedzicznym dziwactwem. Po czym taktownie poniechano tego tematu.

Niemniej, gdy nadszedł dzień przyjęcia u Sillertonów, May zaczęła okazywać naturalną troskę o jego sprawy i sugerowała partię tenisa u Chiversów czy przejażdżkę na kutrze Beauforta, by w ten sposób okupić swą chwilową dezercję.

- Będę z powrotem o szóstej. Wiesz, kochanie, że papa nigdy nie jeździ później...
- I była niepokieszona, póki Archer nie powiedział, że zamierza wynająć lekki powozik jednoosobowy i pojechać na wyspę do stadniny, by rozejrzeć się za drugim koniem do jej karety. Już od pewnego czasu szukali takiego konia i pomysł był tak mały, że May spojrzała na matkę, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, on także wie, jak ma zaplanować swój czas, równie dobrze jak każdy z nas”.

Myśl o stadninie i koniu do karety zrodziła się w głowie Archera tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy wspomniano o zaproszeniu przysłanym przez Sillertona. Jednakże zachował ją dla siebie, jak gdyby w tym planie było coś tajemniczego i przedwczesne wyjawienie mogło przeszkodzić w jego urzeczywistnieniu. W każdym razie, żeby się zabezpieczyć, przezornie zamówił wcześniej powozik zaprzężony w parę starych kłusaków, które mogły jeszcze zrobić te swoje osiemnaście mil na prostej drodze. Punktualnie o godzinie drugiej, odszedłszy śpiesznie od stołu, wskoczył do lekkiego powoziku i odjechał.

Dzień był prześliczny. Lekki północny wietrzyk przesuwiał białe obłoki po szafirowym niebie, pod którym płynęło przejrzyste morze. O tej porze Bellevue Avenue była pusta i wysadziwszy na rogu Mill Street chłopaka stajennego, Archer skręcił w dół Old Beach Road i podążył Eastman's Beach.

Doznał uczucia jakiegoś niewysłowionego podniecenia, tak jak kiedyś jeszcze w szkole na wagarach, gdy wyruszał w nieznane. Powożąc swoją dwójką jechał spokojnym truchtem, licząc, że dojedzie do stadniny - która leżała niedaleko za Paradise Rocks - przed godziną trzecią. W ten sposób po obejrzeniu konia (i wypróbowaniu go, jeśli się okaże obiecujący), mógłby mieć jeszcze całe cztery cudowne godziny do własnej dyspozycji.

Gdy tylko usłyszał o przyjęciu u Sillertonów, od razu pomyślał sobie, że markiza Manson oczywiście przyjedzie do Newport z paniami Blenker i że Madame Olenska

może znów zechce skorzystać z okazji spędzenia dnia ze swoją babką. W każdym razie domostwo pani Blenker będzie z pewnością puste, a on nie popełniając niedyskrecji będzie mógł obejrzeć je i zaspokoić swą bliżej nieokreśloną ciekawość. Nie był pewien, czy chciałby znów spotkać hrabinę.

Lecz od czasu gdy spoglądał na nią ze ścieżki nad zatoką, zapragnął z jakichś irracjonalnych i niejasnych przyczyn zobaczyć to miejsce, gdzie mieszka, i przywołać w pamięci ruchy jej urojonej postaci, tak jak w rzeczywistości, kiedy patrzył na nią w letnim domku. To pragnienie nie opuszczało go dniem i nocą, ustawiczne, niepojęte i dręczące niczym nagły kaprys chorego człowieka żądającego, by padano mu jedzenie czy picie, którego kiedyś próbował i dawno już zapomniał, jaki ma smak. Nie wybiegał myślą poza to pragnienie ani też nie wyobrażał sobie, do czego by to mogło doprowadzić, ponieważ nie był pewien, czy chciałby porozmawiać z Madame Olenską albo też usłyszeć jej głos. Po prostu czuł, że gdyby udało mu się wymazać z pamięci obraz tego skrawka ziemi, na którym ona stała, a poza którym było już tylko morze i niebo, reszta świata może nie wydałaby mu się mniej pusta.

Kiedy dojechał do stadniny, jedno spojrzenie wystarczyło mu, by przekonać się, że nie ma tu takiego konia, jakiego by chciał, niemniej zrobił rundkę, by udowodnić sobie, że wcale mu się nie śpieszy. Ale o trzeciej, ujawszy lejce kłusaków, skręcił w boczną drogę prowadzącą do Portsmouth. Wiatr ucichł, a lekkie opary na horyzoncie wskazywały, że za Saconnet czai się mgła, by opaść wraz z przyrywem. Ale wokół niego wszystkie pola i lasy tonęły w złocistym świetle.

Jechał pośród szaro tynkowanych farmerskich domów skrytych w sadach, przez łąki, pola i zagajniki dębowe, przez wioski z białymi wieżyczkami kościołów wystrzelającymi ostro w blednące niebo. Aż wreszcie, zatrzymawszy się, by spytać o drogę jakichś mężczyzn powracających z pola, skręcił w aleję wśród żywopłotów ze złotej różgi i głogu. Na końcu alei mieniła się błękitem rzeka; na lewo, stanąwszy przed kępą dębów i klonów, ujrzał długi walący się budynek, z którego luszczyla się biała farba.

Na bocznej drodze, frontem do bramy wjazdowej, stała otwarta na oścież szopa, w której mieszkańcy Nowej Anglii trzymali gospodarskie narzędzia i goście zostawiali

swoje zaprzęgi. Archer, zeskoczywszy z powozu, poprowadził swoją dwójkę do szopy i uwiązawszy je do żłobu, skierował się w stronę domu. Trawnik rosnący przed głównym wejściem zamienił się już w łąkę. Ale na lewo bujny ogrodzony ogródek, pełen dalii i rdzawych krzewów różanych, okalał widmową altankę, zbudowaną z niegdyś białych deszczulek, zbitych w kratkę, zwieńczoną drewnianym kupidyńkiem, który stracił swój łuk i strzałę, ale w dalszym ciągu bezskutecznie mierzył do celu.

Archer przez chwilę oparł się o furtkę. Nie było nikogo widać, z otwartych okien domu nie dochodził żaden dźwięk. Posiwały Nowofundlandczyk, drzemiący przed drzwiami, zdawał się być równie niegroźnym stróżem, co pozbawiony łuku kupidynek. Aż dziw, że to ciche i opuszczone miejsce było domem niespokojnych Blenkerów. Jednakże Archer był pewien, że się nie pomylił.

Przez długi czas stał tak, kontentując się oglądaną sceną i stopniowo poddając się jej śpiącemu nastrojowi. Lecz w końcu przypomniał sobie, że czas płynie. Czy powinien zobaczyć to, co zamierzał, a potem odjechać? Stał niezdecydowany, zapragnąwszy nagle ujrzeć wewnątrz domu, tak żeby móc wyobrazić sobie pokój, w którym siadywała Ellen Olenska. Nic nie stało na przeszkodzie, by podejść do drzwi i zadzwonić. Jeżeli, tak jak przypuszczał, wyjechała z resztą towarzystwa na przyjęcie, z łatwością może podać swoje nazwisko i wejść do saloniku, by napisać kilka słów.

Zmieniwszy zamiar, przeszedł przez trawnik i skierował się w stronę ogródka. Gdy się tylko tam zbliżył, zauważył w altance jakiś kolorowy przedmiot; wkrótce przekonał się, iż jest to różowa parasolka, która przyciąga go ku sobie niczym magnes. Był pewien, że należała do niej.

Wszedł do altany i usiadłszy na chwiejnej ławce podniósł jedwabny przedmiot i przyglądał się jego rzeźbionej rączce z jakiegoś rzadkiego drzewa wydzielającego aromatyczny zapach. Archer podniósł rączkę do ust.

Za ogrodzeniem usłyszał szelest spódnic; siedział nadal bez ruchu oparłszy złożone dłonie na rączce parasolki i nie podnosząc oczu czekał, aż ów szelest się przybliży. Wiedział, że to musiało się zdarzyć...

- Och, pan Archer! - wykrzyknął głośno jakiś młodzieńczy głos.

Spojrząwszy w górę ujrzał przed sobą najmłodszą i najroślejszą z Blenkerówien, o rozczochranych blond włosach i w poplamionych muślinach.

Czerwona plama na policzku zdawała się wskazywać, że bardzo niedawno odcisnęła ją sobie od poduszki, a zaspane oczy dziewczyny spoglądały na niego z życzliwością, lecz w pomieszaniu.

- O Boże... skąd się pan tu znalazł? Musiałam zasnąć w hamaku jak kamień.

Wszyscy pojechali do Newport. Czy pan dzwonił? - pytała bezładnie.

Archer był zmieszany bardziej od niej.

- Ja... nie... to znaczy, po prostu wszedłem. Musiałem przyjechać na wyspę, żeby wybrać konia, i wstąpiłem w nadziei, że zastanę panią Blenker i jej gości. Ale dom wydał mi się pusty... wobec tego usiadłem, żeby poczekać.

Panna Blenker, otrząsając się z resztek snu, spojrzała na niego z wzrastającym zainteresowaniem.

- Bo dom jest pusty. Mamy nie ma, markizy również... nikogo prócz mnie. - Spojrzała na niego z lekkim wyrzutem. - To pan nie wie, że profesorostwo Sillerton urządza dziś po południu gardenparty, dla mamy i nas wszystkich? Tak się nieszczęśliwie złożyło, że nie mogłam pojechać. Ale bolało mnie gardło i mama obawiała się późnego powrotu do domu. Czy słyszał pan o czymś równie przykrym? Oczywiście dodała wesoło - martwiłabym się tym o połowę mniej, gdybym wiedziała, że pan przyjedzie.

Zaczęły ujawniać się u niej pierwsze symptomy nieświadomej kokieterii i Archer zebrał siły, by wtrącić:

- A Madame Olenska... czy też pojechała do Newport?

Panna Blenker spojrzała na niego ze zdumieniem. - To pan nie słyszał, że została wezwana?

- Wezwana?

- Och, moja najlepsza parasolka! Pożyczyłam ją tej gęsi, Katie, ponieważ pasowała jej do wstążek, a ten flejtuch musiał ją tutaj zostawić. My Blenkerowie jesteśmy jak taka... prawdziwa cyganeria. - Ująwszy parasolkę mocną ręką rozpostarła jej różowy

baldachim nad swoją głową. - Tak, Ellen została wezwana wczoraj. Pozwoliła mi mówić sobie po imieniu, wie pan?

Przyszedł telegram z Bostonu. Powiedziała, że musi jechać na dwa dni.

Uwielbiam wprost sposób, w jaki upina sobie włosy, a pan? - paplała dalej.

Archer przez cały czas patrzył na nią, jakby była przezroczysta. Jedyne, co widział, to tandetną parasolkę, a pod jej różowością rozchichotaną twarz dziewczyny.

Po chwili ośmielił się zapytać:

- Czy pani nie wie, dlaczego Madame Olenska pojechała do Bostonu? Mam nadzieję, że nie z powodu jakichś złych wiadomości?

Panna Blenker przyjęła to z pogodnym sceptycyzmem.

- Och, nie przypuszczam... Nie powiedziała nam, co było w telegramie.

Myślę, że nie chciała, żeby markiza wiedziała. Ona wygląda tak romantycznie, nieprawdaż? Czy nie przypomina panu pani Scott - Siddons, kiedy czyta „Lady Geraldine's Courtship” ? Nigdy pan jej nie słyszał?

Przez głowę Archera przepływały pośpieszne myśli. Jakby nagle zobaczył przed sobą całą swoją przyszłość. Zdążając ku jej bezkresnej pustce ujrzał malejącą sylwetkę mężczyzny, któremu nic nigdy nie miało się już przydarzyć. Rozejrzał się po zaniedbanym ogrodzie, rozwalającym się domu i zagajniku z dębów, pod którymi zbierał się już mrok. Chyba właśnie w tym miejscu powinien być znaleźć Madame Olenską. A tym czasem ona była daleko i nawet różowa parasolka nie należała do niej.

Zmarszczył brwi i zawahał się.

- Zapewne nic pani nie wiadomo... ale jutro będę w Bostonie i... gdyby udało mi się z nią zobaczyć...

Poczuł, że zainteresowanie nim panny Blenker słabnie, chociaż nie przestała się uśmiechać.

- Ależ oczywiście. Jak to miło z pana strony! Zatrzymała się w „Parker House”. Musi tam być strasznie w taką pogodę!

Potem Archer już tylko połowicznie zdawał sobie sprawę z uwag, jakie wymieniali. Przypomniał sobie, że dzielnie opierał się jej naleganiom. by poczekał na powrót rodziny

i wypił z nią herbatę, nim wyruszy do domu.

Wreszcie, z nieodstępującą go na krok gospodynią, oddalił się z zasięgu drewnianego kupidyńka, odwiązał konie i odjechał. Na zakręcie alei ujrzał pannę Blenker stojącą w bramie wjazdowej i wymachującą różową parasolką.

XXIII

Gdy Archer następnego ranka wysiadł z pociągu Fall River, znalazł się w parnym Bostonie w pełni lata. Ulice w pobliżu dworca wypełniał zapach piwa i kawy oraz gnijących owoców, a masy ludzi w samych koszulach poruszały się z jakąś poufałą żywiołowością pasażerów śpieszących wprost do łaźni.

Archer znalazł dorożkę i udał się do Somerset Club na śniadanie. Również dzielnice nowoczesne i modne miały tu jakąś atmosferę niczym nie skrepowanej prostoty, której takie upały nie potrafiły zdegradować do rangi miast europejskich. Dozorcy w płóciennych uniformach spędzali próżniaczo czas na schodkach domów bogaczy, a Common wyglądało niczym teren zabaw nazajutrz po urządzonym tam masońskim pikniku. Gdyby Archer usiłował wyobrazić sobie Ellen Olenską na tle jakiejś najbardziej nieprawdopodobnej scenerii, chyba najtrudniej przyszłoby mu umieścić ją tu, w tym upalnym i wyludnionym Bostonie.

Zjadł śniadanie z apetytem, metodycznie zaczynając od plasterka melona i czekając na grzankę z jajecznicą, przeglądał poranną gazetę. Przepelniało go jakieś nowe poczucie energii i chęci działania od wczorajszego wieczoru, kiedy to oświadczył May, że ma do załatwienia w Bostonie pewne sprawy i musi wsiąść na statek Fall River jeszcze tego wieczoru, by móc wyruszyć do Nowego Jorku następnego dnia. Zawsze było wiadome, że powinien wrócić do miasta na początku tygodnia i kiedy zjawił się w domu ze swojej wyprawy do Portsmouth, zastał na stoliku w hallu list z biura - położony tam konspiracyjnie niezbadaną ręką przeznaczenia - który całkowicie usprawiedliwił jego nagłą zmianę planu. Czuł się nawet zawstydzony, że tak łatwo wszystko poszło. Przez jedną nieprzyjemną chwilę przypomniały mu się mistrzowskie pomysły Lawrence'a Lefferts'a, jak uchronić swoją wolność. Lecz niedługo się tym przejmował, jako że nie był w nastroju do analizowania.

Po śniadaniu zapalił papierosa i przejrzał „Commercial Advertiser”. W czasie gdy był pochłonięty lekturą, weszło kilku znajomych, z którymi wymienił zwykłe uprzejmości. Mimo wszystko był to jednak ten sam świat, chociaż miał dziwne uczucie, jakby prześlizgiwał się poprzez jakieś inne ogniwa czasu i przestrzeni.

Spojrzał na zegarek i stwierdziwszy, że jest wpół do dziesiątej, wstał i przeszedł do gabinetu. Tam napisał kilka zdań i kazał posłańcowi zawieźć list dorożką do „Parker House” i poczekać na odpowiedź. Potem zasiadł znów do czytania innej gazety i usiłował obliczyć, ile czasu będzie jechała dorożka do hotelu.

- Pani wyszła, proszę pana - usłyszał nagle głos kelnera tuż przy sobie.

- Wyszła? - wyjąkał.

Wstał i przeszedł do hallu. To musi być pomyłka. Nie mogła wyjść o tej porze. Zaczerwienił się ze złości i własnej głupoty. Czemuż zaraz po przyjeździe nie wysłał jej wiadomości?

Wziął kapelusz i laskę i wyszedł prosto na ulicę. Miasto stało się nagle tak obce, ogromne i puste, jakby był podróżnym z dalekich krajów. Przez chwilę stał na schodkach niezdecydowany. Raptem postanowił udać się do „Parker House”. A jeżeli posłaniec został mylnie poinformowany i Ellen tam jest?

Zaczął iść przez Common. I na pierwszej ławce pod drzewem zobaczył Ellen.

Trzymała nad głową szarą jedwabną parasolkę od słońca - jakże mógł wyobrażać ją sobie z różową parasolką? Kiedy się zbliżył, uderzyła go jej zobojętniała postawa - siedziała tak, jakby nic innego nie miała do roboty.

Ujrzał jej pochylony profil, węzeł włosów upiętych na szyi pod ciemnym kapeluszem i długą zmarszczoną rękawiczkę na ręce, w której trzymała parasolkę. Postąpił krok, dwa bliżej; odwróciła się i spojrzała na niego.

- Och - powiedziała i po raz pierwszy zobaczył na jej twarzy zaskoczenie. Lecz w następnym momencie powoli zjawiał się na niej uśmiech zdumienia i radości. - Och - powtórzyła, tym razem już innym tonem.

Tymczasem Archer stał i nie spuszczał z niej wzroku; nie podnosząc się z ławki odsunęła się robiąc mu miejsce.

- Przyjechałem w interesie... właśnie wpadłem tutaj... - tłumaczył Archer. I nie wiedzieć czemu, zaczął nagle udawać zdziwienie, że ją widzi.

- Cóż, na Boga, robisz w tej dziurze? - Naprawdę nie zdawał sobie sprawy, co mówi. Czuł, jakby wołał do niej z nieskończonej odległości, a ona mogła mu znów

zniknąć, nim zdąży ją dogonić.

- Ja? Och, też jestem tutaj w interesie - powiedziała odwracając ku niemu głowę, tak że znaleźli się twarzą w twarz. Słowa do niego nie dotarły świadom był tylko jej głosu i niepokojącego faktu, że nawet jego echo nie zostało mu w pamięci. Nie pamiętał, że miał tak niskie brzmienie i lekką chropowatość przy wymawianiu spółgłosek.

- Inaczej się czujesz - zauważył, a serce tak mu biło, jakby wypowiedział coś nieodwracalnego.

- Inaczej? Nie... to dlatego, że czeszę się, jak potrafię, kiedy nie mam ze sobą Nastazji.

- Nastazji? A nie ma jej tu z tobą?

- Nie. Jestem sama. Na dwa dni nie warto jej było zabierać.

- Jesteś sama?... W „Parker House” ?

Spojrzała na niego z błyskiem swojej dawnej złośliwości.

- A uważasz, że to niebezpieczne?

- Nie. Nie niebezpieczne, ale...

- Ale niekonwencjonalne? Rozumiem. Chyba jest niekonwencjonalne. -

Zastanawiała się chwilę. - Nie myślałam o tym, ponieważ zrobiłam coś, co znacznie bardziej przekracza utarte normy. - Lekki cień ironii pojawił się w jej oczach. - Właśnie odmówiłam przyjęcia pewnej sumy pieniędzy... które do mnie należały.

Archer poderwał się i odszedł kilka kroków. Ona złożyła parasolkę i siedząc, z roztargnieniem rysowała jakieś wzory na żwirze ścieżki. Wkrótce powrócił i stanął przed nią.

- Czy ktoś... ktoś przyjechał tu, by się z tobą spotkać?

- Tak.

- Z taką propozycją?

Potaknęła kiwnąwszy głową.

- A ty odmówiłaś... ze względu na warunki?

- Odmówiłam - powiedziała po chwili.

Znów usiadł przy niej.

- Jakie były te warunki?

- Och, nie były uciążliwe. Tylko od czasu do czasu miałabym zasiadać na honorowym miejscu przy jego stole.

Ponownie nastąpiła przerwa w rozmowie. Serce Archera skurczyło się w ten charakterystyczny sposób, a on sam siedział na próżno szukając odpowiedniego słowa.

- Chce ciebie z powrotem?... za wszelką cenę?

- No cóż... za niemałą cenę. Przynajmniej dla mnie suma ta jest znaczna.

Znów milczał, nie mogąc zdecydować się na pytanie, które musiał jej zadać.

- Czy przysłaś dlatego, żeby jego tu spotkać?

Spojrzała na Newlanda ze zdumieniem, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Spotkać jego... mego męża? Tutaj? O tej porze przebywa zawsze w Cowes albo w Baden.

- Przysłał kogoś?

- Tak.

- Z listem?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Po prostu z wiadomością. Nigdy nie pisuje. Nie sędzę, żebym otrzymała od niego więcej niż jeden list w życiu. - Ta aluzja wywołała rumieniec na jej policzki; Archer również się zaczerwienił.

- Dlaczego nigdy nie pisze?

- A po co miałby to robić? Od czego ma sekretarza?

Rumieniec u młodego człowieka stał się żywszy. Wymówiła to słowo tak, jak gdyby nie znaczyło nic więcej niż każde inne. Przez moment miał już na końcu języka, chciał spytać: „Czy wobec tego przysłał swojego sekretarza?”

Lecz wspomnienie tego jedyne listu, jaki hrabia Olenski napisał do żony, było dla niego zbyt świeże. Milczał więc, lecz po chwili zaryzykował pytanie:

- A ta osoba?...

- Emisariusz? Ten emisariusz - Madame Olenska odpowiedziała nie przestając się uśmiechać - musiał już wyjechać. Jednakże nalegał, że jeszcze poczeka do wieczora...

na wypadek... na szansę...

- A ty wyszłaś tutaj, żeby przemyśleć ową szansę?

- Wyszłam, by łyknąć świeżego powietrza. Hotele są takie duszne.

Wyjeżdżam popołudniowym pociągiem z powrotem do Portsmouth.

Siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie, lecz na ludzi przechodzących alejką.

W końcu skierowała znów wzrok na niego i powiedziała:

- Tak się zmieniłeś!

Miał wrażenie, że słyszy własną odpowiedź: „Byłem inny, póki znów cię nie ujrzałem”. Lecz zamiast tego podniósł się gwałtownie i rozejrzał dokoła po wielkim, dusznym parku.

- Tu jest okropnie. A może byśmy pojechali trochę nad zatokę? Jest tam wiaterek i będzie chłodniej. Moglibyśmy wsiąść na statek do Point Arley. - Hrabina uniosła ku niemu oczy z wahaniem, a on mówił dalej: - W poniedziałkowy ranek nie powinno być nikogo na pokładzie. Mój pociąg odchodzi dopiero wieczorem. Wracam do Nowego Jorku. Czemu nie mielibyśmy się wybrać? - nalegał spoglądając na nią. I nagle wybuchnął: - Czyż nie zrobiliśmy wszystkiego, co było w naszej mocy?

- Och... - szepnęła po raz wtóry. Wstała, otworzyła parasolkę i rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że naprawdę nie może tu zostać.

Następnie oczy jej znów spoczęły na jego twarzy.

- Nie musisz mi mówić takich rzeczy - powiedziała.

- Nie powiem nic, czego sobie nie życzysz... albo w ogóle nic nie będę mówił. Nie otworzę ust, póki mi nie pozwolisz. Przecież to nie może nikomu zaszkodzić? Jedyne, czego pragnę, to słuchać ciebie - zająknął się.

Wyciągnęła mały złoty zegarek na emaliowanym łańcuszku.

- Och, nie namyślaj się! - wybuchnął. - Podaruj mi ten dzień! Chcę wywieźć cię jak najdalej od tego człowieka. O której ma przyjechać?

Znów się zaczerwieniła.

- O jedenastej.

- Wobec tego powinnaś już iść.

- Nie powinieneś się niepokoić... jeżeli nie pójdę.

- Ani też ty... Przysięgam, że chcę tylko usłyszeć o tobie, wiedzieć, co porabiałaś.

Setki lat minęły, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni... i może znów upłyną setki, nim się ponownie spotkamy.

W dalszym ciągu wahała się, jej oczy wpatrywały się niespokojnie w jego twarz.

- Czemu nie zszedłeś na brzeg tego dnia, gdy byłam u babci? - spytała.

- Dlatego, że się nie obejrzałaś... że się nie domyśliłaś, że tam jestem.

Postanowiłem, że tego nie zrobię. jeśli się nie obejrzysz. - Roześmiał się, gdyż uderzyła go dziecinada tego wyznania.

Ale ja nie obejrzałam się celowo.

- Celowo?

- Wiedziałaś, że jesteś. Kiedy podjechałeś, poznałam kucyki. Dlatego zesłam na brzeg.

- By uciec ode mnie tak daleko, jak tylko mogłaś?

Powtórzyła cichym głosem: - By uciec od ciebie tak daleko, jak mogłam.

Roześmiał się znowu, tym razem z jakimś chłopięcym zadowoleniem.

- A więc widzisz, że nie ma to sensu. Ja również mogę ci się przyznać - dodał - że ten interes, w jakim przyjechałem tutaj, to było właśnie znalezienie ciebie. Ale Wiesz, musimy zaraz ruszać albo ucieknie nam nasz statek.

- Nasz statek? - Zmarszczyła brwi z zakłopotaniem, a potem uśmiechnęła się. -

Och, ale najpierw wstąpię do hotelu. Muszę zostawić kartkę...

- Tyle kartek, ile tylko zechcesz. Możesz napisać tutaj. - Wyjął notes i pióro. - Mam kopertę... widzisz, jak wszystko z góry przewidziałem! Oprzyj to na kolanach, a ja za sekundę przygotuję pióro. Czasami bywa humorzaste.

Poczekaj... - Uderzył dłonią, w której trzymał pióro o ławkę. - To jest tak, jak ze strząsaniem rtęci w termometrze... taki zwykły trik.

A teraz spróbuj...

Roześmiała się, i pochyliwszy głowę nad kartką papieru, którą Archer położył na swoim notesie, zaczęła pisać. Młody człowiek odszedł kilka kroków spoglądając

rozpromienionym i niewidzącym wzrokiem na przechodniów, którzy zatrzymywali się, by popatrzeć na niecodzienny widok modnie ubranej damy siedzącej na ławce w Common i piszącej na kolanie list. Madame Olenska wsunęła kartkę do koperty, zaadresowała i schowała do kieszeni, po czym podniosła się z ławki. Skierowali się w stronę Beacon Street i w pobliżu klubu Archer spostrzegł tę samą wybitą pluszem dorożkę, która zawiozła jego list do „Parker House” i której woźnica odpoczywał teraz zraszając czoło pod ulicznym hydrantem.

- Mówiłem ci, że wszystko jest jakby z góry ułożone! Oto i powóz dla nas.

Popatrz! - Roześmieli się, zdumieni, jakim cudem o tej porze udało im się znaleźć miejski środek lokomocji i do tego w tak nieprawdopodobnym miejscu, w mieście, gdzie postój dorożek był wciąż jeszcze „zagraniczną” nowością.

Archer, spojrzawszy na zegarek, stwierdził, że zdążą jeszcze podjechać do „Parker House” przed udaniem się na przystań. Popędzili przez rozgrzane ulice i zatrzymali się przed hotelem.

Archer wyciągnął rękę po list.

- Może ja zaniosę? - zaproponował.

Lecz Madame Olenska, potrząsnąwszy głową, wyskoczyła z dorożki i zniknęła za oszklonymi drzwiami. Było prawie wpół do jedenastej. A jeżeli emisariusz, niecierpliwie czekając na odpowiedź, dla zabicia czasu siedzi już popijając zimne drinki wśród podróżnych, których Archer dostrzegł, gdy hrabina wchodziła do środka?

Czekał, spacerując w tę i z powrotem przed oczekującym pojazdem. Młody Sycylińczyk o oczach jak Anastazja zaproponował mu oczyszczenie butów, a jakaś Irlandka chciała mu sprzedać brzoskwinie. Co chwila drzwi otwierały się, wypuszczając zgrzanych mężczyzn w słomkowych kapeluszach zsuniętych na tył głowy, którzy mijając Archera przyglądali mu się badawczo. Dziwił się, że drzwi otwierają się tak często i że wszyscy ludzie, którzy przez nie wychodzą, są do siebie tak podobni jak inni zgrzani mężczyźni na całym świecie, którzy o tej samej porze wchodzi i wychodzą przez wahadłowe drzwi hoteli.

A potem nagle pojawiła się twarz, której nie mógł przyrównać do innych twarzy.

Tylko mu mignęła, gdyż spacerując odszedł do najdalszego punktu wytyczonej sobie trasy, i zwracając w stronę hotelu spostrzegł wśród wielu przeciętnych twarzy - mizernych i zmęczonych, pogodnych i zdumionych, o zapadłych policzkach i łagodnym wyrazie - tę inną twarz, która natychmiast rzuciła mu się w oczy, tak się wyróżniała. Była to twarz młodego człowieka, blada, przygaszona, pewnie na skutek upału czy zmęczenia, a może jednego i drugiego, lecz najwyraźniej było w niej więcej energii, życia i zdecydowania. A może tylko tak się zdawało, ponieważ właśnie był taki inny.

Archerowi przez chwilę otworzyła się jakby jakaś klapka w pamięci, ale zaraz zamknęła i wszystko urwało się i odpłynęło razem ze znikającą twarzą - twarzą zapewne jakiegoś biznesmena, który wyglądał obco w takim miejscu.

Zniknął wraz z falą przechodniów i Archer objął na nowo swój posterunek.

Nie dbał o to, czy jest widziany z hotelu, a to żmudne odliczanie upływającego czasu kazało mu wysnuć wniosek, że skoro Madame Olenska tak długo się nie zjawia, musiała najwidoczniej spotkać owego wysłannika i została przez niego zatrzymana. Na tę myśl jego obawa przerodziła się w mękę.

- Jeżeli wkrótce się nie zjawi, pójdę po nią - postanowił.

Drzwi znów się otworzyły i hrabina znalazła się przy nim. Wsiedli do dorożki, a gdy ruszyła, Archer wyjął zegarek i przekonał się, że jej nieobecność trwała zaledwie trzy minuty. Przy wtórze brzęku obluzowanych okien, który uniemożliwiał rozmowę, podskakując po nierównych kocich łbach, toczyli się w kierunku przystani.

Siedząc obok siebie na ławce na prawie pustym stateczku, spostrzegli, że właściwie nie mają sobie nic do powiedzenia, a raczej, że to, co by chcieli powiedzieć, wyraża się najlepiej w błogosławionej ciszy ich całkowitego wyłączenia się i odosobnienia.

Gdy koła łopatkowe zaczęły się obracać, a przystanie i statki znikły w oparach upału, Archerowi zdawało się, że wraz z tym wszystkim znika również świat znanych obyczajów. Pragnął zapytać hrabinę, czy ona doświadcza tego samego uczucia - uczucia, że zaczynają jakąś podróż, z której mogą nigdy nie wrócić. Lecz bał się tego

powiedzieć, bał się wszystkiego, co by mogło zakłócić jej kruchą wiarę w niego. Naprawdę nie chciał zawieść tej wiary.

Były takie dni i noce, gdy wspomnienie ich pocałunku nieustannie paliło mu wargi. Nawet przedwczoraj, w czasie podróży do Portsmouth, myśl o Ellen przenikała go gorącym płomieniem. A teraz, kiedy siedziała obok i płynęli przed siebie w ten nieznaną świat, zdawało się, że osiągnęli taki rodzaj bliskości, którą dotknięcie mogłoby tylko zniweczyć.

Gdy stateczek opuścił port i skierował się na pełne morze, owionął ich lekki wietrzyk, a zatoka rozpadła się w długie oleiste wstęgi zakończone drobnymi falami rozpryskującymi pióropusze wody. Opary gorąca nadal wisiały nad miastem, lecz przed nimi leżał ożywczy świat wzburzonych wód i odległy przylądek z latarnią morską skąpaną w słońcu. Hrabina, opierając się o balustradę, łykała chłodne powietrze przez rozchylone usta. Miała na kapeluszu długi woal, lecz twarz odsłoniętą i Archera uderzyła malująca się na niej spokojna radość. Zdawała się przyjmować ich przygodę jako rzecz naturalną i najwyraźniej nie obawiała się ani nieoczekiwanych spotkań, ani (co gorsza) nie dopuszczała nawet takiej możliwości.

W pustej sali restauracyjnej, w której miał nadzieję, że będą tylko we dwoje, natknęli się na krzykliwe zebranie niewinnie wyglądających mężczyzn i kobiet - nauczycieli na wakacjach, jak im powiedział właściciel stateczku - i serce Archera zamarło na myśl, że miałby rozmawiać w tym hałasie.

- To beznadziejne... spytam o jakąś osobną kabinę - powiedział.

Madame Olenska, nie stawiając sprzeciwu, czekała, kiedy poszedł na poszukiwania. Kabina wychodziła na długi drewniany pomost, a morze niemal wpływało przez okna. Była pusta i chłodna, stał w niej tylko stół nakryty szorstkim obrusem w kratę i ozdobiony słoikiem marynatów oraz plackiem z jagodami przykrytym siatką od owadów. Żaden cabinet particulier, oferujący swoje schronienie samotnej parze, nie mógł wyglądać bardziej niewinnie - czego potwierdzeniem był rozbawiony uśmiezek na jej twarzy, gdy zasiadała naprzeciwko niego. Kobieta, która uciekła od męża - i rzekomo z innym mężczyzną - prawdopodobnie opanowała sztukę przyjmowania takich sytuacji za

rzecz naturalną. Jednakże coś w jej opanowaniu nie pozwoliło mu na ironię. Tak spokojna, wcale nie zdziwiona i tak naturalna potrafiła wymazać wszelkie konwenanse i dać mu do zrozumienia, że szukanie samotności jest rzeczą oczywistą wśród dwojga starych przyjaciół, którzy mają sobie nawzajem tak wiele do opowiedzenia...

XXIV

Spożywali lunch wolno i z namaszczeniem robiąc od czasu do czasu przerwy w rozmowie. Ponieważ mieli sobie tak dużo do powiedzenia, owe momenty ciszy stawały się jakby zwykłym akompaniamentem do długich dialogów. Archer podtrzymywał rozmowę w swoim własnym interesie, nie z jakichś świadomych pobudek, ale dlatego, że nie chciał uronić ani jednego słowa z jej historii. A ona, pochylona nad stołem, podpierając brodę na złożonych dłoniach, opowiadała mu o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu półtora roku, kiedy się nie widzieli.

Czuła się już zamęczana tym, co ludzie nazywają „towarzystwem”. Nowy Jork był miły, niemal przytłaczająco gościnnie. Nigdy nie zapomni, w jaki sposób powitano jej powrót; ale po pierwszym olśnieniu nowością uznała, że jest zbyt „inna”, jak to sama określiła, by zależeło jej na tych rzeczach, co Nowemu Jorkowi. Wobec tego zdecydowała spróbować życia w Waszyngtonie, spodziewając się tam większej różnorodności ludzi i poglądów. Ogólnie rzecz biorąc powinna niewątpliwie osiąść w Waszyngtonie i urządzić tam dom dla biednej Medory która wyczerpała już cierpliwość wszystkich pozostałych krewnych i to akurat wtedy, kiedy najbardziej potrzebuje opieki i ochrony przed niebezpieczeństwem kolejnego zamążpójścia.

- A doktor Carver... czy obawiasz się doktora Carverat? Słyszałem, że zatrzymał się z tobą u Blenkerów?

Uśmiechnęła się.

- Och, niebezpieczeństwo ze strony Carvera już minęło. Doktor to bardzo sprytny człowiek. Chce mieć bogatą żonę, by finansowała jego zamierzenia a Medora jest po prostu dobrą reklamą jako neofitka.

- Neofitka czego?

- Wszelkiego rodzaju nowych i zwariowanych społecznych przedsięwzięć. Czy wiesz, że mnie też interesują one bardziej niż ślepa uległość wobec tradycji - jakiegokolwiek tradycji - którą widzę u naszych przyjaciół. Jakże głupie wydaje się odkrywanie Ameryki tylko po to, żeby ją uczynić na podobieństwo innego kraju. - Uśmiechnęła się poprzez stół. - Czy przypuszczasz, że Krzysztof Kolumb chciałby zadać

sobie tyle trudu po to, aby pójść do Opery z Merrfy'ami?

Archer zaczerwienił się.

- A Beaufort? Czy rozmawiasz o takich sprawach z Beaufortem? - spytał nagle.

- Dawno go nie widziałam. Ale rozmawiałam, i on po rozumie.

- Och, nie raz ci mówiłem, że ty nas nie lubisz. Natomiast lubisz Beauforta, bo on jest inny niż my. - Rozejrzył się po pustej kabinie i popatrzył na nagie brzegi i rząd ponurych wiejskich domków rozszanych wzdłuż wybrzeża. - Jesteśmy piekielnie nudni. Nie posiadamy charakteru, żadnego kolorytu. Jesteśmy zbyt jednostajni. Dziwię się - wybuchnął - dlaczego nie wracasz?

Oczy jej pociemniały i spodziewał się, że odpowie mu z oburzeniem. Lecz ona siedziała w milczeniu, jakby rozważając to, co usłyszała, a w nim rosła obawa, żeby nie powiedziała, że ona również się temu dziwi.

Wreszcie przerwała milczenie:

- Myślę, że to z powodu ciebie.

Trudno byłoby uczynić wyznanie bardziej beznamiętnie i jednocześnie nie wzbudzić ani odrobiny próżności u osoby, do które słowa te zostały skierowane. Archer splonął rumieńcem po same skronie, lecz nie ośmielił się poruszyć ani odezwać - jakby jej słowa były jakimś rzadkim okazem motyla, którego najlżejszy ruch mógłby spłoszyć, ale gdyby mu nie przeszkadzano, zebrałby wokół siebie cały rój takich samych jak on motyli.

- Bo przecież - ciągnęła - to ty nauczyłeś mnie rozumieć, że poza nudą istnieją rzeczy piękne, czułe i subtelne, wobec których to wszystko, na czym najbardziej zależało w moim poprzednim życiu, ma znikomą wartość. Nie wiem, jak to wyrazić - ściągnęła z zatroskaniem brwi - ale wydaje mi się, że nigdy przedtem nie rozumiałam, jak bardzo ciężko, podle i nikczemnie mogą być opłacane najwyszukańcze przyjemności.

Wyszukane przyjemności... ależ to jest coś, co się musi mieć! - chciał wykrzyknąć, ale błagalny wyraz jej oczu kazał mu milczeć.

- Chcę - ciągnęła dalej - być absolutnie uczciwa wobec ciebie... i siebie. Przez długi czas miałam nadzieję, że taka możliwość nadejdzie... że będę mogła powiedzieć ci,

jak mi pomogłeś, co ze mnie zrobiłeś...

Archer siedział patrząc na nią spod zmarszczonych brwi. Przerwał jej ze śmiechem.

- A jak uzasadnisz to, co zrobiłaś ze mnie?

Lekko pobladła.

- Z ciebie?

- Tak. Ponieważ ja jestem bardziej twoim wytworem, niż ty kiedykolwiek byłaś moim. Jestem człowiekiem, który poślubił drugą kobietę, ponieważ ta inna kazała mu to zrobić! Na jej bladej twarzy pojawił się przelotny rumieniec.

- Myślałam... obiecałeś... że nie będziesz mówił dzisiaj o tych sprawach - Och, jakie to typowo kobiece! Żadna z was nie jest zdolna nigdy przewidzieć kiepskiego interesu.

Zniżyła głos.

- Czy to kiepski interes... dla May?

Stał w oknie, bębniąc palcami po ramie okiennej i wyczuwając każdym nerwem swego ciała rzewną czułość, z jaką wypowiedziała imię swej kuzynki.

- Ponieważ zawsze mieliśmy to na myśli, jak sam zresztą twierdziłeś... - nalegała.

- Ja twierdziłem? - powtórzył wpatrując się w marze pustym wzrokiem. - Czyż nie lepiej - snuła swą myśl z jakąś bolesną skwapliwością - dać za wygraną i porzucić tę sprawę, tak by inni mogli uniknąć rozczarowań... nieszczęść... aby wszystko, po co wróciłam, wszystko, dzięki czemu moje dawne życie przez kontrast wydało się tak puste i ubogie, dlatego że nikt tam właśnie nie brał takich spraw pod uwagę... nie stało się tylko jakąś fikcją lub snem...

Odwrócił się ku niej nie poruszywszy ze swego miejsca.

- I uznałaś, że nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego miałabyś wrócić - zakończył za nią.

Wpatrywała się w niego z rozpaczą.

- Doprawdy, nie ma żadnego powodu?

- Nie, skoro postawiłaś wszystko na korzyść mojego małżeństwa. Moje

małżeństwo - powiedział okrutnie - to nie widok, który by ciebie tu zatrzymywał. - Nic na to nie powiedziała, a on mówił dalej: - Po cóż to wszystko? Ty pierwsza odsłoniłaś mi rąbek prawdziwego życia i w tym samym momencie kazałaś mi żyć pozorami. To nie do zniesienia... tyle ci tylko powiem.

- Och, nie mów tak! Przecież ja to też znoszę! - wybuchnęła, a oczy jej zaszyły łzami.

Ręce jej opadły na stół, siedziała wpatrując się z oddaniem w jego twarz, jak gdyby niepomna na wszelkie niebezpieczeństwo. Twarz jej wyrażała całą jej istotę, całą jej duszę... Archer stał jak oniemiały, przygnieciony tym, co nagle w niej wyczytał.

- Ty także... och, przez cały ten czas... ty także?

Na rzesach jej zawisły łzy i spłynęły wolno na policzkach.

Dzieliła ich nadal cała szerokość kabiny, lecz żadne z nich nie zrobiło najmniejszego ruchu. Archer zdawał sobie sprawę z jakiejś dziwnej obojętności na jej fizyczną obecność; może nawet nie bardzo by sobie uświadamiał tę obecność, gdyby nie uniosła ze stołu ręki, która przyciągnęła jego wzrok, tak jak wówczas w domku na ulicy Dwudziestej Trzeciej, kiedy uparcie się w nią wpatrywał, żeby nie patrzeć na twarz.

Teraz jego wyobraźnia obracała się nieustannie wokół jej ręki; lecz w dalszym ciągu nie mógł się zdobyć na to, by się do niej zbliżyć. Znał miłość, która jest wykarmiona pieścizotami i ciągle sama je karmi. Lecz to uczucie, które było mu bliższe niż własna krew i ciało, nie miało być nigdy pełnym zadośćuczynieniem. Opanowało go przerażenie, by nie uczynić nic takiego, co by zatarło dźwięk i wrażenie jej słów, i myślał tylko o jednym, że już nigdy nie będzie się czuł samotny.

Lecz po chwili ogarnęło go jakieś poczucie straty i opuszczenia. Oto byli tu, tak blisko siebie, bezpieczni i zamknięci razem. A jednocześnie związani każde ze swoim przeznaczeniem - równie dobrze mógłby ich dzielić cały świat.

- I cóż z tego... kiedy zamierzasz wracać? - wybuchnął, a w tych słowach zawierał się też wielki, beznadziejny krzyk: „Jak, na Boga, mógłbym cię zatrzymać?!”

Siedziała nieruchomo, spuściwszy oczy.

- Och, jeszcze nie mogę!

- Jeszcze nie? To znaczy, że kiedyś wrócisz? I to kiedyś już przewidziałaś?

Teraz uniosła swoje jasne spojrzenie.

- Obiecuję ci, że zostanę tak długo, dopóki ty to wytrzymasz. Tak długo, dopóki będziemy mogli patrzeć wprost na siebie tak jak w tej chwili.

Opadł na krzesło. Jej odpowiedź w rzeczywistości była jednoznaczna.

„Jeżeli kiwniesz palcem, odepchniesz mnie. Zepchniesz mnie w całą tę ohydę, którą znasz, i tę pokusę, której tylko w połowie się domyślasz”. Rozumiał jej myśli, jakby wypowiedziała je głośno, i ta świadomość niemal łańcuchem przykuwała go do stołu ze wzruszającym i niemal religijnym oddaniem.

- Cóż to za życie dla ciebie! - jęknął.

- Och, dopóki jest częścią twojego...

- A moje częścią twojego?

Skinęła głową.

- I to ma być wszystko?... dla każdego z nas?

- No cóż, a czy nie jest to wszystko?

Poderwał się z miejsca, niepomny na nic, widząc tylko słodycz jej twarzy.

Ona również się podniosła, nie żeby pójść mu na spotkanie czy też uciekać od niego, ale spokojnie, jak gdyby najgorsze już się dokonało i pozostało jej tylko czekać. Tak spokojnie, że kiedy się zbliżył, wyciągnęła ręce, nie żeby go odepchnąć, ale raczej poprowadzić. Spoczęły w jego dłoniach, podczas gdy łagodnie wyciągnięte ramiona trzymały go na tyle daleko, by jej pełna oddania twarz mogła wyrazić resztę.

Może stali tak przez długi czas, a może tylko kilka chwil. Ale jej wystarczyła ta cisza, by przekazać mu wszystko, co miała do przekazania, a jemu, by poczuł, że tylko jedna rzecz ma znaczenie. Nie wolno mu nic uczynić, aby to było ich ostatnie spotkanie. Musi złożyć troskę o ich przyszłość w jej ręce, prosząc tylko, by jak najszybciej coś z nią zrobiła.

- Nie bądź... nie bądź nieszczęśliwy - powiedziała załamującym się głosem, wysuwając ręce z jego dłoni.

A on odparł:

- Nie chcesz wracać?... Czy nie chcesz wracać? - jak gdyby nie mógł znieść tej możliwości.

- Nie chcę. - Odwróciwszy się otworzyła drzwi i wyszła do sali jadalnej.

Hałaśliwi nauczyciele zbierali swe rzeczy, szykując się bezładnie do wyjścia na przystań. Na brzegu przy molo stał biały parowiec. A ponad zalanymi słońcem wodami majaczył na horyzoncie Boston, skryty w oparach mgły.

XXV

Jeszcze raz na statku, i to wobec tylu innych ludzi. Archer czuł dziwny spokój, który w równym stopniu go zadziwiał, jak i dodawał ducha.

Dzień, prawdę powiedziawszy, był raczej absurdalnie nieudany. Zdołał zaledwie dotknąć ustami dłoni Madame Olenskiej i wyciągnąć słowo obietnicy, że będzie mu nadal przychylna. W każdym razie, jak na człowieka cierpiącego z powodu niezaspokojonej miłości i rozdzielonego z obiektem tej miłości na czas nieokreślony, czuł się niemal upokarzająco spokojny i zadowolony. To ona utrzymała tę cudowną równowagę między ich lojalnością i ich szacunkiem do siebie, które to tak poruszyły go, a jednocześnie podziały kojąco.

Równowaga ta nie była zbyt zręcznie obmyślona, jak na to wskazywały jej łzy i wahania, lecz wynikała z jej naturalnej, niezafalszowanej szczerości.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, napełniało to to pełną czułości i nabożną czcią i dziękował Opatrzności, że żadna osobista próżność ani chęć odgrywania komedii wobec wyrafinowanych widzów nie skusiły go, by ją też kusił. Nawet po tym, jak uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie na dworcu Fall River, a on odwróciwszy się odszedł, pozostało w nim przeświadczenie, że ocalił z ich spotkania o wiele więcej, niż poświęcił.

Udał się na powrót do klubu. Wszedł i usiadł samotnie w wyludnionej bibliotece, i rozpamiętywał wciąż od nowa każdą sekundę tych godzin spędzonych razem. Było dla niego jasne i stawało się coraz bardziej oczywiste przy szczegółowym rozpamiętywaniu, że gdyby w końcu zdecydowała się powrócić do Europy... powrócić do męża... to nie dlatego, że kusilo ją dawne życie, nawet na nowych warunkach, jakie jej proponowano. Nie, ona wyjechałaby tylko wtedy, gdyby czuła, że stanowi dla Archera pokusę, pokusę, żeby zbuntować się przeciwko temu wzorcowi, jaki sami ustanowili.

Zdecydowała się pozostać blisko niego tak długo, póki nie poprosi jej, by podeszła bliżej; a to będzie zależało od niego, by trzymać ją w odpowiedniej odległości, bezpiecznej, lecz w odosobnieniu.

W pociągu nie opuszczały Archera te myśli. Spowiły go niczym złotą mgiełką, poprzez którą twarze wokół niego wyglądały jakies odległe i niewyraźne. Miał uczucie, że

gdyby odezwał się do swoich współtowarzyszy podróży, nie zrozumieliby, co mówi. Z tego stanu oderwania, w jakim się znalazł, obudziła go rzeczywistość dusznego wrześniego poranka w Nowym Jorku. Wymęczone upałem twarze z długiego pociągu przesuwały się obok niego, a on wciąż na nie patrzył poprzez tę samą złotą przesłonę. Lecz raptem, gdy opuszczał dworzec, jedna z tych twarzy jak gdyby oderwała się, zbliżyła i wdarła do jego świadomości. Była to twarz, jak sobie nagle uświadomił, młodego człowieka, którego widział dzień przedtem wychodzącego z „Parker House”, kiedy to stwierdził, że nie jest to twarz typowa dla ludzi z amerykańskiego hotelu.

To samo spostrzeżenie uderzyło go i tym razem. I ponownie zaczął sobie zdawać sprawę z niejasnego podniecenia poprzednimi skojarzeniami. Młody człowiek rozglądał się z oszołomieniem cudzoziemca, który jest zdany na łaskę amerykańskiej ulicy. Po czym zwracając się w stronę Archera uchylił kapelusza i powiedział po angielsku:

- Myśmy się już z pewnością, Monsieur, spotkali w Londynie...

- Och tak, oczywiście, w Londynie! - Archer ujął jego dłoń z zaciekawieniem i współczuciem. - A więc jednak zjawił się pan tutaj, mimo wszystko? - wykrzyknął, rzucając badawcze spojrzenie na inteligentną i wymęczoną, niemal chłopięcą twarz francuskiego guwernera młodego Carfry'ego.

- Tak, zjawiłem się... oczywiście. - Monsieur Riviere uśmiechnął się, wykrzywając usta. - Ale nie na długo. Wracam pojutrze. - Był w eleganckich rękawiczkach, w jednym ręku trzymał lekką walizkę i wpatrywał się w twarz Archera z niepokojem, niemal wzruszająco zażenowany.

- Zastanawiam się, Monsieur, że skoro już miałem szczęście pana spotkać, to czy mógłbym...

- Właśnie zamierzałem panu zaproponować. Chodźmy na śniadanie, dobrze?

Myślę, że pojedziemy do miasta. Pozwoli pan, że wpadnę najpierw do biura, a potem zapraszam pana do pobliskiej, bardzo przyzwoitej restauracji.

Riviere był najwidoczniej wzruszony i zaskoczony propozycją.

- Jest pan zbyt uprzejmy. Ale ja chciałem pana tylko spytać, czy mógłby mi pan objaśnić, jak tu dostać jakiś środek lokomocji. Nie ma bagażowych i nikt zdaje się nie

słuchać...

- Wiem. Nasze amerykańskie dworce muszą pana zdumiewać. Kiedy pan pyta o bagażowego, dają panu, gumę do żucia. Ale jak pójdziemy razem, wybawię pana z kłopotu. I naprawdę musi pan zjeść ze mną lunch.

Młody człowiek, po widocznym wahaniu, nie szczędząc podziękowań, odpowiedział tonem dosyć nieprzekonującym, że już został przez kogoś zaproszony. A kiedy wyszli na względnie spokojną ulicę, spytał, czy mógłby przyjść po południu.

Archer, pewny, że w środku lata będzie w biurze swobodnie, wyznaczył godzinę i skreślił swój adres, który Francuz schował do kieszeni wśród nieustannych podziękowań i zamasztyego wywijania kapeluszem. Wsiadł do powozu, a Archer oddalił się wolnym krokiem. Monsieur Riviere zjawił się punktualnie o oznaczonej godzinie, ogolony, wyświeżony, lecz w dalszym, ciągu zażenowany i poważny. Archer był sam w biurze i młody człowiek, nim zajął miejsce, które mu wskazano, powiedział gwałtownie:

- Widziałem chyba pana wczoraj w Bostonie.

Stwierdzenie to było właściwie bez znaczenia i Archer miał już przytaknąć, lecz słowa zamarły mu na: ustach, gdy w uporczywym spojrzeniu swego gościa ujrzał jakiś tajemniczy, choć promienny wyraz.

- To niezwykle, bardzo niezwykle - ciągnął Monsieur Riviere - że akurat musieliśmy się spotkać w takich okolicznościach, w jakich ja się znalazłem.

- Jakich okolicznościach? - spytał Archer zastanawiając się bezceremonialnie czy jego gość nie potrzebuje czasem pieniędzy.

Gość nie przestawał wpatrywać się w niego badawczym wzrokiem.

- Przyjechałem nie w poszukiwaniu pracy, jak mówiłem, kiedyśmy się ostatnio widzieli, ale w specjalnej misji...

- Ach! - wykrzyknął Archer. I w mgnieniu oka te dwa spotkania skojarzyły się w jego umyśle. Milczał by móc pozbierać się jakoś w tej nowo wyłonionej sytuacji, a Monsieur Riviere również się nie odzywał, jakby świadom tego, że wystarczająco dużo już powiedział.

- W specjalnej misji - wykrztusił wreszcie Archer.

Młody Francuz rozłożywszy ręce uniósł je z lekka i obaj mężczyźni patrzyli w dalszym ciągu na siebie poprzez biurko. Wreszcie Archer przemógł się i powiedział:

- Proszę siadać - na co gość skłonił się, usiadł na fotelu stojącym w pewnej odległości i znów czekał.

- To w sprawie tej misji chciał się pan ze mną skonsultować? - Archer w końcu spytał.

Monsieur Riviere skinął głową.

- Nie w swoim własnym imieniu. Pod tym względem ja... moje zamiary są uczciwe. Pragnąłbym... jeśli mogę... porozmawiać z panem na temat hrabiny Olenskiej.

Przez ostatnie kilka minut Archer wiedział, że padną te słowa. Lecz gdy je wreszcie usłyszał, krew napłynęła mu do twarzy, jak gdyby został schwyty w potrzask.

- A w czyim imieniu - spytał - życzy sobie pan występować?

Francuz dzielnie przyjął pytanie.

- No cóż... Mogę powiedzieć, że w jej, jeśli to nie brzmi zbyt poufale.

Może zamiast tego powiem... że w imieniu abstrakcyjnej sprawiedliwości?

Archer potraktował go ironicznie.

- Innymi słowy, jest pan wysłannikiem hrabiego Olenskiego?

Spostrzegł, jak mocny rumieniec wypływa na bladożółtą twarz jego rozmówcy.

- Nie wobec pana, Monsieur. Jeżeli przyszedłem do pana, to na zupełnie innych zasadach.

- W takim razie, jakież ma pan prawo występować na tych innych zasadach?

- Archer zareplikował. - Skoro już jest pan wysłannikiem, to pozostaje nim nadal.

Młody człowiek zastanowił się.

- Moja misja jest zakończona. Wobec stanowiska hrabiny Olenskiej spelzła na niczym.

- Nic na to nie poradzę - odparł Archer z tą samą nutą ironii.

- Oczywiście. Jednakże może pan poradzić... - Riviere przerwał, obrócił kapelusz w dłoniach, wciąż w schludnych rękawiczkach, przyjrzał się podszewce, a potem znów skierował wzrok ku twarzy Archera. - Jestem przekonany, Monsieur, że może pan pomóc

jako członek jej rodziny.

Archer odsunął gwałtownie fotel i wstał.

- Ależ na Boga, mógłbym! - wykrzyknął. Stał z rękoma w kieszeniach, patrząc z góry gniewnie na małego Francuza, którego twarz, chociaż też podniósł się ze swego miejsca, znajdowała się wciąż o cal czy dwa poniżej linii oczu Archera.

Monsieur Riviere poblądł, już chyba nie mógłby być bledszy.

- Co, do diabła - ciągnął gwałtownie jego gospodarz - pan sobie myśli... skoro zwraca się pan do mnie powołując się na moje powinowactwo z Madame Olenską... że ja zajmę inny punkt widzenia niż reszta jej rodziny?

Zmiana wyrazu twarzy młodego człowieka przez czas pewien była jedyną odpowiedzią.

Nieśmiałość zmieniła się w przeraźliwą udrękę. Jak na młodego mężczyznę, nie tracącego nigdy kontenansu, wyglądał wprost nieprawdopodobnie bezbronny i kompletnie wytrącony z równowagi.

- Och, Monsieur...

- Nie mogę pojąć - mówił dalej Archer - czemu akurat do mnie pan przyszedł, skoro hrabina ma o wiele bliższych krewnych, a poza tym, na jakiej podstawie pan sądził, że ja będę bardziej przystępny wobec argumentów, z jakimi przypuszczalnie przysłano tu pana.

Monsieur Riviere przyjął ten gwałtowny atak z żenującą pokorą.

- Argumenty, jakie chciałbym panu przedstawić Monsieur, to moje własne argumenty, a nie te, z jakimi mnie tu przysłano.

- Wobec tego w dalszym ciągu nie widzę najmniejszego powodu, żebym miał ich wysłuchiwać.

Francuz znów zajrzał do kapelusza, jak gdyby zastanawiał się, czy te ostatnie słowa nie stanowią wystarczającej wskazówki, by nałożyć go na głowę i wyjść. Raptem przemówił, powziąwszy nagłą decyzję:

- Monsieur, czy zechce mi pan powiedzieć jedną rzecz? Podaje pan w wątpliwość to, czy mam prawo być tutaj? A może pan uważa, że należy tę sprawę uznać już za

zamknięta?

Jego spokojne naleganie sprawiło, że Archer poczuł się zakłopotany własnym wybuchem. Gościowi udało się narzucić mu swoją obecność. Archer, poczerwieniawszy z lekka, opadł z powrotem na fotel i dał znak młodemu człowiekowi, by poszedł za jego przykładem.

- Przepraszam pana, ale dlaczego sprawa nie jest zamknięta?

Riviere spojrzał znów na Archera z udręką.

- To znaczy, że pan zgadza się z resztą rodziny, że wobec nowych propozycji, jakie przywiozłem, jest absolutnie niemożliwe, aby Madame Olenska powróciła do swego męża?

- Boże drogi! - wykrzyknął Archer, a jego gość cichym mruknięciem przytaknął tym słowom.

- Nim się z nią zobaczyłem... na żądanie hrabiego Olenskiego... widziałem się przedtem z panem Lovellem Mingott, z którym odbyłem kilka rozmów przed wyjazdem do Bostonu. Rozumiem, że on reprezentuje punkt widzenia swojej matki. I że pani Mansonowa Mingott ma ogromny wpływ na rodzinę.

Archer siedział pogrążony w milczeniu mając uczucie, że czepia się kurczowo osuwającej się krawędzi przepaści. Odkrycie, że wyłączono go z uczestnictwa w tych negocjacjach, i wiadomość, że w ogóle się toczą, tak go zaskoczyły, że przytłumiły wszystkie dotychczasowe odczucia. Błyskawicznie uświadomił sobie, że skoro rodzina przestała się z nim konsultować, to zapewne dlatego, że jakiś plemienny instynkt ostrzegł ich, że nie stoi już po ich stronie. I zaczynając to pojmować, przypomniał sobie uwagę, jaką wypowiedziała May, gdy wracali od pani Mansonowej w dniu przyjęcia u Beaufortów: „Mimo wszystko Ellen może byłaby szczęśliwsza z mężem”.

Nawet w nawale tych nowych odkryć Archer pamiętał swoje oburzenie, jakim na to zareagował, oraz fakt, że od tamtej pory jego żona nigdy nie wymówiła przy nim imienia Madame Olenskiej. Jej beztroska aluzja była bez wątpienia tą przysłowiową słówką, by się przekonać, z której strony wiatr wieje.

Wyniki zostały przekazane rodzinie, po czym omijano Archera taktownie w ich

wspólnych naradach. Podziwiał plemienną dyscyplinę, która skłoniła May do powzięcia takiej decyzji. Wiedział, że nie zrobiłaby tego, gdyby nie było to zgodne z jej sumieniem. Lecz najprawdopodobniej podzielała rodzinny punkt widzenia, że Madame Olenska byłaby w lepszym położeniu jako nieszczęśliwa żona niż rozwódka i że nie ma sensu omawiać tej sprawy z Newlandem, który w kłopotliwy sposób przestał nagle uznawać najbardziej oczywiste sprawy za rzecz naturalną.

Archer podniósł wzrok i napotkał zaniepokojone spojrzenie swego gościa.

- Pan pewnie nie wie, Monsieur... a niewykluczone, że tak jest... iż rodzina zaczyna wątpić, czy ma prawo radzić hrabinie, by nie przyjęła ostatnich propozycji swojego męża.

- Propozycji, które pan przywiózł?

- Tak.

Na usta Archera cisnął się okrzyk, że cokolwiek wie, czy nie wie, nie obchodzi to pana Riviere'a. Lecz coś w pełnym pokory, a jednocześnie nie pozbawionym odważnej nieustępliwości wzroku młodego człowieka powstrzymało go od wypowiedzenia tego wniosku. Zadał mu następane pytanie:

- W jakim celu chce pan o tym ze mną mówić?

Nie musiał czekać ani chwili na odpowiedź.

- By błagać pana, Monsieur... by błagać pana ze wszystkich swoich sił... żeby nie pozwolił jej pan wrócić. Och, proszę jej nie pozwolić! - wykrzyknął.

Archer spoglądał na niego z wzrastającym zdumieniem. Nie było żadnej pomyłki co do szczerości jego cierpienia czy siły jego stanowczej wypowiedzi. Najwyraźniej postanowił wszystko postawić na jedną kartę i tylko najwyższe racje kazały mu wystąpić publicznie. Archer zastanowił się.

- Mogę spytać - powiedział w końcu - czy taka jest linia postępowania, jaką pan obrał wobec hrabiny Olenskiej?

Młody człowiek zaczerwienił się, lecz nie spuścił wzroku.

- Nie, Monsieur. Przyjąłem moją misję w dobrej wierze. Rzeczywiście wierzyłem... z powodów, którymi nie widzę potrzeby pana niepokoić... że byłoby lepiej, gdyby

Madame Olenska poznała swój stan majątkowy oraz społeczne znaczenie, jakie zapewnia jej pozycja męża.

- A więc, jak sędzę, w innym przypadku nie mógłby pan przyjąć takiej misji.

- Nie powinienem jej przyjmować.

- W takim razie cóż... - Archer przerwał ponownie i ich oczy znów badały się nawzajem.

- Och, Monsieur, po tym, jak ją zobaczyłem, jak jej wysłuchałem, wiem, że lepiej jej tutaj.

- Pan wie?

- Monsieur, wykonałem swoją misję wiernie. Przedłożyłem argumenty hrabiego, przekazałem jego propozycje bez żadnego komentarza ze swojej strony. Hrabina była tak dobra, że wysłuchała mnie cierpliwie. Posunęła swą dobroć do tego stopnia, że widziała się ze mną dwukrotnie. Rozważyła bezstronnie wszystko, co jej powiedziałem. I po tych dwóch rozmowach zmieniłem zdanie i zobaczyłem te sprawy w całkiem innym świetle.

- Mogę zapytać, co było powodem tej zmiany?

- Po prostu w niej dostrzegłem zmianę - odparł Monsieur Riviere.

- Zmianę w niej? A więc znał ją pan przedtem? Młody człowiek znów się zaczerwienił.

- Widywałem ją w domu jej męża. Znam hrabiego od wielu lat. Nie wyobraża pan chyba sobie, że wysłałby obcego w takiej misji...

Wzrok Archera, błądzący po pustych ścianach biura, spoczął na kalendarzu z portretem prezydenta Stanów Zjednoczonych o stanowczych rysach twarzy.

To, że podobna rozmowa będzie się odbywać gdziekolwiek i kiedykolwiek na taki właśnie temat, zdawało się przechodzić najśmielsze wyobrażenie Archera. - Zmianę?... Jakiego rodzaju zmianę?

- Ach, Monsieur, żebym to ja potrafił panu powiedzieć! - Francuz przerwał. - Tenez odkryłem, jak przypuszczam, to, o czym dotąd nie myślałem... że ona jest Amerykanką. I że pan jest Amerykaninem jej pokroju... własnego pokroju... i że sprawy akceptowane w

innych społeczeństwach albo przynajmniej uznawane jako część powszechnie stosowanego i wygodnego „dawać i brać”... stały się nie do pomyślenia, po prostu nie do pomyślenia. Gdyby krewni Madame Olenskiej zrozumieli te sprawy, ich sprzeciw co do jej powrotu byłby bez wątpienia równie silny, jak jej własny. Jednakże uważają chyba, iż życzenie jej męża, by ją mieć z powrotem, jest dowodem jego nieprzepartej tęsknoty do domowego ogniska. - Monsieur Riviere przerwał, po czym dodał: - A tymczasem nie jest to wcale takie proste.

Archer popatrzył znów na prezydenta, a potem opuścił wzrok na biurko i rozłożone na nim papiery. Przez chwilę nie mógł się zdobyć, by coś powiedzieć. Tymczasem usłyszał, jak Riviere odsuwa fotel, i domyślił się, że młody człowiek wstaje. Gdy podniósł wzrok, spostrzegł, że jego gość jest równie wzruszony jak on sam.

- Dziękuję panu - powiedział Archer po prostu.

- Nie ma mi za co dziękować, Monsieur. To raczej ja... - urwał raptownie, jak gdyby mówienie również sprawiało mu trudność. - Chociaż chciałbym - mówił już żywszym głosem - dodać jeszcze jedno. Pytał mnie pan, czy jestem zatrudniony u hrabiego Olenskiego. W tej chwili jestem. Wróciłem do niego kilka miesięcy temu z przyczyn czysto osobistych, co może się zdarzyć każdemu, kto ma... kto ma osoby chore i starsze... na swoim utrzymaniu.

Lecz w chwili gdy przestąpiłem próg tego pokoju, by opowiedzieć o tym wszystkim panu, uznałem się za zwolnionego z obowiązku i powiem to hrabiemu po powrocie, podając przyczyny. To wszystko, Monsieur.

Gość skłonił się i cofnął o krok.

- Dziękuję - powtórzył Archer, gdy podawali sobie ręce.

XXVI

Każdego roku piętnastego października na Piątej Alei otwierano się okiennice, rozwijały dywany i zawieszały trzyczęściowe zasłony w oknach.

W pierwszych dniach listopada kończył się ten domowy rytuał i towarzystwo nowojorskie zaczynało się rozglądać wokół siebie i dokonywać oceny otoczenia. Około piętnastego sezon rozkręcał się na dobre. Opera i teatry ofiarowywały swój nowy atrakcyjny repertuar, rozsyłano zaproszenia na obiady i z góry już ustalano wieczorki tańcujące. Regularnie zawsze o tej porze pani Archer mówiła, że Nowy Jork tak szalenie się zmienił.

Obserwując to z wyniosłej pozycji człowieka stojącego na uboczu mogła z pomocą pana Jacksona i panny Sophy śledzić każdą nową rysę na jego powierzchni i wtykać wszelkie obce chwasty pomiędzy równe grządki towarzyskich warzyw. We wczesnych młodzieńczych latach Archera oczekiwanie na to doroczne oświadczenie matki i wyliczanie ciągłych oznak rozkładu, którego nie dostrzegało jego beztroskie spojrzenie, stanowiło dla niego rozrywkę. Nowy Jork, w mniemaniu pani Archer, jeżeli się zmieniał, to zmieniał się na gorsze. Panna Jackson gorąco popierała ten punkt widzenia.

Pan Sillerton Jackson, jako człowiek światowy, nie wyrażał swego sądu i stojąc na uboczu, ubawiony, przysłuchiwał się lamentom dam. Lecz nawet on nie zaprzeczał, że Nowy Jork się zmienił. A Newland w drugim roku swego małżeństwa był zmuszony przyznać, że jeśli nawet się nie zmienił, to na pewno się zmienia.

Zazwyczaj te spostrzeżenia budziły się na nowo, gdy pani Archer wydawała obiad w Dniu Dziękczynienia. Tego dnia, kiedy nakazywał jej obowiązek za nosić modły dziękczynne za błogosławieństwa doznane w ciągu roku, swoim zwyczajem oceniała ten świat pesymistycznie, choć bez goryczy, i tylko dziwiła się, za co tu być wdzięcznym. W każdym razie nie za stan społeczeństwa. Społeczeństwo, jeśli można powiedzieć, że takowe istnieje, stawało się raczej widowiskiem, które ściągało na siebie biblijne klątwy - faktycznie każdy wiedział, co wielbny doktor Ashmore miał na myśli, kiedy wybierał wyjątek ze św. Jeremiasza (część II, wiersz 25D) na kazanie w Dniu Dziękczynienia. Doktora Ashmore'a, nowego proboszcza parafii św. Mateusza, wybrano dlatego, że był

bardzo „postępowy”. Uważano, że jego kazania zawierają śmiałe myśli i że przemawia nowoczesnym językiem. Kiedy rzucał gromy na modne społeczeństwo, mówił zawsze o jego „ogólnym kierunku rozwoju”. Dla pani Archer poczucie, że jest częścią społeczności, która się rozwija, było przerażające, a jednocześnie fascynujące.

- Nie ulega wątpliwości, że doktor Ashmore ma rację. Bo rzeczywiście jest wyraźna zmiana - powiedziała, jak gdyby to było coś dostrzegalnego i namacalnego, niczym rysa na domu.

- Chociaż to dosyć dziwne, żeby głosić kazania na ten temat w Święto Dziękczynienia - wyraziła swe zdanie panna Jackson.

A jej gospodyni zareplikowała oschle:

- Och, według niego, my dziękujemy tylko za to, co minęło.

Archer miał zwyczaj się uśmiechać na te doroczne matczyne wyrzekania. Ale w tym roku nawet on był zmuszony przyznać, gdy przysłuchiwał się wyliczaniu zmian, jakie zaszły, że ten „ogólny kierunek rozwoju” jest rzeczywiście widoczny.

- Ekstrawagancja w ubiorze... - zaczęła panna Jackson. - Brat zabrał mnie na wieczór inauguracyjny do Opery i powiadam wam, że tylko suknię Jane Merry poznałam jako zeszłoroczną. Ale ona też zmieniła wstawkę z przodu.

Wiem, że kupiła ją u Wortha zaledwie przed dwoma laty, ponieważ moja szwaczka tam chodzi, by dopasować jej paryskie stroje, nim się w nie ubierze.

- Och, Jane Merry jest jedną z nas - westchnęła pani Archer, jak gdyby nie było godne zazdrości być w wieku, kiedy kobiety zaczynają obnosić swoje paryskie suknie natychmiast po dostarczeniu z Urzędu Celnego, zamiast zamknąć je na trochę w szafie, jak za czasów pani Archer.

- Tak, jest jedną z wielu. Za moich młodych lat - zaczęła panna Jackson - uważano, że to wulgarne ubierać się nowomodnie. Natomiast Amy Sillerton zawsze mi mówiła, że w Bostonie panuje zwyczaj pozbywania się jednej sukni paryskiej co dwa lata. Stara pani Pennilow, która zawsze miała gest, sprowadzała sobie dwanaście sukien rocznie - dwie aksamitne, dwie atłasowe, dwie jedwabne, a pozostałe sześć z popeliny i najprzedniejszego kaszmiru.

Taki był ustalony porządek i kiedy przed śmiercią dwa lata ciężko chorowała, znaleziono u niej czterdzieści osiem sukien od Wortha, które jeszcze nie zostały odwinęte z cieniutkiej bibułki. A kiedy dziewczęta skończyły żałobę, mogły po raz pierwszy ubrać się w nie na koncert symfoniczny i wcale nie musiały się oglądać na modę.

- No cóż, Boston jest bardziej konserwatywny niż Nowy Jork. A ja zawsze jestem zdania, że dla damy bezpieczną regułą powinno być odłożenie swojej francuskiej sukni na jeden sezon - przyznała pani Archer.

- To Beaufort zapoczątkował tę nową modę. Zaraz, jak tylko tu przyjechali, wsadził na swoją żonę wszystkie te nowe stroje. Muszę powiedzieć, że czasem Regina traci całą swą dystynkcję i wygląda, jak... jak Panna Jackson rozejrzała się wokół stołu i napotkawszy wpatrzone w siebie oczy Janey, zakończyła jakimś niezrozumiałym pomrukiem.

- Jak jej rywalki - powiedział pan Sillerton z miną człowieka, który stworzył epigram.

- Och - westchnęły damy. A pani Archer dodała by odciągnąć uwagę córki od zakazanych tematów:

- Biedna Regina! Jej Święto Dziękczynienia obawiam się, nie należało do najradośniejszych. Czy wie pan, Sillertonie, jakie słuchy chodzą na temat spekulacji Beauforta?

Pan Jackson niedbale kiwnął głową. Każdy słyszał te pogłoski, a on pogardliwie potwierdził tylko opowieść, która stała się już tajemnicą poliszynela.

Wśród zebranych zaległa ponura cisza. W rzeczywistości nikt nie lubił Beauforta i wyobrażanie sobie wszystkiego co najgorsze, o jego prywatnym życiu nie sprawiało nikomu przykrości. Ale myśl o sprowadzeniu przez niego finansowej hańby na rodzinę żony była zanadto szokująca, by ucieszyć nawet jego nieprzyjaciół. Nowy Jork Archera tolerował hipokryzję w stosunkach prywatnych. Jednakże w interesach wymagano kryształowej i nienagannej uczciwości. Dawno już się nie zdarzyło, żeby jakiś znany bankier popadł w niesławę. Ale każdy pamięta, że właściciele pewnej firmy zostali

wykluczeni z towarzystwa, kiedy zdarzył się ostatni tego rodzaju przypadek. Mogłoby się tak samo stać z Beaufortami, mimo jego potęgi i całej popularności.

Nawet wszystkie zjednoczone siły krewnych z Dallas nie mogłyby ocalić biednej Reginy, gdyby była jakaś iskierka prawdy w owych relacjach na temat bezprawnych spekulacji jej męża.

Rozmowa przeszła na mniej złowieszcze tematy. Lecz każdy temat, jaki poruszyli, zdawał się tylko umacniać w pani Archer jej poczucie zachodzących przemian.

- Newlandzie, jestem pewna, że oczywiście pozwolisz bywać May na niedzielnych wieczorkach u pani Struthers... - zaczęła.

A May odpowiedziała wesoło:

- Och, wiesz, że teraz każdy bywa u pani Struthers... Była zaproszona na ostatnie przyjęcie do babci.

W ten sposób - rozmyślał Archer - Nowy Jork zdobył się na swoje przemiany. Najpierw sprzysięgając się w ignorowaniu ich, gdy tylko się pojawiły, a potem jego mieszkańcy, pełni jak najlepszej wiary, wyobrażali sobie, że biorą udział w postępie wieku. Jednakże w forticy znajdzie się zawsze jakiś zdrajca. A potem, kiedy już on (a przeważnie ona) odda klucze, jakież jest sens udawać, że były nie do zdobycia? Jak już raz ludzie zasmakowali w niedzielnej spokojnej gościnności pani Struthers, nie będą siedzieli w domu rozpamiętując, że jej szampan został przemieniony z pasty do butów.

- Wiem, moja droga, wiem - westchnęła pani Archer. - Przypuszczam, iż takie rzeczy muszą istnieć, skoro ludziom potrzebna jest rozrywka. Ale nie mogę wybaczyć twojej kuzynce, Madame Olenskiej, tego, że była pierwszą osobą popierającą panią Struthers.

Na twarz młodej pani Archer wypłynął nagły rumieniec. Zdziwiło to bardzo zarówno jej męża, jak i pozostałych gości zgromadzonych przy stole.

- Och, Ellen mruknęła takim samym oskarżycielskim i potępiającym tonem, jakim jej rodzice mogli byli powiedzieć: „Och, ci Blenkerowie”... Ilekroć rodzina wymawia imię hrabiny Olenskiej, zawsze w ich tonie dźwięczy taka nutka, od czasu gdy zadziwiła ich i zaniepokoiła swoją nieugiętością wobec męża. Jednakowoż to samo w ustach May

dawało dużo do myślenia i Archer spojrział na żonę w poczuciu jakiejś obcości, która od czasu do czasu go nawiedzała, kiedy z tonu głosu tak bardzo przypominała swoje otoczenie.

Jego matka, mniej niż zwykle wyczuwająca panującą atmosferę, w dalszym ciągu utyskiwała:

- Zawsze myślałam, że tacy ludzie jak hrabina Olenska, która obracała się w arystokratycznych kręgach, powinni pomagać nam w utrzymaniu naszej społecznej odrębności, a nie ignorować ją. May nadal miała żywe rumieńce.

Wydawały się znamionować coś więcej niż tylko to, że Madame Olenska okazała się tak niewierna wobec towarzystwa.

- Nie mam wątpliwości, iż cudzoziemcom wydajemy się wszyscy tacy sami - powiedziała cierpko panna Jackson.

- Nie sądzę, by Ellen zależało na towarzystwie. Ale właściwie to nikt nie wie, na czym jej zależy ciągnęła May, jak gdyby ostrożnie badała nieznany teren.

- No cóż - pani Archer ponownie westchnęła. Każdy wiedział, że hrabina Olenska straciła łaski u rodziny. Nawet jej wielka zwolenniczka, stara pani Mansonowa Mingott, nie potrafiła obronić podjętej przez Ellen decyzji, że jednak nie powróci do męża. Mingottowie nie wyrażali głośno swojego potępienia - mieli zbyt silne poczucie solidarności. Jak wyraziła się pani Welland, pozwolili po prostu „odzyskać biednej Ellen równowagę” i to - jakież upokarzające i niepojęte! - na mrocznych ścieżkach, na których panowali Blenkerowie, a „ludzie pióra” celebrowali swoje niezgłębione obrządki. Niewiarygodne, ale jednak prawdziwe, że Ellen pomimo całej swojej skłonności do wygody i wszystkich przywilejów przystała po prostu do Bohemy. Fakt ten wywołał spory; twierdzono, że popełniła fatalną pomyłkę nie wracając do hrabiego. Mimo wszystko miejsce młodej kobiety jest pod dachem domu męża, zwłaszcza że opuściła go w okolicznościach, które... no cóż... gdyby się chciało wnikać w szczegóły...

- Madame Olenska cieszy się wielką życzliwością wśród dżentelmenów - powiedziała panna Jackson takim tonem, jakby chciała zaproponować coś pojednawczego, chociaż wiedziała, że zapuszcza żądło.

- Och, właśnie na tym polega niebezpieczeństwo, że taka młoda kobieta jak Madame Olenska jest na to zawsze narażona - przyznała posępnie pani Archer.

Po tym stwierdzeniu damy uniosły ogony sukien i udały się do salonu w poszukiwaniu kloszy do lamp, podczas gdy Archer z panem Jacksonem wymknęli się do gotyckiej biblioteki. Usadowiony przed kratką kominka i pocieszając się po nieudanym obiedzie doskonałym smakiem cygara, pan Jackson stał się rozmowny i wpadł w nastrój wróżbiarski.

- Gdy nastąpi bankructwo Beauforta - oznajmił - będzie to rewelacja.

Archer gwałtownie uniósł głowę. Nie potrafił nigdy słuchać tego nazwiska, żeby nie widzieć od razu ciężkiej postaci Beauforta bogato przybranego w futra i kroczącego poprzez śnieg w Skuytercliff.

- Może to być związane - ciągnął pan Jackson - z najpaskudniejszym rodzajem bankructwa. Przecież nie wydał wszystkich pieniędzy na Reginę!

- Och, chyba nie należy temu dawać wiary? Sądzę, że on jednak wyjdzie z tego - powiedział młody człowiek, chcąc zmienić temat rozmowy.

- Możliwe... możliwe... Wiem, że widział się dzisiaj z pewnymi wpływowymi osobami. Oczywiście pan Jackson przyznał z niechęcią - należy mieć na dzieję, że zdołają jakoś się z tym uporać... przynajmniej tym razem.

Wolałbym nie myśleć o tym, jak biedna Regina spędza resztę swego życia w jakimś obskurnym, obcym kąpielisku dla bankrutów.

Archer nic nie powiedział. Wydało mu się to tak naturalne - aczkolwiek tragiczne - że za pieniądze nieuczciwie zdobyte należy okrutnie odpokutować, iż myśli jego, ciągle jeszcze błądzące wokół losu pani Beaufort, powróciły znów do bliższych spraw. Jakie mógł mieć znaczenie rumieniec May, gdy wspomniano hrabinę Olenską?

Minęły cztery miesiące od owego letniego dnia, który spędził razem z Madame Olenską. I od tego czasu jej nie widział. Wiedział tylko, że wróciła do Waszyngtonu do domku, który wynajęła tam wspólnie z Medorą. Napisał do niej kiedyś zaledwie kilka słów pytając, kiedy by mogli znów się spotkać - a ona odpowiedziała mu bardziej lakonicznie: „Jeszcze nie”.

Odtąd już się nie komunikowali, a on wystawił sobie coś w rodzaju sanktuarium, w którym królowała ona pośród jego sekretnych myśli i tęsknot.

Powolutku stało się jakby scena jego prawdziwego życia, jego jedynym uzasadnieniem działania. Tam dzielił się spostrzeżeniami z przeczytanych książek, tam zanosił swoje myśli i uczucia, jakie go ożywiały, swoje osądy i swoje wyobrażenia. Na zewnątrz tego, na scenie swego faktycznego życia, poruszał się z wzrastającym poczuciem nierzeczywistości i niedosytu, potykając się o znajome przesady i tradycyjne zasady, jak człowiek roztargniony, który, chodząc po własnym pokoju, potyka się o meble.

Nieobecny - oto, jaki był. Nieobecny wobec tego wszystkiego, co było jak najbardziej realne i bliskie jego otoczeniu, iż czasem aż się zdumiewał że oni wciąż tego nie dostrzegają.

Usłyszał, jak pan Jackson odchrząkuje, przygotowując się do dalszych rewelacji.

- Nie wiem, oczywiście, jak dalece rodzina twojej żony zdaje sobie sprawę, co ludzie mówią o... Madame Olenskiej, która nie przyjęła ostatniej propozycji swojego męża...

Archer milczał, a pan Jackson obłudnie ciągnął dalej:

- To szkoda... naprawdę szkoda... że odmówiła.

- Szkoda? Na litość boską, dlaczego?

Pan Jackson spojrział w dół na swoją nogę, na gładką skarpetkę łączącą się z błyszczącym lakierkiem.

- No cóż... mówiąc oględnie... za co ona ma zamiar żyć teraz?

- Teraz... ?

- Skoro Beaufort...

Archer poderwał się z miejsca, uderzając pięścią w blat biurka z czarnego dębu. Mosiężne kałamarze zadrżały na swoich podstawkach.

- Cóż, u diabła, ma pan na myśli, sir?

Pan Jackson obracając się z lekka na fotelu skierował spokojne spojrzenie na płonącą twarz młodego człowieka.

- No cóż... opieram się na najpewniejszym źródle... faktycznie na wiadomościach od samej starej Katarzyny... że rodzina znacznie zredukowała jej dochody, kiedy ostatecznie odmówiła powrotu do męża. A ponieważ wraz z tą odmową traci również pieniądze przypadające jej po zawarciu związku małżeńskiego... które to Olenski gotów jest jej przekazać, gdyby wróciła...

No cóż, mój chłopcze, o tym diable myślałeś, kiedy pytałeś mnie, co mam na myśli? - odparł pan Jackson pogodnie.

Archer skierował się w stronę kominka i pochylił nad nim, by strząsnąć popiół na kratkę.

- Nic mi nie wiadomo na temat prywatnych spraw Madame Olenskiej. Ale nie muszę niczego wiedzieć, by mieć pewność, że to, co pan insynuuje...

- Och, nic podobnego... Po pierwsze, to Lefferts... - przerwał pan Jackson.

- Lefferts... który się do niej zalecał i dostał po nosie! - wybuchnął Archer z pogardą.

- O, doprawdy? - ożywił się starszy mężczyzna, jak gdyby właśnie był to fakt, na który zastawiał pułapkę. Ciągle siedział zwrócony bokiem do kominka, tak że jego twarde starcze oczy były utkwione w twarzy Archera niby stalowe ostrza.

- No cóż, szkoda, że nie wróciła przed krachem Beauforta - powtórzył. - Jeżeli teraz wróci, a on zbankrutuje, to tylko potwierdzi powszechne mniemanie, które, mówiąc nawiasem, nie jest bynajmniej wyłącznym przywilejem Lefferts'a.

- Och, ona nie może teraz wrócić. Zwłaszcza teraz! - Ledwie Archer to wypowiedział, natychmiast zorientował się, że właśnie na to tylko pan Jackson czekał.

Stary dżentelmen popatrzył na niego uważnie.

- A więc takie jest twoje zdanie? No cóż, niewątpliwie ty wiesz najlepiej. Lecz każdy może ci powiedzieć, że te kilka centów, jakie zostawiła Medora, znajduje się w rękach Beauforta. I nie mogę sobie wyobrazić, jak te dwie kobiety potrafią utrzymać głowy nad powierzchnią wody, skoro on ma ich pieniądze. Oczywiście Madame Olenska ciągle jeszcze może zmiękczyć serce starej Katarzyny, która najbardziej nieugięcie występuje przeciw jej stanowisku. Stara Katarzyna może wyznaczyć jej jakąś rentę

według własnego uznania. Jednakże wszyscy wiemy, że nie znosi rozstawać się z żywą gotówką. A reszta rodziny nie ma w tym żadnego interesu, żeby trzymać tutaj Madame Olenską.

Archer aż gotował się od bezsilnego gniewu. Właściwie znajdował się w takim stanie, kiedy mężczyzna jest gotów zrobić największe głupstwo, i to z całą świadomością.

Spostrzegł, że w tej samej chwili do pana Jacksona dotarł fakt, iż różnice zdań między Madame Olenską, jej babką i innymi członkami rodziny nie są mu znane i że stary dżentelmen wyciągnął własne wnioski, dlatego Archer został wykluczony z rodzinnych narad. Był to sygnał ostrzegawczy dla Archera, by miał się na baczności. Lecz insynuacje dotyczące Beauforta sprawiły, że stał się nieostrożny, nie zważał na następstwa swego kroku. Na szczęście jednak wykazał jeszcze trochę rozsądku, może nie tyle ze względu na swoje własne bezpieczeństwo, ile na fakt, że pan Jackson znajdował się pod dachem jego matki, a tym samym był również jego gościem. Stary Nowy Jork przestrzegał skrupulatnie zasad gościnności i nigdy nie pozwalano sobie na jakąkolwiek dyskusję z gościem, która by przerodziła się w nieporozumienie.

- Może pójdziemy na górę i przyłączymy się do matki? - zaproponował krótko, gdy ostatni pyłek popiołu spadł do mosiężnej popielnicy, stojącej obok.

Podczas drogi powrotnej do domu May cały czas pogrążona była w dziwnym milczeniu; poprzez ciemność wyczuwał, że twarz jej okrywa złowróżbny rumieniec. Nie mógł tylko zgadnąć, co oznacza ta złowróżbność. Lecz był to sygnał dla Archera, że wywołało go wspomnienie o Madame Olenskiej.

Weszli po schodach na górę i Archer skierował się do biblioteki. May zwykle szła za nim, lecz tym razem usłyszał, że idzie korytarzem do swojej sypialni.

- May! - krzyknął z niecierpliwością.

Wróciła, a spojrzenie jej wyrażało lekkie zdziwienie z powodu tonu jego głosu.

- Ta lampa znów filuje. Niech służący sprawdzi czy są odpowiednio przycięte - mruknął nerwowo.

- Przepraszam, już się to więcej nie powtórzy - odparła lekkim, pogodnym tonem,

jakiego nauczyła się od swojej matki. Wywołało to u Archera uczucie, że zaczyna traktować go jak młodszego brata pana Wellanda. Pochyliła się, by obniżyć knot, i kiedy światło padło na jej białe ramiona i czyste rysy jej twarzy, pomyślała: Jakaż ona młoda! Przez ileż nie kończących się lat to życie będzie się tak ciągnąć!

Poczuł z pewnym przerażeniem, że jest silny i młody i krew szybko krąży w jego żyłach.

- Wiesz - powiedział nagle - będę musiał pojechać do Waszyngtonu na kilka dni. Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

Ręka jej spoczywała na regulatorze płomienia lampy, gdy odwracała się ku niemu powoli. Gorąco buchające od płomienia wywołało na powrót rumieniec na jej twarzy, lecz gdy spojrzała na męża, przybladła.

- W interesach? - spytała tonem, który wykluczył istnienie jakiegokolwiek innego oczywistego powodu, jakby zapytała odruchowo, po prostu, żeby skończyć za niego zdanie.

- Naturalnie, że w interesach. Przed Sądem Najwyższym toczy się właśnie sprawa o patent. - Wymienił nazwisko wynalazcy i mówił dalej szczegółowo z pełną swadą i wypraktykowaną wymownością jak Lawrence Lefferts, a ona pilnie słuchała, wtrącając od czasu do czasu:

- Tak, rozumiem. Zmiana dobrze ci zrobi - powiedziała szczerze, kiedy skończył mówić - i musisz koniecznie zobaczyć się z Ellen - dodała spoglądając mu prosto w oczy z tym swoim szczerym uśmiechem i przemawiając tonem, którym mogłaby się posłużyć, gdyby namawiała go, by nie zaniedbał nudnego rodzinnego obowiązku.

Było to jedyne słowo, jakie padło między nimi na ten temat. Lecz w kodzie, w którym oboje byli biegli, oznaczało to: „Chyba rozumiesz, że wiem wszystko, co ludzie mówią na temat Ellen, i z całego serca współczuję mojej rodzinie, która usiłuje ją nakłonić do powrotu do męża. Wiem również, że z jakiegoś powodu zdecydowałaś się nie mówić mi, że udzielałaś jej rad w tej sprawie, którą wszyscy starsi mężczyźni w rodzinie, jak również nasza babcia, zgodzili się popierać, i że dzięki twojej zachęcie Ellen oparła się nam wszystkim i wystawiła się na pewną krytykę, której próbkę dał ci zapewne

dzisiejszego wieczoru pan Sillerton Jackson i to cię tak zirytowało... Wszelkie aluzje niechętnie się przyjmuje. A skoro i ty wydajesz się równie niechętnie je przyjmować, proponuję ją ci od siebie w tej jedynej formie, w jakiej ludzie dobrze wychowani z naszej sfery mogą mówić sobie rzeczy nieprzyjemne. Otóż wiedz o tym, że wiadomo mi, iż zamierzasz widzieć się z Ellen, kiedy będziesz w Waszyngtonie, i najwyraźniej udajesz się tam właśnie w tym celu. A skoro już chcesz ją widzieć, życzę sobie, byś zrobił to z moją całkowitą i szczerą aprobatą i byś przy tej sposobności zaznajomił ją, jaką ma ona przyjąć metodę postępowania i co jest jeszcze możliwe do zrobienia w tej kwestii". Ręka jej w dalszym ciągu trzymała gałkę do regulacji płomienia, gdy zrozumiał ostatnie słowo jej niemego monologu. Przykręciła knot, zdjęła klosz z lampy i zdmuchnęła syczący płomień.

- Mniej kopcą, jeżeli się je zdmuchnie - wytłumaczyła z pogodą troskliwej gospodyni. Na progu odwróciła się i zatrzymała czekając, żeby ją pocałował.

XXVII

Następnego dnia Wall Street miała bardziej pewne wiadomości na temat sytuacji Beauforta. Nie były wyraźne, ale pocieszające. Ogólnie wiadomo było, że odwołał się do ludzi wpływowych w obliczu niebezpieczeństwa i że mu się to udało. Tego wieczoru, gdy pani Beaufort ukazała się w Operze z tym dawnym swoim uśmiechem i w nowym naszyjniku ze szmaragdów, towarzystwo odetchnęło z ulgą.

Nowy Jork był nieubłagany w swym potępianiu nieprawidłowości w interesach. Tak dalece, że nie robiono żadnych wyjątków w ustalonych zasadach i to do tego stopnia, że ci, którzy łamali prawo uczciwości, musieli za to zapłacić. Każdy zdawał sobie sprawę, że nawet Beaufort i jego żona powinni również bezapelacyjnie podlegać tej zasadzie. Lecz obowiązek uświadomienia im tego byłby nie tylko bolesny, ale i niewygodny. Odejście Beaufortów mogłoby pozostawić poważną pustkę w ich ścisłym kręgu. Ci, którzy byli zbyt nieświadomi czy też zbyt beztroscy, by drżeć przed moralną katastrofą, oplakiwali z góry utratę najlepszej sali balowej w Nowym Jorku.

Archer stanowczo zdecydował się pojechać do Waszyngtonu. Czekał tylko na otwarcie procesu sądowego, o którym opowiadał May, tak żeby data sprawy mogła zbiegać się z jego wyjazdem. Jednakże w najbliższy wtorek dowiedział się od pana Letterblaira, że sprawa może ulec odroczeniu na kilka tygodni.

Mimo to przyjechał do domu po południu zdecydowany za wszelką cenę wyruszyć następnego dnia wieczorem. Miał szansę, że May, która nic nie wiedziała o jego zawodowym życiu i nigdy się nim nie interesowała, nie dowie się o zwłoce, jaka zaistniała, ani też nie będzie pamiętać nazwisk osób procesujących się, jeżeliby je ktoś wspomniał. W każdym razie nie może już dłużej odkładać, musi zobaczyć się z Madame Olenską. Ma jej zbyt wiele do powiedzenia.

W środę rano, kiedy zjawił się w biurze, pan Letterblair spotkał go z zatroskaną twarzą. Mimo wszystko Beaufortowi nie udało się „wyjść z tego obroną ręką”. Lecz zażegnawszy szum, jaki wywołał, uspokoił swoich deponentów i zaczęła znów napływać do banku ciężka gotówka aż do wczoraj wieczorem, kiedy rozeszły się ponownie niepokojące wieści. W rezultacie zaczął się bieg do banku, którego drzwi

prawdopodobnie zamknięto przed końcem urzędowania. Mówiono najokropniejsze rzeczy o nikczemnym manewrze:

Beauforta, a jego niepowodzenie zapewniło mu jedno z najhaniebniejszych miejsc w historii Wall Street.

W obliczu tej klęski pan Letterblair pobladł i stał się niezdolny do działania.

- Widziałem w życiu wiele nieuczciwości, ale nie aż tak strasznych.

Każdego z naszych znajomych to dotknie w ten czy inny sposób. A co będzie z panią Beafort? Co można by dla niej zrobić? Współczuję pani Mansonowej Mingott tak jak nikt chyba. W jej wieku nigdy nie można przewidzieć, jakie ta sprawa może mieć następstwa. Zawsze wierzyła w Beauforta... Uważała go za przyjaciela! A wszyscy krewni z Dallas... biedna pani Beafort jest spowinowacona z każdym z was. Jej jedyna szansa to opuszczenie męża... ale kto jej to powie? Obowiązkiem jej jest być przy nim. Na szczęście zdawała się zawsze przymykać oczy na wszelkie jego słabostki.

Rozległo się pukanie i pan Letterblair odwrócił gwałtownie głowę.

- Co takiego? Proszę mi nie przeszkadzać.

Urzędnik przyniósł list dla Archera i wyszedł. Poznając pismo żony młody człowiek otworzył kopertę i przeczytał: „Czy nie mógłbyś jak najszybciej przyjechać do miasta? Babcia miała w nocy lekki atak. W jakiś tajemniczy sposób dowiedziała się tych strasznych historiach w banku. Wuj Lovell wyjechał na polowanie, a myśl o grożącej nam hańbie tak zdenerwowała papę, że dostał temperatury i nie może opuszczać pokoju. Mama straszliwie Cię potrzebuje i ufam, że natychmiast wyruszysz w drogę i udasz się wprost do babci”.

Archer podał list swojemu starszemu wspólnikowi i w kilka minut potem włókł się w kierunku północnym w zatłoczonym konnym omnibusie, z którego na ulicy Czternastej przesiadł się w jeden z tych oszalałymi kursujących na linii Piątej Alei. Było po drugiej, gdy ten wysłużony wehikuł wyrzucił go przed domem starej Katarzyny. Okno salonu na parterze, gdzie zwykle prezydowała, zajmowała teraz tak całkiem inna postać jej córki, pani Welland, która ujrawszy Archera, powitała go strapionym spojrzeniem. W drzwiach spotkał May. Hall przybrał ten nienaturalny wygląd, tak

charakterystyczny dla zamożnych domów, które nawiedziła nagła choroba.

Okrycia i futra leżały w stertach na fotelach, torbę lekarską i płaszcz rzucono na stół, a za tym wszystkim piętrzyły się nieważne teraz stopy listów i biletów wizytowych.

May była blada, lecz uśmiechnięta. Doktor Bencomb, który właśnie przyszedł już po raz drugi, przynosił bardziej pocieszające wieści, a nieustraszone postanowienie pani Mingott, by żyć i wyzdrowieć, zdążyło już wyrzeć odpowiednie wrażenie na jej rodzinie. May poprowadziła Archera do saloniku starej damy, gdzie rozsuwane drzwi, otwarte zwykle do jej sypialni, były zamknięte i zaciągnięto na nich ciężkie żółte adamaszkowe portiery. Tutaj pani Welland przerażonym półgłosem opowiedziała Archerowi szczegóły katastrofy. Wyglądało na to, że przedwczoraj wieczorem zdarzyło się coś strasznego i tajemniczego. Około godziny ósmej, właśnie kiedy pani Mingott skończyła stawiać pasjansa, jakiego zwykle układała po kolacji, rozległ się dzwonek i dama szczelnie zawołowana, którą służący nie od razu rozpoznał, poprosiła, by ją wpuszczono.

Lokaj, słysząc znajomy głos, otworzył na roścież drzwi salonu i zaanonsował:

- Pani Juliuszowa Beaufort... - po czym zamknął je znów za obiema damami.

Przypuszcza, że musiały tam być około godziny. Kiedy pani Mingott zadzwoniła, pani Beaufort wyśliznęła się niepostrzeżenie, a stara dama, blada, wyczerpana i przerażona, siedziała samotnie w wielkim fotelu i tylko gestem ręki nakazywała lokajowi, by pomógł jej przejść do sypialni.

Wydawała się wówczas wyraźnie strapiona, ale nie straciła władzy nad ciałem i umysłem. Pokojówka Mulatka położyła ją do łóżka, jak zwykle przyniosła jej filiżankę herbaty, poukładała wszystko porządnie w pokoju i wyszła.

Jednakże o trzeciej nad ranem znów rozległ się dzwonek i dwoje służących, spiesząc na to niezwykle wezwanie (jako że stara Katarzyna sypiała zazwyczaj jak niemowlę), zastało swą panią wspartą o poduszki z wykrzywioną twarzą i maleńką dłonią zwisającą bezwładnie.

Atak był najwyraźniej lekki, ponieważ mogła się porozumiewać i wyrażać swoje życzenia. Wkrótce po pierwszej wizycie lekarza zaczęła odzyskiwać władzę nad mięśniami twarzy. Lecz mimo to zapanował ogromny niepokój. I proporcjonalnie ogromne

było oburzenie, kiedy dowiedziano się z fragmentów zdań zasłyszanych od pani Mingott, że Regina Beaufort przyszła prosić ją - cóż za niesłychana bezczelność! - by poparła jej męża, zrozumiała ich sytuację i nie „opuszczała” ich - jak się wyraziła - w rzeczywistości nakłaniając całą rodzinę, by zatuszowała i rozgrzeszyła ich potworną hańbę.

- Powiedziałam jej: „Honor jest zawsze honorem, a uczciwość uczciwością w domu Mingottów i będzie dopóty, dopóki nie wyciągnę nóg” - wyjąkała stara dama do ucha swej córki słabutkim głosem osoby na pół sparaliżowanej. - A kiedy ona powiedziała: „Ależ ciociu, ja nazywam się... nazywam się Regina Dallas” , odparłam na to: Nazywałaś się Beaufort, kiedy obsypywał cię klejnotami, i musisz nią pozostać teraz, kiedy okrył cię wstydem”.

Wśród łez i westchnień pełnych grozy pani Welland przekazywała te wiadomości, pobleadła i wzburzona tym niezwykłym obowiązkiem, który kazał jej spojrzeć w oczy sprawom nieprzyjemnym i przynoszącym ujmę.

- Żebym tylko mogła ukryć to przed twoim teściem, który zawsze powiada: „Augusto, na miłość boską, nie niszczyć moich ostatnich iluzji”. Jakże zdołam zapobiec, by nie dowiedział się o tych okropnościach? - biadała biedna kobieta.

- Mimo wszystko, mamu, nie musi przecież tego wszystkiego oglądać - podsunęła jej córka. A pani Welland westchnęła:

- Och, nie, dzięki Bogu, w łóżku jest bezpieczny. Doktor Bencomb przyrzekł trzymać go w łóżku tak długo, póki biednej mamie się nie polepszy, a Regina gdzieś nie wyjedzie.

Archer usadowił się przy oknie i spoglądał pustym wzrokiem na wyludnioną ulicę. Było oczywiste, że wezwano go, by wspierał raczej moralnie udręczone damy niż dlatego, by miał oddać jakiegokolwiek inne szczególne usługi.

Zatelegrafowano po pana Lovella i wysłano posłańców z wiadomością do tych członków rodziny, którzy mieszkali w Nowym Jorku. Tymczasem nie pozostało nic innego do roboty, jak ściszym tonem dyskutować nad konsekwencjami, jakie przyniesie hańba Beauforta, i rozpatrywać nie dające się niczym usprawiedliwić wystąpienie jego żony.

Pani Lovellowa, która w drugim pokoju pisała listy, wkrótce zjawiała się i

przyłączyła swój głos do dyskusji. Za ich czasów, jak przyznały starsze wiekiem damy, żona mężczyzny, który postąpił nieuczciwie w dziedzinie interesów, myślała tylko o jednym: by usunąć się w cień, zniknąć razem z nim.

- Tak było z biedną babcią Spicer... twoją prababcią, May. Oczywiście - pani Welland pośpieszyła dodać - trudności finansowe twego pradziadka były sprawą czysto prywatną... przegrana w karty, podpisywanie weksli... tak naprawdę to nigdy się nie dowiedziałam, ponieważ mama o tym nie mówiła. Ale wywieziono ją na wieś, jako że jej matka musiała opuścić Nowy Jork po tej hańbie, cokolwiek to było. Mieszkali samotnie nad Hudsonem, zimą i latem, póki mama nie skończyła szesnastu lat. Babci Spicer nigdy nie przyszło do głowy, by prosić rodzinę o „poparcie” , jak Regina to określiła. Chociaż osobista hańba nie da się porównać z takim skandalem, w wyniku którego setki ludzi zostały zrujnowane.

- Tak, byłoby bardziej stosowne ze strony Reginy, żeby zechciała ukryć swoje własne oblicze i nie odwoływała się do innych. Chyba ten szmaragdowy naszyjnik, jaki miała w Operze ostatniego piątku, został przysłany za poręczeniem z firmy Ball and Black tamtego popołudnia. Ciekawa jestem, czy otrzymają go kiedykolwiek z powrotem.

Archer przysłuchiwał się, nieporuszony, bezlitosnemu chórowi głosów. To, że nieskazitelna finansowa uczciwość jest pierwszym podstawowym prawem w kodeksie dżentelmena, było zbyt głęboko w niego wpojone, by mogły to osłabić sentymentalne rozważania. Taki awanturnik jak Lemuel Struthers mógł zrobić miliony na swojej paście do butów za pomocą różnych ciemnych machinacji. Lecz uczciwość bez skazy była noblesse oblige starego finansowego Nowego Jorku. Archer nie przejmował się zbytnio losem pani Beaufort. Chociaż bez wątpienia bardziej współczuł jej niż oburzonym krewnym. Jednakże wydawało mu się, że więź między mężem i żoną, nawet jeżeli niezbyt mocna w okresie dobrobytu, powinna być nierozzerwalna w nieszczęściu. Tak jak powiedział pan Letterblair, miejsce żony jest przy boku męża, gdy ten znajdzie się w kłopotach. Lecz nie dotyczy to jego dalszego otoczenia i chłodne przyjęcie, jakie zgotowano pani Beaufort, zdawało się niemal czynić z niej jego współniczkę. Myśl o odwoływaniu się kobiety do rodziny, by osłonić hańbę męża w interesach, była

niedopuszczalna, ponieważ tej jednej rzeczy Rodzina jako instytucja, nie mogła zrobić.

Pokojówka Mulatka poprosiła do hallu panią Lovellową, która wkrótce powróciła ze zmarszczonym czołem.

- Chce żebym zatelegrafowała po Ellen Olenską. Oczywiście pisałam do Ellen i do Medory. Ale jej wydaje się to nie wystarczać. Mam natychmiast zatelegrafować i prosić, żeby przyjechała, ale sama.

Oświadczenie to przyjęto milczeniem. Pani Welland westchnęła z rezygnacją, a May podniosła się ze swego miejsca, by pozbierać gazety rozrzuconą na podłodze.

- Chyba jednak należy tak zrobić - ciągnęła dalej pani Lovellowa Mingott jakby w nadziei, że jej ktoś zaprzeczy. May skierowała się z powrotem na środek pokoju.

- Naturalnie, że należy tak zrobić - przytaknęła. - Babcia wie, czego chce, a my powinniśmy spełniać jej życzenia. Ciociu, może ja napiszę zamiast ciebie telegram? Odejdzie zaraz i Ellen może uda się złapać poranny pociąg. - Każdą sylabę tego imienia wymawiała tak czysto i dźwięcznie, jakby uderzała w srebrne dzwoneczki.

- Ale niestety, nie może zaraz odejść. I Jasper, i chłopiec stajenny biegają z listami i telegramami...

May zwróciła się z uśmiechem do męża.

- Jest Newland, gotów służyć pomocą. Wyślesz telegram, Newlandzie?

Zdązysz jeszcze przed śniadaniem.

Archer podniósł się mrużąc, że jest gotów, podczas gdy May przy stoliku starej Katarzyny z różanego drzewa pisała swym dużym niewyrobionym pismem.

Po napisaniu kartki osuszyła ją starannie bibułą i podała Archerowi.

- Jaka szkoda - powiedziała - że miniesz się z Ellen w drodze. Newland - dodała zwracając się do matki i ciotki - musi jechać do Waszyngtonu w sprawie o patent, która toczy się przed Sądem Apelacyjnym. Sądzę, że wuj Lovell powróci jutro wieczorem a skoro babci już się polepszyło, nie byłoby fair prosić Newlanda, by zrezygnował z tak ważnego zobowiązania wobec firmy, nieprawdaż?

Przerwała, jak gdyby oczekując odpowiedzi; pani Welland pośpieszyła natychmiast z deklaracją:

- Och, oczywiście, że nie, kochanie. Twoja babcia jest ostatnią osobą, która by sobie tego życzyła. Gdy Archer wyszedł z pokoju z telegramem, usłyszał, jak jego teściowa mówi zapewne do pani Lovellowej.

- Ale dlaczego, na miłość boską, kazała ci depeszować po Ellen? - i dołączający się czysty głos May: - Najprawdopodobniej po to, by znów ją przekonywać, że mimo wszystko jej obowiązkiem jest stać przy boku męża.

Drzwi wejściowe zamknęły się za Archerem, który skierował się szybkim krokiem w stronę poczty.

XXVIII

- O - L... jak pan w ogóle to wymawia? - spytała cierpko młoda dama, w kierunku której Archer posunął telegram żony po mosiężnym pulpicie w biurze Western Union.

- Olenska... O - len - ska - powtórzył przyciągając na powrót kartkę, by wypisać obce sylaby nad chaotycznym pismem żony.

- To rzadko spotykane nazwisko na nowojorskiej poczcie. Zwłaszcza w tej dzielnicy - zauważył niespodziewanie czyjś głos. Odwróciwszy się Archer zobaczył za sobą Lawrence'a Lefferts'a, który przyglądał rozwichrzony wąs i starał się nie patrzeć na kartkę.

- Halo, Newland! Od razu pomyślałem, że ciebie tu złapię. Właśnie dopiero co dowiedziałem się o ataku starej pani Mingott. A kiedy wracałem już do domu, zobaczyłem, że skręcasz w tę ulicę, wobec tego szybko ruszyłem za tobą. Czy już wychodzisz?

Archer skinął głową i podał telegram urzędnicze.

- Bardzo źle, co? - ciągnął dalej Lefferts. - Domyślam się, że telegram do rodziny. Przypuszczam, że jest źle, skoro włączacie w to hrabinę Olenską.

Archer nie dał się zbić z tropu. Poczuł szaloną chęć, by trzasnąć pięścią w tę długą, chełpliwą, przystojną twarz znajdującą się tuż obok.

- A to dlaczego? - spytał.

Lefferts, znany z tego, że unikał wszelkiej dyskusji, uniósł brwi w ironicznym grymasie, którym ostrzegał swojego rozmowę przed obserwującą ich urzędniczką. To przypomniało Archerowi, że zdradzanie swych humorów w miejscu publicznym świadczy o jak najgorszych manierach.

Archer chyba nigdy nie był bardziej obojętny wobec wymagań dobrych form.

Jednakże odruch, by uderzyć Lefferts'a, trwał tylko chwilę. Pomyśl, że miałby szermować nazwiskiem Ellen i to właśnie z nim i w takich okolicznościach, z powodu takiej czy innej prowokacji, był wprost nie do zniesienia. Zapłacił za telegram i obaj młodzi ludzie wyszli razem na ulicę. Tam Archer, odzyskując panowanie nad sobą, mówił dalej:

- Pani Mingott czuje się już o wiele lepiej. Doktor nie żywi żadnych obaw...
Lefferts, wylewnie wyrażając uczucie ulgi, zapytał go, czy słyszał, że znów wybuchły paskudnie nieprzyjemne pogłoski na temat Beauforta.

Tego popołudnia doniesienia o niepowodzeniu Beauforta ukazały się w całej prasie. Usunęły nawet w cień wiadomość o ataku pani Mansonowej Mingott i tylko nieliczni, którzy nie słyszeli o tajemniczym związku pomiędzy obydwoma wydarzeniami, przypisywali chorobę starej Katarzyny jedynie i wyłącznie nadmiernej tuszy i podeszłemu wiekowi.

Na cały Nowy Jork padł cień, gdy rozniosła się wieść o hańbie Beauforta.

Nigdy dotąd, jak orzekł pan Letterblair, nie zdarzyła się równie paskudna historia zarówno za jego pamięci, jak i za życia jego dalekiego przodka, który był założycielem firmy. Bank przyjmował wpłaty pieniężne przez cały dzień po tym, jak już krach był nieuchronny. A ponieważ wielu spośród klientów należało do tego czy innego rządzących klanów, dwulicowość Beauforta zdawała się być wyjątkowo cyniczna. Gdyby pani Beaufort nie przybrała takiego tonu mówiąc, że nieszczęście (to jej własne słowo) są „sprawdzianem przyjaźni”, litość dla niej stępiłaby powszechne oburzenie na jej małżonka. A tymczasem - gdy cel nocnej wizyty u pani Mingott stał się znany - jej cynizm najwyraźniej zdawał się przekraczać cynizm jej małżonka.

Nie miała wytłumaczenia - ani poszkodowani satysfakcji - powołując się na to, że jest „cudzoziemką”. W pewnym sensie stała się nawet wygodna (dla tych, których oszczędności nie były zagrożone) owa możliwość przypomnienia sobie, że jednak Beaufort jest obcy. Lecz skoro Dallasowie z Południowej Karoliny mieli na tę sprawę swój pogląd i swobodnie mówiło się tam o tym, że Beaufort „wkrótce znów stanie na nogi”, roztrząsanie tej sprawy powoli przycichło i nie pozostało nic innego, jak zaakceptować ów okropny dowód nierozzerwalności związku małżeńskiego. Towarzystwo musiało radzić sobie bez Beauforta - należało na tym położyć krzyżyk - poza oczywiście nieszczęśliwymi ofiarami tej klęski jak Medora Manson biedna stara panna Lanning i pewne inne wprowadzone w błąd damy z dobrych rodzin, które, gdyby były tylko

posłuchały pana Henry van der Luydena...

- Najlepsze, co Beaufortowie mogą zrobić - powiedziała pani Archer rekapitulując wydarzenia jakby wygłaszała diagnozę i przepisywała sposób leczenia - to wyjechać i zamieszkać w Północnej Karolinie w tej małej posiadłości Reginy. Beaufort zawsze trzymał stajnie z wyścigowymi końmi a jeszcze lepiej hodował kłusaki. Powiedziałabym, że ma wszelkie kwalifikacje na doskonałego sprzedawcę koni.

Każdy przyznał jej rację, lecz nikt nie raczył zapytać, co rzeczywiście Beaufort zamierza robić.

Następnego dnia pani Mansonowa Mingott czuła się znacznie lepiej.

Odzyskała głos na tyle, by wydawać rozkazy i zażądać, żeby nikt przy niej nie śmiał nawet wspomnieć Beaufortów. A kiedy zjawił się doktor Bencomb, spytała, co do licha myśli sobie rodzina, żeby wywoływać tyle szumu wokół jej osoby.

- Jeżeli ludzie w moim wieku jadają na kolację sałatkę z kurczaka, to czegoż można się spodziewać? - spytała. A doktor, mając możliwość zmiany diety, zmienił jednocześnie diagnozę z ataku na przypadek niestrawności.

Lecz sądząc po jej słabym głosie, stara Katarzyna nie odzyskała swego poprzedniego stosunku do życia. Wzrastająca słabość wieku starczego, jakkolwiek nie osłabiła jej ciekawości względem bliźnich, to przytępiła jej i tak niezbyt szczere litowanie się nad ich kłopotami. Przeto nie miała szczególnych trudności z wymazaniem z pamięci nieszczęścia Beaufortów. Lecz po raz pierwszy zajęła się własną chorobą i zaczęła się czule interesować tymi członkami rodziny, wobec których była dotychczas całkowicie obojętna.

Zwłaszcza pani Welland dostąpiła zaszczytu, że zwrócono na nią uwagę.

Natomiast jej zięć należał do tych, których konsekwentnie ignorowała.

Wszelkie wysiłki jego żony, by przedstawić go jako człowieka o silnym charakterze i wielkich przymiotach intelektualnych (żeby tylko został „doceniony”), spotykały się z kpiącym chichotem. Lecz teraz jego znaczenie jako człowieka słabowitego najwyraźniej wzrosło i stał się obiektem jej wzmożonego zainteresowania. Pani Manson wysłała mu nie znoszące sprzeciwu wezwanie, by tylko gdy mu temperatura spadnie, przyjechał

natychmiast w celu porównania diet. Albowiem obecnie stara Katarzyna na pierwszym miejscu stawiała sprawę temperatury, co do której nigdy nie zawadzi nawet przesadna ostrożność.

W dwadzieścia cztery godziny po wezwaniu Madame Olenskiej nadszedł telegram z wiadomością, że przyjeżdża z Waszyngtonu następnego dnia wieczorem. U Wellandów, gdzie Newland i May akurat jedli śniadanie, natychmiast powstało pytanie, kto powinien wyjechać, by ją spotkać w Jersey City. Te poważne trudności, pośród których domownicy Wellandów walczyli jak na wysuniętym posterunku frontowym, wprowadziły ożywienie w dyskusji.

Uzgodniono, że do Jersey City nie może jechać pani Welland, ponieważ tego popołudnia musi towarzyszyć swemu mężowi u starej Katarzyny; dlatego też nie można zajmować karety, bo gdyby pan Welland „zdenerwował się” zobaczywszy swą teściową po raz pierwszy po ataku, trzeba by go było natychmiast odwieźć do domu. Synowie Wellandów będą oczywiście w śródmieściu, pan Lowell będzie właśnie wracał z polowania i powóz Mingottów wyjedzie po niego. A nikt nie mógł żądać od May, by późnym zimowym popołudniem przeprowadziła się samotnie promem do Jersey City, nawet swoim własnym powozem. W każdym razie mogłoby się wydawać brakiem gościnności - i wbrew wyraźnym życzeniom starej Katarzyny - gdyby pozwolono Madame Olenskiej przyjechać samej i żeby nie oczekiwał jej na stacji nikt z rodziny. Było to w stylu Ellen, jak orzekła pani Welland znużonym głosem, żeby stawiać rodzinę przed takim dylematem.

- Zawsze już tak jest, że wszystko idzie w parze - żaliła się biedna dama podczas tych rzadkich przypadków, kiedy buntowała się na los. - Wydaje mi się, że mama nie czuje się tak dobrze, jak doktor Bencomb mówi, skoro tak gwałtownie pragnie, aby Ellen natychmiast przyjechała, nie licząc się z tym, że jej przyjazd sprawia tyle kłopotu.

Słowa były nieprzemyślane, co często wypływa z niecierpliwości. Ale pan Welland natychmiast to podchwycił.

- Augusto - powiedział i zbladł odkładając widelec - a może to z jakiegoś innego powodu uważasz, że na Bencombie nie można już tak całkowicie polegać? Czyś

zauważyła, żeby był mniej niż zwykle sumienny w prowadzeniu mojego przypadku lub twojej matki?

Tym razem zbladła pani Welland, gdy zobaczyła rozwijające się przed jej oczyma konsekwencje swego błędu. Lecz próbowała się roześmiać, szukając po raz wtóry wsparcia gotowanych ostrygach, po czym odezwała się próbując za wszelką cenę przywołać swoją starą broń - wesołość.

- Mój drogi, jak możesz nawet przypuszczać coś podobnego! Pomyślałam tylko, że wobec zdecydowanego stanowiska mamy, iż obowiązkiem Ellen jest powrócić do męża, wydaje się dziwne, że tak nagle chce ją zobaczyć, mając co najmniej pół tuzina innych wnucząt, o które mogłaby chociaż spytać. Lecz nie wolno nam zapominać, niezależnie od jej wspaniałej witalności, że jest bardzo starą kobietą.

Pan Welland nie rozchmurzył czoła i najwyraźniej jego wzburzoną wyobraźnię przykuła natychmiast ta ostatnia uwaga.

- Oczywiście, twoja matka jest bardzo starą kobietą. I z tego, co widzimy, Bencomb może nie odnosić wielkich sukcesów w leczeniu ludzi bardzo starych. Jak powiedziałaś, moja droga, zawsze wszystko idzie w parze i chyba przez następne dziesięć czy piętnaście lat będę miał miły obowiązek szukania ciągle nowego doktora. Zawsze lepiej wcześniej dokonać takiej zmiany, a nie wtedy, gdy jest to akurat konieczne.

- Powziąwszy to spartańskie postanowienie pan Welland energicznie uniósł widelec.

- Lecz w dalszym ciągu - podjęła znów rozmowę pani Welland, powstając od stołu i kierując się do tak zwanego tylnego saloniku, oszłamiającego fioletowym atłasem i wyrobami z malachitu - nie widzę, w jaki sposób przywieziemy tutaj Ellen jutro wieczorem. Lubię mieć wszystko ułożone przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny naprzód.

Archer odwrócił się od urzekającego małego obrazka przedstawiającego igraszki dwóch ptaszków, kardynałów, w ośmiokątnej ramce przybranej medalionami z onyksu, któremu przyglądał się pilnie.

- To może ja ją przywiozę? - zaproponował. - Bez trudu mogę wyjść w tym czasie z biura i pojechać kareta, którą May by tam przysłała. - Gdy wypowiadał te słowa, serce

mu było jak szalone.

Pani Welland wydobyła z siebie westchnienie pełne wdzięczności, a May, która odeszła w stronę okna, odwróciła się, by przesłać mu przyzwalający uśmiech.

- A więc widzisz, mamó, wszystko zostało załatwione dwadzieścia cztery godziny naprzód - powiedziała i pochyliła się całując matkę w czoło.

Kareta May czekała przed drzwiami, miała podwieźć Archera do Union Square, gdzie mógłby złapać omnibus linii Broadway i dojechać nim do biura.

Gdy usadowił się w swoim kąciku, powiedziała:

- Nie chciałam martwić mamy stwarzając świeże przeszkody. Lecz jak możesz spotkać Ellen jutro i przywieźć ją do Nowego Jorku, skoro wybierasz się do Waszyngtonu?

- Och, nie wybieram się już - odparł Archer.

- Nie jedziesz? Dlaczego, co się stało? - jej głos był tak czysty jak dźwięk dzwonu i brzmiała w nim żonina troska.

- Sprawa została... zastała odroczone.

- Odroczone? To dziwne! Rano widziałam list od pana Letterblaira do mamy, w którym zawiadamiał, że jedzie do Waszyngtonu w bardzo ważnej sprawie patentowej, którą ma przedstawić przed Sądem Apelacyjnym. Mówiłeś, że to sprawa o patent, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Ale przecież całe biuro nie może pojechać.

Letterblair zdecydował się wyruszyć dziś rano.

- A więc sprawa nie jest odroczone? - ciągnęła dalej z tak niezwykłą u niej natarczywością, że poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, jak gdyby czerwienił się z powodu jej niezwykłego odstępstwa od tradycyjnej delikatności.

- Nie, ale mój wyjazd jest odroczone - odparł przeklinając te swoje niepotrzebne wybiegi w związku z wyjazdem do Waszyngtonu i zastanawiając się, gdzie to wyczytał, że sprytni kłamcy podają szczegóły, ale najsprytniejsi tego nie robią. Nie tyle jednak bolało go to, że mówi May nieprawdę, co patrzenie, jak ona próbuje udawać, że nie

odkryła jego kłamstwa.

- Pojadę później. Na szczęście jest to również wygodne i dla twojej rodziny - ciągnął dalej szukając ucieczki w sarkazmie. Gdy to mówił, czuł, że May nie spuszcza z niego wzroku; on również patrzył jej w oczy, by nie wyglądało, że jej unika. Spojrzenia ich na chwilę się spotkały i niewątpliwie wyczytali w nich o wiele więcej, niżby którekolwiek sobie tego życzyło.

- Oczywiście, szalenie wygodne - przyznała May pogodnie - że mimo wszystko jednak będziesz mógł spotkać się z Ellen. Widziałeś, z jakim uznaniem mama przyjęła twoją propozycję?

- Och, zrobię to z przyjemnością. - Powóz stanął, a kiedy Archer wyskoczył, May pochyliła się ku niemu i położyła rękę na jego dłoni.

- Do widzenia, najdroższy! - powiedziała, a oczy miała tak błękitne, że potem zastanawiał się, czy nie błyszcząły tak z powodu lśniących w nich łez.

Odwrócił się i pośpieszył przez Union Square a w duchu powtarzał radośnie: „Całe dwie godziny z Jersey City do domu starej Katarzyny. Całe dwie godziny... a może nawet więcej...”

XXIX

Przy promie czekała na niego granatowa karetka jego żony (polakierowana jeszcze na ślub) i powiozła go wygodnie na dworzec pensylwański w Jersey City.

Było ponure popołudnie, padał śnieg i ogromna stacja płonęła od lamp gazowych. Gdy spacerował po peronie, oczekując na nadejście ekspresu z Waszyngtonu, przypomniał sobie, że istnieją ludzie, którzy uważają, że nadejdzie kiedyś taki dzień, gdy pod Hudsonem wybudują tunel, którym pociągi kolei pensylwańskiej będą jeździły wprost do Nowego Jorku. Należą ani do bractwa wizjonerów, którzy przepowiadają również zbudowanie statków, przepływających Atlantyk w pięć dni, skonstruowanie latającej maszyny, oświetlenie mieszkań za pomocą elektryczności, porozumiewanie się bez drutu i różne inne cuda z „Tysiąca i jednej nocy”.

Nie obchodzi mnie, która z ich wizji się urzeczywistni - dumął - tak długo, póki nie jest zbudowany tunel. W swoim bezsensownym chłopięcym rozradowaniu wyobrażał sobie, jak Madame Olenska wychodzi z pociągu, jak rozpoznaje ją z daleka wśród tłumu nic nie znaczących twarzy, jak ona przytula się do jego ramienia, gdy prowadzi ją do powozu, a potem ich powolną jazdę do przystani pośród ślizgających się po śniegu koni, wyładowanych wozów, głośno pokrzykujących woźniców, a wreszcie, jak w ciszy na promie siedzą obok siebie bez ruchu, śnieg prószy dokoła, a ziemia zdaje się jakby usuwać spod nich, obracając się w przeciwną stronę słońca. To niewiarygodne! O iluż to rzeczach miał jej opowiedzieć i jak natarczywie słowa cisnęły mu się na usta...

Szczęk i turkot pociągu coraz bardziej się przybliżały, aż wreszcie wtoczył się wolno na stację, niczym jakiś przedpotopowy stwór wślizgujący się na swe legowisko. Archer rzucił się naprzód rozpychając się łokciami przez tłum i wpatrując nieprzytomnie w każde wysoko umieszczone okno wagonu. A potem nagle ujrzał twarz Madame Olenskiej, bladą i zdumioną, tuż obok siebie i znów doznał upokarzającego uczucia, że zapomniał już, jak ona wygląda.

Stanęli przy sobie, ich dłonie spotkały się i Archer wsunął sobie jej rękę pod ramię.
- Chodźmy tędy... mam powóz - powiedział.

I teraz już wszystko potoczyło się tak, jak sobie wymarzył. Pomógł jej ułożyć w

karecie bagaże, a potem musiał zebrać chaotyczne myśli, by uspokoić ją co do stanu zdrowia babki i zdać relację z sytuacji Beauforta (uderzyło go, jak miękko i łagodnie powiedziała: „Biedna Regina”).

Tymczasem powóz torował sobie drogę poprzez tłum zgromadzony przy stacji, następnie powlekli się śliską, opadającą w dół ulicą prowadzącą do przystani, wśród zagrażających im wyładowanych węglem wozów, oszołomionych koni, zaniedbanych karetek pocztowych i pustego karawanu. Och, ten karawan!

Zamknęła oczy, gdy ich mijali, i ścisnęła Archera za rękę.

- Oby to tylko nie oznaczało... biedna babcia!

- O, nie, ona już znacznie lepiej się czuje... Właściwie jest już zdrowa.

No... minęliśmy go! - wykrzyknął, jak gdyby to cokolwiek zmieniało. Jej dłoń pozostawała w jego dłoni, a gdy powóz zakołysał się na pomoście promu, Archer pochylił się, odpiął guziczek obcisłej brązowej rękawiczki hrabiny i ucałował jej dłoń jak najświętsze relikwie. Uwolniła rękę z leciutkim uśmiechem, a on spytał:

- Nie spodziewałaś się mnie dzisiaj?

- O, nie.

- Zamierzałem jechać do Waszyngtonu, by cię zobaczyć. Poczynilem już przygotowania... o mały włos, a byśmy minęli się w podróży.

- Och! - wykrzyknęła, jakby przerażona, że mogło się tak stać.

- Wiesz, że prawie cię nie pamiętam?

- Nie pamiętasz?

- To znaczy... jakby ci to wytłumaczyć? Ja... zawsze tak jest. Za każdym razem stajesz się dla mnie znowu zupełnie kimś innym.

- Och, tak, wiem, wiem!

- A czy... czy ja także... dla ciebie?

Skinęła głową wyglądając przez okno.

- Ellen... Ellen... Ellen!

Nie odpowiedziała, siedział więc w milczeniu obserwując jej profil rysujący się niewyraźnie na tle okna, za którym zapadał mrok wśród prószonego śniegu. Zastanawiał

się, co też ona robiła w ciągu tych czterech długich miesięcy? Mimo wszystko tak niewiele o sobie wiedzieli! Cenne minuty uciekały, lecz on zapomniał o wszystkim, co zamierzał jej powiedzieć, i mógł tylko bezradnie rozpamiętywać cudowność ich odosobnienia i ich bliskość, których symbolem zdawał się być fakt że siedzieli tuż obok siebie, a jednak nie mogli widzieć swoich twarzy.

- Cóż za śliczny powóz! Czy należy do May? - spytała odwracając nagle twarz od okna.

- Tak.

- A więc to May wysłała cię, żebyś mnie spotkał? Jak to miło z jej strony!

Przez chwilę nie odpowiadał. A potem raptem wybuchnął gwałtownie:

- Sekretarz twojego męża odwiedził mnie tego samego dnia, kiedyśmy się spotkali w Bostonie. W swoim króciutkim do niej liście nie wspomniał o wizycie Riviere'a i nie zamierzał wyjawiać tego faktu. Lecz wzmianka o tym, że są w powozie jego żony, sprowokowała go, by wziąć natychmiast odwet.

Chciał się przekonać, czy jej tak samo podobałyby się aluzje na temat Riviere'a, jak jemu wzmianka o May. Podobnie jak w wielu innych przypadkach, kiedy próbował zakłócić jej spokój i opanowanie, i tym razem nie okazała ani śladu zdziwienia. A on natychmiast z miejsca orzekł w myśli: „A więc pisuje do niej”.

- Monsieur Riviere przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć?

- Tak. Nie wiedziałaś?

- Nie - odpowiedziała po prostu.

- I nie jesteś zdziwiona?

Zawahała się. - A dlaczegoż bym miała być? W Bostonie mówił mi, że zna ciebie. Zdaje się, że spotkaliście się w Anglii.

- Ellen... muszę cię spytać o jedną rzecz.

- Słucham.

- Chciałem spytać o to zaraz po tym, jak go zobaczyłem, lecz nie mogłem tego zrobić listownie. Czy to Riviere pomógł ci uciec, gdy porzuciłaś swego męża?

Serce biło mu jak oszalałe. Czyżby i to pytanie przyjmowała z takim samym

spokojem?

- Tak, mam wobec niego wielki dług wdzięczności - odparła, a jej spokojny głos nawet nie zadrżał.

Brzmiał tak naturalnie, niemal obojętnie, że niepokój Archera zniknął.

Raz jeszcze hrabina wykazała przez swój absolutny spokój, że poczuł się głupio konwencjonalny i to akurat wtedy, gdy uważał że wziął rozbrat z wszelkimi konwenansami.

- Jesteś najszlachetniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem! - wykrzyknął.

- Co to, to nie, ale prawdopodobnie najmniej małostkową - odparła, a w głosie jej dźwięczał śmiech.

- Nazywaj to, jak chcesz. Ale ty widzisz wszystko we właściwych wymiarach.

- Ach, musiałam. Oglądałam Gorgonę.

- No cóż, ale to cię nie zaślepilo! Zobaczyłaś, że jest po prostu starym straszidłem jak ci wszyscy.

- Ona nie oślepia nikogo, lecz osusza łyzy!

Ta odpowiedź powstrzymała go od prośby cisnącej mu się na usta. Zdawała się bowiem wypływać z najgłębszego doświadczenia, znajdującego się poza jego zasięgiem.

Powolne posuwanie się promu ustało i jego dziób uderzył gwałtownie o słupy pochylni, tak że karetą zachwiała się rzucając ku sobie Archera i hrabinę.

Młody człowiek, cały drżący, poczuł ciężar jej ramienia i wziął ją pod rękę.

- Skoro nie jesteś ślepa, musisz wobec tego widzieć, że to nie może tak trwać dłużej.

- Co nie może?

- To, że jesteśmy i nie jesteśmy razem...

- Nie. Nie powinienes być przyjeżdżać dzisiaj - powiedziała zmienionym głosem. I nagle odwróciła się zarzucając mu ramiona na szyję i przyciskając usta do jego ust. W tym samym momencie powóz ruszył i przez okno wpadło światło gazowej lampy umieszczonej na przodzie pochylni. Odsunęła się, siedzieli w milczeniu, nieruchomo, podczas gdy karetą przeciskała się pośród tłumu pojazdów na przystani promowej. Gdy

wyjechali na ulicę, Archer zaczął mówić pośpiesznie:

- Nie obawiaj się mnie. Nie musisz tak wciskać się w swój kąt. Nie pragnę kradzionych pocałunków. Posłuchaj. Nie próbuję nawet dotknąć rękawa twego żakietu. Nie sądzę, że nie rozumiem twoich powodów, dlaczego nie chcesz pozwolić, by uczucie, jakie żyjemy do siebie, przekształciło się w zwykły romans. Nie mógłbym tak mówić wczoraj, ponieważ gdy jestem z dala od ciebie i wyglądam spotkania z tobą, każda myśl płonie wielkim płomieniem. I przyjechałaś. I jesteś bardziej prawdziwa niż sobie wyobrażałem, i to, czego od ciebie chcę, staje się z każdą godziną bardziej rzeczywiste niż godzinę czy dwie temu, i to, co było przedtem, to tylko zmarnowane, pełne pragnień wyczekiwanie. Właśnie dlatego mogę teraz siedzieć obok ciebie tak idealnie spokojny, bo mam przed oczyma ten inny obraz, po prostu wierząc w głębi duszy, że stanie się prawdą.

Przez chwilę nie odpowiadała. Po czym spytała niemal szeptem:

- Co masz na myśli mówiąc, iż wierzysz, że to się stanie prawdą?

- A ty nie wierzysz, że tak będzie?

- W twoją wizję, że będziemy razem, we dwoje? - wybuchnęła nagle nieprzyjemnym śmiechem. - Doskonale wybrałaś dla mnie to miejsce!

- Czy dlatego, że to karetka mojej żony? Wobec tego może wysiądziemy i pospacerujemy? Chyba nie przeszkadza ci ten niewielki śnieg?

Roześmiała się znów, tym razem już milej.

- Nie, nie wysiądę, by pospacerować, ponieważ zależy mi na tym, by przyjechać do babci jak najszybciej. A ty będziesz siedział przy mnie i będziemy spoglądać nie na wizję, lecz na rzeczywistość.

- Nie wiem, co rozumiesz przez słowo „rzeczywistość”. Jediną rzeczywistością dla mnie jest chwila obecna.

Przyjęła te słowa długim milczeniem, a tymczasem powóz przetoczył się przez obskurne boczne uliczki i wjechał w rzęsiście oświetloną Piątą Aleję.

- A więc uważasz, że powinnam żyć z tobą jak kochanka... skoro nie mogę być twoją żoną? - spytała.

Bezceremonialność tego pytania zaskoczyła go. Przed takim słowem kobiety z jego sfery wzdrygały się ze wstydem, nawet jeżeli rozmowa zaledwie dotykała tego tematu. Zauważył, że Madame Olenska wymawia je, jak gdyby nie było obce w jej słownictwie, i zastanawiał się, czy używało się go z taką bezceremonialnością w jej obecności w tym przerażającym życiu, od którego uciekła. Jej pytanie wstrząsnęło nim dogłębnie, lecz brnął dalej:

- Chcę... chcę w jakiś sposób uciec z tobą w świat, gdzie takie słowa... tego rodzaju słowa... nie istnieją. Gdzie będziemy zwykłymi ludźmi którzy się nawzajem kochają, którzy są dla siebie całym życiem. I nic poza tym na świecie nie będzie miało znaczenia.

Westchnęła głęboko i wybuchnęła śmiechem.

- Och, mój drogi... a gdzież istnieje taka kraina? Byłeś tam kiedykolwiek? - spytała. A gdy trwał zatopiony w posępnym milczeniu, ciągnęła dalej: - Znam wielu takich, którzy próbowali ją znaleźć. I wierz mi, wysiadali przez pomyłkę na przydrożnych przystankach, w takich miejscach jak Bolonia, Piza czy Monte Carlo... i wcale nie różniły się one od starego świata, który opuścili, poza tym, że były tylko mniejsze, bardziej ponure i bardziej niemoralne.

Nigdy nie słyszał, by przemawiała takim tonem, i przypomniał sobie sformułowanie, jakiego niedawno użyła.

- Tak, Gorgona osuszyła twoje łzy - powiedział.

- Oczywiście, i otworzyła mi również oczy. To złuda, że ona oślepia ludzi. Robi coś całkiem odwrotnego... przytrzymuje ich powieki, by się nie zamykały, i już nigdy oczy nie mogą zaznać błogosławionej ciemności. Czyż nie takie są właśnie chińskie tortury? Powinny być. Ach, uwierz mi, to jest żalosna mała kraina!

Powóz przejechał ulicę Czterdziestą Drugą. Rączy koń przy karecie May niósł ich na północ, jakby był kłusakiem rodem z Kentucky. Archer tłumził w sobie poczucie traconych chwil i zbędnych słów.

- No, właściwie to jaki jest twój plan dla nas? - spytał.

- Dla nas? Ależ tu nie ma mowy o „nas” ! Jesteśmy blisko siebie tylko wtedy, kiedy

przebywamy z dala jedno od drugiego. Wtedy możemy istnieć dla siebie. W przeciwnym razie ty jesteś jedynie Newlandem Archerem, mężem kuzynki Ellen Olenskiej, a ja Ellen Olenską, kuzynką żony Newlanda Archera, co to próbują szczęścia za plecami ludzi, którzy im ufają.

- Och, jestem poza tym - jęknął Archer.

- Nie, nie jesteś! Nigdy nie byłeś! Ale ja byłam - powiedziała jakimś obcym głosem - i wiem, jak to wygląda.

Siedział w milczeniu, porażony jakimś nieokreślonym bólem. Następnie sięgnął w ciemności powozu do małego dzwonka, za pomocą którego wydawano polecenia stangretowi. Przypomniawszy sobie, że May dzwoniła dwukrotnie, kiedy życzyła sobie, by się zatrzymał. Zaczynał dzwonek i powóz podjechał do krawężnika.

- Czemu się zatrzymujemy? Tu nie jest przecież dom babci! - wykrzyknęła Madame Olenska.

- Nie. Oczywiście. Ale ja tutaj wysiadam - wyjąkał otwierając drzwi i wyskakując na chodnik. W świetle ulicznej latarni dostrzegł jej zaniepokojoną twarz i instynktowny ruch, jakby chciała go zatrzymać.

Zamknął drzwi i przez chwilę stał oparty o okno.

- Masz rację. Nie powinienem być dzisiaj jechać - powiedział zniżając głos, by stangret nie mógł go słyszeć. Pochyliła się do przodu, jakby zamierzała coś powiedzieć. Ale on już wydał polecenie stangretowi, by ruszał, i powóz odjechał, a on został na rogu ulicy. Śnieg przestał padać, zerwał się przenikliwy wiatr, który smagał jego twarz, gdy tak stał spoglądając za oddalającym się powozem. Nagle poczuł na rzęsach coś ciężkiego i zimnego i domyślił się, że widać wiatr zamroził jego łyzy.

Wsunął ręce w kieszenie i szybkim krokiem ruszył Piątą Aleją w stronę swego domu.

XXX

Tego wieczoru, gdy Archer zszedł na dół przed kolacją, zastał salon pusty.

Jedli z May sami, wszystkie spotkania towarzyskie zostały z powodu choroby pani Mansonowej Mingott odłożone na później. A ponieważ May była bardziej punktualna z nich dwojga, zdziwił się, że tym razem go nie uprzedziła. Wiedział, że jest w domu, gdyż w tym czasie, kiedy się przebierał, słyszał, jak krząta się w swoim pokoju. Zastanawiał się, co było przyczyną jej spóźnienia.

Popadł w manię takich rozważań, gdyż był to środek przywołujący jego myśli do rzeczywistości. Czasem miał uczucie, jakby odkrył u swego teścia klucz do jego umiejętności koncentrowania się na błahostkach. Może dawno temu pan Welland miał również swoje ucieczki od rzeczywistości i wizje i zatrudniał wszystkich domowników, by bronili go przed nimi.

Kiedy ukazała się May, pomyślał, że wygląda na zmęczoną. Założyła koronkową opiętą wieczorową suknię z dekoltem, którą ceremoniał Mingottów przewidywał na nieoficjalne okazje, i upięła włosy jak zwykle w ciasny węzeł opadający na szyję. Jej twarz dla kontrastu była blada i niemal przywiedła. Lecz na jego widok rozblęskła czułością, a oczy jej zachowały ten sam olśniewający błękit z poprzedniego dnia.

- Co się z tobą działo, kochany? - spytała. - Czekałam na ciebie u babci.

Ellen przyjechała sama i powiedziała, że wyrzuciła cię po drodze, ponieważ miałeś jakiś pilny interes do załatwienia. Chyba nic złego?

- Zapomniałem tylko o kilku listach i chciałem załatwić przed kolacją.

- Ach tak - powiedziała. A potem po chwili: Żałuję, że nie przyjechałeś do babci... chyba te listy nie były aż tak pilne...

- Były - odparł zdumiony jej natarczywością. - Poza tym, uznałem, że nie ma potrzeby, abym jechał do twojej babci. I nie wiedziałem, że tam jesteś.

Odwróciła się i spojrzała w lustro umieszczone nad gzymsem kominka. Gdy tak stała uniósłszy ramię, by przypiąć niesforny lok, który wymknął się z upiętych włosów, Archera uderzyła jakaś ociężałość i brak żywości w jej zachowaniu i zastanawiał się czy ta monotonia zabijająca ich życie nie wycisnęła również na niej swego piętna. A potem

przypomniał sobie, że kiedy rano wychodził z domu, krzyknęła do niego ze schodów, że spotkają się u babci i razem wrócą do domu. Odkrzyknął jej radośnie: - Oczywiście! - po czym zapatrzony w inne wizje zapomniał o obietnicy. Teraz nękały go wyrzuty sumienia, a jednocześnie zirytował się, że tak błahe zaniedbanie mogło sprzysiąc się przeciwko niemu po blisko dwóch latach małżeństwa. Znużony już był tym życiem w ustawicznej atmosferze letniego, miodowego miesiąca pozbawionego gorącego uczucia lecz przy całkowitym jego egzekwowaniu. Gdyby May wypowiedziała swoje urazy (a spodziewał się, że miała ich wiele), mógłby zbyć je śmiechem. Jednakże wyćwiczona była w ukrywaniu urojonych ran pod spartańskim uśmiechem. Chcąc ukryć własną udrękę, spytał, jak się ma babcia, na co odpowiedziała, że pani Mingott czuje się coraz lepiej, lecz przygnęły ją ostatnie wiadomości o Beaufortach.

- Jakie wiadomości?

- Wydaje się, że zamierzają zostać w Nowym Jorku. Chyba on ma zamiar zacząć działać w jakiejś firmie ubezpieczeniowej czy w czymś takim.

Poszukują małego domku.

Niedorzeczność tej decyzji była poza dyskusją, udali się więc na kolację.

Podczas jedzenia ich rozmowa obracała się wokół zwykłych codziennych spraw.

Ale Archer zauważył, że jego żona nie zrobiła żadnej aluzji na temat Madame Olenskiej ani też na temat powitania jej przez starą Katarzynę. Wdzięczny był jej za to, niemniej wyczuwał w tym coś niejasno złowróźbnego.

Przeszli na górę do biblioteki na kawę, gdzie Archer zapalił cygaro i wyjął z półki tomik Micheleta. Wieczorami oddawał się studiowaniu historii, odkąd May zaczęła go prosić o głośne czytanie, gdy tylko zobaczyła w jego ręce jakiś zbiorek poezji. Nie dlatego, żeby nie lubił brzmienia własnego głosu, ale dlatego, że mógł zawsze przewidzieć jej komentarze na temat tego, co czytał. W okresie ich narzeczeństwa ona po prostu (jak teraz rozumiał) powtarzała to, co jej powiedział. Lecz odkąd przestał dostarczać jej swoich opinii, zaryzykowała własne, co wywołało takie zgubne skutki, że nie potrafił już rozkoszować się tak komentowanymi utworami.

Widząc, że wybrał historię, przyniosła sobie koszyczek z robótką, przysunęła fotel

blisko lampy ocienionej zielonym abażurem i wyjęła poduszkę, którą haftowała na jego kanapę. Nie należała do najzręczniejszych hafciarek. Jej mocne, zwinne ręce były stworzone do jazdy konnej, wiosłowania i wszelakich sportów na otwartym powietrzu. Ale ponieważ wszystkie żony wyszywają poduszki swoim mężom i ona również nie chciała pominąć tego ostatniego ogniwa swego przywiązania.

Usadowiła się w ten sposób, żeby Archer podniósłszy wzrok mógł ją widzieć pochyloną nad robótką - zmarszczone do łokcia rękawy opadały z mocnych krągłych ramion, zaręczynowy pierścionek z szafirem pobłyskiwał na jej lewej ręce tuż nad szeroką obrączką, a prawą ręką pracowicie przekłuwała płótno. Gdy tak siedziała, a pełne światło lampy padało na jej czyste czoło, uprzytomnił sobie z jakąś nieokreśloną drogą, że zawsze będzie znał myśli, jakie ono kryje, i że nigdy w czasie wszystkich tych lat, które nadejdą, nie zadziwi go ona jakimś niespodziewanym nastrojem, nowym pomysłem lub okazaniem słabości, okrucieństwa czy jakiegokolwiek innego uczucia. Wyczerpała swój zasób poezji i romantyzmu podczas ich krótkich narzeczeńskich zalecanek - działanie się wyczerpało ponieważ minęła potrzeba. Teraz po prostu dojrzewała jako kopia swojej matki i w dość tajemniczy sposób, poprzez jakiś szczególnie proces, próbowała przemienić go w pana Wellanda. Odłożył książkę i podniósł się z niecierpliwością. May natychmiast uniosła głowę.

- Co się stało?

- Jest tutaj duszno. Muszę zaczerpnąć odrobinę powietrza.

Nalegał, żeby zasłony w bibliotece przesuwano się w jedną i drugą stronę na pręcie i żeby można je było wieczorem zaciągać zamiast pozostawiać upięte na błyszczącym gzymisie i umocowane na stałe do lamówki, tak jak w salonie.

Odciągnąwszy zasłony uniosł ramę okienną i wychylił się w mroźną noc. Ten prosty fakt, że nie patrzy na May, siedzącą przy jego stoliku, pod jego lampą, że ogląda inne domy, dachy, kominy i dostrzega sens życia innych ludzi poza ich własnym, innych miast poza Nowym Jorkiem i tego całego świata istniejącego poza jego światem, rozjaśniał mu umysł i sprawiał, że lepiej funkcjonował.

Stał tak Wychylony w ciemność przez kilka minut, po czym usłyszał głos May:

- Newlandzie! Proszę, zamknij okno! Szukasz śmierci?

Opuścił ramę okna i odwrócił się.

- Szukam śmierci? - powtórzył. I miał uczucie, jakby mówił: „Ale ja już ją znalazłem! Jestem trupem!... Życie skończyło się dla mnie już od wielu, wielu miesięcy”.

I raptem znaczenie tego, co powiedział, objawiło się szaleńczą myślą. A co by było, gdyby tak ona umarła! Gdyby miała umrzeć... i to niedługo... i zostawiła go wolnym! Uczucie, że stoi oto tutaj, w tym nagrzanym znajomym pokoju, i spogląda na żonę życząc jej śmierci, było tak dziwne, tak fascynujące i wszechwładne, że jego potworność nie od razu do niego dotarła. Czuł po prostu, że ta możliwość daje mu nową szansę, której mogła uczepić się jego chora dusza. Oczywiście, May mogła umrzeć... przecież ludzie umierają - ludzie młodzi, zdrowi tak jak ona... mogła umrzeć i nagle go uwolnić!

Spojrzała w górę, a on w jej szeroko otwartych oczach wyczytał, że musiała dostrzec coś dziwnego w jego wzroku.

- Newlandzie! Czy jesteś chory?

Potrząsnął przecząco głową i skierował się w stronę swego fotela.

Pochyliła się nad robótką, a gdy przechodził obok żony, położył jej dłoń na włosach.

- Biedna May! - szepnął.

- Biedna? Dlaczego biedna? - spytała z wymuszonym uśmiechem.

- Dlatego, że nigdy nie będę mógł otworzyć okna, żeby cię nie przestraszyć! - wyjaśnił wtórując jej śmiechem.

Chwilę siedziała w milczeniu. A potem odezwała się bardzo cichutko z głową pochyloną nad robótką:

- Jeżeli jesteś szczęśliwy, to nigdy się nie boję.

- Och, moja droga. Nigdy nie będę się czuł szczęśliwy, jeśli nie wolno mi będzie otwierać okien!

- W taką pogodę? - zaprotestowała; z westchnieniem ukrył głowę w książce.

Minęło sześć czy siedem dni. Archer nie miał wiadomości o hrabinie i zdawał

sobie sprawę, że żaden z członków rodziny nie wspomni jej imienia w jego obecności. Nie usiłował się z nią zobaczyć. Byłoby to zresztą prawie niemożliwe teraz, gdy czuwała przy strzeżonym łożu starej Katarzyny. W tej niepewnej sytuacji z całą świadomością pozwalał sobie na dryfowanie tuż pod powierzchnią własnych myśli, których rozwiązanie znalazł w ową mroźną noc, kiedy wychylił się z okna biblioteki. Postanowienie było tak silne, że mógł teraz spokojnie czekać i nie dawać żadnego znaku.

Wreszcie pewnego dnia May oznajmiła mu, że pani Mansonowa Mingott prosiła, żeby do niej przyjechał.

Nie było nic dziwnego w tym życzeniu, ponieważ stara dama powoli wracała do zdrowia i zawsze otwarcie powiadała, że woli Archera od innych swoich wnuków. May przekazała tę wiadomość z widoczną przyjemnością. Była dumna, że stara Katarzyna faworyzuje jej męża.

Po dłuższej chwili milczenia Archer poczuł się w obowiązku odpowiedzieć:

- Doskonale. Czy moglibyśmy pojechać razem dzisiaj po południu?

Twarz jego żony rozjaśniła się, lecz natychmiast odpowiedziała:

- Och, lepiej pojedź sam. Babcia nudzi się oglądając zbyt często te same twarze.

Serce Archera biło jak oszalałe, gdy naciskał dzwonek u drzwi pani Mingott.

Ponad wszystko w świecie chciał pojechać sam, był bowiem pewien, że podczas tej wizyty będzie mógł zamienić na osobności chociaż słowo z hrabiną Olenską. Postanowił czekać, aż okazja sama się nadarzy, i rzeczywiście tak się stało, i teraz oto stoi na progu jej domu. Za tymi drzwiami, za zasłonami pokoju wybitego żółtym adamaszkiem, znajdującego się obok hallu, z pewnością hrabina czeka na niego. W następnej chwili zobaczy ją i będzie mógł do niej przemówić, zanim poprowadzi go do pokoju chorej.

Pragnął tylko zadać jej jedno pytanie. Potem już będzie się zachowywał nienagannie. Chciał ją po prostu spytać o datę jej powrotu do Waszyngtonu.

A jeżeli nie zechce mu powiedzieć?...

Jednakże w żółtym saloniku czekała na niego pokojówka Mulatka. Jej zęby lśniły jak klawiatura fortepianu, popchnęła drzwi wahadłowe i wprowadziła go przed oblicze starej Katarzyny.

Siedziała w stojącym obok łóżka obszernym fotelu niczym na tronie. Tuż przy niej postawiono stoliczek mahoniowy z lampą z lanego brązu o rzeźbionej podstawie, na której chwiały się zielony papierowy abażur. Nie widać było w pobliżu ani książek, ani gazet, ani też żadnego śladu jakiegokolwiek kobiecego robótka. Jedyną jej rozrywkę stanowiła rozmowa i nie znosiła udawać, że się interesuje robótkami ręcznymi.

Archer nie zauważył nawet najbliższego śladu po przebyciu ataku. Wydawała się tylko bledsza, a cienie w fałdach jej otyłego ciała jakby się pogłębiły. W swoim czepeczku domowym przybranym riuszką, zawiązanym na sztywną kokardkę między pierwszym a drugim podbródkiem, w obszernym fioletowym szlafroku i narzuconej muślinowej chusteczce zdawała się przypominać swoją własną prababkę, która najwyraźniej zbyt swobodnie oddawała się przyjemnościom stołu.

Wyciągnęła swą małą rączkę, która utonęła w jego przepastnej dłoni niczym malutkie stworzonko, i krzyknęła do pokojówki:

- Nie wpuszczaj nikogo! Gdyby moje córki dzwoniły, powiedz, że śpię.

Dziewczyna zniknęła i stara dama zwróciła się do wnuka:

- Mój drogi, czy nie wydają ci się wyjątkowo ohydna? - spytała wesoło, błędząc gorączkowo ręką w poszukiwaniu fałdów muślinu na swojej wydatnej piersi. - Córki powiedziały, że w moim wieku to nie ma znaczenia, jak gdyby ohyda nie nabierała tym większego znaczenia, im usilniej pragnie się ukryć!

- Droga babciu, wyglądasz ładniej niż kiedykolwiek! - Archer odpowiedział tym samym tonem. A ona odchyliwszy głowę do tyłu roześmiała się.

- O, ale nie tak ładnie jak Ellen! - wypaliła mrugając do niego złośliwie okiem. Nim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Czy była też tak piekielnie ładna tamtego dnia, kiedy ją porwał z promu?

Roześmiał się, a ona ciągnęła dalej:

- Czy powiedziałeś jej to i dlatego wysadziła cię po drodze? W czasach mojej młodości młody człowiek nie porzucał pięknych kobiet, chyba że one tego chciały! - Znów zachichotała; przerwała, by powiedzieć trochę zrzędnie: - Szkoda, że nie poślubiła ciebie.

Zawsze jej to mówiłam. Oszczędziłoby mi to tych wszystkich zmartwień. Ale kto kiedykolwiek myśli o oszczędzaniu swej babce zmartwień!

Archer zastanawiał się, czy aby choroba nie zmaćła jej władz umysłowych.

I raptem zaczęła mówić:

- To, w każdym razie jest już ustalone. Zostaje ze mną, cokolwiek na to powie reszta rodziny! Przedtem nie zostałaby tutaj ani pięciu minut, nawet gdybym ją błagała o to na klęczkach - ale przecież już od dwudziestu lat nie mogę dojrzeć podłogi.

Archer słuchał w milczeniu, a ona ciągnęła dalej: - Przekonywali mnie, jak ci bez wątpienia wiadomo tłumaczyli, Lowell, Letterblair i Augusta Welland, i ta cała ich reszta, że nie wolno mi ustępować, i muszę cofnąć jej rentę, póki nie zrozumie, że jej obowiązkiem jest wrócić do Olenskiego.

Myśleli, że przekonają mnie, kiedy ten sekretarz czy kimkolwiek pan jest, przybył z nowymi propozycjami. Przyznaję, że były to uczciwe propozycje.

Mimo wszystko małżeństwo to małżeństwo, a pieniądze to pieniądze... na swój sposób obie rzeczy pożyteczne... i nie wiedziałam, co odpowiedzieć... - Przerwała i wciągnęła głęboko oddech, jak gdyby mówienie stało się dla niej wysiłkiem. - Lecz w momencie gdy ją ujrzałam, powiedziałam: „Ty słodka ptaszyno! Zamknąć ciebie ponownie w tej klatce? Nigdy!” I teraz jest już ustalone, że zatrzyma się tutaj i będzie pielęgnować swoją babcię, dopóki nie zamknę oczu. Nie jest to najweselsza perspektywa, ale dla niej to nie ma znaczenia. I oczywiście powiedziałam Letterblairowi, że należy jej dać odpowiednią rentę.

Młody człowiek słuchał tego w milczeniu. W swoim pomieszeniu nie bardzo wiedział, czy jej wieści niosą radość, czy ból. Powziął już nieodwołalną decyzję, co do przeprowadzenia swego zamierzenia, tak że przez chwilę nie potrafił zebrać myśli. Jednakże stopniowo opanowało go rozkoszne poczucie ustępujących trudności i zarysowujących się cudownych perspektyw. Skoro Ellen zgodziła się przyjechać i zamieszkać ze swoją babką, zrobiła to bez wątpienia tylko dlatego, że zrozumiała, iż nie może o nim zapomnieć. Taka była jej odpowiedź na ostatnie jego nalegania; skoro nie chciała zrobić zdecydowanego kroku, postanowiła uciec się do półśrodków. Pograżył się

znów w myślach z bezgraniczną ulgą człowieka, który gotów był zaryzykować wszystko i nagle zaczyna rozsmakowywać się w niebezpiecznej słodczy spokoju.

- Nie mogła wrócić... to było niemożliwe! - wykrzyknął.

- Ach, mój drogi, zawsze wiedziałam że jesteś po jej stronie. I właśnie dlatego posłałam dzisiaj po ciebie i powiedziałam twojej ślicznej żoneczce, gdy zaproponowała, że przyjedzie z tobą: „Nie, moja kochana, umieram z pragnienia, by zobaczyć Newlanda, i nie życzę sobie, by ktokolwiek dzielił naszą radość”. Widzisz więc, mój drogi - odchyliła głowę do tyłu na tyle, na ile pozwalały, na to uwięzione we wstążki podbródki, i spojrzała mu prosto w oczy, - widzisz, będziemy jednak mieli wojnę. Rodzina nie chce jej tutaj i będą twierdzili, że dlatego udało jej się mnie namówić, bo jestem starą, chorą i słabą kobietą. Ale nic czuję się jeszcze na siłach, by walczyć z nimi, z każdym z osobna, i ty będziesz musiał zrobić to za mnie.

- Ja? - wyjąkał.

- Ty. Czemu nie? - zwróciła się nagle ku niemu, jej okrągłe oczy stały się ostre jak sztylety. Oderwała dłoń od oparcia fotela i położyła na jego ręce, zaciskając swe małe palce zakończone paznokciami przypominającymi ptasie szpony. - Czemu nie? - powtórzyła wpatrując się w niego badawczo.

Archer, pod naciskiem jej spojrzenia, odzyskał panowanie nad sobą.

- Och, ja się nie liczę... Zbyt mało znaczę.

- Jesteś współnikiem pana Letterblaira, tak czy nie? Możesz trafić do nich przez Letterblaira. Póki masz powód - nalegała.

- O, moja kochana babciu, zapewniam cię, że potrafisz sobie dać z nimi wszystkimi radę bez mojej pomocy. Ale jeśli będziesz jej potrzebowała, jestem do usług - zapewnił ją.

- A więc jesteśmy ocaleni! - westchnęła. I uśmiechając się do niego ze swą wrodzoną chytrąścią dodała, gdy umościła już głowę wśród poduszek: - Wiedziałam zawsze, że nas wesprzesz, bo oni nigdy nie wymieniali ciebie, gdy mówili o tym, że jej obowiązkiem jest wrócić do domu.

Wzdrygnął się z lekka na tę jej przerażającą przenikliwość i pragnął zapytać: „A

May, czy ją wspominają?” - lecz doszedł do wniosku, że bezpieczniej jest nie zadawać tego pytania.

- A co do Madame Olenskiej, to kiedy mogę ją zobaczyć? - spytał.

Stara dama zachichotała, przymykając powieki, i prowadziła dalej swą filuterną pantomimę. - Nie dzisiaj. Proszę cię, w odpowiednim czasie.

Madame Olenska wyjechała.

Zarumienił się z doznanego zawodu, a ona ciągnęła dalej:

- Wyjechała, moje dziecko... moim powozem by zobaczyć się z Regimą Beaufort.

Oznajmiwszy to zrobiła pauzę, by wywołać: odpowiedni efekt.

- Już tak mnie zawojowała. Zaraz, tego samego dnia po przyjeździe, włożyła swój najlepszy czepeczek i powiedziała mi zupełnie spokojnie, że zamierza odwiedzić Regimą Beaufort. „Nie znam jej. Kto to jest?” - pytam.

„Ona jest moją cioteczną wnuczką i najniezwyklejszą z kobiet” - powiada.

„Jest żoną łotra” - ja na to. „No cóż, ja też jestem, a jednak cała rodzina chce, żebym do niego wróciła”. Tak mnie tym zaskoczyła, że się zgodziłam. I dzisiaj też powiedziała mi, że zanadto pada, by iść pieszo, i chce mnie prosić o pożyczenie powozu. „Po co?” - spytałam. A ona na to: „By odwiedzić kuzynkę Regimą... „Kuzynkę! No więc, mój drogi, spoglądam przez okno i widzę, że nawet kropelka nie spadła. Ale zrozumiałam ją i pozwoliłam jej wziąć powóz... Mimo wszystko Regina to dzielna kobieta, tak samo jak ona. A ja zawsze ponad wszystko przedkładałam odwagę.

Archer pochylił się i przycisnął usta do małej dłoni, ciągle jeszcze spoczywającej na jego ręce.

- Ech, ech, ech! A myślisz pewnie, że całujesz czyjąś inną dłoń, młody człowieku... mam nadzieję, że własnej żony? - stara dama wysapała z właściwym sobie kpiącym chichotem. Kiedy już wychodził, zawołała za nim: - Ucałuj ją od jej babci! Ale nie mów lepiej nic o naszej rozmowie.

XXXI

Archer był jak ogłuszony wiadomościami, które przekazała mu stara Katarzyna. To, że Madame Olenska pośpieszyła z Waszyngtonu na wezwanie swej babki, było naturalne, ale że decyduje się na pozostanie pod jej dachem - zwłaszcza teraz, gdy pani Mingott prawie doszła już do zdrowia - niełatwo dawało się wytłumaczyć.

Archer był pewny, że na decyzję Madame Olenskiej nie miała wpływu zmiana w jej sytuacji finansowej. Znał dokładną cyfrę tej niewielkiej sumki, jaką mąż przyznał jej po separacji. Bez dodatkowej renty od babki wystarczyłoby, żeby przetrwać, jak to zwykli określać Mingottowie. Ale teraz, kiedy Medora Manson, która dzieliła z nią życie, była zrujnowana, taka drobna kwota mogłaby starczyć zaledwie na ubranie i wyżywienie tych dwu kobiet. Niemniej Archer był przekonany, że Madame Olenska przyjęła propozycję swej babki nie z interesownych pobudek.

Posiadała tę beztroską hojność i spontaniczną rozrzutność ludzi przyzwyczajonych do wielkich pieniędzy i nie przywiązujących do nich wagi.

Lecz mogła obywać się bez wielu rzeczy, które jej krewni uważali za niezbędne, a często słyszano, jak pani Lovellowa Mingott i pani Welland ubolewały, że ktoś, kto korzystał z kosmopolitycznych luksusów w majątkach hrabiego Olenskiego, niewiele dba o to, „skąd się one wzięły”. Co więcej, wiadomo było Archerowi, że upłynęło już kilka miesięcy, jak obcięto jej dotację finansową. Tymczasem hrabina nie poczyniła żadnych kroków, by odzyskać łaski swe babki. Dlatego teraz, skoro zmieniła swe postępowanie, musiało to być podyktowane innymi względami.

Nie potrzebował daleko szukać. Gdy wracali z promu, powiedziała mu, że muszą oboje trzymać się od siebie z daleka. Ale wyznała to z głową ukrytą na jego piersi. Wiedział, że w jej słowach nie było wystudiowanej kokieterii. Walczyła o swój los, tak jak on walczył o swój, i trzymała się kurczowo swego postanowienia, że nie mogą zawieść ludzi, którzy im ufają.

Lecz w ciągu tych dziesięciu dni, które upłynęły od jej powrotu do Nowego Jorku, prawdopodobnie nie domyśliła się z jego milczenia i z faktu, że nie poczynił żadnych kroków, by się z nią zobaczyć, iż podjął decyzję, z której się już nie może cofnąć. Musiał

ją zapewne chwycić nagły strach wobec własnej słabości i przekonała się, że mimo wszystko lepiej jest przyjąć kompromis, naturalny w takich przypadkach, i pójść po najmniejszej linii oporu.

Przed godziną, gdy dzwonił do drzwi pani Mingott, Archerowi zdawało się, że droga przed nim rysuje się jasno. Chciał zamienić słowo z Madame Olenską, a potem dowiedzieć się od jej babki, którego dnia i który, z pociągiem wraca do Waszyngtonu. Zamierzał przyłączyć się do niej w pociągu i pojechać razem do Waszyngtonu czy też o wiele dalej, jeśli ona się tylko zgodzi. (Chociażby do Japonii.) W każdym razie powinna wiedzieć jedno, że gdziekolwiek się uda, tam on też pojedzie. Miał zamiar zostawić list do May, który wykluczyłby jakąkolwiek zmianę planu.

Doszedł do wniosku, że nie tylko jest do tego zdolny, ale ma na to wielką ochotę. Niemniej jego pierwszym uczuciem po usłyszeniu, że sprawy przybrały inny obrót, było uczucie ulgi. Jednakże teraz, gdy wracał od pani Mingott do domu, zdawał sobie sprawę, jak narasta w nim uczucie niechęci wobec perspektyw, jakie się przed nim rozciągały. Na drodze, którą już przypuszczalnie będzie kroczył, nie było nic nieznanego ani niezwykłego.

Lecz przedtem stapał po niej jako człowiek wolny, który nie musiał się przed nikim opowiadać ze swoich uczynków i mógł pozwolić sobie z niezależną niefrasobliwością na grę polegającą na stosowaniu środków ostrożności, drobnych kłamstewek, zatajaniu prawdy i uległości, których wymagała owa gra. Takie postępowanie nazywało się „chronieniem honoru kobiety”. A odpowiednia lektura, w połączeniu z poobiednimi rozmowami starszych, od dawna już wtajemniczyła go w każdy szczegół owego kodu.

Obecnie zobaczył tę sprawę w nowym świetle i jego rola wydała mu się osobiście pomniejszona. Faktycznie, stało się tak samo jak wówczas, gdy ze skrywaną obojętnością obserwował grę pani Thorleyowej Rushworth wobec rozkochanego i niespostrzegawczego małżonka. Było to kłamstwo - pogodne, żartobliwe pełne humoru i czujności nieustające kłamstwo. Kłamstwo w dzień, kłamstwo w nocy, kłamstwo przy każdym dotyku i spojrzeniu; kłamstwo w każdej pieśczoście i każdej kłótni; kłamstwo w każdym słowie i każdym milczeniu.

Ogółem biorąc było łatwiej i mniej nikczemnie grać kobiecie taką rolę wobec męża. Kobięcy miernik prawdomówności utrzymywał się niżej skali, za cichym powszechnym przyzwoleniem. Kobieta była tematem twórców, opiewana wierszem przez swych niewolników. Poza tym mogła zawsze usprawiedliwiać się humorami i stanem nerwów, a prawo było zawsze bardzo tolerancyjne. I nawet w najbardziej hermetycznych społecznościach mąż zawsze był obiektem śmiechu.

W małym światku Archera nikt nie śmiał się z okłamywanej żony, a z oczywistą pogardą traktował mężczyzn, którzy kontynuowali swe miłości po ślubie. W plodozmianie przewiduje się porę na czczy owies. Ale można go siać tylko raz.

Archer zawsze podzielał ten punkt widzenia. W głębi serca uważał Leffertsza za godnego pogardy. Jednakże kochać Ellen Olenska to nie znaczy stać się człowiekiem takim jak Lefferts. Po raz pierwszy Archer znalazł się twarzą w twarz wobec tak straszego problemu, jednakże dość szczególnej natury. Ellen Olenska nie była podobna do żadnej innej kobiety, tak jak on do żadnego innego mężczyzny. Dlatego też ich sytuacja nie była porównywalna z niczyją inną i nie musieli odpowiadać przed żadnym trybunałem poza ich własnym sumieniem.

Tak, tylko że za dziesięć minut będzie wchodził na schodki swego własnego domu. I będzie tam May i zwyczaj, i honor, i wszystkie te stare zasady przyzwoitości, w które zarówno on jak i wszyscy z jego otoczenia zawsze wierzyli...

Na rogu ulicy zawahał się, a potem poszedł wolno Piątą Aleją.

Wśród mroźnej nocy majaczył przed nim nieoświetlony dom. Gdy się doń zbliżył, przypomniał sobie, jak często widział go, rozjarzonego światłami, schody ocienione markizą i wyłożone dywanami, a powozy stały w dwóch rzędach oczekując tylko na sygnał, by podjechać do krawężnika. To właśnie w oranżerii, która rozłożyła swe martwo - ponure cielsko na bocznej uliczce, otrzymał od May pierwszy pocałunek. Ujrzał ją wśród miriad świateł, gdy wchodziła do sali balowej, wysoka i srebrzyście jaśniejąca niczym Diana.

Teraz dom był ciemny niczym grób, poza nikłym płomykiem gazowym w suterenie

i światłem w którymś z pokoi na górze, gdzie nie spuszczone jeszcze zasłon. Gdy Archer doszedł do rogu ulicy, zobaczył, że powóz pani Mansonowej Mingott stoi przed drzwiami. Cóż to byłaby za gratka dla Sillertona Jacksona, gdyby zdarzyło mu się tędy przejeżdżać. Archer był głęboko poruszony widząc, jak bardzo stara Katarzyna liczy się z hrabiny stosunkiem do pani Beaufort. Stanowiło to sprawiedliwe potępienie Nowego Jorku który zdawał się jakby przechodzić na inną stronę. Lecz Archer doskonale wiedział, jak będą sobie tłumaczyć w klubach i salonach wizyty Ellen Olenskiej u swej kuzynki.

Zatrzymał się i spojrzał w górę na oświetlone okno. Nie było wątpliwości, w pokoju siedziały dwie kobiety. Beaufort najprawdopodobniej gdzie indziej szukał pociechy. Chodziły nawet słuchy, że opuścił Nowy Jork z Fanny Ring.

Lecz zachowanie pani Beaufort zdawało się przeczyć tym pogłoskom.

Archer miał teraz nocną perspektywę Piątej Alei nieomal wyłącznie dla siebie. O tej porze większość mieszkańców jest już w domach, przebiera się do kolacji. Cieszył się w duchu, że jak Ellen będzie wychodziła, może nikt jej nie zauważy. Ledwie o tym pomyślał, gdy drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Ellen. Stała na tle słabego światła, tak jakby ktoś niósł je po schodach, wskazując jej drogę. Hrabina odwróciła się, jakby coś mówiła.

Potem drzwi zamknęły się a ona zeszła po schodkach.

- Ellen - powiedział cicho, gdy stanęła na chodniku.

Zatrzymała się z nieznacznym wahaniem i prawie w tej samej chwili pojawili się dwaj modnie ubrani młodzi ludzie. Ich płaszcze i eleganckie jedwabne szaliki przewiązane na białych krawatach wydały mu się znajome.

Dziwił się tylko, że tego rodzaju młodzieńcy jadają kolację poza domem o tak wczesnej porze. Potem przypomniał sobie, że Chiversowie, których dom stał niedaleko, wydają wielkie przyjęcie tego wieczoru z okazji występu Adelaidy Neilson w „Romeo i Julii”, i domyślił się, że ci dwaj należą do zaproszonych gości. Kiedy przechodzili koło latarni rozpoznał Lawrence'a Lefferts'a i młodego Chiversa.

Ciche pragnienie, by Madame Olenska nie była widziana przed domem Beaufortów, zniknęło, gdy poczuł przenikliwe ciepło jej dłoni.

- Teraz będę cię oglądał... będziemy razem! - wybuchnął, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

- Ach - odparła - to babcia ci powiedziała?

Gdy tak na nią patrzył, jednocześnie uświadomił sobie, że Lefferts i Chivers, doszedłszy do rogu ulicy, przemknęli niespostrzeżenie przez Piątą Aleję... Była to jakaś męska solidarność, którą on sam często stosował.

Teraz aż wzdrygnął się widząc to ich ciche poparcie. Czy ona naprawdę wyobraża sobie, że mogą żyć w ten sposób? A jeżeli nie, to co sobie w ogóle wyobraża?

- Muszę się z tubą widzieć jutro... gdzieś, gdzie będziemy mogli być sami - powiedział głosem, który jemu samemu wydał się zagniewany. Pomachała mu ręką i skierowała się w stronę powozu.

- Ale będę u babci... na razie... - dodała, jak gdyby zdawała sobie sprawę, że zmiana jej planów wymaga jakiegoś wyjaśnienia.

- W takim miejscu, w którym moglibyśmy być sami - nalegał.

Jej cichy śmiech zabrzmiał w jego uszach jak zgrzyt.

- W Nowym Jorku? Ależ tu nie ma kościołów... ani mauzoleów.

- Jest muzeum... W parku - tłumaczył; wyglądała na zakłopotaną. - O wpół do trzeciej. Będę czekał przy wejściu...

Odwróciła się bez słowa i wsiadła pośpiesznie do powozu. Gdy powóz ruszył, wychyliła się do przodu i miał wrażenie, jakby pomachała mu ręką w ciemnościach. Patrzył na nią pełen sprzecznych uczuć. Zdawało mu się, że rozmawiał nie z kobietą kochaną, lecz z całkiem inną, wobec której ma jakieś zobowiązania, ale którą już się znudził. Nie cierpiał siebie za to, że staje się niewolnikiem takich wyświechtanych słów.

Na pewno przyjdzie! - powiedział do siebie niemal ze wzgardą.

Unikając popularnej „Kolekcji Wolfe'a”, której anegdotyczne płótna zapełniły jedną z głównych galerii tej ekscentrycznej pustyni złożonej z żeliwa i glazurowanych kolorowych kafelków, a znanej pod nazwą Metropolitan Museum, zawędrowali korytarzem do sali, w której murszały „antyki Cesnoli” w samotności i odosobnieniu.

Mając tylko dla siebie to pełne melancholii zacisze siedzieli na kanapce stojącej

przed kaloryferem i spoglądali w milczeniu na oszklone szafy z hebanowego drzewa, które zawierały odkopane fragmenty rzymskiego Ilium.

- To dziwne - odezwała się Madame Olenska.

Nigdy przedtem nie przychodziłam tutaj.

- No cóż... Sądzę, że kiedyś będzie to wielkie muzeum.

- Zapewne - przyznała z roztargnieniem.

Wstała i zaczęła krążyć po sali. Archer obserwował lekkie ruchy jej postaci, tak dziewczęcej nawet w ciężkim futrze, w futrzanej czapeczce, przybranej czaplim piórem; jej ciemne loki, upięte nad uszami, przypominały gładkie pnącza winorośli. Jego umysł, jak zawsze, od czasu ich pierwszego spotkania, był całkowicie pochłonięty owymi rozkosznymi szczegółami, które czyniły ją taką, a nie inną. Wreszcie podniósł się i stanął obok niej przed szafą. Oszklone półki zapełniły małe potłuczone przedmioty, w których nie łatwo było rozpoznać domowe naczynia, ozdoby i osobiste drobiazgi - ze szkła, gliny, brązu i innego strawionego przez czas tworzywa.

- Jakież to okrutne - powiedział - że w miarę upływu lat wszystko traci znaczenie... podobnie jak te drobiazgi, użyteczne i potrzebne, i ważne dla jakichś zapomnianych już ludzi, które teraz trzeba rozpoznawać pod szkłem powiększającym i opatrywać etykietką: „Zastosowanie nieznane”.

- Tak, ale tymczasem...

- Ach tymczasem...

Gdy tak stała w długim selskinowym płaszczu, z rękoma w maleńkiej okrągłej mufce, w woalce niczym przejrzystej masce, sięgającej jej czubka nosa, i z bukietem fiołków, które jej ofiarował, a które kołysały się na jej piersi poruszane przyśpieszonym oddechem - wydawało się wprost nieprawdopodobne, by ta przeczysta harmonia linii i barw mogła kiedykolwiek podlegać prawom zmienności.

- Tymczasem wszystko się liczy... wszystko, co dotyczy ciebie - powiedział.

Spojrzała na niego w zamyśleniu i skierowała się w stronę kanapki. Usiadł przy niej i czekał. Nagle usłyszał odgłos kroków gdzieś daleko w pustych salach i zdał sobie sprawę, że czas ucieka.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - spytała, jakby ona też została ostrzeżona.

- Co chciałem ci powiedzieć? - powtórzył. - Chyba to, iż według mnie przyjechałaś do Nowego Jorku dlatego, że się bałaś.

- Bałam?

- Że przyjadę do Waszyngtonu.

Opuściła wzrok na mufkę i spostrzegł, że dłonie jej poruszyły się niespokojnie.

- Czyż nie tak?...

- No cóż... - tak... - odparła.

- Bałaś się? Wiedziałaś?

- Wiedziałam.

- A więc? - nalegał.

- A więc, tak jest lepiej, nieprawdaż? - powiedziała westchnąwszy przeciągle.

- Lepiej... ?

- Będziemy siebie mniej ranić. Czyż w gruncie rzeczy nie tego właśnie chciałeś?

- Masz na myśli to, żeby mieć ciebie tutaj, w zasięgu ręki, a jednak nieosiągalną?

Spotykać cię w ten sposób, potajemnie? Nie tego chciałem.

Powiedziałem ci tamtego dnia, czego pragnę.

Zawahała się.

- I w dalszym ciągu myślisz, że jest to... gorsze?

- Po tysiącokroć razy! - przerwał. - Mógłbym ci z łatwością skłamać. Lecz prawdę powiedziawszy czuję do tego wstręt.

- Och, ja też! - wykrzyknęła westchnąwszy z głęboką ulgą.

Poderwał się z miejsca niecierpliwie.

- No, a teraz moja kolej na pytania. Co ty, na miłość boską, uważasz za lepsze?

Zwiesiła głowę i nieustannie zaciskała i rozwierała dłonie ukryte w mufce. Kroki przybliżyły się i strażnik w czapce z otokiem przemknął przez salę bezszelestnie niczym duch błakający się po cmentarzu. Utkwili nieruchomy wzrok w szafie stojącej naprzeciwko, a kiedy urzędowa postać zniknęła wśród mumii i sarkofagów, Archer znów zapytał:

- Co uważasz za lepsze?

Zamiast odpowiedzieć, szepnęła:

- Obiecałam babci, że z nią zostanę, ponieważ wydawało mi się, że tutaj będę bezpieczniejsza.

- Przede mną?

Pochyliła głowę, nie patrząc na niego.

- Bezpieczniejsza przed miłością do mnie?

Jej profil nie drgnął, lecz Archer zauważył, jak łza spłynęła z jej rzęs i zatrzymała się w gąszczu woalki.

- Bezpieczniejsza przed zrobieniem niepowetowanej krzywdy. Nie pozwól, żebyśmy się stali tacy, jak wszyscy inni! - zaprotestowała.

- Jacy inni? Nie udaję, że jestem inny od swego gatunku. Trawią mnie te same pragnienia i te same tęsknoty.

Spojrzała na niego z przestraszeniem i spostrzegł, jak jej policzki pokrywa lekki rumieniec.

- Czy mogę... mogę kiedyś przyjść do ciebie? A potem pojechać do domu? - zaryzykowała nagle pytanie cichym, czystym głosem.

Krew uderzyła młodemu człowiekowi do skroni.

- Najdroższa! - wykrzyknął, lecz się nie poruszył. Zdawało mu się, że trzyma serce w dłoniach niczym pełną filiżankę, która przy najlżejszym ruchu może się przelać.

I raptem do jego świadomości dotarły jej ostatnie słowa i twarz mu spochmurniała.

- Pojechać do domu? Co masz na myśli mówiąc o jechaniu do domu?

- Do domu, do mojego męża.

- I spodziewasz się, że zgodzę się na to?

Uniosła ku niemu zatroskane spojrzenie.

- A cóż innego mi pozostaje? Nie mogę tu przebywać i okłamywać ludzi, którzy okazali mi dobroć.

- Ależ właśnie dlatego prosiłem cię, żebyśmy wyjechali!

- I zniszczyli ich życie, gdy oni pomagali mi odbudować moje?

Archer zerwał się z kanapki i stał spoglądając na nią z góry z niewysłowioną rozpaczą. Tak łatwo byłoby powiedzieć: „Oczywiście, przyjdź, przyjdź kiedyś”. Zdawał sobie sprawę, jaką siłę by złożyła w jego ręce, gdyby się zgodziła. Wtedy bez trudu mógłby ją nakłonić, żeby nie wracała do męża.

Lecz coś sprawiło, że słowa zamarły mu na ustach. Jakaś żarliwa uczciwość, która w niej tkwiła, nie pozwoliła mu na wciąganie jej w tę rodzinną pułapkę. Gdybym pozwolił jej, przyjść, musiałbym pozwolić jej znów odejść. A tego nie potrafię sobie wprost wyobrazić.

Spojrzał na cień, jaki rzucały rzęsy na jej mokry policzek, i zawahał się.

- Mimo wszystko - zaczął - życie do nas należy... nie ma sensu próbować tego, co jest niemożliwe. Jesteś tak bezkompromisowa wobec pewnych spraw, tak przyzwyczajona, jak powiadasz, do przyglądania się Gorgonie, że nie pojmuję, dlaczego się boisz spojrzeć wprost na nasz przypadek i zobaczyć go takim, jak rzeczywiście się przedstawia... chyba, że uważasz, iż nie warto czynić poświęceń.

Wstała również ze swego miejsca i zacisnąwszy usta gwałtownie zmarszczyła brwi.

- No cóż, nazywaj to, jak chcesz... ja już muszę iść - powiedziała, wyciągając z zanadru swój maleńki zegarek.

Odwróciła się, a on pośpieszył za nią i chwycił za przegub ręki.

- W takim razie... przyjdź kiedyś do mnie - rzekł odwracając raptownie głowę na myśl, że ją traci. I przez moment patrzyli na siebie niemal jak wrogowie.

- Kiedy? - nalegał. - Jutro?

Zawahała się. - Pojutrze.

- Najdroższa... - powtórzył.

Uwolniła rękę z jego uścisku. Lecz przez chwilę jeszcze nie mogli od siebie oderwać oczu i Archer zauważył, że jej twarz, tak bardzo pobladła, opromienia jakiś głęboki wewnętrzny blask. Serce jego biło z nabożną czcią, czuł, że nigdy dotąd nie widział tak jawnej miłości.

- Och, spóźnię się... do widzenia. Nie, nie idź dalej! - krzyknęła idąc spieszenie

przez długą salę, jak gdyby przeraził - ją odbijający się blask w jego oczach. Gdy doszła do drzwi, odwróciła się jeszcze, by mu pomachać na pożegnanie.

Archer sam wracał do domu. Zapadała ciemność, kiedy wchodził do swego mieszkania. Rozejrzył się po znajomych przedmiotach znajdujących się w hallu, jak gdyby spoglądał na nie zza grobu.

Pokojówka słysząc jego kroki, zbiegła po schodach, by zapalić lampkę gazową na górnym podeście.

- Czy jest pani:

- Nie, proszę pana. Pani Archer wyjechała powozem po śniadaniu i jeszcze nie wróciła.

Z pewną ulgą wszedł do biblioteki i opadł na fotel. Pokojówka wniosła lampę i dorzuciła węgli na wygasający ogień w kominku. Po jej odejściu siedział wciąż nieporuszony, z łokciami wspartymi na kolanach; brodę oparł na złożonych dłoniach, a oczy utkwiał w czerwonym ruszcie kominka.

Siedział tak wyzuty z wszelkich myśli, zatraciwszy poczucie mijającego czasu, w głębokim i poważnym zadziwieniu, które zdawało się powstrzymywać pęd życia miast go przyśpieszać.

- A więc stało się to, co się miało stać - powtarzał, jakby dopełnił się nad nim wyrok losu. To, o czym marzył, było tak inne, że w tym jego uniesieniu czuło się jakiś śmiertelny chłód.

Drzwi się otworzyły i weszła May.

- Okropnie się spóźniłam. Nie martwiłeś się? - spytała kładąc dłoń na jego ramieniu i rzadką u niej pieśczętą.

Spojrzał w górę zdumiony.

- A czy jest późno?

- Po siódmej. Sądziłam, że usnąłeś. - Zaśmiała się i wyciągając z aksamitnego kapelusza szpilki rzuciła go na kanapę. Wyglądała na bledszą niż zazwyczaj, lecz tryskała niezwykłym ożywieniem.

- Pojechałam zobaczyć się z babcią i akurat, kiedy wychodziłam, Ellen wróciła ze

spaceru. Wobec tego zostałam i odbyliśmy długą rozmowę. Tak naprawdę to nie rozmawialiśmy całe lata - opadła na swój fotel, stojący na wprost jego fotela, i gładziła palcami zmierzwiłone włosy. Domyślił się, iż oczekuje od niego odpowiedzi.

- Tak szczerze sobie porozmawialiśmy - ciągnęła dalej uśmiechając się, jak się Archerowi wydało, z jakimś nienaturalnym ożywieniem. - Była taka kochana... Po prostu dawna Ellen... Boję się, że ostatnio nie byłam dla niej miła. Czasem myślałam...

Archer wstał i oparł się o kominiek, trzymając się poza zasięgiem światła padającego od lampy.

- Co myślałaś? powtórzył, gdy umilkła.

- Otóż z pewnością nie osądzałam jej właściwie. Jest taka inna... przynajmniej na zewnątrz. Przyjmuje takich dziwnych ludzi... wydaje się, że lubi zwracać na siebie uwagę. Przypuszczam, że to skutek życia, jakie wiodła wśród tych ludzi w dalekiej Europie. Bez wątplenia my wszyscy wydajemy jej się straszliwie nudni. Lecz nie chciałabym osądzać jej niewłaściwie.

Umilkła znowu trochę zadyszana, nieprzyzwyczajona do tak długiej oracji; siedziała z lekko rozchylonymi ustami, a policzki jej pokryły się głębokim rumieńcem.

Archer, gdy tak teraz na nią patrzył, przypomniał sobie jej zaróżowioną twarz w ogrodzie misyjnym w St. Augustine. Zdał sobie sprawę, że i tym razem zdobywa się na jakiś niejasny wysiłek sięgając po coś, co znajduje się poza zasięgiem jego wyobraźni.

Ona nienawidzi Ellen - pomyślał - i usiłuje przezwyciężyć to uczucie i pozyskać mnie, bym jej w tym dopomógł.

Myśl ta wstrząsnęła nim i przez chwilę miał zamiar przerwać panujące między nimi milczenie i zdać się na jej łaskę.

- Chyba rozumiesz - mówiła dalej - dlaczego rodzina czasami była taka strapiona? Początkowo robiliśmy dla niej wszystko, co było w naszej mocy.

Ale ona chyba nigdy tego nie rozumiała. A teraz ten pomysł, żeby jechać w odwiedziny do pani Beaufort i to powozem babci! Obawiam się, że całkiem zraziła tym van der Luydenów.

- Ach! - Archer zaśmiał się niecierpliwie. Otwarte drzwi znów zatrzęsnęły się

pomiędzy nimi.

- Już czas się ubierać. Nie jemy obiadu w domu, prawda? - spytał odchodząc od ognia.

May również się podniosła, lecz zatrzymała się przy kominku. Kiedy przechodził obok, zrobiła gwałtowny ruch do przodu, jakby chciała go zatrzymać. Oczy ich się spotkały i zauważył, że w jej spojrzeniu jest taki sam głęboki błękit, jak wtedy, gdy zostawiał ją, by pojechać do Jersey City.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła policzek do jego twarzy.

- Nie pocałowałeś mnie dzisiaj - szepnęła.

Poczuł, jak drży w jego objęciach.

XXXII

- W Tuileries - powiedział pan Sillerton Jackson z tym swoim pełnym zadumy uśmiechem - takie rzeczy były całkiem otwarcie tolerowane.

Scenę stanowiła jadalnia van der Luydenów na Madison Avenue, umeblowana czarnym orzechem, następnego wieczoru po wizycie Archera w Muzeum Sztuki.

Państwo van der Luyden przybyli pośpiesznie ze Skuytercliff na kilka dni do miasta otrzymawszy wiadomość o bankructwie Beaufortów. Dano im do zrozumienia, że niepokój, w jaki popadło towarzystwo na skutek tego godnego ubolewania wypadku, wymaga wyjątkowo, jak chyba nigdy dotąd, ich obecności w mieście. Była to właśnie jedna z takich okazji, jak zapewniła pani Archer, kiedy to „winni są towarzystwu”, by pokazać się w Operze, a nawet otworzyć drzwi własnego domu.

- Nigdy, moja droga Louiso, nie należy takim ludziom jak pani Lemuelowa Struthers pozwolić myśleć, że mogliby zająć miejsce Reginy. I to akurat w takim czasie, kiedy nowi ludzie forują się do przodu i zajmują różne stanowiska. A wszystko to należy zawdzięczać epidemii ospy wietrznej w Nowym Jorku tej zimy, kiedy pani Struthers zjawiła się po raz pierwszy i kiedy żonaci mężczyźni wślizgiwali się do jej domu, podczas gdy ich żony przesiadywały w pokojach dziecinnych. Ty i drogi Henry, Louiso, musicie jak zawsze przyjść nam z pomocą.

Państwo van der Luyden nie mogli pozostać głusi na takie wezwanie i aczkolwiek niechętnie, lecz pełni bohaterstwa przybyli do miasta, zdjęli pokrowce z mebli i rozestali zaproszenia na dwa obiady i jedno wieczorne przyjęcie.

Tego właśnie wieczora zaprosili Jacksona, panią Archer i Newlanda z żoną, by udali się z nimi do Opery, gdzie po raz pierwszy tej zimy wystawiano „Fausta”. Pod dachem van der Luydenów wszystko zawsze odbywało się wedle ustalonego ceremoniału i chociaż była zaledwie czworo gości, posiłek zaczął się punktualnie o siódmej, tak że dania można było podawać bez pośpiechu, a panowie jeszcze mieli czas, by wypalić swoje cygara.

Archer nie widział żony od poprzedniego wieczora. Wyszedł wcześniej do biura, gdzie pograżył się w stosie nagromadzonych małoważnych spraw. Po południu

niespodziewanie wezwał go jeden ze starszych wspólników, tak że przyjechał do domu dosyć późno i May wyruszyła już, nie czekając, do van der Luydenów, tylko odesłała po niego powóz.

Teraz, oddzielona pękiem goździków ze Skuytercliff w okazałym wazonie, wydała mu się jakaś blada i apatyczna. Lecz oczy jej błyszczały i rozmawiała z przesadnym ożywieniem.

To właśnie temat, który podjęła ich gospodyni (Archer nie przypuszczał, żeby bezcelowo), przywołał na usta pana Jacksona jego ulubioną aluzję.

Bankructwo Beauforta albo raczej postawa Beauforta od czasu bankructwa stanowiły nadal wdzięczny temat dla moralistów salonowych. A kiedy już został dokładnie rozpatrzony i skomentowany, pani van der Luyden zwróciła swe pełne skrupułów spojrzenie na May Archer.

- Czy to możliwe, moja droga, żeby to, co usłyszałam, było prawdą?

Mówiono mi, iż widziano powóz twojej babki stojący przed domem pani Beaufort. - Godny zauważenia był fakt, że nie nazwała już owej potępionej damy po imieniu.

May poczerwieniała i pani Archer wtrąciła pośpiesznie:

- Jeżeli nawet tak było, jestem przekonana, iż stało się to bez wiedzy pani Mingott.

- Och, sądzisz, że... ? - pani van der Luyden przerwała, westchnęła i spojrzała na małżonka.

- Obawiam się - powiedział pan van der Luyden - że tylko dobre serce Madame Olenskiej mogło doprowadzić ją do tak nierozważnego kroku, jakim było złożenie wizyty pani Beaufort.

- I to jej gustowanie w dziwacznych ludziach - wtrąciła pani Archer suchym tonem, podczas gdy oczy jej patrzyły niewinnie w oczy syna.

- Przykro mi myśleć tak o Madame Olenskiej - powiedziała pani van der Luyden a pani Archer szepnęła:

- Ach, moja droga... i to po tym, jak gościłaś ją dwukrotnie w Skuytercliff!

W tym momencie pan Jackson dostrzegł szansę wtrącenia swojej ulubionej aluzji.

- W Tuileries - powtórzył widząc, że oczy zebranych zwracają się ku niemu

wyczekująco - zbyt swobodne obyczaje są pod pewnym względem wzorcem. Bo gdybyście spytali, skąd pochodzą pieniądze Morny'ego... ! Albo kto płacił długi pewnych dworskich piękności...

- Mam nadzieję, drogi Sillertonie - rzekła pani Archer - że nie sugerujesz, iż powinniśmy przyswajać sobie takie wzorce?

- Nigdy nie sugerowałem - odparł pan Jackson z niewzruszonym spokojem. - Jednakże zagraniczne wychowanie Madame Olenskiej może uczyniło ją mniej drobiazgową...

- Och - westchnęły obie starsze damy.

- Żeby trzymać przed drzwiami bankruta powóz swojej babki! - oburzył się pan van der Luyden. Archer domyślał się, że zapewne przypomniał sobie i czuje się z tego powodu urażony, że posłał kosze goździków do małego domku na Dwudziestej Trzeciej ulicy.

- Oczywiście, zawsze mówiłam, że ona patrzy na pewne sprawy całkiem inaczej - podsumowała dyskusję pani Archer.

Rumieniec wypłynął na czoło May. Spoglądała poprzez stół na swego męża i odezwała się nieoczekiwanie:

- Jestem pewna, że Ellen zrobiła to z dobroci.

- Ludzie nierozważni często bywają dobrzy - orzekła pani Archer, jak gdyby ów fakt stanowił wystarczającą okoliczność łagodzącą.

Pani van der Luyden zaś szepnęła:

- Gdyby się była tylko kogoś poradziła...

- Och, tego ona nigdy nie robi! - wykrzyknęła pani Archer.

W tym momencie pan van der Luyden spojrział na swoją żonę, która z lekka skłoniła głowę w stronę pani Archer. Migocący szereg trzech dam zniknął za drzwiami. Mężczyźni tymczasem zabrali się spokojnie do wypalenia cygara.

Pan van der Luyden podawał krótkie cygara przed przedstawieniem w Operze.

Były one jednak tak dobre, że goście boleli nad nieubłaganą punktualnością swego gospodarza.

Po pierwszym akcie Archer odłączył się od towarzystwa i przeszedł do tyłu loży klubowej. Stąd ponad ramionami różnych Chiversów, Mingottów i Rushworthów obserwował taką samą scenę, jaką oglądał dwa lata temu, w wieczór pierwszego spotkania z Ellen Olenską. Miał niejasną nadzieję, że znów pojawi się w loży starej pani Mingott, lecz była nadal pusta Archer siedział nieruchomo, z oczami utkwionymi w loży, gdy nagle rozległ się czysty sopran Madame Nilsson: „M'ama non m'ama... „

Archer zwrócił się ku scenie, gdzie wśród znajomych dekoracji z olbrzymich róż i strzępiastych stokrotek ta sama blond ofiara ulegała temu samemu uwodzicielowi.

Ze sceny oczy jego przesunęły się na pierwsze rzędy krzesel w ich loży, ustawionych w kształcie podkowy, gdzie siedziała May pomiędzy dwiema starszymi damami, akurat tak samo, jak tamtego wieczora siedziała między panią Lovellową Mingott i świeżo przybyłą „cudzoziemską” kuzynką. I tak samo jak wówczas była ubrana na białą. Archer, który zwykle nie zauważał, co żona ma na sobie, teraz rozpoznał błękitno - biały atłas i starą koronkę ślubnej sukni.

W starym Nowym Jorku istniał zwyczaj, że młode mężatki pokazywały się w takich kosztownych sukniach podczas pierwszego, a nawet drugiego roku małżeństwa. Wiedział, że jego matka przechowywała swoją suknię w bibułce, łudząc się nadzieją, że pewnego dnia ubierze się w nią Janey, chociaż biedna dziewczyna osiągnęła już wiek, dla której perłowszara popelina, nie mówiąc o orszaku druhen, byłaby bardziej „stosowna”.

Archera uderzyło to, że May od ich powrotu z Europy rzadko ubierała się w swą ślubną suknię i teraz, zaskoczony jej widokiem, porównał wygląd żony z ową młodą dziewczyną, którą dwa lata temu obserwował przepelniony szczęściem oczekiwania.

Figura May stała się troszkę masywniejsza, jak to zapowiadała jej budowa bogini, lecz sportowo wyprostowana sylwetka i dziewczęcy wyraz twarzy pozostały niezmienione. Lekkie rozmarzenie, jakie ostatnio w niej zauważył, jeszcze bardziej przypominało mu ową dziewczynę, która bawiła się bukietem konwalii w wieczór swoich zaręczyn. Fakt ten zdawał się potęgować jego współczucie - bowiem niewinność tak samo wzrusza jak pełen ufności uśmiech dziecka. Potem przypomniał sobie, że pod

tym nieprzeniknionym spokojem kryje się wielka wspaniałomyślność. Pamiętał jej pełne zrozumienia spojrzenie, kiedy nalegał, żeby ich zaręczyny zostały ogłoszone na balu u Beaufortów. Słyszał jej głos, gdy mówiła w ogrodzie misyjnym: „Nie mogę pozwolić, by moje szczęście narodziło się ze zła... zła wyrządzonego komuś innemu”.

Ogarnęło go jakieś przemożne pragnienie, by wyznać jej prawdę, zdać się na wspaniałomyślność i poprosić o wolność, którą kiedyś odrzucił.

Newland Archer był spokojnym i opanowanym człowiekiem. Przystosowanie się do dyscypliny tej małej społeczności stało się niemal jego drugą naturą.

Napawała go głębokim niesmakiem myśl, że mógłby zrobić coś melodramatycznego i zwracającego uwagę, coś, czego by nie pochwalał pan van der Luyden, a potępiła łoża klubowa. Lecz nagle zapomniał o istnieniu łoża klubowej, pana van der Luydena i tego wszystkiego, co tak długo trzymało go w przytulnym kręgu obyczajów. Przeszedł przez półkolisty korytarz na tyłach budynku i otworzył drzwi łoża pani van der Luyden, jakby to były wrota ku nieznanemu.

„M'ama!” - śpiewała triumfalnie Małgorzata. Siedzący w łoży podnieśli zdziwiony wzrok na wchodzącego Archera. Złamał jedno z praw swego świata, które zakazywało wchodzenia do łoża podczas występu solowego artysty.

Prześliznąwszy się między panem van der Luydenem a Jacksonem, pochylił się nad żoną.

- Boli mnie piekielnie głowa. Nie mów nikomu, ale wracajmy do domu, dobrze? - szepnął.

May spojrzała na niego ze zrozumieniem i spostrzegł, że szepcze coś matce, która kiwa współczująco głową. Następnie cicho przeprosiła panią van der Luyden i powstała ze swego miejsca, akurat w momencie, gdy Małgorzata padła w objęcia Fausta. Archer, pomagając jej włożyć wieczorowy płaszcz, zauważył wymianę znaczących uśmiechów pomiędzy starszymi damami.

Gdy ruszyli, May położyła nieśmiało dłoń na jego rękę.

- Tak mi przykro, że się źle czujesz. Obawiam się, że znów nadmiernie obciążyli cię pracą w biurze.

- Nie, to nie dlatego. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli otworzę okno? - spytał zmieszany, opuszczając szybę po swojej stronie.

Siedział wyglądając na ulicę i mając oczy utkwione nieruchomo w mijane domy, czuł przy sobie obecność żony niczym nieme, pełne oczekiwania pytanie. Przed drzwiami ich, domu zawadziła suknią o stopień powozu i oparła się, całym ciałem o męża.

- Czy nic sobie nie zrobiłaś? - zaniepokoił się podtrzymując ją ramieniem.

- Nie, ale moja biedna sukienka... Spójrz, jak ją rozdarłam! - wykrzyknęła.

Pochyliła się, by zebrać szerokie fałdy popryskane błotem, i weszła za nim po schodkach do hallu. Służba nie spodziewała się ich tak wcześnie i tylko na górnym podeście świeciła się gazowa lampka.

Archer wszedł na schody, przykręcił knot lampy i przytknął zapalną do świeczników stojących na półce po obu stronach kominka w bibliotece.

Zasłony były zaciągnięte i przyjazne ciepło pokoju uspokoiło go, jak znajoma twarz spotkana podczas niebezpiecznej wyprawy.

Zauważył, że żona jest bardzo blada, i zaproponował, że przyniesie jej koniaku.

- Och, nie! - wykrzyknęła, raptownie rumieniąc się, gdy zdejmowała płaszcz. - Czy nie lepiej, żebyś poszedł od razu do łóżka? - dodała, kiedy otworzył srebrną szkatułkę stojącą na stole i wyjął papierosa.

Archer odłożył papieros i podszedł do swego ulubionego miejsca przy kominku.

- Nie. Z moją głową nie jest tak źle. - Przerwał.

- Lecz chciałbym ci o czymś powiedzieć. O czymś ważnym... i muszę zrobić to natychmiast.

Opadła na fotel i uniosła głowę, gdy mówił.

- Słucham, kochanie? - powiedziała to tak łagodnie, że zdumiał się jej brakiem zainteresowania po usłyszeniu takiego wstępu.

- May... - zaczął, stając przy jej fotelu i spoglądając na nią, jak gdyby dzieląca ich niewielka odległość stanowiła bezdenną otchłań. Głos jego rozległ się jakimś niesamowitym echem w domowej ciszy, kiedy powtórzył:

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć... to mnie dotyczy...

Siedziała w milczeniu nieporuszona, nawet powieka jej nie drgnęła. Ciągłe była uderzająco blada, lecz twarz jej miała ten zdumiewający spokój, który zdawał się wpływać z jakiegoś tajemniczego wewnętrznego źródła.

Archer powstrzymał zdawkowe słowa samooskarżenia, jakie cisnęły mu się na usta. Zdecydowany był wyłożyć całą sprawę wprost, bez zbędnych oskarżeń i przeprosin.

- Madame Olenska zaczął. Lecz na dźwięk tego nazwiska jego żona uniosła rękę, jakby uciszając go. W tym momencie światło padło na jej złotą obrączkę.

- Och, dlaczego musimy dzisiaj mówić o Ellen? - spytała wydymając wargi z lekką niecierpliwością.

- Dlatego, że powinienem już dawno ci o tym powiedzieć.

Twą twarz jej była nadal spokojna.

- Czy to rzeczywiście jest takie ważne, kochanie?

Wiem, że byłam dla niej czasem nie dość dobra... może wszyscy byliśmy tacy. Ty ją bez wątpienia rozumiałeś lepiej od nas. Zawsze poza tym byłeś dla niej miły. Ale jakie to ma znaczenie teraz, kiedy jest już po wszystkim?

Archer spojrzał na nią tępym wzrokiem. Czyż to możliwe, żeby poczucie rzeczywistości, której czuł się więźniem, udzieliło się też jego żonie?

- Po wszystkim... co przez to rozumiesz? - spytał, jękając się nieporadnie.

May w dalszym ciągu spoglądała w niego rozjaśnionymi oczyma.

- To, że już wkrótce wybiera się, na powrót do Europy. Ponieważ babcia popiera to i rozumie, postarała się by uniezależnić ją od męża...

Przerwała, a Archer, chwyciwszy się konwulsyjnie ręką za róg półki nad kominkiem i opierając się o nią by nie stracić równowagi, na próżno usiłował również opanować rozbieżność myśli.

- Sądziłam - usłyszał spokojny głos żony - że dzisiaj wieczorem zatrzymały cię w biurze przygotowania związane z tą sprawą. Chyba zostało to postanowione dziś rano. - Opuściła oczy pod jego pustym spojrzeniem i znów przelotny rumieniec przeniknął przez

jej twarz.

Zrozumiał, że nie może znieść jego wzroku, i odwróciwszy się oparł łokieć o gzyms kominka i ukrył twarz w dłoniach. Uszy rozsadzało mu bicie bębnów.

Nie potrafił powiedzieć, czy to krew tak pulsuje mu w żyłach, czy też tyka zegar stojący na kominku.

May siedziała nieporuszona, milcząca, podczas gdy zegar wolno odmierzył pięć minut. Grudka węgla opadła z rusztu i Archer słysząc, że May wstaje, by poprawić, odwrócił się wreszcie i stanął przed żoną.

- To niemożliwe! - wykrzyknął.

- Niemożliwe?...

- Skąd wiesz... o tym, o czym właśnie mi powiedziałaś?

- Widziałam się wczoraj z Ellen... Mówiłam ci, że spotkałam ją u babci.

- Ale to nie wtedy ci powiedziała!

- Nie. Dziś po południu otrzymałam od niej kartkę. Chcesz przeczytać?

Nie mógł wydobyć z siebie głosu. May wyszła z pokoju i niemal zaraz wróciła.

- Myślałam, że wiesz - odpowiedziała zwyczajnie. Położyła na stole kartkę papieru, po którą Archer wyciągnął rękę. List zawierał zaledwie kilka linijek.

Droga May, Nareszcie babcia zrozumiała, że moja wizyta u niej może być uznana tylko i wyłącznie za wizytę. Okazała się jak zawsze miła i wspaniałomyślna. Widzi teraz, że jeśli wrócę do Europy, muszę żyć sama, a raczej z biedną ciotką Medorą, która jedzie ze mną. Spieszę z powrotem do Waszyngtonu, by się spakować, wypływamy bowiem w przyszłym tygodniu. Musisz być dla babci bardzo dobra, kiedy wyjadę... Taka dobra, jak byłaś zawsze dla mnie, dla Ellen... Gdyby ktoś z moich przyjaciół usiłował przekonywać mnie, bym zmieniła zamiar, proszę cię, powiedz im, że byłoby to absolutnie bezcelowe.

Archer przeczytał list kilkakrotnie, po czym rzucił go na podłogę i wybuchnął śmiechem.

Na dźwięk własnego głosu aż się wzdrygnął. Przypomniało mu się przerażenie Janey, kiedy w środku nocy przyłapała go, jak tańczył jakiś szalony taniec radości nad telegramem od May, w którym oznajmiała że data ich ślubu została ustalona.

- Dlaczego ona to napisała? - spytał, z największym wysiłkiem powstrzymując śmiech.

May przyjęła to pytanie z niezmienną szczerością.

- Przypuszczam, iż dlatego, że omówiliśmy wczoraj pewne sprawy...

- Jakie sprawy?

- Powiedziałam jej, iż wydaje mi się, że nie byłam dla niej dobra... nie zawsze rozumiałam, jak musiało jej być ciężko tutaj, samotnej wśród tylu ludzi, którzy stanowili jej rodzinę, a jednak byli obcy. Którzy rościli sobie prawo do krytykowania, nie zawsze znając okoliczności... - Przerwała.

- Wiedziała, że byłeś jedynym przyjacielem, na którego mogła zawsze liczyć. I chciałam, żeby wiedziała, że ty i ja to jedno... we wszystkich naszych uczuciach...

Zawahała się, jakby czekała, że się odezwie, po czym dodała wolno:

- Zrozumiała, dlaczego chciałam jej to powiedzieć. Myślę, że ona wszystko rozumie.

Podeszła do Archera i ujmując jego zimną dłoń przycisnęła szybko do swego policzka.

- Mnie również boli głowa. Dobranoc, kochanie! - powiedziała i odwróciła się ku drzwiom, wlokąc za sobą przez cały pokój swą podartą i zabłoconą ślubną suknię.

XXXIII

Wydawanie pierwszego dużego przyjęcia, jak powiedziała pani Archer zwracając się z uśmiechem do pani Welland, to wielkie przeżycie dla młodej pary.

Odkąd Newlandowie Archerowie mieli swój własny dom, urządzali dla swych licznych gości nieoficjalne przyjęcia. Archer lubił mieć na obiedzie trzech lub czterech przyjaciół, których May witała z promienną otwartością, jakiej przykładem służyła jej matka przez całe małżeństwo. Newland ciekaw był, czy będąc pozostawiona sama sobie, zaprosiłaby kiedykolwiek kogoś do domu.

Jednakże od dawna już zaniechał prób, by wyrwać jej prawdziwą osobowość z formy, w jaką ukształtowały ją tradycja i ustalony porządek. Od zamożnej nowojorskiej pary oczekiwano, że będzie urządzać dużo nieoficjalnych przyjęć, a Wellandówna i Archer byli podwójnie zobowiązani wobec tradycji.

Ale wydawanie wielkiego obiadu z wynajętym chef i dwoma wypożyczonymi lokajami, francuskim ponczem, różami od Hendersona i menu wydrukowanym na kartkach ze złożonymi brzegami, to już zupełnie co innego i wcale nie takie łatwe przedsięwzięcie.

Jak zauważyła pani Archer, francuski poncz zmieniał wszystko całkowicie.

Nie sam, jako taki, lecz przez swoje różnorakie implikacje. Odtąd on wyznaczał, czy mają być dzikie kaczkę, czy żółwie słodkowodne, dwie zupy, słodkie dania na gorąco i na zimno, pełny décolletage z krótkimi rękawami, a goście proporcjonalnie do tego odpowiednio ważni.

Było to zawsze interesującym wydarzeniem, kiedy młoda para rozsyłała swoje pierwsze zaproszenia pisane w trzeciej osobie, których przyjęcia rzadko odmawiali nawet ludzie starsi i cieszący się powszechną estymą.

Jednak za wyraźny triumf uznano, że na prośbę May van der Luydenowie zostali dłużej, by uczestniczyć w obiedzie wydawanym z okazji pożegnania hrabiny Olenskiej.

Po południu owego wielkiego dnia obie teściowe siedziały w salonie May; pani Archer wypisywała menu na najcieńszym brystolu ze złożonymi brzegami od „Tiffany'ego”, a pani Welland doglądała rozstawienia palm i stojących lamp.

Archer, który przyjechał późno z biura, zastał je właśnie przy tym zajęciu. Pani Archer całą swoją uwagę skupiła na imiennych bilecikach leżących na stole, a pani Welland rozważała, czyby nie wysunąć obszernej złoczonej kanapy, tak żeby jeszcze można było stworzyć dodatkowy „kącik” pomiędzy fortepianem a oknem.

Powiedziały mu, że May jest w jadalni, gdzie sprawdza na środku długiego stołu rozmieszczenie bukietów róż i ruty skalnej i rozstawienie wśród kandelabrow srebrnych koszyczków z cukierkami od Maillarda. Na pianinie stał wielki kosz orchidei przysłany ze Skytercliff przez pana van der Luydena.

Krótko mówiąc wszystko było, jak być powinno, na rozpoczęcie tak godnego uwagi wydarzenia.

Pani Archer przebiegła uważnym wzrokiem listę zakreślając każde nazwisko swoim ostrym złotym piórem.

- Henry van der Luyden... Louisa... Lovellowie Mingottowie...

Chiversowie... Lawrence i Gertruda Leffertsowie (tak, sądzę, że May miała rację zapraszając ich) Merry'owie, Sillerton Jackson, Van Newland z żoną (Jak ten czas leci! Zdaje się, że to zaledwie wczoraj był twoim družbą, Newlandzie)... i hrabina Olenska... tak, myślę, że to wszyscy...

Pani Welland obdarzyła swego zięcia czułym spojrzeniem.

- Newlandzie, nikt nie może powiedzieć, że ty i May nie urządziliście Ellen godnego pożegnania.

- No cóż - powiedziała pani Archer - rozumiem pragnienie May, by jej kuzynka mogła opowiadać ludziom za granicą, że nie jesteśmy znów takimi barbarzyńcami.

- Jestem pewna, że Ellen będzie zadowolona. Zdaje się, że miała przyjechać dziś rano. Wspaniałe pozostanie jej ostatnie wrażenie! Wieczór przed wypłynięciem bywa taki ponury - ciągnęła radośnie pani Welland.

Archer odwrócił się w stronę drzwi a jego teściowa zawołała za nim:

- Proszę cię, pójdz i zerknij na stół. I nie pozwól, żeby May zanadto się przemęczała.

Udał, że nie słyszy - pośpieszył czym prędzej na górę do swojej biblioteki. Pokój

spojrzał na niego, jak obca twarz wykrzywiona w uprzejmym uśmiechu. Zrozumiał, że bezlitośnie „przerobiono go” rozstawiając odpowiednio popielniczki i szkatułki z cedrowego drzewa dla palących dżentelmenów.

No cóż - pomyślał - to nie na długo... - i poszedł do garderoby.

Minęło dziesięć dni od wyjazdu Madame Olenskiej z Nowego Jorku. W tym czasie Archer nie miał od niej żadnej wiadomości poza przysłanym mu do biura kluczem owiniętym w bibułkę w zalakowanej kopercie i zaadresowane jej ręką. Taka odpowiedź na jego ostatni apel mogła być tłumaczona jako klasyczny ruch w znanej grze. Jednakże młody człowiek wolał przypisywać temu inne znaczenie. Lecz ona ciągle jeszcze walczyła z własnym przeznaczeniem. Wyjeżdża do Europy i nie wraca do męża. A więc nic nie stało na przeszkodzie, by podążyć za nią. A gdy raz zrobi nieodwracalny krok i udowodni jej, że jest nieodwracalny, wierzył, że nie odrzuci go.

Ta ufność w przyszłość pozwoliła mu odzyskać równowagę, by mógł teraz rozegrać swoją partię. Pozwoliła mu powstrzymać się od napisania do niej czy zdradzenia jakimś znakiem lub czynem swojego nieszczęścia i upokorzenia. Wydawało mu się, że w tej śmiertelnie milczącej grze, jaka się toczy między nimi, on ciągle jeszcze ma atuty w swoich rękach. I czekał.

Niemniej zdarzały się momenty bardzo trudne do przetrwania. Na przykład następnego dnia po wyjeździe Madame Olenskiej pan Letterblair przysłał po niego, by razem przejrzyli szczegóły dotyczące zapisu powierniczego, jaki pani Mansonowa Mingott pragnęła stworzyć dla swojej wnuczki. Przez kilka godzin Archer wraz ze starszym wspólnikiem przeglądał warunki tego dokumentu, cały czas mając niejasne uczucie, że skoro został wybrany do współpracy, to chyba tylko i wyłącznie dlatego, iż łączyło ich pokrewieństwo. Ale będzie mógł zapewne przekonać się o tym dopiero po zakończeniu tej konferencji.

- No cóż, ta dama nie zaprzeczy, że jest to hojny zapis - podsumował pan Letterblair po tym, jak wybąkał sumę owego zabezpieczenia. - Faktycznie, czuję się w obowiązku powiedzieć, że została potraktowana bardzo szczerze przez wszystkich.

- Przez wszystkich? - powtórzył Archer z lekką nutką drwiny. - Czy ma pan na myśli propozycję jej małżonka, który chciał zwrócić hrabinie jej własne pieniądze?

Krzaczaste brwi pana Letterblaira uniosły się nieznacznie.

- Mój drogi panie, prawo jest prawem. A kuzynka pańskiej żony wychodziła za mąż tam, gdzie obowiązywało prawo francuskie. Należy przypuszczać, że zdawała sobie z tego sprawę.

- Nawet jeśli wiedziała, to potem to, co się stało... - Lecz Archer przerwał. Pan Letterblair nałożył binokle na swój potężny pofałdowany nos i spoglądał sponad nich z wyrazem, jaki przybierają cnotliwi starsi panowie, kiedy pragną, by młodzi zrozumieli, że cnota nie jest synonimem niewiedzy.

- Mój drogi panie, nie chcę pomniejszać winy hrabiego. Jednakże... jednakże z drugiej strony... Nie wkładałbym ręki do ognia... no cóż, nie powinno się brać wet za wet... z tym młodym bojownikiem... - Pan Letterblair otworzył szufladę i popchnął w stronę Archera złożony papier. - To sprawozdanie, rezultat dyskretnych dociekań... - A potem, gdy Archer nawet nie pofatygował się, by spojrzeć na dokument lub zaprotestować na takie przypuszczenie, prawnik ciągnął dalej głosem beznamiętnym: - Jak pan widzi, nie mówię, że jest to sprawa udowodniona. Daleki jestem od tego.

Lecz drobna rzecz bywa niekiedy zwiastunem wielkich wydarzeń... Ogólnie rzecz biorąc to, że zostało osiągnięte takie szlachetne rozwiązanie, należy uważać za wysoce zadowalające dla wszystkich stron.

- O tak, wysoce zadowalające - przyznał Archer popchnąwszy papier z powrotem. W jakieś dwa dni później, gdy otrzymał wezwanie od pani Mansonowej Mingott, został wystawiony na jeszcze cięższą próbę.

Zastał starą damę przygnębioną i zrzędną.

- Wiesz, że mnie opuściła? - zaczęła z miejsca i nie czekając na jego odpowiedź mówiła dalej: - Och, nie pytaj dlaczego! Podała tak wiele powodów, że wszystkie zapomniałam. W moim osobistym przekonaniu, ona nie mogła znieść nudy. W każdym razie tak uważają Augusta i moja synowa. Sama nie wiem, czy mam ją za to potępiać. Olenski to skończony łotr. Ale życie z nim musi być o wiele weselsze niż to, jakie wiedzie

się na Piątej Alei. Nie żeby rodzina się z tym zgadzała. Oni uważają Piątą Aleję za Raj włączywszy doń rue de la Paix. A oczywiście biedna Ellen nie ma zamiaru wracać do męża. Opiera się temu w dalszym ciągu z równą stanowczością. I postanowiła osiąść w Paryżu z tą głupią Medorą. No cóż, Paryż to Paryż. Można tam przynajmniej nie nadaremnie trzymać powóz. Lecz ona jest taka wesoła jak ptaszek i bardzo będzie mi jej brak. - Dwie łzy, starcze gorące łzy potoczyły się po jej pulchnych policzkach i zniknęły w otchłaniach biustu.

- Jedyne, o co proszę - zakończyła - to żeby mnie więcej nie nudzili. Muszą mi pozwolić przetrwać moją klęskę... - I mrugnęła okiem do Archera trochę rzewnie.

Tego samego wieczoru, po jego powrocie do domu, May oznajmiła mu, że ma zamiar wydać pożegnalny obiad dla swojej kuzynki. Od czasu gdy wyjechała do Waszyngtonu, ani razu nie wymienili imienia Madame Olenskiej. Archer spojrzął na żonę ze zdziwieniem.

- Obiad? A to czemu? - zapytał.

Zarumieniła się.

- Przecież lubisz Ellen... myślałam, że będziesz zadowolony.

- To ogromnie miło... że tak uważasz. Ale naprawdę nie widzę...

- Zamierzam to zrobić, Newlandzie - powiedziała wstając ze spokojem i podchodząc do biurka. - Tutaj są wypisane wszystkie zaproszenia. Mama mi pomogła... Zgadza się z tym, że powinniśmy... - Przerwała zakłopotana, ale uśmiechnięta, i Archer nagle ujrzał przed sobą ucieleśnioną wizję Rodziny.

- Och w porządku - powiedział wpatrując się niewidzącym wzrokiem w listę gości, którą wetknęła mu w rękę.

Gdy przed obiadem wszedł do salonu, May pochylała się nad ogniem starając się rozpalić szczapy drewna nienawykłe do otoczenia nieposzlakowanych kafelków.

Wszystkie stojące lampy były zapalone i natychmiast rzucały się w oczy orchidee od Luydenów poukładane w przeróżnych wazonach z nowoczesnej porcelany i wyklepwanego srebra. Ogólnie uznano, że salon pani Newlandowej Archer to wielki

sukces. Złocene bambusowe jardiniere, w których równo ustawiono prymule i cynerarie, zastawiały dostęp do okna z wykuszem (ludzie starszej daty woleliby widzieć tam brązowy odlew Wenus z Milo). Kanapy i fotele kryte jasnym brokatem zręcznie rozmieszczono wokół zbyt nowych stoliczków pełnych bibelotów ze srebra, porcelanowych figurek zwierząt i krystalizujących ramek z fotografiami. Wśród palm wystrzelały w górę niczym tropikalne kwiaty różowe abażury lamp.

- Chyba Ellen nie widziała jeszcze tego pokoju w pełnym oświetleniu - zauważyła May odchodząc od kominka zarumieniona z wysiłku i rozglądając się wokół ze zrozumiałą dumą. Mosiężne szczypcy, które położyła przy kominku, spadły z hałasem i przywołała na pomoc jej małżonka. Nim zdążył je położyć z powrotem, oznajmiono przybycie państwa van der Luydenów.

Szybko zaczęli napływać pozostali goście, ponieważ powszechnie wiadano, że Luydenowie lubią punktualnie zasiadać do stołu. W pokoju zebrali się już niemal wszyscy i Archer był właśnie zajęty pokazywaniem pani Selfridge'owej Merry małego wernikowego obrazka Verboeckhovena „Studium owcy”, który pan Welland ofiarował May w prezencie gwiazdkowym gdy ujrzał obok siebie Madame Olenską.

Była uderzająco blada, a ta jej bladość sprawiała, że ciemne włosy wydawały się gęściejsze i jakby cięższe niż zwykle. Może to, a może fakt, że miała na szyi kilka sznurków bursztynów, przypominał mu nagle małą Ellen Mingott, z którą tańczył na dzieciennych balach, kiedy Medora Manson po raz pierwszy przywiozła ją do Nowego Jorku.

Bursztyny próbowały upodobnić się do jej cery albo może suknia była nietwarzowa - twarz miała zgaszoną, niemal brzydką, ale nigdy nie kochał jej tak, jak właśnie w tej chwili. Ręce ich się spotkały i zdawało mu się, że słyszy jej słowa: „Tak, wpływamy jutro na Rosji”. Potem rozległ się nie mający żadnego znaczenia odgłos otwieranych drzwi i zaraz potem słowa May:

- Newlandzie! Podano obiad! Proszę cię, czy mógłbyś wprowadzić Ellen?

Madame Olenska wsunęła mu rękę pod ramię i zauważył, że nie ma rękawiczki; przypomniało mu się, jak wpatrywał się w tę rękę owego wieczoru, gdy siedział z nią w

małym saloniku na Dwudziestej Trzeciej ulicy. Całe piękno, jakie opuściło jej twarz, zdawało się szukać ucieczki w tych smukłych białych palcach i delikatnych dołeczkach na przegubie ręki, spoczywającej na jego ramieniu. Pomyślał: Gdybym tylko miał znów ujrzeć tę dłoń, podążyłbym za nią na...

Tylko na przyjęciach ostentacyjnie wydawanych dla „zagranicznych gości” pani van der Luyden musiała znosić taką degradację, zajmując miejsce po lewej ręce gospodarza. Fakt faktem, że „obcości” Madame Olenskiej nie można było chyba bardziej zręcznie za znaczyć niż tą pożegnalną daniną. Pani van der Luyden przyjęła swe miejsce z godnością, która nie pozostawiała wątpliwości, że się z tym zgadza. Istniały pewne rzeczy, które należało wykonać ładnie i jak należy. A jedną z tych rzeczy, według kodu starego Nowego Jorku, było plemienne zebranie wokół krewniaczki, która ma być wykluczona ze szczepu. Nic na świecie nie zdołałoby przeszkodzić Wellandom i Mingottom w głoszeniu ich niezmiennego uczucia wobec hrabiny Olenskiej, teraz kiedy jej wyjazd do Europy stał się faktem. Archer siedząc u szczytu stołu zdumiewał się, z jaką cichą, niezmordowaną energią przywracają jej popularność, zapominając urazy - jej przeszłość została usankcjonowana, a teraźniejszość opromieniona zgodą rodziny. Pani van der Luyden obdarzała hrabinę sztywną życzliwością, która u niej mogła oznaczać prawie serdeczność, a pan van der Luyden, ze swego miejsca po prawej stronie May, rzucał poprzez stół spojrzenia zamierzające najwyraźniej usprawiedliwić te wszystkie goździki jakie przysłał ze Skuytercliff.

Archer, który towarzyszył tej scenie w stanie jakiejś przedziwnej nieważkości jakby unosił się w powietrzu pomiędzy żyrandolem a sufitem, najbardziej dziwił się swemu własnemu uczestnictwu w tych poczynaniach. Gdy tak przenosił spojrzenie z jednej spokojnej, dobrze odżywionej twarzy na drugą, zobaczył nagle tych wszystkich nieszkodliwie wyglądających ludzi, zajętych jedzeniem dzikich kaczek, jako bandę głupich konspiratorów, a siebie samego i tę bladą kobietę po swojej prawej ręce jako obiekty ich konspiracji. A potem nagle olśniła go myśl, niczym blask przeogromnej błyskawicy stworzonej z wielu drobnych przebłysków, że dla nich wszystkich on i Madame Olenska to kochankowie, kochankowie w tym krańcowym znaczeniu,

właściwemu „cudzoziemskiemu” słownictwu. Domyślał się, że w ciągu miesięcy był obiektem niezliczonych, cicho obserwujących go oczu i cierpliwie nasłuchujących uszu, rozumiał, że przy pomocy środków, o których dotąd nie wiedział, doprowadzi do rozstania między nim a towarzyszką jego winy i teraz cały klan zebrał się wokół jego żony z taktycznym postanowieniem, że nikt nic o niczym nie wie ani też nigdy niczego się nie domyślał i że to przyjęcie wypływa po prostu z naturalnego pragnienia May, by czule pożegnać swą przyjaciółkę i kuzynkę.

Według zasady starego Nowego Jorku należało brać życie „bez rozlewu krwi”. Był to zwyczaj ludzi, którzy bardziej lękają się skandalu niż choroby, którzy za sady, przyzwoitości przedkładają nad odwagę, którzy uważają, że w złym tonie jest robienie „scen”, nie mówiąc już o tych, którzy dali powód do tych scen.

Zaprzątnięty takimi myślami, Archer czuł się jak więzień wewnątrz obozu otoczonego uzbrojonymi strażnikami. Rozglądał się wokół stołu i po nieubłaganym tonie brzmiącym w głosach swoich prześladowców, płynących ponad asparagusami z Florydy, domyślał się, że zajmują się teraz Beaufortem i jego żoną. Po to, żeby pokazać mi - pomyślał - co by się stało ze mną.

Przerażająca świadomość ich wyższości, dającej prawo do mieszania się we wszystko i podobieństwa w atakowaniu wprost oraz umiejętności panowania nad popędliwymi słowami zamknęła się nad nim jak drzwi rodzinnego grobowca.

Roześmiał się i zobaczył, że pani van der Luyden patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Sądysz, że to zabawne? - spytała z nikłym uśmiechem. - Oczywiście pomysł biednej Reginy, by zostać w Nowym Jorku, niewątpliwie ma również i swoją zabawną stronę.

- Naturalnie - wymamrotał Archer.

Uświadomił sobie nagle, że drugi sąsiad Madame Olenskiej jest od pewnego czasu zajęty damą siedzącą po jego prawej stronie. W tej samej chwili spostrzegł, że May, pogodnie prezydująca pomiędzy panem van der Luydenem a panem Selfridge Merry'm, rzuciła szybkie spojrzenie na koniec stołu. Dała do zrozumienia, że gospodarz i dama po jego prawej ręce nie mogą siedzieć w milczeniu przez cały czas posiłku.

Odwrócił się ku Madame Olenskiej i napotkał jej blady uśmiech. „Och, aby dotrzeć do końca” - zdawał się mówić.

- Czy podróż była męcząca? - spytał Archer zdumiony naturalnym brzmieniem własnego głosu. A ona odpowiedziała tym samym tonem, że rzadko zdarzało jej się podróżować wygodniej.

- Gdyby tylko nie to potworne gorąco w pociągu - dodała.

A on rzucił uwagę, że nie będzie cierpiała na tę szczególną niedogodność w kraju, do którego się wybiera.

- Nigdy w życiu chyba bardziej nie zmarzłem - oznajmił gwałtownie - jak kiedyś w kwietniu w pociągu jadącym z Calais do Paryża.

Odpowiedziała, że wcale się temu nie dziwi, lecz zauważyła, że mimo wszystko należy zawsze brać dodatkowy koc i że każda forma podróżowania nastrecza jakieś niewygodę. A on natychmiast odparł, że to wszystko jest bez znaczenia w porównaniu ze szczęściem wyrwania się stąd. Zarumieniła się, a on dodał głośniejszym szeptem: - Niezadługo zamierzam zacząć dużo podróżować.

Przez twarz jej przebiegło drżenie. Archer pochylając się w stronę Reggie Chiversa zakrzyknął: - Właśnie zastanawiam się, Reggie, co byś powiedział na podróż dookoła świata? I to już teraz, w przyszłym miesiącu? Jestem gotów, jeśli tylko ty... - Na co pani Chivers wtrąciła piskliwym głosem, że chyba nie będzie mogła zgodzić się na wyjazd wcześniej niż dopiero po balu u Marthy Washington, jaki wydaje w wielkim tygodniu na zakład dla ociemniałych. A jej mąż dodał ze spokojem, że przez ten czas będzie mógł potrenować przed międzynarodowym meczem w polo.

Pan Selfridge Merry usłyszawszy o podróży dookoła świata, jako że raz okrążył był kulę ziemską na swym motorowym jachcie, miał teraz okazję, by rzucić przy stole parę rewelacyjnych uwag na temat płytkości śródziemnomorskich portów. W każdym razie, dodał, wszystko to nie ma znaczenia, bo jak się już zobaczy Ateny, Smyrnę i Konstantynopol, to co tam właściwie pozostaje jeszcze do zobaczenia... A jego żona dorzuciła, że nigdy nie zdoła wyrazić wdzięczności doktorowi Bencomb, który wymógł od nich obietnicę żeby nie jechali do Neapolu ze względu na panującą tam zarazę.

- Ale trzeba mieć przynajmniej trzy tygodnie, by zwiedzić Indie - uznał jej małżonek dając do zrozumienia, że nie jest takim sobie lekkomyślnym obieżyświatem. W tym momencie damy przeszły do salonu.

W bibliotece, jako że nie było znamienitszych osobistości, prym wiódł Lawrence Lefferts.

Rozmowa jak zwykle toczyła się wokół Beaufortów i nawet panowie van der Luyden i Merry, usadowieni na honorowych miejscach w fotelach, taktownie dla nich zarezerwowanych, milczeli przysłuchując się filipikom młodszych mężczyzn.

Nigdy jeszcze Lefferts tak szczerze nie szafował uczuciami, które są ozdobą mężczyzn w chrześcijańskiej społeczności, i nie wynosił pod niebiosa świętości domowego ogniska. Oburzenie przydało zjadliwości jego wymowie, i było oczywiste, że jeśli inni pójdą za jego przykładem i będą robić tak, jak on głosi, towarzystwo nigdy nie okaże się tak słabe, by przyjmować obcych parweniuszy w rodzaju Beauforta... nie, proszę pana, nawet jeżeliby poślubił van der Luydenównę czy pannę Lanning zamiast Dallasówny. A jakąż miałby szansę, zapytywał Lefferts gniewnie, wżenienia się w taką rodzinę jak Dallasowie gdyby się już był nie wkraść do pewnych domów, do których takie osoby, jak pani Lemuelowa Struthers, potrafiły pójść jego śladem?

Skoro towarzystwo postanowiło otworzyć podwoje dla kobiet pospolitych, nie przynosi to jeszcze takiej wielkiej szkody, jakkolwiek korzyść jest wątpliwa. Ale jeśli raz stanie się zwyczajem tolerowanie mężczyzn niewiadomego pochodzenia i ich wątpliwego bogactwa, nastąpi jego całkowity rozkład - i to już w najbliższej przyszłości.

- Jeśli sprawy potoczą się w tym tempie grzmiał Lefferts, niczym młody prorok ubrany we frak od Poole'a, jeszcze przed ukamienowaniem - ujrzymy nasze dzieci dobijające się o zaproszenie do domów oszustów i poślubiające bękarty Beauforta.

- Och, nie przesadzaj - Zaprotestowali Reggie Chivers i młody Newland, gdy tymczasem pan Merry był szczerze zaniepokojony, a na wyrazistej twarzy pana van der Luydena zagościł ból i odraza.

- A czy on ma takowe? - zapytał pan Jackson, nadstawiając uszu. I podczas gdy

Lefferts próbował obrócić pytanie w żart, stary dżentelmen ćwierkał do ucha Archera: - Dziwni są ci ludzie, którzy chcą ustanawiać praworządność.

Tacy, co to mają najgorszych kucharzy, zawsze opowiadają, że zatrują się na proszonych obiadach. Ale słyszałem, że istnieją przygniatające racje odnośnie krytycznego przemówienia naszego przyjaciela Lawrence'a... podobno tym razem maszynistka...

Rozmowa toczyła się mimo Archera, niczym pozbawiona znaczenia rzeka, która płynie i płynie, ponieważ nie potrafi się zatrzymać. Widział wokół siebie na twarzach wyraz zainteresowania, rozbawienia, a nawet radości.

Słyszał śmiech młodszych mężczyzn i słowa pochwały dla Madery Archera, którą z namaszczeniem rozlewali panowie van der Luyden i Merry.

Jednocześnie był niejasno świadom ogólnego przyjaznego stosunku do siebie, jak gdyby straż próbowała złagodzić więźniowi, jakim się czuł, jego niewolę. Spostrzeżenie to tylko pogłębiło jego gorące postanowienie by odzyskać wolność.

W salonie, gdzie wkrótce przyłączyli się do dam napotkał triumfujące oczy May i wyczytał w nich pewność, że wszystko „przebiega” cudownie. Podniosła się z miejsca, jakie zajmowała obok Madame Olenskiej, którą w tej samej chwili pani van der Luyden prezydująca na złoconej sofce przywołała do siebie skinieniem dłoni. Pani Merry już torowała sobie drogę przez pokój, by się do nich przyłączyć, i dla Archera stało się oczywiste, że i tutaj również działa konspiracja przy wracania przywilejów i zacierania tego, co się zdarzyło. Ciche stowarzyszenie, które scalało jego mały światek, było zdecydowane zasłużyć się jak nigdy dotąd w momencie, kiedy kwestionowano właściwość prowadzenia się Madame Olenskiej lub podważano szczęście domowego ogniska Archera. Wszystkie te uprzejme i nieubłagane osoby były całkowicie zajęte udawaniem nawzajem przed sobą, że nigdy o niczym nie słyszały, nie podejrzewały ani nawet nie wyobrażały sobie takiej możliwości, choćby najmniejszego napomknienia na ten temat. Z tej sieci pracowitego wspólnego udawania Archer raz jeszcze wyciągnął wniosek, iż Nowy Jork wierzy, że jest on kochankiem Madame Olenskiej. Pochwycił zwycięski błysk w oczach swej żony i po raz pierwszy zrozumiał, że ona również podziela

tę wiarę. To odkrycie tak go wzburzyło, że miał ochotę się rozeźmiać, lecz ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą, by prowadzić dyskusję z panią Chivers i małą panią Newland na temat balu u Marthy Washington. I tak upływał wieczór, płynąc i płynąc niby rzeka nierozumna, która nie potrafi się zatrzymać.

Wreszcie zobaczył, że Madame Olenska podnosi się i żegna. Zrozumiał, że za chwilę już jej nie będzie, i próbował przypomnieć sobie, o czym jej mówił przy obiedzie. Lecz nie potrafił przypomnieć sobie ani jednego słowa, jakie ze sobą zamienili.

Podeszła do May, a reszta towarzystwa otoczyła ją kołem. Dwie młode kobiety podały sobie ręce, po czym May pochyliła się i pocałowała kuzynkę.

- Oczywiście nasza gospodyni z nich dwóch jest o wiele ładniejsza - usłyszał Archer, jak Reggie znów mówi półgłosem do młodej pani Newland.

Przypomniał sobie prostackie prychnięcie Beauforta na nieefektowną urodę May.

Chwilę później znalazł się w hallu i okrywał płaszczem ramiona Madame Olenskiej.

Przez cały czas tego zamętu, jaki miał w myślach, trzymał się mocno postanowienia, by nie powiedzieć czegoś, co by mogło ją przestraszyć czy zaniepokoić. Przeświadczony, że żadna siła nie zdoła zawrócić go od wytkniętego celu, przemógł się, by pozwolić wypadkom toczyć się dalej. Lecz gdy podążał za Madame Olenską do hallu, ogarnęło go nagle pragnienie, by zostać z nią przez chwilę sam na sam przy drzwiczkach jej powozu.

- Czy twój powóz jest tutaj? - spytał.

I w tym momencie pani van der Luyden, majestatycznie przybrana w swoje sobole, odezwała się uprzejmie:

- My odwozimy drogą Ellen do domu.

Serce Archera ścisnęło się, a hrabina przytrzymując jedną ręką płaszcz i wachlarz, drugą wyciągnęła ku niemu.

- Do widzenia! - powiedziała.

- Do widzenia... ale wkrótce zobaczymy się znów w Paryżu - rzekł na cały głos; wydało mu się, że on wykrzyknął.

- Och - szepnęła - jeżeli będziecie mogli przyjechać oboje z May... Pan van der Luyden postąpił naprzód, by podać jej ramię, a Archer zwrócił się w stronę pani van der Luyden. Przez chwilę w gęstej ciemności zalegającej lando dostrzegł niewyraźny owal jej twarzy, oczy rozświetlone spokojnym blaskiem - i odjechała.

Gdy wstępował po stopniach, schodził właśnie na dół Lawrence Lefferts z żoną. Lefferts chwycił swego gospodarza za rękaw, przytrzymując go, by przepuścić Gertrudę.

- Słuchaj chłopie. Nie masz nic przeciwko temu, że pozwoliłem sobie właśnie powiedzieć, że jesz ze mną jutro obiad w klubie? Dziękuję ci bardzo, jesteś morowy chłop. Dobranoc!

- Pięknie wypadło, prawda? - spytała May stając w progu biblioteki.

Archer poderwał się spłoszony. Gdy tylko odjechał ostatni powóz, przyszedł tutaj do biblioteki i zamknął się w nadziei, że May, która ciągle jeszcze kręciła się na dole, uda się prosto do swej sypialni. Lecz oto stała tu, blada i zmęczona, jednakże promieniejąca nienaturalnym ożywieniem, jak ktoś, kogo nie ima się zmęczenie.

- Czy mogę wejść i, porozmawiać? - spytała.

- Oczywiście, jeśli sobie życzysz. Ale musisz być okropnie śpiąca...

- Nie, wcale nie jestem śpiąca. Chciałam sobie z tobą posiedzieć troszeczkę.

- Doskonale - powiedział przysuwając jej fotel bliżej kominka.

Usiadła, a on zajął swoje miejsce. Ale żadne z nich nie odzywało się przez dłuższy czas. Wreszcie Archer zaczął mówić gwałtownie.

- Skoro nie jesteś zmęczona i chcesz rozmawiać, to jest coś, co muszę ci powiedzieć. Próbowałem to zrobić wczoraj wieczorem...

Spojrzała szybko na niego.

- Dobrze, kochanie. Czy o sobie?

- O mnie. Mówisz, że nie jesteś zmęczona. Świetnie, ale ja jestem. I to straszliwie zmęczony.

W jednej chwili stała się uosobieniem czulej troskliwości.

- Och, przewidywałam, że tak będzie Newlandzie! Jesteś tak okropnie przepracowany!

- Możliwe. W każdym razie chcę sobie zrobić przerwę...

- Przerwę? I rzucić prawo?

- Przynajmniej wyjechać... i to natychmiast. W długą podróż, jak najdalej od tego wszystkiego...

Przerwał, uświadomiwszy sobie, że nie udało mu się mówić z obojętnością człowieka, który pragnie zmiany, a jednak jest zbyt zmęczony, by się z tego cieszyć.

Robi, co powinien zrobić, ogarnięty gorącym pragnieniem.

- Daleko od wszystkiego - powtórzył.

- Jak najdalej? Dokąd, na przykład? - spytała.

- Och, nie wiem. Do Indii albo do Japonii.

Wstała, a gdy siedział tak ze spuszczoną głową, podparłszy brodę dłońmi, czuł jej ciepłą i kojącą obecność obok siebie.

- Tak daleko? Lecz obawiam się, że nie będziesz mógł, kochanie... - odrzekła niepewnym głosem. - Dopóki nie weźmiesz mnie ze sobą. - Po czym, ponieważ on milczał, ciągnęła dalej tonem tak czystym i zrównoważonym, że każda poszczególna sylaba zapadała mu w umysł, jak uderzenie młoteczka. - To znaczy, jeżeli lekarze pozwolą mi jechać... Ale obawiam się, że nie pozwolą. Bo widzisz, Newlandzie, dzisiejszego ranka upewniłam się co do czegoś, za czym tak tęskniłam i żyłam ciągłą nadzieją...

Spojrzał na May zbolalym wzrokiem, a ona uklękła obok niego, świeża i różowa, i ukryła twarz na jego kolanach.

- Och moja droga - powiedział przyciągając ją ku sobie, a jego zimna dłoń głaskała jej włosy.

Zapadła długa chwila ciszy, podczas której narastało w nim wzburzenie, i znowu o mało nie zareagował na nie śmiechem. Potem May, wyswobodziwszy się z jego objęć, wstała.

- Nie domyślasz się... ?

- Tak... ja... nie. To jest, oczywiście, miałem nadzieję...

Spoglądali na siebie przez chwilę i znów zamilkli. Wreszcie, nie patrząc na żonę,

spytał raptownie:

- Czy mówiłaś już, komuś?

Tylko mamusi i twojej matce - przerwała i następnie dodała pośpiesznie, rumieniając się gwałtownie: - I... i Ellen, mówiłam ci, że przeprowadziłyśmy któregoś popołudnia długą rozmowę... Jakaż ona była dla mnie kochana.

- Ach! - wykrzyknął Archer i serce w nim zamarło.

Czuł, że żona obserwuje go bacznie.

- Czy masz coś przeciwko temu, że powiedziałam jej pierwszej, Newlandzie?

- Przeciwko temu? Dlaczego? - Uczynił ostatni wysiłek, by się opanować. - Ale to było dwa tygodnie temu, prawda? Wydawało mi się, iż mówiłaś, że do dzisiaj nie byłaś pewna.

Zarumieniła się jeszcze bardziej, lecz wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie, nie byłam pewna... ale jej powiedziałam, że jestem. I widzisz, że miałam rację! - wykrzyknęła, a jej błękitne oczy zwilgotniały pod wpływem odniesionego zwycięstwa.

XXXIV

Newland siedział przy biurku w swojej bibliotece przy Trzydziestej Dziewiątej ulicy.

Powrócił właśnie z wielkiej oficjalnej uroczystości z powodu otwarcia nowych galerii w Metropolitan Museum i widok owych ogromnych przestrzeni wypełnionych zdobyczami wieków, gdzie wiele rzeczy współczesnych przewijało się wśród dawnych, naukowo skatalogowanych bogactw, sprawił, jakby ktoś nagle nacisnął w pamięci zardzewiałą sprężynę.

- Ależ to przecież była kiedyś jedna z sal starego Cesnoli! - usłyszał czyjś głos. I raptem wszystko wokół niego zniknęło i siedział oto sam na twardej, pokrytej skórą kanapce przed kaloryferem, gdy tymczasem smukła postać w długim selskinowym płaszczu zniknęła w skromnej perspektywie starego muzeum.

Wizja ta wywołała całą armię innych skojarzeń i siedział spoglądając nowymi oczyma na bibliotekę, która przez z górą trzydzieści lat była sceną jego samotnych rozmyślań i wszystkich rodzinnych rozmów.

W tym pokoju rozegrały się najważniejsze wydarzenia jego życia. Tutaj jego żona, prawie dwadzieścia sześć lat temu, cała spłoniona, okrężną drogą, co by dzisiaj u młodych kobiet nowej generacji wywołało uśmiech, wyznała mu, że spodziewa się dziecka; tutaj ich najstarszy syn, Dallas, zbyt delikatny, by go można było zawieźć do kościoła w środku zimy, został ochrzczony przez ich starego przyjaciela, biskupa Nowego Jorku, owego zażywnego, okazałego i niezastąpionego biskupa, który przez tak długi czas był dumą i ozdobą swojej diecezji. W tym pokoju Dallas stawiał swoje pierwsze kroki wykrzykując: „Tata”, podczas gdy May i niańka zaśmiewały się za drzwiami. Tutaj ich drugie dziecko, Mary (tak podobna do matki), oznajmiła o swoich zaręczynach z najbardziej nudnym i najbardziej rzetelnym spośród synów Reggie Chiversa. Tutaj też Archer ucałował ją poprzez tiul ślubnego welonu, nim zeszli na dół, by wsiąść do auta, które miało ich zawieźć do kościoła anglikańskiego jako że w świecie, gdzie wszystko ruszyło się ze swych posad, „śluby anglikańskie” pozostały niezmienną instytucją.

To w tej bibliotece on i May prowadzili długie dyskusje na temat przyszłości dzieci: o studiach Dallasa i jego młodszego brata, Billa, o nieuleczalnej niechęci Mary do

kultywowania zalet towarzyskich i jej pasji sportowych i filantropijnych, oraz o niesprecyzowanych skłonnościach Dallasa do „sztuki”, które w końcu zawiodły tego niespokojnego i ciekawskiego chłopaka do biura świetnie się zapowiadającego nowojorskiego architekta.

Młodzi ludzie w dzisiejszych czasach stronią od prawa i interesów i chwytają się wszelkich nowych zawodów. Jeśli nie są pochłonięci polityką stanową czy reformą miejską, istnieją szanse, że wstąpią na archeologię, architekturę lub inżynierię lądową. Żywo i w sposób naukowy interesują się przedrewolucyjnym budownictwem swego kraju, rozpracowują i adaptują style georgiańskie, a protestują przeciwko bezsensownemu słowu „kolonialny”. Nikt dzisiaj nie posiada domów w stylu kolonialnym poza milionerami i kupcami korzennymi w dzielnicach willowych.

Lecz nade wszystko - chwilami Archer przedkładał to naprawdę ponad wszystko - w tej bibliotece gubernator Nowego Jorku, który przybył pewnego dnia z Albany, by zjeść u nich obiad i spędzić wieczór, zwrócił się w stronę gospodarza i powiedział uderzając zaciśniętą dłońią w stół i rozgniatając swe okulary:

- Niech лихо porwie tych wszystkich zawodowych polityków. Ty, Archerze, jesteś takim właśnie człowiekiem, jakiego kraj potrzebuje. Jeśli stajnia ma zostać kiedyś oczyszczona, to tacy ludzie jak ty powinni do tego przyłożyć ręki.

„Tacy ludzie jak ty... „Jakże Archer rozpromienił się na te słowa! Jak ochoczo stawiał się na wezwanie! Było to jakby echo dawnego apelu Neda Winsetta, by zawinąć rękawy i wziąć się do gnoju; jednakże wypowiedziane przez człowieka, który dał tego przykład i którego wezwanie, by pójść za nim, było nieodparte.

Archer, popatrzysz teraz wstecz, nie był pewien, czy mężczyźni tacy jak on są krajowi potrzebni, przynajmniej w czynnej służbie, do jakiej Teodor Roosevelt nawoływał. Faktycznie to miał powód, by tak myśleć, ponieważ po rocznej pracy w Zgromadzeniu Stanowym nie został ponownie obrany i rzucił się na powrót, dzięki Bogu, w zapomnianą, jednakże pożyteczną pracę w zarządzie miejskim, a następnie do pisania sporadycznych artykułów do jednego z postępowych tygodników, które próbowały otrząsnąć kraj z apatii.

Było to trochę zbyt mało, by się na tym oprzeć. Ale kiedy przypomniał sobie,

czego szukali młodzi ludzie jego generacji i pozycji - zawężony, utarty szlak w robieniu pieniędzy, sport i towarzystwo, do tego ograniczały się ich horyzonty - nawet ten jego niewielki wkład do wspólnej sprawy zdawał się liczyć, tak jak każda cegielka liczy się w dobrze wymurowanej ścianie. Niewiele zdziałał w życiu politycznym. Zawsze był z natury refleksyjny i dyletancki. Miał do przemyślenia sprawy wielkiej wagi i rzeczy wspaniałe, którymi mógł się rozkoszować. I przyjaźń wielkiego człowieka, z której czerpał siłę i z której był dumny.

Mówiąc krótko, należał do takich, których nazywa się „dobrymi obywatelami”. Przez wiele ostatnich lat każdy nowy ruch, filantropijny, samorządowy czy artystyczny, liczył się z jego opinią i ubiegano się o jego zdanie. Ludzie mówili: „Poproś Archera”, kiedy powstał problem założenia pierwszej szkoły dla kalekich dzieci czy reorganizacji Muzeum Sztuki lub ufundowania Grolier Club, otwarcia biblioteki czy pozyskania nowego towarzystwa dla muzyki kameralnej. Dni miał wypełnione i to niemal całkowicie. Wydawało mu się, że jest to już wszystko, czego mężczyzna powinien pragnąć od życia.

Lecz wiedział, że coś go ominęło: kwiat tego życia. Teraz myślał o tym jako o czymś nieosiągalnym i nieprawdopodobnym; jakkolwiek biadolenie z tego powodu można było porównać do rozpaczki, że się nie zdobyło głównej wygranej w loterii. W jego loterii było setki milionów fantów, lecz tylko jedna nagroda. Przypadki zbyt zdecydowanie sprzęgły się przeciwko niemu.

Gdy rozmyślał o Ellen Olenskiej, były to rozmyślenia abstrakcyjne, spokojne, jakby się mogło myśleć o wymarzonej ukochanej z powieści czy z obrazu. Stała się ucieleśnieniem tego wszystkiego, za czym tęsknił.

Ta wizja, daleka i subtelna, nie pozwalała mu myśleć o innych kobietach.

Był, jak to się powiadało, przykładnym mężem. A kiedy May zmarła nagle - z powodu wirusowego zapalenia płuc, którego nabawiła się pielęgnując najmłodsze dziecko - szczerze ją opłakiwał. Długie lata spędzone razem przekonały go, że nie ma wcale tak wielkiego znaczenia, czy małżeństwo stanowi nudny obowiązek, byle zachować godność... w spełnianiu tego obowiązku: odstąpienie od tego przepadza się w zwykłą walkę obrzydliwych apetytów. Zastanawiając się nad swoim życiem, szczyił się

przyszłością i bolał nad tym, że przeminęła. Mimo wszystko dobrze było w dawnych czasach.

Oczy jego błędząc po pokoju - urządzonym przez Dallasa angielską mezzotintą, Chippendale'owskimi szafeczkami, drobiazgami z białą - niebieskiej porcelany i przyjemnie oświetlonym efektownymi lampami - powrócił do starego biurka z Eastlake, którego nie chciał się pozbyć, i do pierwszej fotografii May, w dalszym ciągu stojącej na swoim zwykłym miejscu koło kałamarza.

Oto cała May, wysoka, o pełnych piersiach, smukła i gibka, w sterczących muślinach i rozłożystym szerokim kapeluszu słomkowym, tak jak ją zobaczył pod drzewem pomarańczowym w ogrodzie misyjnym. I jaką widział ją tamtego dnia, taką pozostała. Może nie sięgała najwyższych szczytów, ale chyba niewiele poniżej: szczerą, wierną, nigdy nie znużoną, lecz tak pozbawioną wyobraźni i niezdolną do wzlotów, że kiedy świat jej młodości rozpadł się na kawałki i potem został odbudowany, ona nawet nie uświadomiła sobie, że nastąpiła jakakolwiek zmiana. Ta nieuleczalna ślepotą sprawiła, że najbliższy horyzont pozostawał ciągle niezmienny. Właśnie z powodu owej niezdolności dostrzegania zmian dzieci ukrywały przed matką swoje poglądy, tak jak Archer ukrywał swoje. Od początku nastąpiło jednomyślne zbratanie, rodzaj niewinnej rodzinnej hipokryzji, w której ojciec i dzieci nieświadomie współdziałali. May umarła w przeświadczeniu, że świat to dobre miejsce, pełne kochających się i harmonijnie współżyjących rodzin, jak jej własna, i pogodzona z tym, że ma go opuścić, ponieważ wierzyła, że cokolwiek się stanie, Newland nie przestanie wpajać w Dallasa tych samych zasad i poglądów, które kształtowały życie jego rodziców, i że Dallas później (kiedy już Newland podąży za nią) będzie przekazywał tę świętą prawdę małemu Billowi. A jeśli chodzi o Mary, to była jej pewna, jak samej siebie. W ten sposób, wyrwawszy małego Billa z grobu i złożwszy swe życie w ofierze, podążyła z zadowoleniem ku swemu miejscu w grobowcu Archerów na cmentarzu St. Mark, gdzie już spoczywała pani Archer, bezpieczna od przerażającego ją „postępu”, z którego jej synowa nigdy nawet nie zdawała sobie sprawy.

Naprzeciwko portretu May stała fotografia jej córki. Merry Chivers była równie

wysoka i przystojna jak matka, lecz szeroka w ramionach, o płaskim biuście i trochę jakby zaniedbana, czego wymagała zmienna moda. Jej sportowe wyczyny nie pozwoliły na to, by mieć dwadzieścia cali w talii, którą May Archer z taką łatwością przewiązywała błękitną szarfą. Różnica zdawała się być symboliczna. Życie matki było tak ciasno opasane, jak jej figura. Mary, jakkolwiek nie mniej konwencjonalna i wcale nie inteligentniejsza, prowadziła bardziej niezależne życie i wyznawała bardziej tolerancyjne poglądy. W nowym porządku były również i dobre strony.

Zadzwoił telefon i Archer odwracając się od fotografii podniósł słuchawkę stojącego obok aparatu. Jakże daleko odbiegli od tych czasów, kiedy nogi posłańca w liberii z mosiężnymi guzikami stanowiły w Nowym Jorku jedyny szybki środek przekazywania wiadomości.

- Chicago do pana.

Ach, to pewnie Dallas, którego firma wysłała do Chicago dla omówienia planu pałacu nad Jeziorem, jaki mieli budować dla pełnego pomysłów młodego milionera. Do załatwiania takich spraw firma zawsze wysyłała Dallasa.

- Halo, ojczel! Tak, to ja, Dallas. Co byś powiedział na przyjazd w środę?

Na „Mauretanii” , która tego dnia zawsze kursuje. Nasz klient chce, żebym obejrzał jakieś włoskie ogrody, nim coś postanowimy, i prosi, bym zabrał się następnym statkiem. Muszę wrócić pierwszego czerwca - tu rozległ się jego radosny śmiech, w którym wyczuwało się pewność siebie - więc należy się zwijać. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy, ojczel. Proszę, przyjedź.

Zdawało się, że Dallas mówi w tym samym pokoju. Głos rozlegał się niemal tuż, tuż i był naturalny, jak gdyby on sam siedział rozparty leniwie w swoim ulubionym fotelu przy kominku. Ten fakt normalnie nie mógłby zadziwić Archera, ponieważ rozmowy na duże odległości stały się sprawą tak oczywistą, jak elektryczna żarówka czy podróż przez Atlantyk w ciągu pięciu dni. Ale zdumiał go śmiech; ciągle jeszcze wydawało się rzeczą cudowną, że przez tyle mil odległości - las, rzeka, góry, preria, gwarne miasta i zapracowane obojętne miliony ludzi - śmiech Dallasa zdołał powiedzieć: „oczywiście, niech się dzieje, co chce, ale muszę wrócić pierwszego, ponieważ Fanny Beaufort i ja

bierzemy ślub piątego... „

Głos znów podjął rozmowę: - Przemyśleć? Nie, drogi panie. Ani przez chwilę. Musisz zaraz powiedzieć tak. A czemu nie, chciałbym wiedzieć? Czy możesz przytoczyć na obronę choćby jeden powód? Wiem, że nie. A więc załatwione, dobrze? Liczę na ciebie, że jutro zadzwonisz do biura Cunarda.

Lepiej zarezerwuj powrót na statek z Marsylii. Powiadam ci, ojczyźnie, w pewnym sensie będzie to nasz ostatni wspólnie spędzony urlop. Och, świetnie.

Wiedziałem, że się zgodzisz.

Chicago przerwało rozmowę. Archer wstał i zaczął spacerować po pokoju w tę i z powrotem.

W pewnym sensie będzie to ich ostatni wspólnie spędzony urlop. Chłopiec ma rację. Będą jeszcze mieli mnóstwo innych „urlopów” po ślubie Dallasa, jego ojciec był tego pewien, ponieważ byli obydwoj kompanami od urodzenia, a Fanny Beaufort, cokolwiek się o niej mogło myśleć, nie wyglądała na taką, której by przeszkadzała ich zażyłość. Przeciwnie, z tego, co zauważył, wydało mu się, że ona chętnie włączy się do niej. Niemniej zmiana jest zmianą, a różnica różnicą i niezależnie od tego, jak bardzo był przywiązany do swojej przyszłej synowej, skusiła go możliwość wykorzystania tej ostatniej szansy przebywania sam na sam ze swoim chłopcem.

Nie miał powodu, aby tej okazji nie wykorzystać, poza jednym, i to chyba najpoważniejszym - że stracił nawyk podróżowania. May nie lubiła wyruszać z domu bez uzasadnionej przyczyny, uznawała tylko podróże z dziećmi nad morze czy w góry. Nie wyobrażała sobie, że może istnieć inny motyw opuszczenia domu na Trzydziestej Dziewiątej ulicy czy też wygodnego letniska u Wellandów w Newport. Kiedy Dallas skończył studia, uznała za swój obowiązek wyruszyć w podróż na pół roku. Cała rodzina zgodnie ze starym zwyczajem wybrała się w podróż do Anglii, Szwajcarii i Włoch. Mając czas ograniczony (nikt nie wiedział dlaczego), pominęli Francję. Archer pamiętał gniew Dallasa, kiedy mu kazano podziwiać Mont Blanc zamiast Rheims i Chartres.

Lecz Mary i Bill chcieli pochodzić po górach i cały czas ziewali podczas zwiedzania z Dallasem angielskich katedr. A May, zawsze dobra i lojalna wobec swoich

dzieci, nalegała, by utrzymać równowagę pomiędzy ich sportowymi i artystycznymi skłonnościami. Rzeczywiście proponowała, żeby jej mąż pojechał do Paryża na dwa tygodnie i przyłączył się do nich nad jeziorami we Włoszech, kiedy oni już „zaliczą” Szwajcarię. Lecz Archer nie zgodził się.

- Nie będziemy się rozstawać - zdecydował. A twarz May rozpromieniła się na tę jego decyzję, która miała służyć Dallasowi dobrym przykładem.

Od jej śmierci, to znaczy prawie od dwóch lat, nie było powodu, żeby trzymał się w dalszym ciągu tego przyzwyczajenia. Dzieci nalegały, żeby podróżował. Mary była przekonana, że dobrze mu zrobi wyjazd za granicę i „poglądanie galerii”. Owa wielka tajemniczość, jaka towarzyszyła takiej kuracji, napawała ją tym większą ufnością w jej skuteczność. Lecz Archer czuł, jak mocno jest związany przyzwyczajeniem, wspomnieniami, jakim niepokojem napawa go wszystko, co nowe.

Teraz, gdy rozpamiętywał przeszłość, przekonał się, w jaką głęboką popadł rutynę! Najgorszym z obowiązków wydaje się być taki, kiedy nie jest się już zdolnym do robienia niczego innego. Taki przynajmniej punkt widzenia przyjmują mężczyźni jego generacji. Owo surowe rozgraniczenie między dobrem a złem, uczciwością i nieuczciwością, tym, co godne szacunku i niegodne, pozostawia już tak niewielką możliwość dla tego, czego nie da się przewidzieć. Zdarzają się momenty, kiedy ludzka wyobraźnia, która się tak łatwo podporządkowuje temu, w czym tkwi, wykracza nagle poza codzienność i przemierza długie labirynty przeznaczenia. Archer zawisł tam i błędził...

Co zostało z tego małego światka, w którym wzrósł i którego wzorce naginały go i zobowiązywały? Przypomniał sobie szydercze proroctwo Lawrence'a Lefferts'a, wypowiedziane wiele lat temu w tym właśnie pokoju:

„Jeżeli sprawy potoczą się tym torem, nasze dzieci będą poślubić bękarty Beauforta”.

Właśnie robił to teraz najstarszy syn Archera, duma jego życia. I nikt się temu nie dziwił ani też nie ganił. Nawet ciotka chłopca, Janey, która ciągle wyglądała tak jak w dniach swej późnej młodości, wydobyła ze szkatułki wyłożonej różową watą szmaragdy i

perły swej matki i zaniosiła je we własnych pokurczonych rękach przyszłej oblubienicy. Fanny Beaufort, zamiast okazać rozczarowanie, że nie dostała „kolekcji” od paryskiego jubilera, zachwyciła się ich staroświeckim pięknem i oznajmiła, że kiedy je założy, to będzie się czuła jak z miniaturowej Isabey.

Fanny Beaufort, która zjawiała się w Nowym Jorku po śmierci rodziców jako osiemnastoletnia dziewczyna, podbiła to miasto tak samo, jak ongiś, przed trzydziestu laty, Madame Olenska. Tylko zamiast okazać jej nieufność i obawę, towarzystwo z miejsca przyjęło ją z otwartymi rękoma. Była śliczna, dowcipna i dobrze ułożona. Czegóż można chcieć więcej? Nikt nie był aż tak ograniczony, żeby rozgrzebywać prawie już zapomniane fakty z przeszłości jej ojca i jej pochodzenia. Jeszcze tylko starsi ludzie pamiętali ów smętny przypadek w życiu finansowym Nowego Jorku, jakim było bankructwo Beauforta, czy też fakt, że po śmierci żony sekretnie poślubił osławioną Fanny Ring i opuścił kraj z nową żoną i małą dziewczuszką, która odziedziczyła jej urodę.

Potem słyszano o nim, że przebywał w Konstantynopolu i w Rosji. W kilkanaście lat później podejmował gościnnie amerykańskich turystów w Buenos Aires, gdzie był przedstawicielem wielkiej firmy ubezpieczeniowej.

On i jego żona umarli tam, otoczeni dobrobytem. Pewnego dnia ich osierocona córka zjawiała się w Nowym Jorku pod opieką szwagierki May Archer, pani Jackowej Welland, której mąż został wyznaczony opiekunem dziewczyny. Fakt ten nieomal połączył ją kuzynowskimi więzami z dziećmi Archera i nikt się nie zdziwił, kiedy ogłoszono jej zaręczyny z Dallasem.

Nic nie mogło dać jaśniejszego pojęcia odległości, jakie przemierzył świat. Ludzie współcześni byli zbyt zajęci - zajęci reformami, „ruchami”, modami, fetyszami i błahostkami - by zbytnio się interesować swoimi sąsiadami. I jakie znaczenie miałyby czyjaś przeszłość w tym olbrzymim kalejdoskopie, gdzie wszystkie społeczne cząsteczki obracały się w tej samej płaszczyźnie?

Newland Archer, wyglądając przez okno hotelowego pokoju na okazałe przepych paryskich ulic, poczuł, jak serce bije mu młodzieńczym podnieceniem i zapalem.

Dawno to było, kiedy biło tak mocno i szybko pod jego obszerną marynarką, by w następnej chwili pozostawać go z pustką w piersiach i pulsującymi skroniami.

Zastanawiał się, czy serce jego syna zachowuje się podobnie w obecności panny Fanny Beaufort - i doszedł do wniosku, że nie. „Funkcjonuje bez wątpienia równie szybko, lecz jego rytm jest inny” - doszedł do wniosku, przypominając sobie chłodne opanowanie, z jakim młody człowiek oznajmił o swoich zaręczynach, z góry zakładając, że rodzina to zaakceptuje.

„Różnica polega na tym, że dla młodych jest zupełnie oczywiste, iż otrzymują to, co chcą, dla nas zaś jest oczywiste, że prawie nigdy tego nie otrzymujemy. Zastanawiam się tylko, jak to jest możliwe, żeby mieć pewność już od razu, z góry, i czy wtedy w ogóle czyjeś serce może bić jak szalone. „

Było to następnego dnia po ich przyjeździe do Paryża, a wiosenny zachód słońca zatrzymał Archera w otwartym oknie ponad rozległym srebrzystym widokiem na Place Vendome. Godząc się na wyjazd za granicę z Dallasem zastrzegł sobie - by na tym mu chyba najbardziej zależało - że nie będzie musiał pójść do jednego z tych nowomodnych „pałaców”.

- Och, doskonale, oczywiście - zgodził się Dallas dobrodusznie. - Zabiorę cię do któregoś z tych wesołych staroświeckich miejsc... powiedzmy do Bristolu - oznajmił pozostawiając ojca oniemiałego wiadomością, że o wiecznej siedzibie królów i cesarzy mówi się teraz jak o staroświeckiej gospodzie, do której chodzi się dla jej malowniczej prostoty i lokalnego kolorytu.

W tych pierwszych niecierpliwych latach Archer bardzo często odmalowywał w wyobraźni scenę swego powrotu do Paryża. Potem ta wizja zbladła i próbował zobaczyć miasto po prostu jako oprawę życia Madame Olenskiej.

Siedząc wieczorem samotnie w bibliotece, gdy wszyscy domownicy już spali, widział rozkwit promiennej wiosny w alejach kasztanowych, kwiaty i posągi w miejskich ogrodach, wonne bzy na wózkach kwiatowych, majestatycznie płynące wody rzeki pod wielkimi mostami, świat artystyczny i naukowy oraz wszelkie przyjemności, którymi tętniło życie każdej wielkiej metropolii... Teraz scena ta rozciągała się przed nim w całej

swej wspaniałości i gdy tak patrzył na nią, czuł się onieśmielony, staroświecki nieporadny. Zwykły szary pionek w porównaniu z tym bezwzględny człowiekiem, jakim marzył, że będzie...

Dallas położył serdecznie rękę na ramieniu ojca.

- Ojczy, to jest coś, nieprawdaż?

Stali przez chwilę w milczeniu, po czym młody człowiek podjął rozmowę: - Mam dla ciebie wiadomość. Hrabina Olenska oczekuje nas obu o wpół do szóstej.

Powiedział to lekko, od niechcienia, jakby udzielał jakiejś obojętnej informacji, na przykład, o której godzinie jutro wieczorem odchodzi ich pociąg do Florencji. Archer spojrział na syna i zdało mu się, że w wesołych oczach młodego człowieka widzi złośliwy błysk prababki.

- Och, nie mówiłem ci? - tłumaczył się Dallas. - Fanny kazała mi przyrzec, że zrobię trzy rzeczy, gdy będę w Paryżu: kupię płyty z ostatnimi pieśniami Debussy'ego, pójdę do Grand Guignol i zobaczę się z Madame Olenską. Wiesz, ona była ogromnie dobra dla Fanny, kiedy pan Beaufort przysłał ją z Buenos Aires do tego Assompcion. Fanny nie miała w Paryżu żadnych przyjaciół i Madame Olenska była dla niej bardzo miła, zabierała ją na ferie. Zdaje się, że była wielką przyjaciółką pierwszej pani Beaufort. I oczywiście jest naszą kuzynką. Zadzwoiłem więc dzisiaj rano przed wyjściem z hotelu i powiedziałem jej, że będziemy tutaj dwa dni i chcielibyśmy się z nią zobaczyć.

Archer nieprzerwanie wpatrywał się w syna.

- Powiedziałaś jej, że jestem tutaj?

- Oczywiście, czemu by nie? - brwi Dallasa uniosły się kapryśnie. Po czym, nie doczekawszy się odpowiedzi, wsunął rękę pod ramię ojca poufałym gestem.

- Słuchaj, ojczy, jaka ona jest? Archer czuł, jak się czerwieni pod badawczym wzrokiem syna.

- No, przyznaj się. Byliście wielkimi przyjaciółmi, prawda? Czy nie była ona najpiękniejsza?

- Najpiękniejsza? Nie wiem. Była inna.

- Otóż i właśnie! To zawsze tak bywa, nieprawdaż? Kiedy ona się zjawia, jest inna

i nikt nie wie, dlaczego. Właśnie takiego samego uczucia doznaję w stosunku do Fanny.

Jego ojciec cofnął się o krok, uwalniając ramię.

- W stosunku do Fanny? Ależ, mój drogi chłopcze, nie wątpię. Tylko nie widzę...

- Niech to licho, ojczy, nie bądź taki przedpotopowy! Czyż ona nie była kiedyś...

twoją Fanny?

Dallas całą duszą i ciałem należał do nowej generacji. Był pierworodnym dzieckiem Newlanda i May, jednakże nigdy nie udało im się wpoić w niego elementarnych zasad powściągliwości.

- Jaki sens robić z tego tajemnicę? Wtedy tym bardziej ludzie wtykają swój nos - protestował zwykle, gdy mu przykazywano dyskrecję. Jednakże Archer, spotkawszy jego wzrok, dojrzał w nim synowskie ciepło zrozumienia, kryjące się pod pokrywką żartu.

- Moją Fanny?

- No cóż, kobietą, dla której mogłeś rzucić wszystko, tylko że tego nie zrobiłeś - ciągnął jego zdumiewający syn.

- Nie zrobiłem - powtórzył jak echo Archer uroczyście.

- No, widzisz, jesteś przestarzały, drogi staruszk. Lecz mama powiedziała...

- Twoja matka?

- Tak, na dzień przed śmiercią. To wtedy, kiedy przysłała po mnie, żebym przyszedł sam... przypominasz sobie? Powiedziała, iż wie, że będziemy z tobą bezpieczni, i to zawsze, ponieważ dawno temu, kiedy cię poprosiła, wyrzekłeś się czegoś, czego bardzo pragnąłeś.

Archer przyjął to dziwne oświadczenie w milczeniu. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w zatłoczony, zalany słońcem skwerek za oknem.

Wreszcie odezwał się cichym głosem:

- Nigdy mnie nie prosiła.

- Oczywiście. Zapomniałem. Przecież wy nigdy nie pytaliście siebie o nic, prawda? I nigdy nic sobie nie mówiliście. Po prostu siedzieliście przyglądając się sobie i zgadywaliście, co się w każdym z was tam wewnątrz dzieje. Takie schronienie dla głuchoniemych. Podziwiam twoje pokolenie za to, że miało czas, by znać prywatne myśli

drugiej osoby, a my nigdy nie mamy czasu, by choćby poznać swoje własne. Słuchaj, ojciec - spytał nagle Dallas - nie jesteś na mnie zły? Jeśli tak, to dajmy temu spokój i chodźmy na lunch do Henri'ego. Potem będę musiał jeszcze wpaść do Wersalu.

Archer nie towarzyszył synowi do Wersalu. Wolał spędzić popołudnie walęsając się samotnie po Paryżu. Musiał się co prędzej uporać z nagromadzonym żalem i zdławionymi wspomnieniami milczącego życia. Przestał już odczuwać niedyskrecję Dallasa. Świadomość, że ktoś domyślał się i współczuł mu, wywołała w nim takie uczucie, jakby mu zdjęto żelazną obręcz z serca. A że tym kimś była właśnie jego żona, poruszyło go do głębi.

Dallas, mimo swego całego uczuciowego nastawienia, nie potrafiłby tego zrozumieć. Bez wątpienia dla chłopca ten epizod był tylko patetycznym przykładem zbytecznego rozczarowania, niepotrzebną stratą sił. Ale czy rzeczywiście niczym więcej? Długi czas Archer siedział na ławce na Champs Elysees i zastanawiał się nad tym, a mimo niego przepływał strumień życia...

Kilka ulic dalej od paru godzin czekała już Ellen Olenska. Nigdy nie wróciła do męża, a kiedy umarł parę lat temu, nie zmieniła trybu życia.

Teraz nie istniało już nic, co by mogło ich dzielić - i tego popołudnia miał ją wreszcie zobaczyć!

Wstał z ławki, przeszedł Place de la Concorde, potem ogrody Tuileries aż do Luwru. Kiedyś powiedziała mu, że często tam bywa i teraz miał ochotę spędzić tam właśnie kilka godzin, by wyobrazić ją sobie taką, jaką jest teraz. Przeszło godzinę przechadzał się sali do sali wśród oślepiającego popołudniowego blasku i obraz po obrazie objawiał mu nagle swą na pół zapomnianą wspaniałość, napełniając jego dusze echem dawnego piękna. Mimo wszystko jego życie było zbyt jałowe...

I nagle, stając przed olśniewającym Tycjanem, spostrzegł się, że mówi do siebie: - Ale ja mam dopiero pięćdziesiąt siedem lat... - po czym odwrócił się. Na takie marzenia było już za późno; ale chyba nie na spokojne uczucie przyjaźni, koleżeństwa w kojącej ciszy jej bliskości.

Wrócił do hotelu, gdzie mieli się spotkać z Dallasem. A potem znów razem udali się przez Place de la Concorde i mostem, który prowadził do Izby Deputowanych.

Dallas, nie podejrzewając, jakie myśli zaprzętają jego ojca, opowiadał w podnieceniu i z wielką elokwencją o Wersalu. Przedtem mógł zaledwie rzucić nań okiem podczas owej wakacyjnej podróży, podczas której został pozbawiony wielu widoków, bowiem musiał jechać z rodziną do Szwajcarii. Opowiadał o wszystkim z hałaśliwym entuzjazmem i pewnym siebie krytycyzmem.

Gdy Archer tak się temu przysłuchiwał, narastało w nim poczucie własnej nieudolności i braku umiejętności uzewnętrznienia przeżyć. Wiedział, że chłopiec nie jest pozbawiony wrażliwości. Jednakże posiadał tę swobodę i pewność siebie, które wpływały z tego, że nie traktował losu jak pana, lecz jak równego sobie. Tak to właśnie jest. Czują się na siłach, by wszystkiemu podołać... znają swoje miejsce rozmyślał, uważając swego syna za wyraziciela nowej generacji, która zaciera wszystkie stare punkty orientacyjne, a wraz z nimi drogowskazy i ostrzeżenia o niebezpieczeństwie.

Dallas nagle się zatrzymał, chwyciwszy ojca za ramię.

- Och, na Boga! - wykrzyknął.

Wyszli na wielką, porośłą drzewami przestrzeń przed Place des Invalides.

Ponad rozkwitającymi drzewami i długim szarym frontem budynków unosiła się eteryczna kopuła kościoła Inwalidów, dzieło Mansarta. Zagarniając wszystkie promienie popołudniowego słońca, zawisła tam niczym widomy symbol ludzkiej chwały.

Archer wiedział, że Madame Olenska mieszka na placu w pobliżu jednej z alei rozchodzących się promieniście z Place des Invalides. Wyobraził sobie, że jest to miejsce ciche i ukryte, zapominając, że opromienia je śródmiejski splendor. Teraz przez jakiś prze dziwny proces skojarzeń to złote światło stało się dla niego wszechwładną iluminacją, w której właśnie ona żyje. Prawie trzydzieści lat życia - o którym wiedział tak zdumiewająco mało - spędziła w tej bogatej atmosferze, zbyt gęstej dla niego, a nawet zbyt podniecającej dla jego płuc. Myślał o teatrach, do których zawsze uczęszczała, obrazach, jakie oglądała, o spokojnych wspaniałych starych domach, w jakich bywała, ludziach, z którymi rozmawiała - ta ciągła wymiana idei, ciekawostek, wyobrażeń i

porównań rzucanych przez niestrudzone towarzystwo w oprawie niezapomnianych wytwornych manier. I nagle przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu młody Francuz: „Och, miła rozmowa... nie ma nic ponadto, prawda?”

Archer przez trzydzieści lat nie widział Monsieur Riviere'a ani nawet o nim nie słyszał. I ten fakt stanowił również jakąś miarę jego niewiedzy o życiu Madame Olenskiej. Więcej niż pół życia spędzili rozdzieleni, przy czym ona spędziła ten okres wśród ludzi mu nie znanych, w otoczeniu, o którym tak niewiele wiedział, w warunkach, jakich nigdy nie udało mu się w pełni zrozumieć. Tymczasem on żył mając w pamięci jej młodzieńczą wizję.

Ona zaś niewątpliwie miała inne i bardziej rzeczywiste towarzystwo.

Możliwe, że też zachowała go w swoich myślach jako coś bardzo „odrębnego”.

A jeśli tak, to tylko niczym relikwiarz w małej ciemnej kaplicy, w której na codzienne modlitwy nie starczało czasu.

Przeszli Place des Invalides i podążyli jedną z uliczek obok tego budynku. Była to cicha dzielnica, mimo swego splendoru i swojej historii; skupiły się tu jakby wszystkie bogactwa Paryża, dostępne wielu, lecz dostrzegane tylko przez nielicznych, obojętnych na resztę świata.

Dzień bladł zasnuwając się delikatną mgiełką przetykaną słońcem, tu i ówdzie przekłutą żółtym elektrycznym światłem, a na skwerczku, na jaki właśnie skręcili, było niewiele przechodniów. Dallas znów się zatrzymał i popatrzył w górę.

- To chyba tutaj - powiedział wsuwając rękę pod ramię ojca tak pewnym ruchem, że nieśmiałość Archera gdzieś się ulotniła. Stali tak razem i spoglądali na dom.

Był to nowoczesny budynek, niczym specjalnie się nie wyróżniający, o wielu oknach, z przyjemnymi balkonami na szerokim, kremowej barwy frontonie. Na jednym z górnych balkonów, który wznosił się tuż nad kopulastymi wierzchołkami kasztanów rosnących na skwerku, markizy były jeszcze rozpostarte, jakby słońce dopiero co je opuściło.

- Ciekawym, które piętro? - zastanawiał się Dallas. Poszedł naprzód w stronę porte - cochere, wsadził głowę do portierki i powrócił mówiąc: - Piąte. Zapewne to z

markizami.

Archer bez ruchu wpatrywał się w górne okna, jak gdyby dopięli celu swej wędrówki.

- Wiesz, że już dochodzi szósta - przypomniał mu w końcu syn.

Ojciec popatrzył na pustą ławkę stojącą wśród drzew.

- Chyba usiądę tu na chwilę - powiedział.

- Czemu? Czy źle się czujesz? - wykrzyknął syn.

- Och, doskonale. Lecz wolałbym, żebyś poszedł na górę beze mnie.

Dallas zatrzymał się, najwyraźniej zmieszany.

- Ależ ojcie, czy to znaczy, że wcale nie zamierzasz wchodzić na górę?

- Nie wiem - powiedział wolno Archer.

- Jeśli nie pójdziesz, ona tego nie zrozumie.

- Idź, mój chłopcze. Może przyjdę za tobą.

Dallas popatrzył na niego przeciągle w zapadającym zmierzchu.

- Ale co ja, na litość boską, jej powiem?

- Mój drogi chłopcze, przecież ty zawsze wiesz, co należy powiedzieć - odparł jego ojciec z uśmiechem.

- Doskonale. Powiem, że jesteś staroświecki i wolisz przespacerować się na piąte piętro, ponieważ nie lubisz wind.

Jego ojciec znów się uśmiechnął.

- Powiedz, że jestem staroświecki, to wystarczy.

Dallas ponownie przyjrzał się ojcu z niedowierzaniem, po czym zniknął w sklepionym wejściu.

Archer usiadł na ławce i wpatrywał się w osłonięty markizą balkon.

Obliczał, ile czasu zabierze jego synowi wjechanie windą na piąte piętro, zadzwonienie do drzwi i wejście do hallu, a potem do salonu. Wyobraził sobie Dallasa. Wyobraził sobie, jak wchodzi do pokoju szybkim, zdecydowanym krokiem, radośnie uśmiechnięty, i zastanawiał się, czy słusznie ludzie mówią, że ma to „po nim”. Następnie usiłował dostrzec jakieś osoby w pokoju - jako że o tej towarzyskiej porze powinno być

zapewne więcej osób - a wśród nich ciemnowłosą damę, bladą i smutną, która spojrzała szybko, nie podnosząc się z miejsca, i wyciągnęła szczupłą dłoń, z trzema pierścionkami na palcach... Wyobrażał sobie, że siedzi w rogu na kanapie w pobliżu kominka, mając za sobą na stoliku kosz azalii.

- Tutaj to wszystko jest dla mnie bardziej realne, niż gdybym tam poszedł - nagle usłyszał, że mówi na głos. Bał się, żeby ten ostatni cień rzeczywistości nie zniknął, i siedział jak wrośnięty w ławkę, a minuty upływały jedna za drugą.

Długi czas tak przesiedział w gęstniejącym mroku, a jego oczy nieustannie wpatrywały się w balkon. Wreszcie w oknach zapłonęło światło, a w chwilę potem służący wyszedł na balkon, podciągnął markizy i zamknął okiennice.

Jakby właśnie tylko na ten sygnał Archer czekał. Podniósł się wolno z ławki i powrócił samotnie do swego hotelu.